ANTOLOGIA
WSPÓŁCZESNYCH POETÓW POLSKICH

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNYCH POETÓW POLSKICH

Z PODOBIZNAMI NIEKTÓRYCH AUTORÓW

UŁOŻYŁ

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI

LWÓW 1908
NAKŁADEM KSIĘGARNI MANISZEWSKIEGO I MEINHARTA
WARSZAWA E. WENDE I SP.

DRUK ALEKSANDRA RIPPERA W KRAKOWIE — KLISZE
WYKONANO W ZAKŁADZIE TRZEMESKIEGO WE LWOWIE

Tolle lege!

Zdawało mi się, jakobym porwany był w wyże jakieś zawrotne — w blaski jakieś zagwiezdne...

kędy w tęczowych pasmach lśnią nieśmiertelne ołtarze...

kędy wieczysty Znicz słoneczną płonie pochodnią...

kędy najsubtelniejsze duchy tej ziemi smętnej wylatują na płomiennych skrzydłach jaw i złudzeń, godny oddawać hołd Wielkiemu Bóstwu...

W okół legły skarby ofiarne, jak grad na wydeptanej niwie, to znowu śladem ogni błędnych pną się w górę i owijają jak powój o każdy promień biegnący w wszechświat od aureoli Bóstwa.

Inne jak kryształy sopli lodowych, jak gwiazdki śnieżne czepiają się zopalizowanych mgieł i tęczowych łuków...

Morze, skarbów i klejnotów, bezdenne, dalekie i bezkresne morze. —

I począłem brać pełnemi dłońmi te skarby, jak chciwiec, jak złodziej rządzami oszalały...

I nie wybierałem zbytnio, bo tam wszystko było wybrane, wszystko piękne w swoim rodzaju. Mniemałem, że jak rozmiar nie wpływa na wartość dzieła malarskiego, tak i tu w każdym najmniejszym kamyku, w każdym posągu lśni promień, pochodzący z jednego i tego samego źródła...

Nabrałem, ile unieść było można. Zaczerpnąłem tych skarbów jak prometejskiego ognia z wyżyn Tworzenia i przynoszę Wam, Wam przedewszystkiem »zjadacze chleba«, których oczy dotąd nieświadomością Piękna zamglone...

Jak owo pacholę przed św. Augustynem śmiem, odważam się zawołać:

Tolle lege! Tolle lege!

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI.

BOGUSŁAW ADAMOWICZ

ur. 1870 r. w Mińsku. Ogłosił »Poezye« 1905 r.

NASTRÓJ.

Na kwiatach połysk ros...
Tęsknota dzwoni
Tajemnej harfy dźwięk, co w serce trąca,

Śni mi się drżący głos...
Śni gąszcz kwitnąca
Śniegami wisien i jabłoni...

Śni mi się złoty sen:
W ustroni
Pieszczota dłoni twej mdlejąca...

I blady uśmiech ten...
I brzask miesiąca...
I senny połysk migotliwej toni...

Śni mi się jasny zdrój...
Śni pełen woni
Miód kwiatu szczęścia, co aż w otchłań strąca...

I pocałunek twój —
Ta rosa drżąca
Najświeższej róży Hesperyjskich błoni...

AKSEL (Ignacy Baliński)

urodzony 1862 r. w Reginowie. Poezye rozrzucone po czasopismach.

NIECH BIELEJE PŁÓTNO SZARE!...

Położyły płótno szare na murawie
Gospodynie: — niech bieleje, powiedziały,
Niech bieleje! — I zaczęło złote strzały
Ciskać słońce w płótno szare, co jaskrawie
Odbijały od zieleni, — nowej strawie
Niosąc grotów swoich żary i upały.
Niech bieleje płótno szare, na słońcu niech bieleje!

I zaczęła płótno szare w wieczór, zrana,
Srebrzyć rosa, — srebrna rosa, co wyjada
Smutne, łzawe biednych oczy, zanim blada,
Wzejdzie zorza nadaremnie wyglądana. —
Bić zaczęła w płótno szare karawana
Wichrów, — mknąca obojętnie w dal gromada...
Niech bieleje płótno szare, na rosie niech bieleje!

I zbielało płótno szare i zbielało
Od słonecznych grotów złotych i od ro y
Pocałunków i od wichrów, które z włosy
Rozwianemi w dal nieznaną pędzą strzałą.
Teraz mogą gospodynie brać je śmiało,
Wiernym sługom dzielić będzie ludzkie losy.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

Teraz mogą płótno szare kroić w szmaty
Cieńkie długie, — na pieluszki, na koszule,
Co niemowląt drobne członki tkliwie, czule
Osłaniają, — i na dziewic ślubne szaty, —
I na obrus, który kryje stół bogaty, —
I na całun, który koi wszystkie bóle.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

I wywlekła dola-matka serce moje
Na życiowe ostre szlaki, twarde drogi,
Między ludzi zastęp wielki, zastęp mnogi, —
Moje serce, w którem uczuć wrzały roje,
Krwi gorącej, krwi czerwonej biły zdroje, —
I cisnęła ludziom-braciom je pod nogi.
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I owionął serce moje nienawiści
I zawiści żar — gorętszy, niźli słońce;
Bić zaczęły w nie zawodów wichry rwące,
Co z nadziei duszę smutną, jak dąb z liści
Obrywają; — coraz silniej i rzęsiściej
Jęły zraszać je łzy skryte, łzy piekące...
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I zbielało serce moje i zbielało,
Jak to płótno, — w życia pęta i obroże

Wparte, wkute... Odtąd ludziom w każdej porze,
Z rezygnacyi twarzą zimną, twarzą białą
Służyć będzie, – lecz już sercem być przestało,
I już tylko tak jak serce pęknąć może...
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!
Niech bieleje serce moje, dla ludzi-braci niech
[bieleje!

KTO WOLNOŚĆ RAZ POKOCHA.

(Piosenka).

Kolombinę, Spilettę, Pierotkę
Na progu męskich lat,
Jako Sławę, Bogactwo i Wolność,
Poznałem, wchodząc w świat.

Nie znęciły mnie złote cekiny,
Ni brylantowe skry,
Do tej trzeciej, białej dziewczyny
Junackie serce drży.

Nie jednego, ach! w życiu to spotka,
Że wiatr mu w oczy dmie...
Najmilszą z nich była Pierotka,
Lecz ta nie chciała mnie.

Dziewczyno słodka a płocha,
Co z serc zabierasz łup,

Kto wolność raz pokocha,
Ten wieczny czyni ślub!

Choć chowasz się za kraty,
Pierzchasz od bram do bram,
Gdzie błyśnie kraj twej szaty—
Ja zawsze będę tam.

A gdy padnę przed twym terenem
Na śnieg, co w słońcu lśni,
Obdarzę cię dyademem
Z rubinów własnej krwi.

STANISŁAW BARĄCZ

ur. 1866 r. we Lwowie. W dzieciństwie ociemniał, nie stracił jednak pamięci barw. Gra na fortepianie i skrzypcach, bierze udział w ruchu literackim; wydał: Impressye 1902.

SŁOTA.

Tłoczą nizki widnokrąg chmury szare, smętne,
W mgłach spowita po drzewach zwisa senna nuda
Szkli się brudnym połyskiem rozmoknięta gruda,
Rynny mruczą pod murem, jak dziady natrętne.

Płynie senność bezwładna w białawych oparach,
Lenistwo ziewa w sinym, ścielącym się dymie;
Słota zaciąga mokre swe płachty olbrzymie,
Zimne dreszcze przebiegły po ziemi obszarach.

Myśl jak zwilgła zapałka błyśnie — i wnet zgaśnie,
Czas leniwy powoli, nieznośnie się wlecze,
Po dachu dżdże szeleszczą jak robactwa tłuszcze.

Wiatr się zerwie — i nagle porażony zaśnie...
Deszcz spokojnie, miarowo zwisłe liście siecze
I monotonnym szmerem bez końca wciąż pluszcze...

BÓL.

Ból ciągłem echem wstrząsa ponure me wnętrze
I swem czarnem zaklęciem wskrzesza straszne zmory;
Znów widzę mych nadziei zważone ugory,
Na nich me spragnień mrące marzenia najświętsze.

Jak grom, gdy na dnie morza drzemiące potwory
Cucąc, czerwonym blaskiem na powierzchnię nęci,
Tak krzyk bólu wywiabia z lochów mej pamięci
W mrokach oddawna śpiące pamiątek upiory.

W mej duszy, tej na poły zwalonej katedrze,
Wszędzie sterczą ponure mych dążeń grobowce —
A puhacz smutnych przeczuć zawodzi swe jęki.

I gdy nagle myśl jasna ciemności rozedrze,
Z pod pleśni przez pajęczyn rozsnute pokrowce
Widzę — szyderczo śmierci uśmiechnięte szczęki.

WŁADYSŁAW BEŁZA

ur. 1847 w Warszawie. Mieszka stale we Lwowie. Pisuje dla dzieci. Poezye 1892 i inne prace.

FRAGMENT.

Błogosławiony po stokroć niech będzie,
Ktokolwiek idzie w imię dobrej sprawy!
Kto światło rzuca na ziemi krawędzie,
Kto ster umacnia u rozbitej nawy,
Kto w burzy czasów, wśród walk krwawych znoju,
Podejmie sztandar pracy i pokoju.

Błogosławiony, kto w sił swoich pocie,
Kruszy przesądów zastarzałych kraty,
I tym, co toną w odwiecznej ciemnocie,
Wnosi jak bóstwo iskierkę oświaty!
Błogosławiony, bo z tej iskry Bożej,
Rozbłyśnie światło, co ludziom dzień stworzy!

Ktokolwiek będzie z Wschodu czy Zachodu,
Bratem go swoim nazwie ludzkość cała,
Bowiem nie w imię jednego narodu,
Lecz w imię całej ludzkości on działa,
I błogosławion ten lud i kraina,
Co go przygarną jak brata i syna.

Biada narodom, co swoje proroki
Chłostą szyderstwa ścigają niegodnie;

Biada tej glebie, co ma grunt z opoki,
Na który deszcze padają bezpłodnie!
Bo głos proroka przebrzmi przez pustynię,
Bo deszcz po skale bez śladu przepłynie.

Błogosławieni! którzy światło niosą
Oblani wschodu słonecznym szkarłatem!
Świat uznojone czoło krwawą rosą
Pochyli przed ich cichym majestatem;
I gdy się ciemność wszędzie rozzuchwali,
Od ich promienia nowy świat zapali!

WACŁAW BERENT

urodzony w Warszawie 1873 r. Autor »Próchna«. Poezye w »Chimerze«.

(GENIUSZ ŻEBRACZY).

O *gaya saber!* — Kunszt radości!
Weselnej sztuki gędźbo cicha,
W pogrzebnym dzwonie ton twój czyha,
W kostnicy duch twój dzisiaj gości.

Roztęsknień nutę w dzwonów granie
I surmy głuche w psalm rozpaczy
Powplatał geniusz ten żebraczy,
Co — życiu wieścić zmartwychwstanie

Na wszystkie wlecze się cmentarze,
By przy stepowej smutku czarze
Pijanym śmiechem być w pogrzebie;

Potargać szydem kir żałobny,
Podeptać w tańcu świeże groby:
»To ziarna! — ziarna! legły w glebie!«...

EDMUND BIEDER

urodzony 1877 r. w Jordanowie. Obecnie nauczyciel gimn. w Bochni. »Poezye« 1902 i po czasopismach.

Z CYKLU »PASTELE KSIĘŻYCOWE«.

GWIAZDY PŁACZĄ.

Święte gaje miłości wiatr otrząsa z liści,
Idę w jakąś krainę nieznaną i ciemną,
Wiem, że sen mój o szczęściu nigdy się nie ziści...
Rozpłakane gwiazd oczy łzy ronią nademną...

Wiem... są jasne krynice, brylantowe zdroje,
I łąkowe gdzieś kwiaty w blaskach słońca rosną...
Lecz te źródła nie dla mnie... te kwiaty nie moje...
Rozpłakane gwiazd oczy płaczą nad mą wiosną...

Ukochałem w noc gwiezdną białą Twoją duszę
Krwi gorącej obłędem — snów błękitnych tonią...
I odbiegła Twa dusza... i sam w dal iść muszę...
Rozpłakane gwiazd oczy łzy nademną ronią...

Wiem... jest kędyś gaj święty... gaj pachnący [kwietnie...
W którym dusze się nasze po śmierci zobaczą,
Gdy nam Parka nić życia jasnozłotą przetnie...
Rozpłakane gwiazd oczy dziś nademną płaczą...

Z CYKLU »JESIEŃ«.

A KIEDY Z DRZEW...

A kiedy z drzew polecą liście,
Kiedy się niebo w krąg osmęci,
A mgły zaleją świat rzęsiście
I wszystko zgaśnie w niepamięci...
Ty nie mów nic...

A kiedy liście z drzew polecą,
I dusze nasze w puch omota
Królowa smutnych dusz — Tęsknota,
I w oczach nam się łzy zaświecą...
Ty nie mów nic...

A kiedy drzewa w chór zapłaczą,
A kiedy blade przyjdą noce
Zawodzić smutną pieśń tułaczą,
I coś się nagle w nas zgruchoce...
Ty nie mów nic...

A kiedy w chór zapłaczą drzewa,
Kiedy się nagle wszystko zmroczy,
I pieśń ostatnia się prześpiewa —
Ty patrz mi długo... długo w oczy...
I nie mów nic...

CHCIAŁBYM PRZY TOBIE BYĆ.

Chciałbym przy Tobie być w wieczornej ciszy
I razem z Tobą śnić
Dziewczyno!...
Gdy kwiecia biały klomb upojnie dyszy,
I gdy piosenki me
W łzy płyną...

Chciałbym przy Tobie być, gdy smutek ze mną,
Gdy drżą na niebie gwiazd
Miryady
I chciałbym z Tobą iść drogą tajemną...
Skróś księżycowych mgieł
Kaskady...

Chciałbym przy Tobie być, we wieczór cichy,
Gdy z góry pada blask
Miesiąca
I utulone w sen, kwiatów kielichy
Srebrzystą strugą mgły
Potrąca...

W miesięczną cichą noc, przy świetle bladem
Niech mnie o Tobie sny
Oplotą
I niech mi włożą z gwiazd, na skroń dyadem,
Królowo moich snów
Tęsknoto!...

STANISŁAW BRZOZOWSKI

urodzony 1876 r. — umarł 1891. Poezye w »Życiu« i »Chimerze«.

Kwiaty grzechu, zepsucia, o kwiaty pokuszeń!
Wabiące zmysły moje czarem i urokiem
Nieznanych, tajemniczych rozkoszy i wzruszeń...
— Pokąd na was cielesnem spoglądałem okiem —

Dziś wiem już, że jesteście na kształt trybularzy,
Z których płynie ku niebu wciąż ofiara woni;
Dziś wiem już, że w odblaskach waszych barw [się żarzy
Modlitwa uroczysta pól, lasów i błoni.

Kwiaty święte, anielskie, kwiaty modlitewne!
— Odtąd nigdy nie będą zrywać was me ręce —
Z kielichów swych tęczowych ślijcie wonie zwiewne
Królowej ziół i kwiatów, Przeczystej Panience.

O przyjdź, jesienią —
Wdziej szatę lekką, białą, zwiewną,
Pajęczą;
Rzuć na hebanowe twoje włosy
Perły rosy
Lśniących zimnych barw
Tęczą.

O przyjdź, jesienią —
Owiana skargą tęskną, rzewną
Żórawi,
W dal płynących szarą niebios tonią,
Tchnącą wonią
Kwiatów, które mróz krwawi.

O przyjdź, jesienią —
W chwilę zmierzchu senną, niepewną —
I dłonie
Twe przejrzyste, miękkie, woniejące
Na cierpiące
Połóż mi skronie —
O śmierci...

Nadchodzi noc; słońce strwożone ucieka
I broczy krwią.
Promienie jego najkrwawsze
Przez oczy
W mózgu mojego głąb
Zapadły.
Już przyszła noc. Ciemności najtwardsze wieka
Spadły na oczy:
Strwożony wstecz zwracam wzrok —
W mózgu mojego głąb
I widzę, jak w mojej krwi
Skąpane słońca promienie
— Najkrwawsze —
Goreją w żar i blask,
Przed którym noc pierzcha
Na zawsze!

BOŻYDAR (Edm. Bogdanowicz)

urodzony 1859 roku w Warszawie; pracuje tamże jako dziennikarz. Poezye po czasopismach.

NASTRÓJ.

Wietrzyk skrzydlaty
O świcie
Wstrząsł, zbudził kwiaty...
Rozbłysło nagle w przestrzeni,
I na błękicie
Światło się stapia i mieni
W tysiąc barw, blasków, odcieni,
O świcie.

W drzew wierzchy drżące
O ranku
Strzeliło słońce.
Zielone wina oploty
W cienistym ganku,
Na skroń mi trzęsą pył złoty
I sączą słodycz pieszczoty,
O ranku.

Padły już rosy
O zmierzchu
Na wonne wrzosy,
Legł cień na krętej ścieżynie;

Tylko u wierzchu
Drzew światło błądzi i ginie
W liści szemrzącej gęstwinie,
O zmierzchu.

Błysły gwiazd oczy
O zmroku,
W niebios przezroczy.
Zgasł dzień w błękitnej głębinie,
Tylko w mem oku
Blask się ulotny przewinie,
I łza cichutko popłynie,
O zmroku...

Z CYKLU: ZAPROSZENIE DO TAŃCA.

Hej, Mazury, hej-że, ha!...
— Otworzyły się ścięża je,
I przed dworek modrzewiowy
Kulig jedzie! - Kulig staje!
Brzmią okrzyki, płoną głowy...
. . . .
— A muzyka gra!...

Hej, Mazury, hej-że, ha!
— Otworzyły się podwoje,
Suną pary za parami,
Zuchy w zucha, cud-dziewoje.

Dworek brzęczy podkówkami...
. . . .
— A muzyka gra!...

Jak cień znikła smutku chmura,
Dworek szczęściem drga.
— Do mazura! Do mazura!...
. . . .
A muzyka gra!...

Oto wali huczną falą
Mazowiecki tan.

Jak się oczy wszystkim palą!
Jaki płomień bije z twarzy!
Aż dech spiera, skrami parzy,
Aż się w oczach mieni tęczą,
Od hołubców szyby brzęczą...
Taki bo to tan!
Męski, butny a ognisty,
Zawadyacki, zamaszysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Pojrzeć, aż się oczy świecą,
Jak Mazury walą, lecą!
Czapkę który muśnie czasem,
W takt hołubca tnie obcasem
Przytupuje śmiało z góry,
Aż z podłogi lecą wióry...

Ujmie połę i mknie dalej...
Z drogi, kiedy Mazur wali!
Taki bo to tan!
Męski, butny a ognisty,
Zawadyacki, zamaszysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Pojrzeć, aż się oczy świecą,
Jak dziewczęta płyną, lecą...
Główkę czasem przegnie która
Do chłopaka, do Mazura,
W bok się ujmie, nóżką czesze
I hołubce raźno krzesze...
Za nią kosy złote płyną...
Na kolana przed dziewczyną!
Taki bo to tan!
Miękki, słodki a ognisty,
Pełen wdzięku, potoczysty,
Wychował go łan polisty,
Mazowiecki łan!

Hej, Mazury, hej-że, ha!
— Stary dziaduś kręci wąsa,
Siwą głową w takt potrząsa,
I odmłodniał dziaduś biały,
Same nogiby hasały...
. . . .
— A muzyka gra!..

BOHDAN BRESZEL.

Z CYKLU »BAŚŃ KWITNIEŃ«.

ŻNIWA.

Z zapomnianych spichlerzy przestałej zasieki
Wzięto ziarno w tęsknoty natchnioną godzinę...
— Pożaru młodych marzeń dzień minął daleki,
W wieczny mrok porzucony, w ciemniach nocy
[ginę.

Mówili bracia moje, mówiły me siostry,
Cichym szeptem mówiło mi przeczucie senne,
Że zanim złych przekwitów sierp nie zetnie ostry,
Nadejdą upragnionych snów moce wiosenne.

Nie wiem, za jaką winę na ból i cierpienie
Z łona matki strząśnięto mię ostrożną dłonią...
Znać żyć wśród łez bezsilnych każe przeznaczenie
Znać od zrodzonych w męce czary szczęścia stronią.

Trzeba umrzeć bez śladu. Z mej wczesnej mogiły
Nie zadźwięczą już nigdy złud pieśni radosne.
Światła jutrznia błysnęła. Me sny się ziściły...
Brzask słońca, przebudzenie. W kłos dumny urosnę.

WEZWANIE.

Chodźcie synowie moi, chodźcie wszyscy z chaty –
Błogosławieństwem Pańskiem rozkwitły dziś niwy...
Ziemia się przyodziała w dar plonu bogaty,
Niechaj nikt w żmudnej pracy nie będzie leniwy.

Chodź i ty, mój najmłodszy synu ukochany,
Pilniem strzegł twojej myśli, serca i sumienia...
Błogosławieństwem Pańskiem dziś rozkwitły łany,
Dzień marzeń nieuchwytnych w dzień czynów się
[zmienia.

Chodź i ty, o przedwcześnie oślepłej źrenicy,
Nad którego kolebką już stała niedola –
Błogosławieństwem Pańskiem dziś rozkwitły pola,
Spełnia się czas odwiecznej kwitnień Tajemnicy.

Chodźcie, synowie moi, chodźcie wszyscy z chaty –
Żyzny przyniósł urodzaj nasz siew sprawiedliwy...
Chodźcie kosić kłos źrały i stworzone kwiaty:
Błogosławieństwem Pańskiem dziś rozkwitły niwy.

BOGUSŁ. BUTRYMOWICZ.

Poezye I. 1897 r. — »Za słońcem«, poezye II. 1898. Reszta po czasopismach.

BIAŁE ŁABĘDZIE.

Po wodzie blado lazurowej,
Kędy się sennie nurt przetacza
Jak wiecznie jedna myśl tułacza
Płynęły białe łabędzie...

Lato strącało kwiat lipowy
Na biel ich skrzydeł sino-śnieżną —
Ciszą... Tęsknotą wód bezbrzeżną
Płynęły białe łabędzie...

Wiecznie tę samą w wodzie linię
Żłobiły ciała ich łyskliwe,
Bez ruchu skrzydeł, jak nieżywe,
Płynęły białe łabędzie...

Po wodzie blado lazurowej,
Po sennej ciszy błędnych fal,
W melancholijnym, długim rzędzie,
Jak biały smutek Chrystusowy:
Niewypłakany nigdy żal —
Pływają białe łabędzie...

Słońce matowem złotem błyska;
Czasem lipowy spadnie puch,
Więznąc na fali miękkiej grzędzie,
Cicho — przez środek uroczyska,
Niby wcielenie łez i skruch
Pływają białe łabędzie...

Wysoko wznosząc szyje gięte,
Z wzrokiem utkwionym w stromy brzeg,
Wciąż jednym kręgiem jak w obłędzie:
Przez strugi nieme i zaklęte —
Ciągle te same z wieku w wiek
Pływają białe łabędzie...

...Oto znów biały zastęp płynie
Bez ruchu skrzydeł, wody bluzgu —
Zda mi się, -- jakby po mym mózgu
Płynęły białe łabędzie...

Ciche i białe... Nieskalanie,
Zawsze tą samą wązką linią,
Zaczarowaną w sen świątynią —
Płynęły białe łabędzie...

I nie wiem: sen li to czy trwanie?
Fala przypomnień o brzeg bije,
A z nią przepiękne wznosząc szyje
Pływają białe łabędzie...

SCHERZO

(Wśród stepów).

I.

Tak mi czegoś, czegoś żal!
nie wiem sam,
czego mi tak żal?
Z poza mgławych ram
blada twarz
na mnie patrzy —
Blada, sina twarz miesiąca,
taka pełna tej rozpaczy,
co, jak mara szlochająca,
przy mej duszy pełni straż.
Blada, sina twarz miesiąca,
w szarem morzu mgieł tonąca.

II.

Tak mi czegoś, czegoś żal...
Nie wiem sam,
czego mi tak żal?
Może krwawych zórz?
Może białych pól,
co pod szarych mgieł topielą
tak się głucho martwo ścielą,
tak bezbrzeżnie wszerz i wzdłuż,
zwłoki białych pól?

III.

Tak mi ciężko, strasznie źle!
Taki ból!
Jakby dusza wyszła ze mnie
błądzić wśród tych pól,
tęsknić, płynąć po tej mgle,
przez te chłodne, puste ciemnie,
przez te chłodne, puste stepy – –
Oczy za nią biegą... biegą...
A ja sam zostałem ślepy,
bo me oczy poszły w dal.
Tak mi czegoś, c egoś żal –
Nie wiem czego
tak mi żal?!

IV.

Na zalanej słońcem łące
tańczą elfy igrające,
wiotkie ciała kołyszące
w rytm promieni,
co do koła nich się plotą
w lutnię jakąś szczerozłotą,
gdzie się każdy ton pieszczotą
dźwięczną mieni...

Na zalanej słońcem łące
elfów roje pląsające,
jasne cienie szalejące –

linie, barwy, szał i dreszcz.
W takt promieni w kształty zmienne,
jakieś drzewa złotopienne
trzęsą kwiecia wonie senne,
niewidzialny biały deszcz.

V.

Tak mi czegoś, czegoś żal...
Nie wiem sam,
czego mi tak żal?...
Gdzie to było — już nie pomnę...
Takie szczęście przeogromne,
czarodziejskiej blask latarni,
egzotycznej woń cieplarni,
skryte nisze i framugi,
gdzie par niemych szereg długi,
ciała w drżeniu, oczy we śnie,
szedł i znikał bezszeleśnie.

Gdzie to było? Już nie pomnę.
Jakieś szały nieprzytomne
żądz szatańskich, czy anielich.
Purpurowy, pełny kielich...
Przy nim milion spiekłych warg
Nagich kobiet drżące ciała,
niby pragnień, rozemdlała
fala biała
krągłych bioder, boskich bark.

Rozkochane, słodkie dźwięki,
purpurowych pełne skier,
ciężkich kotar szelest miękki
i stłumionych pieszczot szmer.

Jakaś przeszłość. Nie wiem czyja...
Blask, na tęcze rozłamany,
dziś przedemną się odbija,
niby w szybie zwierciadlanej –
Tak mi czegoś, czegoś żal
Nie wiem sam,
czego żal?

NOCE.

1.

Ciche noce, rozpostarte
Wokół lekkim, mętnym puchem...
Słuchaj tylko; nieotarte
Łzy w powietrzu płaczą głuchem.

Ciche noce – ty na wartę
Grobów białym lecisz duchem
Przez Milczenia, rozpostarte
Wokół lekkim, mętnym puchem.

Ciche noce, obwiedzione
Załamanych rąk łańcuchem...

Przez Milczenie, rozpostarte
Poza świata drugą stronę,
Ty na świętą lecisz wartę
Krwawem sercem, białym duchem.

II.

Nie wiem, czy mi mówić wolno,
Bom Milczenie przysiągł Bogu
Krwią nabrzmiałą, bryłą rolną
Ledz u jego świątyń progu.

O, mieć ręce cierniom głogu
Na łup dane i pokutę...
A mieć wargi stalą skute,
By ich nie dać Słowu-wrogu.

Dziwnie śmiele — dziwnie śmiele
Człek po świętych cisz kościele
Krzyczy swoje marne skargi,
Lepiej ręce rozpostarte
Słać na Milczeń wielkich wartę
I mieć stalą skute wargi. —

MARYA CZERKAWSKA

ur. 1885. Poezye w »Tygodniku illustrowanym«, »Naszym Kraju« i t. d.

WZGARDZONE KLEJNOTY.

I.

Ciężą mi dzisiaj klejnoty i złoto
Pierścienie cisną palce jak okowy –
Głowę pochyla wieniec dyamentowy,
A śnieżne perły szyję moją gniotą.

Byłyście dla mnie rozkoszną pieszczotą,
Blask wasz chłonęły chciwie me źrenice,
O bransolety i naramiennice
Rąk pracowitych zdobione robotą.

Dzisiaj wy dla mnie nieruchome żmije,
Ślizkie i zimne, martwe a znikome...
Ognia waszego oczy nie łakome –
Mnie przed oczyma zwój kwiatów się wije.

Zwój kwiatów, każdy własnem życiem żyje
I więdnie krwawą palony tęsknotą...
I dzisiaj ciężą mi klejnoty, złoto,
A śnieżne perły gniotą moją szyję.

II.

Życia! chociażby jego krótkie trwanie
Było jak jedno szybkie oka mgnienie.
O, pozdrowione niech będzie złudzenie,
Iż poza nocą podąża świtanie.

O, pozdrowione niech będzie zaranie
Młodości, pierwsze pąkowia rozwicie,
Błogosławione niechaj będzie życie,
Walka i klęska, zwycięstwa poznanie.

I one kwiaty, co więdną u skroni,
Te nieskalane, białe i pogodne,
I duszne, tęskne, wiecznie słońca głodne,
Ginące w ciągłej za światłem pogoni.

Życia! o, dzwon się rozkołysał, dzwoni...
Życia! jest bólu do skruszenia skała —
Martwe klejnoty zrzucam z mego ciała,
Chcę kwiatów, co mi uwiędną u skroni,
Życia!

OTOM SZCZĘŚLIWA...

Otom szczęśliwa, oto jak kwiat kwitnę
Wpatrzona w życia promieniste słońce...
Oto całują me usta gorące
Róż purpurowych ciało aksamitne.

Niebo mi dziwnie czyste i błękitne,
Dusza się pławi w słonecznej jasności,
U źródła blasku, piękna i miłości...
Otom szczęśliwa, oto jak kwiat kwitnę.

Przedemną stoją pełne życia kruże,
Napoje słodkie, złote, miodopłynne,
Girlandy kwiatów, srebrne kiście winne
I aksamitne, purpurowe róże.

Cudne marzenia, wierne serca stróże,
Namiętnych pragnień loty szybkie, zwinne,
Tęsknot bezmiernych westchnienia niewinne,
I aksamitne, purpurowe róże.

W duszy mi grają echa nieuchwytne,
Pieśń tajemniczą, czy miłości słowa...
Z róż płynie ciepła fala purpurowa,
Otom szczęśliwa, oto jak kwiat kwitnę.

NIE WIŃ MIĘ...

Nie wiń mię — jam jaskółką samotną, zbłąkaną
W gotyckim, wielkim tumie bijącą skrzydłami
O sufit, co ją modrą barwą nieba mami
A straszy zimną, martwą, granitową ścianą.

O witraże, gdzie święte z białemi liliami
Chylą głowy w pokorze, poddaniu tęsknocie,
Ranię piersi w bezsilnie obłąkanym locie,
Łudząc się, że wysoko krążę, nad chmurami...

Nie wiń mię — ja mam duszę szaloną i młodą,
W którą mroki rzucono i ognia zarzewie,
Słodycze i trucizny, i dusza ma nie wie,
Czy ma być winnem gronem czy wilczą jagodą.

Nie wiń — smutku szatani w noc czarną powiodą
Dziecko światła, i w ciemni wprowadzą podwoje...
Widzisz — taka pokorna dziś przed tobą stoję —
O, nie wiń!

Nie miałam nic prócz złudzeń, snów dziewczęcych,
[marzeń
I to jak skarb bezcenny złożyłam w twe dłonie...
Jaki ty piękny byłeś w snów jasnych koronie,
Pan władny i król życia mojego wydarzeń,

Przyszła chwila zbudzenia, smutny dzień przerażeń,
Kiedy zczerniały blaski twojej aureoli,
Twe ręce króla z tronu zciągały powoli,
Dłonie gięły koronę z snów, złudzeń i marzeń.

Klątwa! o dobre wróżki, zdejmcie z serca trwogę,
Lęk topi szpony w piersiach i drogę mam ciemną!
Walczę tak strasznie długo, walczę tak daremno...
Klątwa! duszy od ciebie oderwać nie mogę.

Widzę, że idę w pustkę przez krew i pożogę,
Złudzeń łuska tęczowa nie ślepi mi oczu...
Czuję, iż dążę w przepaść po urwistem zboczu,
Ale duszy od ciebie oderwać nie mogę.

ARTUR ĆWIKOWSKI.

Poezye w »Słowie Polskiem« i »Naszym Kraju«.

PÓJDĘ JA TEDY...

...Pójdę ja tedy ową życia stroną
Z pod niebios moich żałobnego kiru,
Tam, gdzie przy drodze polne róże płoną
W powietrzu, pełnem ciszy i szafiru.

Pójdę ja tedy letnich gwiazd godziną
Na ścieżki wiejskie, pomiędzy opłotki,
Między zagrody, hen — przez łąkę siną
W bladoróżowe przetkaną stokrotki...

Pójdę za duszą, zgubioną przed laty,
Pójdę ku gwiazdom, gdy w zachodzie błyszczą;
Wielką, bezsenną tęsknotą skrzydlaty,
Błędny wizjoner snów, co się nie ziszczą...

A nad straconym w lazurowej głuszy,
Gdy noc się srebrnem marzeniem rozjaśni,
Zobaczę może widmo mojej duszy,
Wołające mnie do siebie — w kraj baśni.

W GODZINIE DOSYTU.

Księżyc, jak lodu lśniący złom,
Zastygły, w czarnym tkwi błękicie...
Pókój umarłym naszym snom!
Kędyś w przestworzach nasze życie;
Miłościwego Ojca dom
Czeka oddawna na przybycie.

Bezlistny ogród wokół nas
W zielonem świetle mrozu drzemie;
Już się wypełnił wszystek czas,
Spokojnie złożyć możem brzemię...
Abyśmy mogli być tu — wraz,
Anioł uciszył całą ziemię.

Patrz, jak ta szronu skrząca kiść
Ku nam się, nito ręka, chyli...:
O, wiemy, że już możem iść.
Anieli lampy zaświecili...
U stóp nam dźwięczy zeschły liść,
Martwy, jak pamięć przeszłej chwili...

Przyszliśmy ponad życia zdrój,
W jasną noc wiosny, w noc przeźroczą
Kiedyś, gdy jeszcze, duchu mój,
Gwiazdy dziwiły się twym oczom,
I pilim tylko lęk i znój,
Nowych pożądań moc proroczą...

Wokół nas tonął w kwieciu sad,
Skrzył się w północnych ogni złocie...
Siedzielim smutni, patrząc w sad,
Nad którym Bożych świateł krocie —
I śnilim szczęście dawnych lat,
Gdyśmy szukali się w tęsknocie.

U purpurowych, słodkich kruż
Omdlały usta i zmęczone
Gasły źrenice w błyskach zórz,
Co wstały chłodne i czerwone
I zrozumielim, że czas już
Iść nam na drugą życia stronę.

A więc na blaskach wiecznych fal
Niech się położą dusze obie...
A tak odpłyniem w dziwną dal,
O szczęście pierwszych dni, ku tobie...
Tylko nam tego smutku żal,
Który zostawim tu, na globie.

D-MOL (Maryla Wolska)



urodz. we Lwowie 1874 r., gdzie stale przebywa.
Pisma: »Symfonia jesienna« 1901, »Święto słońca« 1903, »Swanta« 1905.

STROFY LETNIE.

POGODA.

Swojaś mi jest i krewna,
Ty latem wonna,
Życiem przelewna,
Szczęściem przestronna,
Pogodo!

Żaru powietrzne chłoną nas upusty,
I radość pijem ze świetlanych strug,
Lutymi z góry uśmiecha się usty
Sam Prowe, piorunny Bóg...

Ty we mnie cała i jam cała w tobie,
Trwajmy wierzące,
Pogodo!
Na blask nas oto wyświęca obie
Słońce!

CHWILA.

Otawy pachną... Milknie świerszczów chór,
I więdnie siano.
Rzeźwe, krzepiące tchy idą z gór
Stromą polaną.

Ciszą duch oto, napojon i syt
Otwiera oczy,
Szczęścia znikomy, cudowny wid
Błądzi po zboczy...

Z najskrytszych serca wywołane śnień,
Bajeczne dziwo...
Nad nami kona pogodny dzień
Śmiercią szczęśliwą...

JAK TA WILGA...

Rozśpiewałabym się w głos,
Jak ta wilga, jak ten kos,

W bożej pustce, w bożej ciszy
I niech jeno las mnie słyszy!

Rozśpiewałabym się w głos,
Pośród sosen, pośród brzoz,

Po zielonej mchów rozścieli,
Byle ludzie nie słyszeli...

Śpiewałabym także im,
To, co czuję, to, co wiem

Gdyby ludzie byli tacy,
Jako drzewa, jako ptacy,

Rozśpiewałabym się w głos,
Jak ta wilga, jak ten kos...

A GDY MORANA...

A gdy Morana zielem snu mnie zmorzy,
Stań ty mi wówczas, o słońce, za świadka,
Jakom ci wierna była do ostatka
I źródłom leśnym i echom bezdroży!

A gdy już skrzydła wędrowne rozpostrę,
Odpuść mi, świecie, jakom szła obronna,
Pogardzać bardziej niźli kochać skłonna,
Nie w serce zbrojna ale w szpony ostre...

A gdy w odlocie krańce piór rozwinę,
I głąb się oczom mym objawi chłodna,
Wstydem się spłomień, życie, że mrę głodna,
Nienasycona schodzę w mrok i minę!

O DOLI KRÓLEWNIE.

(Ballada).

Przez łąki kwietne, przez pola
Jechała królewna Dola
Na łowy.

W dyamentach i perłach cała,
Szatka jej śnieżnobiała,
Włos płowy.

Na koniu wronym z sokoły,
Dziewczę i rycerz na poły
Jechała.

A z gór szły wonie od polan,
Łan sią jej kłaniał do kolan
Bez mała.

Lecz w boru — ścieżki ją zwiodły
W gąszcz między świerki i jodły;
Zbłądziła...

W ostępy głuche, pomroczne,
Gnały ją czary uroczne,
Zła siła.

I dzień się chylił majowy
I noc szła w jary, parowy
Złowroga.

Na ręku zasnął jej sokół,
Ćma zdjęła Dolę na okół
I trwoga.

Puszczyk jął płakać po lesie,
Tedy się łkaniem zaniesie
I ona:

— »Ratuj mię ojcze mój, królu
I ty królowo matulu
Rodzona!«

Wtem, gdy tak płacze królewna,
Pieśń znagła ozwie się rzewna
W zagaju...

Jak miody słodka a mocna,
Pieśń borów króla pomocna
O Maju...

I stał przed Dolą na jawie
I pytać jął ją ciekawie
Kto taka?

Jak kwiat, gdy liście roztula
Otwarła oczy na króla
Śpiewaka.

Od lic mu wdzięcznych przecudnie,
W noc blask bił, nito w południe
Od Słońca ..

— »O wspomóż panie, gdy wola!
Królewna ja jestem Dola
Błądząca...

O łaskę błagam cię — króla,
Wróć mię, gdzie rodzic, matula
W łzach toną!

O słuchaj... Racz się zlitować,
Na drogę duchem wyprowadź
Straconą!«

A cała w zjawie młodzieńczej
Duszą się gubi jak w tęczy
I patrzy.

Boć z paniąt kraśnych u dwora —
Ten oto jasny pan z bora
Najgładszy...

— »Zgoda! królewskie znaj słowo!
Jać ścieżkę wskażę borową
Do doma,

Lecz wpierw — ty ust mi daj wiśni,
Wpierw ty u szyi mi zwiśnij
Rękoma!

I wzrok, co na śmierć urzeka
Wytęży ku niej i czeka,
Co powie?

A ona oddech zaparła
I ust do warg mu przywarła
Pąkowie...

A gdy król Dolę całował,
Bór jeno stary szumował,
Nic nie rzekł;

Snadź znał już czarów do woli
I która patrzy się Doli
Ze ścieżek...

— — — — — — — — — — — — — — —

Na cmentarz, na świętą rolę,
Wiódł orszak królewnę Dolę
Grobowy...

W dyamentach i perłach cała
Szatka jej śnieżnobiała,
Włos płowy.

Za długo pono słuchała
Pieśni, co w boru dźwięczała
Majowej...

GUSTAW DANIŁOWSKI



ur. 1871 r. w Cywińsku w gubernii Kazańskiej. Mieszka w Warszawie. Dzieła: »Nego« 1899, »Z minionych dni« 1902, »Na wyspie« 1902, »Poezye« 1902. Pisuje powieści.

PIOSENKA.

Raz, gdym śpiewał piosenki płomienne,
Kiedym śpiewał młodzieńcom swe pieśni,
I myślałem, że dusze ich senne
Rozbudziłem, odarłem je z pleśni,
Serce w piersiach zadrgało mi żywo...
Wtem rzekł jeden: No, chodźmy na piwo!

Zaśpiewałem dziewczynie, o zmroku,
Wyszeptałem jej swoje marzenie,
A gdym blaski zobaczył w jej oku,
Fale w piersiach i w twarzy płomienie,
Rwałem serce, zmieniałem w słów kwiaty...
Wtem spytała: Czy pan jest żonaty?

Więc śpiewałem piosenki me własne,
Zaśpiewałem je słońcu o świcie,
I słuchało mnie słońce to jasne,
I słuchały mnie chmury w błękicie,
A głosowi wtórował wiatr świeży...
Słońce kocham, nie wierzę młodzieży.

A gdym nocy zaśpiewał uroczej,
Kiedym nocy zaśpiewał tej cichej,
To słuchała mnie noc i gwiazd oczy,
I słuchały mnie kwiatów kielichy,
I mgły sine, wiszące w dolinie...
Dziś noc kocham, nie wierzę dziewczynie!

A gdym ziemi zaśpiewał tej łzawej,
To słuchała mnie ziemia ta święta;
I przycichły motyle śród trawy,
I przycichły na drzewach ptaszęta;
Wtórowały mi ziemi tej groby...
I dziś kocham tę ziemię żałoby!

I dziś kocham ja słońce to złote,
I noc kocham, i gwiazdy promienne,
I pieśń kocham, i pieśni tęsknotę,
Kocham niebo i chmury te senne,
Kocham ptaki i kwiatów powoje...
Dla nich płyńcie piosenki — wy, moje!

Dla nich, dla nich ma piosnka niech dźwięczy.
A strój pieśni niech będzie bogaty
Bo pożyczę jej blasków od tęczy,
Barwy dadzą piosence mej kwiaty.
A rytm pieśni da szara ptaszyna...
Więc płyń piosnko — ty moja jedyna!

Płyń piosenko! i rośnij na sile,
A płyń piękna i żywa, jak rzeka!
I nie tylko cię kwiaty, motyle,
Lecz i serce ukocha człowieka...
Co? człowieka?! Dlaczegóż to słowo!
Odtrącone powraca na nowo!

Tak! bo chociaż bardzo mi jest droga
Noc marząca w gwiazd złotej ulewie,
Smutna ziemia i słońca pożoga,
I tęsknota, zaklęta w słów śpiewie,
I lot ptaków, i kwiatów kobierce...
Lecz najdroższe mi ludzkie jest serce!

OKNA.

Mam cztery dziwne okna w moim domu:
Przez jedno patrzę smutnemi oczyma
Na blizkich ludzi rozprószone plemię,
Nad którem Pan Bóg błyskawicę gromu
W surowej dłoni ustawicznie trzyma.
Przez drugie widzę w mgły spowitą ziemię,
Tę dawną gwiazdę zagaszoną w błocie,
Do której żywe istnienia się tulą,
Odkąd się stała z jasnej mroczną kulą,
Plamą błądzącą w błękitnym namiocie.
Przez trzecie śledzę głąb mojego ducha
I widzę serce dzikie i podarte...
Lecz najdziwniejsze jest to okno czwarte,
Raczej nie okno, lecz framuga głucha,
Którą zamyka jakaś gęsta krata;
I tylko czasem przez szczeliny ciasne
Dochodzą oczu zarysy niejasne,
Nieznanych świateł, płynących z zaświata

Gdy trzech poprzednich zmęczą mnie widoki,
Uciekam w czwarte i źrenicą suchą
Śledzę ciekawie tajemnicze mroki.
I mam przeczucia, któremi się łudzę,
Że śmierć, co widne zatrzaśnie na głucho,
Kratę wysadzi w tej ciemnej framudze.

DZWON.

Rozkołysany dzwon cudnej roboty
Chwiał się w powietrzu, a w słońca promieniu
Błyskał, choć z bronzu, jak gdyby był złoty,
A na spiż czerniał, gdy znalazł się w cieniu;
Niezmordowanie powtarzał obroty;
Podziw się szerzył wśród patrzących ludzi,
Że dzwon tak wielki, a jednak nie budzi
Żadnych porywów, marzeń, ni tęsknoty.
Próżno słuch prężą: w powietrzu się trzyma
Jeno wark głuchy, zresztą żadna nuta
Skłóconej sfery dźwiękiem nie przewierca.
— Co to jest? — Czemu nie słychać olbrzyma?
Lśniąca powłoka misternie wykuta
Była, lecz wewnątrz brakowało serca.

DEOTYMA (Jad. Łuszczewska)

ur. 1840 r. w Warszawie. Wydała »Improwizacye i poezye«, »Tomira«, »Polska w pieśni« (2 tomy, po dwa wydania); poematy i powieści.

ŻYCIE.

Jest słowo — tajemnicze, jak pałac zaklęty,
Olśniewające blaskiem jak świętość ołtarza,
Powikłane jak węża nieuchwytne skręty
Okropne, jak sen zbrodniarza, —

Potężne, jak zaklęcie w ustach czarodzieja,
Ścięte na drodze myśli, jak skalne urwisko,
Niezgłębione jak rozpacz, wabne jak nadzieja,
Chwiejne, jak śpiew nad kołyską. —

Dzień w dzień rozraniające i gojące ranę —
Ryte na dnie pogardy, lub na chwały szczycie,
Badane jak przyroda — jak Bóg niezbadane. —
Tem słowem nad słowa: życie.

ZDZISŁAW DĘBICKI

ur. 1870 r. Stale mieszka w Warszawie. Dzieła: »Ekstaza« 1898, »Noce bezsenne« 1900, »Święto kwiatów« 1904, »Kiedy ranne wstają zorze«, »Ojcze nasz. Modlitwy wieczorne« 1907.

POD WRAŻENIEM.

Jeszcze mi się w oczach palą
Twoje włosy, złote włosy,
Spadające miękką falą...

Jeszcze mi się w oczach palą,
Jeszcze w oczach moich płoną
Barwą miedzi rozognioną...

Jeszcze złota ich kaskada
Przed oczami memi spada
Na toczoną biel twych ramion --

Jeszcze wdziękiem twym omamion,
W zachwyceniu słodkiem stoję,
A przede mną włosy twoje — —

Twoje włosy, złote włosy,
Spadające miękką falą,
Jeszcze mi się w oczach palą...

SIEW WIOSENNY.

W płótniance szarej idzie chłop,
Po skibach czarnej ziemi stąpa
I sypie ziarna na zagony...
O ziemio, ziemio, nie bądź skąpa,
O ziemio, ziemio, daj mu plony!

W płótniance szarej idzie chłop,
Modlitwą siewu rozmodlony,
Nad nim pogodny nieba strop,
Słonecznym kręgiem pałający,
Słonecznym kręgiem rozzłocony...

Padają ziarna na zagony,
Dłoń złoto sypie ich rzęsiste – –
Na wszystkie cztery świata strony,
Na wieki wieków wiekuiste...

O ziemio, ziemio! Nie bądź skąpa,
Przemożna w sile swej rodzącej,
Obfite w kłosach wydaj plony;
Po skibach twoich siewca stąpa,
W promienną przyszłość zapatrzony...

O niebo, niebo! Niech twój strop
Pogodę zsyła na te łany,
Gdzie hejnał brzmi już skowrończany...
Błogosław runi zbóż wschodzącej,
Błogosław ziemi zaoranej!..

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE...

Z za boru krwawe wytacza się słońce
I wierchy sosen stroi w swoje złoto —
O z jakąż tęsknotą,
Ta ziemia czeka na swój dzień,
Na swoje słońce!

Musnęły pierwsze promieniste strzały
Niewysłowioną, subtelną pieszczotą
Rośne gałęzie rozmodlonych drzew
I perły deszczu z nich się posypały,
Pełne cudownych, roztęczonych lśnień..

O jakiż dzień
Jaki słoneczny i jaki wspaniały
Pocałowaniem swem obudził niwy
I rozkołysał srebrne owsa grzywy,
I rozkołysał złote kłosy żyta,
Wśród których kąkol różowy wykwita
I blask z niebieskiej przejąwszy roztoczy,
Patrzą bławatki niebieskiemi oczy,
Śledząc obłoków bieg na jasnem niebie...

O jak się ciężka pszenica kolebie,
Chyląc ku ziemi swoje plenne kłosy,
Kiedy ją wiatru wzdłuż przebiegnie tchnienie!
I jak się chwieją słoneczne jęczmienie
I miodne, nakrapiane łany białej gryki

I łąk kobierce, utkane kwiatami,
Niby zielone, falujące morze..
Oto się pierwsze obudziły zorze...
Skowronek zerwał się i pacierz ranny
Na cześć Najświętszej wyśpiewując Panny,
Śrubą w niebieskie uleciał przestworze...

Oto się pierwsze obudziły zorze
I zaćwierkały na łąkach koniki
I odezwały się, witając słońce,
Roje owadów, skrzydłami brzęczące,
Jak harfa niewidzialna, wspaniała w swym stroju,
Pełna słonecznej melodyi spokoju
I radosnego upojenia życiem...

Szept idzie cichy miedzami i zbożem,
Szept idzie cichy rozchwianych traw morzem
I chwieje boru zielonem podszyciem
I w starych sosen pnie stare uderza...
Szept idzie cichy — i zachwyt rozszerza
Nad bujnem, w słońcu kiełkującem życiem,
Które posłanki obudziły boże —
Pierwsze promienne, koralowe zorze...
. . . .
. . . .
A tam — przed próg chaty,
Która słomianą w słońcu świeci strzechą,
Wychodzi wieśniak, obarczony łaty —
Starzec, jak gołąb siwiutki i biały...

Jego piastowska twarz od zorzy płonie
I w koralowym blasku się rumieni...
Patrzy... i nagle przyklęka w podsieni
I siwą głowę swą pobożnie zniża
I ręką czyni znak świętego krzyża
Na starem, w brózdy pooranem czole...

JUS PRIMAE NOCTIS.

(Zawodzenie oblubienicy).

Łożnica pańska czeka...
Oj doloż moja, dolo...

Za chwilę mnie zawiodą,
Bezwinną pannę młodą,
Z pod myrtowego wieńca,
Ach! Nie do oblubieńca –

Nie do tej białej chaty,
Gdzie przed oknami kwiaty,
Gdzie w izbie u głów łoża
Pan Jezus, Matka Boża...

Oj doloż moja, dolo...
Od płaczu oczy bolą,
Srom lica mi obleka,
Łożnica pańska czeka...

»Hej, dziewko, idź do dwora,
A spiesz się bo z wieczora
Pan sługi swe zawoła,
Zawoła sługi swoje,
Każe im iść do sioła...«

O biedne serce moje,
O biedna moja głowo!

Zawloką mnie za włosy,
Przywiodą mnie przed pana,
Żem jest niepokalana,
Żem biała, jak lelije...
Z warg moich miód on spije,
Rozplecie moje kosy,
Pohańbi moje ciało,
Co w krasie swej dojrzało...

O biedna moja głowo,
O biedne serce moje....
W nieszczęściu wielkiem stoję
I wypłakuję oczy...

Z za lasu noc się toczy,
Noc czarna już zapada — —
Noc — srom mój i zagłada...

Zawiodąż mnie, zawiodą,
Bezwinną pannę młodą,

Z pod myrtowego wieńca,
Ach! nie do oblubieńca —
Do pana, do komory,
Co mocne ma zawory...

Gdy stanę przed alkową,
Daninę mu przyniosę —
Z ócz moich słoną rosę,
Z ust skargę piołunową...

O głowo! moja głowo!...

ADAM DOBROWOLSKI

ur. 1883 r. Mieszka we Lwowie. Wydał »Nastroje«, 1906. Otrzymał nagr. konkurs. Bolesł. Prusa (Rozwój łódzki) za nowelę »Po szczęście« — prócz tego wiele poezyi rozrzuconych po czasopismach literackich. II. serya »Melancholia« w druku.

EVVIVA VITA!...

Niech żyje życie! niech gorze, jak słońce,
nam do ostatniej godziny wieczyście;
wszakżeśmy młodzi... serca w nas gorące,
niech żyje życie, niech gorze, jak słońce;
a że czekamy dziś na świtu przyjście,
co gdzieś nam w dali, jak pożar rozkwita —
Evviva vita!...

Niech żyje życie! niechaj pieśń ta zginie,
co dziś jest jednem wołaniem tęsknoty —
nam dziś nie wolno płakać w tej godzinie,
niech żyje życie! niech pieśń trwogi zginie,
bo nam dziś pieśni trzeba, jako grzmoty,
w których zwycięska szałem moc ukryta —
Evviva vita!...

Niech żyje życie! ono, jak fale pożarne,
ku nam z dali się toczy i w pierś nam uderza;
dziś pieśni nam potrzeba, lecz pieśni-pancerza,
by nie poszły nam siły i moce na marne;

niech żyje życie! życie, jak słońce pożarne,
każdy w jego obliczu własną moc wyczyta —
Evviva vita!...

Pieśni gromów nam trzeba, co duszę namiętnie
pali szałem, czyn rodzi a nie daje klęski;
a śpiewając ją, będzie dzień zgonu zwycięski,
bo pieśń taka, zwycięstwo w swojem kryje tętnie —
mimo gwałt, z nią po laury sięgniem i namiętnie
krzykniem, gdy kto o okrzyk bojowy nas spyta:
»Evviva vita!«...

Z CYKLU: »SADY KWITNĄ«...

Sady kwitną wiśniowe! o jak dyszą wonią,
w srebrnej puchów zamieci, w strzał słonecznych [złocie;
przemiłośnie poddane rozkosznej pieszczocie
słońca, co je objęło płomienistą dłonią.

Sady kwitną wiśniowe... kwietna zamieć biała,
przelewa się nademną w pozłocistej fali...
całe morze mieniących się pysznie opali,
pocałunków namiętnych żarna rozkosz cała.

Sady kwitną wiśniowe.. grają pszczelne roje...
iskier groty... woń ciężka... zawrotna... namiętna...
o, jak żarem sad dyszy, jak mi biją tętna,
o, jak wzbiera szaloną żądzą ciało moje!

Sady kwitną wiśniowe!... każdy sad jest, w wino
najwybrańsze po brzegi obfitym puharem —
o jak szumi mi w żyłach krew ognistym żarem,
o jak dziś pocałunków brak mi twych, dziewczyno!

O krwawych róż kielichy, rozkwitłe przecudnie,
o spalone rozkoszą i mdlejące róże;
o w słońcu rozgorzałe płomienne południe,
o chwiejące się maków purpurowe kruże!...

O godzino szaleństwa... żarna... słodka... pusta...
o oczy, w których płoną żądzy błyskawice
o namiętnie wezbrane piersi-gołębice,
o usta całowane, drżące... krwawe usta!...

PRZETO, ŻE MI JEST CIENIEM...

Przeto, że mi jest cieniem niemoc i tęsknota,
przeto, że się już nigdy sny nie ziszczą moje,
przeto, iż już nie dojdę może, gdzie są zdroje
cystern bożych, przesmutnym po koniec żywota!

Bo wszak w pamięci mojej pochowałem grobie,
wszystkie wizye kwitnące w zamyśleń godzinie —
i cały pęd mej duszy i myśli o czynie
płomienne, których próchno dzisiaj kryję w sobie.

Przeto, żem tyle razy rozgarniał napróżno —
dłonie za zjawą życia zwodniczą, w zachwycie,
i byłem zawsze... zawsze, jako ów na szczycie
smrek, druzgotany wichrem, więc dzisiaj
[w podróżną
strojny szatę, ze smutkiem błądzę duch pokutny —
ze wszystkich najsmutniejszych, sam najbardziej
smutny!...

WIKTOR DZIERŻANOWSKI

ur. 1868 r. w Łyszkowicach pow. Łowicki. Prace w pismach warszawskich. Osobno »Poezye« 1890.

PROŚBA.

Pod oknem tuż, na krzewie róż,
W majową cichą noc,
Słowiczek siadł, by sen mi kradł
Przez natchnień cudnych moc...

Słowiczku mój! zamilknij! stój! —
Gdzież pieśni twojej kres?
Patrz! z ócz mych sen uleciał hen,
I stoję w perłach łez...

Dla ciebie mój — to szczęście, raj —
To jeden długi śpiew,
Wtórzy ci rad szelestem kwiat
I senne szumy drzew.

Mnie zaś dnia trud umorzył wprzód,
I skroń opada w tył —
Leciałbym rad w twej pieśni ślad,
Lecz brak mi na to sił...

Więc choć to maj — ty spocząć daj —
Słowiczku drogi mój!
Bym z nocnych snów wstał silny, zdrów,
Na nowy trud i znój...

MIŁOŚĆ.

Wyłoniona z eterów toni niewidomie,
W miłosne, srebrne mgławic otulona zwoje,
Drgała już, nim się życia otwarły podwoje,
W pierwszym, jaki z nicości wypłynął, atomie...

Chłoniąc moc życiodajną z przestworów łakomie,
Rozpostarła bezkresne panowanie swoje,
W niezliczone słońc nowych wcielając się roje,
Stanęła przed człowiekiem wszechświata ogromie!..

Przez szał i mękę twórczą wszechistnień łańcucha,
Szła, jutrzniane rozbłyski rozsiewając złote,
Szła po głazach i cierniach, gdzie śmierć władnie
[głucha,

Aż krzyżem naznaczyła ludzkości Golgotę —
Skąd, jeśli byt zjawiskiem ma się stać znikomem,
Miłość uleci w próżnię z ostatnim atomem...

MÓJ PACIERZ.

Mój pacierz drzewa szepcą w lesie,
Głoszą potoków srebrne piany,
Mój pacierz wicher ponad łany
W dal niebosiężną, chmurną niesie...

Gdy morze kłosów łamie, gnie się,
Mój jęk z ich szmerem łka zbratany,
Gdy huczą groźne burz organy
Jak grzmot mój pacierz drga w bezkresie...

Moje pokłony biją drzewa,
Na znak mej prośby — zboże klęka,
Gdy moje serce targa męka,

Memi modłami świat rozbrzmiewa,
I, gdy błyskawic lśni się droga,
Gromów odgłosem błaga Boga...

LUDWIK EMINOWICZ

Poezye w »Krytyce«, »Naprzodzie« i »Chimerze«.
Wydał: »Poemat« 1906 r.

Żonie mojej.

POEZYE.

I.

Pszenica... Świerszcze świerszczą staroświeckie
[skazki
jak rozpędzone kółka w zepsutym zegarze.
Zagony biegną z nieba w górskie wirydarze,
jak z czystych szkieł pająka roztęczone blaski.
Żar drzemie... Wieś naciąga złotem miniatury,
Syk słomy... Drętwą strugą płyną zbóż fontanny.
Jakowyś szelest węża sunie bezustanny: —
to wierzby, to widnokrąg, to szeleszczą chmury..
Widoki rozpalone dają sobie hasła...
Uderzył dzwon kościelny! Tętna mi zamąca
złowrogi szelest węża. Fala zbóż płynąca
przypadła mi do kolan i prysła i zgasła.
Znów śmiga. Szelest węża w słońcu się przemyka.
Gdzie spojrzę, gdzie podsłucham: poszum i błękity.
Jak liście winogradu wiążą tyrs wróżbity —
oprzędło mię powietrze, krajobraz, muzyka,
przyrodo, wężu święty! Nieboskłonów zwoje
ściągają się powoli, powoli, potwornie,
sekunda, po sekundzie, ha! Okolic zwornie
pracują rok po roku na skonanie moje,

wiem, wiem, boleśnie pomnę: — wrześniowa biel
[słońca
na męce Laokona snuła się kaskadą;
spojrzałem i wstąpiłem smutkiem w rzeźbę bladą,
i wziąłem objawienie, że u dni mych końca
zachrzęści mi na piersi ta żelazna żyła
zsiniałych widnokręgów, to potworne zielsko
dalekich łąk i lasów, i wężowe cielsko
ściskając krtań — zadławi...
Raz matka rodziła.

II.

Już blade gwiazdy giną, jak westchnienie...
Śpij, śpij spokojnie, śpij z jutrzenką wschodnią.
Powiodłaś usta wonnych ust pochodnią,
powiodłaś senne w tęsknot porażenie
i zapłakałaś gorzko nad tęsknotą
i nigdy, nigdy sen już nie ogarnie
w ocean ciszy moich warg. — Cmentarnie
przepływa błękit ołowianą flotą
i w bladych gwiazdach kona snu złudzenie
śpij, śpij spokojnie. Zanim świat nawodnią
płomienie słońca, wrócę... Ust pochodnią
powiodłaś usta w tęsknot porażenie
i zapłakałaś. — Cichy stuk stąpania
przez granitowych tafli głaz niebieski,
wydzwania płytkie, jakby z łez, groteski
miłosnych rozłąk — serce mi się słania

i gęstwą tętnie pręży przerozpacznie,
jak twarz Meduzy krwią nabiegłym włosem...
Och, patrzeć w serce i skarłatnym ciosem
skamieniać smutek, nim się drugi zacznie
i módz zapomnieć i w przepaściach dali,
tam w nawałnicy wiosennego wschodu
położyć głowę!... Ciemne pnie ogrodu
dźwigają błękit... Nim się świt zawali,
śpij, śpij spokojnie. Drzewa, jak olbrzymie
monstrancye żalu, przekrwione jutrzenką,
w szaleństwa cieniów stroją twe okienko
i szumią smutnie w monotonnym rymie:
śpij, śpij spokojnie. Tam skarłatne szarfy,
tam krwawa ulga, tam, ach tam! Fontanny
spławiają szumnie fiolet poranny,
powiewom wichru dając się za harfy...
i smutno... Idę. Zielonawe błyski
majowych pędów grają aksamitnie
komedyę cudu, co w gałęziach kwitnie
i czyni z parku wonne wodotryski.
Zapomnieć, zasnąć! Łkałaś nad tęsknotą,
choć wieczne serce rozdarłaś tęsknocie!
Twarz firmamentu drży w porodów pocie,
aleje długą nieskończoność plotą
i szelest piasku pod nogami psoci,
jak cichy uśmiech... — Idę, aby nie iść
w otchłanie smutku... — Idę po tę prze-kiść
prze-wonnej zorzy, pod ten kwiat paproci

ogromny, wieczny. Idę, gnam, przechodzę,
przemijam, wpadam w gorzki rytm pogoni.
Migają tętna, jak miesiące w toni,
ha! Skrzypły drzewa: – Zabłądziłem w drodze
w komedyi cudu. Tam pozamną gorze
znak purpurowy szczęścia i zatraty.
Przedemną tęchną dychawiczne płaty
zachodnich skłonów. Błyszczą mchy. A zorze?
Ach one płoną za mną i za dworem,
za starą blanką znikająco płoną,
lecz droga do nich wiecznie jest szaloną
i wiecznie błądzi z człekiem jak z upiorem,
Och, ujrzeć jeszcze, ujrzeć je, nim zgasną!
Pospieszam, pędzę, stąpam... Oto głazy
kamiennych stopni; z dna zmurszałej wazy
agawa tryska... Już jaskółkom ciasno
w lepionych gniazdkach. Idę śród zawrotu
po stopniach dworku, jak do wrót kościoła.
Kogutów pianiem poziewają sioła,
oparów skrzydło ma się do odlotu
i wschodzą wzgórza. Cichy stuk stąpania
przez granitowych tafli głaz niebieski
wydzwania płytkie, jakby z łez, groteski
miłosnych przemian szczęścia i kochania.
Dłoń ima klamki. Szelest portyery
otwiera widok snu przed smutnym zbiegiem
W krąg tego łoża byłem krwi obiegiem
stanąłem... Cisza, cisza, i te szmery

dzwoniące w uszach i ten oddech śpiącej
pod krwawą pręgą ust zasnutych szałem
snu. — Śpij spokojnie, chociaż całowałem
te wonne wargi — śpij, a czuwający
życzę Ci długich marzeń samotności
i nieskończonych tęsknot na rozdrożu,
i trwóg czystości na dziewiczem łożu,
i zapomnienia dziwnych słów miłości.
Śpij, śpij spokojnie. Człowiek jest jak szalej,
przed sobą samym, a przed bliźnim człekiem
jak grudki gliny przed trumnowem wiekiem,
dzwoniące głucho w deskę: »a cóż dalej« ?
O tak, cóż dalej! W przerozkosznym szale
tryskamy strugą krwi na pierś kochaną,
aż niby morze przed nadbrzeżną ścianą,
przed słodką wargą staną warg korale
i kres wykuty z człowieczego ciała
obwieszczą nagle, że tu koniec drogi
w kraj wiecznych marzeń. Pustka sieje trwogi,
z ust najdroższych łka tęsknota biała. —
Śpij, śpij spokojnie. Zórz purpury bledną.
Za jutrznią biegnąc, biegłem do twej wargi.
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —

Jeżeli kochasz, jako ja: — Znasz skargi,
i jesteś biedną, biedną, bardzo biedną...
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —

FELICYAN FALEŃSKI

ur. 1825 r. Mieszka w Warszawie.

ZWYCIĘZCA HIPPODROMU.

Pędzim. Pył mglisty zrywa się w krąg świata,
Jak dym, gdy buchnął wiatr w zgliszcze, —
Tunika wzdęta, furcząc w tył ulata,
W rozwianych włosach wiatr świszcze.

Ha! lecę pierwszy — inni — w błysk pioruna
Tuż za mną; szał mnie pochwyca...
W drżącej się dłoni pręży lejc, jak struna,
Bicz śmiga jak błyskawica.

W oczach się mroczy, w uszach szum. O moj
Wichrokopytne bieguny!
Feba słoneczny owies wam! wód zdroje
(Płynące srebrem w blask Luny!)

Pięć wołów w cześć twą jak stanę przy kresie,
Herkulu, możny półboże!
Dziesięć! dwadzieścia! Dwieście! Herkulesie
Spiesz, bo zapóźno być może!

O! tam w tunice z śniegu, czarnobrewa,
Ściga mnie wzrokiem Neera.
Zarumieniona rąbkiem z mgły powiewa
Serce jej w piersi zamiera.

O słodka Wenus! Bogi wielowładne!
Och! Wy mnie wspomódz zechcecie!
O Ceusie! Ceusie! Niechaj trupem padnę,
Bylebym upadł przy mecie!

Och ten – tuż za mną – pędzi znakomicie,
On mię dosięgnie – przeniesie...
O wichry moje! toż w miejscu stoicie?
O Ceusie! o Herkulesie!

Dopędza – równie prawie już... o Bogi!
Toż wy mię odstępujecie?
Stój! Stój! Zawadzi!... Trzask! Och cios był srogi,
Ha! alem upadł przy mecie!...

O! wstać nie mogę... krew - ból... Sprzęg wichrowy
Ostatki wozu w dal miota...
Gońcie je – w winie skąpać je! Podkowy
Z szczerego ulać im złota!

Ha! Co? jam pierwszy – prawda! Śmiech mię
Gdy w tył pamięcią pogonię.. [szczery
Co? tylko żebra? – Co? i tylko cztery?
Dawajcie wieniec na skronie...

O piękna moja! Wstrzymaj łzy niewieście,
To, co na skroni mej było,
To może spocząć u twych stóp, a wreszcie
Choćby nad moją mogiłą.

MARYAN GAWALEWICZ

ur. 1852 we Lwowie. Redaguje »Bluszcz« w Warszawie. »Poezye« 1889 i po czasopismach. Wydał osobno wielką ilość powieści, nowel, sztuk teatralnych i t. d.

RONDO-SCHERZOSO.

Z księżycem znam się chyba,
Pół kopy lat z okładem,
Znał się z mym ojcem, matką,
Znał nawet z moim dziadem.

Z tych względów nasz stosunek
Jest wielce poufały, —
Nazywam go: »jegomość«,
On do mnie mówi: »mały«,

— »Jegomość taki blady« —
Mówię mu — »wielka szkoda,
»Czy to tak z niewyspania,
Czy taka już uroda?«

— »Mój mały« — rzecze do mnie —
»To widzisz z innej racyi:
»Patrząc na świat wasz w dole,
»Pobladłem z irytacyi.

»Gdybym się nie odwracał
»I wrażeń nie odmieniał

»Byłbym już miał żółtaczkę,
»Lub dawno pozieleniał«.

Z księżycem znam się chyba
Półkopy lat, a przecie
Tak źle jegomość nigdy
Nie mówił mi o świecie!

Coś jest, co mu tak humor
Psuje i chmurzy lica,
Lecz co?... Skąd ja mam wiedzieć!...
Spytajcie się księżyca.

SMUTNO.

Prószy śnieżek i prószy
Płatkami
Smutno młodym jest w duszy,
Gdy sami...
Smutniej jeszcze, gdy trzeba
Iść drogą
I nie widzieć prócz nieba —
Nikogo...
A najsmutniej, gdy droga
Daleka
I nikt w końcu, prócz Boga
Nie czeka...

JULIUSZ GERMAN

ur. 17 maja 1880 r. w Jarosławiu. Wydał w roku 1902 »Dramat«, akt wierszowany, w r. 1904 »Lilith«, trzy akty (nagrodzone na konkursie Wydziału krajowego), w r. 1906 »Więźnie«, widowisko, w roku 1907 »Historya o pajacach« i »Mściciela«, dramat.

SZYDERSTWO FALI.

Burzą okręt schwycony. Srebny maszt strzaskany,
żagle jedwabne w strzępach, pękł ster hebanowy.
Wgryza się cielsko wody w malowane ściany,
młotami fal druzgoce korab purpurowy.

Hej! budowałem okręt całe życie młode
i ukradłem ze skarbców wielu dlań wyprawę
a teraz kradnie otchłań dzieł moich urodę,
rabuje dumne piękno i wyśnioną sławę.

Odbiegli towarzysze. Pokład opuścili,
na zwinnych, lotnych łodziach do brzegu pomknęli,
tam im się z drzewa życia bujna gałąź chyli,
tam z brudu walk obmyją się w słonecznej bieli.

W oploty lepkich, chytrych polipów wilgotne
stopy mi już okręca wód odmęt żarłoczny,
Na ruiny spoglądam okrętu samotne.
Puste. Mewa krzyknęła z chmur kopuły mrocznej,

jakby o pomoc dla mnie. Nie dolecisz ptaku.
Nikt krzyku nie usłyszy. Już fala się zbliża
nowa, jak wieża z głazów w srebrnych pia.ı
[szyszaku.
Zmiażdży mnie w proch. Już goni potworna
[i chyża.

Któż do mojego boku przypadł krwią gorącą?
Kogo nie przeraziło zniszczenia pustkowie?
Dziewczyna do mej piersi tuli nagość drżącą,
co utraciła cnotę gdzieś w przydrożnym rowie.

Ku igraszce ją sługom na mój okręt wzięto.
Precz ją odpycham. Wody niebotyczna skała
już mi wisi nad głową. Sam jestem z przeklętą.
Ona nóg mi się czepia strachem oszalała.

Grom!
I ryk tryumfu i morskich-gardzieli.
W przepaść zmiótł opuszczonych grzmiący orkan
[fali.
A we wirze skłębionym pochmurnych topieli
zjaśniał krzyż w dół lecący, z pereł i z opali,

członków białych dziewczyny, na któıym przybity
żelaznym wód oplotem samotnik, pan łodzi.
Hej gnają fale, w niebo wzniósłszy śnieżne szczyty
dalej w bezmiar.
A mewa wciąż krzykiem zawodzi.

WE FIASCETTEXII.

Piję z Brindisi wino czerwone.
Włoch na gitarze mi gra.
I razem z winem promienie chłonę
zachodzącego w cud dnia.

Hej! tęskna piosnka i smutne dźwięki.
Stary, ty w oczach masz łzy.
Splot włosów czarnych wonny i miękki
twarz w słodkie owiał mi skry.

»Masz pewnie w kraju kochankę młodą«,
»z tęsnoty za nią tyś zbladł?«
Różę rzuciła błysła urodą,
Marynarz-zbój mi ją skradł.

Graj starcze siwy.. Z Brindisi wino
czerwone sam będę pić.
Niechaj tęsknoty w kielichu zginą,
niech krwawo będą się śnić.

Patronie, butlę dawaj mi nową
ty, duszę pieść twoją grą.
Cóż to — na ręce mam krew różową?
W dłoni rozprysło mi szkło.

PAWŁA Z WERONY »CRUCIFISSO«.

Chmury na niebie, a miedziane słońce
gaśnie ze strachu. Wielkie stoją tłumy,
w głuchem milczeniu zakrzepłe i śpiące.
Od morza tylko ciche idą szumy.

Na czarnem wzgórzu trzy krzyże. On kona
A patrzy ciżba z bezbożnem zdziwieniem.
Twarz jakaś dziko się śmieje czerwona.
Krzyże się strasznym osnuwają cieniem.

Anioł płaczący gąbkę z krzyża bierze
przesiąkłą octem i miotły ulicznej
zelżywą tykę. Oto kres ofierze.

Tam w ciemnym kącie dzielą się w srebrniki
Judasza — zbiry. A koń gigantyczny
zrywa w obłędnej się bojuźni dzikiej.

SOTTOPORTICO DELLA POLLACA.

(Z sonetów weneckich).

W słońcu mi błysła dzisiaj krwawa rana,
głos do mnie jakiś przyszedł oddalony.
Ulica cała złotem ukąpana,
a mnie się wielki sztandar śni czerwony.

»Portyk Polaków« — ośniedziała krata
i mur ze starych cegieł. Czasem wianki
z pognitych liści wicher pod mur zmiata,
czasem za kratą błyszczą Wenecyanki

zuchwałe oczy. Promień zabłąkany
czasem się skradnie nad napis zczerniały.
Potem ucieka w kolumnowe ściany.

Echo przesmutne, królewskie, krwawiące,
po całym świecie porwaneś w kawały.
Wiec wszędzie śmieje się nad tobą słońce?

KAZIMIERZ GLIŃSKI



ur. 1850 w Wasylówce w gub. Kijowskiej. »Wspomnienie Tatrów« 1891, »Poezye« 1893, »Wybór poezyi« 1899, »Ballady« 1900, »Spiżowe dźwięki« 1092, »Królewska Pieśń« i w czasopismach illustrowanych. Osobno powieści, dramaty, komedye.

† 1920

GDY WIOSNA NADCHODZI.

Cosik śpiewa, coś dzwoni –
Czy to rajscy anieli
Na niebieskiej harmonii
Gędźbić sobie zaczęli?
I pieśń idzie skroś świata,
Tak łabędzio-skrzydlata,
Taka szybka, piorunna,
Od gór, grani i hal,
I unosi się w dal...
Stostrunna!...

Wczora jeszcze
śnieżyca
Zawaliła – haj drogi
Kośćmi trzęsła
zimnica,
Smreki targał wichr
srogi –
A dziś taka ciepłota!...
Ziemia Iskni się od
złota,
Promienieje ku
wiośnie,
W leciuchne dmucha
mgły –
...A ty, Jaśku – a ty,
Czy nie wzdychasz radośnie?

Kiej mi tam do radości!... Ojciec zmarli i macierz...
Chwalić Pana Jezusa, że pomarli bez męki:
Jedno tylko zipnięcie i jeden krótki pacierz!
Ksiądz »requiem« zaśpiewał, dziad łopatę do ręki
Wziął... na wóz — i wiśta na cmentarz niedaleki...
Wieczne im odpocznienie i spokojność na wieki!

To ci dzionek królewski!
To ci jasność na górach!
A na chmurach w lazurach —
Panie Jezu niebieski! —
Coś kształtuje się, bieli,
Lnianem płótnem rozpina...
Iście nasza gaździna
Na puchowej pościeli!
Jeno od tej do świata
Lecą wróżbne ptaszyny,
A do naszej gaździny
Ciągiem bociek przylata.

Dzwoni niebios osnowa
Od klekotów bocianich:
Powiedają, że na nich
Jedzie wiosna — królowa;
Gna żórawie przed siebie,
Gęsi dzikie pogania,
Kwietnym halom się kłania,
Lśni się tęczą na niebie.

Hej! uroki, uroki!...
Taka władna a silna!...
Już grzmią w górach potoki,
Jak w tętnicy krew żylna —
Pojrzyj w jakąbądź stronę:
Nabrzmiewają drzew pąki,
Mkną motyle wzdłuż łąki,
Miłowaniem zbudzone.
Hej! motyle, motyle,
Chyćcie rozkosz, junaki!..
...A ty, Jaśku?... stój chwilę,
I ty pójdziesz w pląs taki.

A juści!... Przysięgała, że po wiek będzie moją,
Że nie zmogą jej starzy, ni kumy złą namową.
— »Jaśku! — mówiła — prędzej poniosą mnie na cmentarz...«
Niczem była przysięga, niczem najświętsze słowo!
Przyszedł gazda bogaty i wziął-ci ją jak swoją...
Zapamiętasz to, Jaśku! po wiek to zapamiętasz,
Po wiek!...

A ptaki lecą, lecą...
Pani wiosna je goni,
Ni to listki jabłoni,
Białe skrzydła ich świecą.
Człek za głowę się chwyta
Na to dziwo lazurne,
Bór szelestem je wita,
Owiewają mgły górne,

Rozpieśnione gra echo,
Ziemia pachnie a wzdycha,
A nad każdą — haj — strzechą
Już się bociek kołycha;
Zielenieje ruń świeża,
A gdzie ziemia nietchnięta,
Ostry lemiesz uderza,
Pługi ciągną konięta.

...Co ci, Jaśku?... jagody
Urosiła łez struga —
Pług wyciągaj z zagrody,
Wprzęgaj siwki do pługa!
W niebie grają, by dzwonki,
Rozmodlone skowronki;
Za górami, jak pożar,
Świeci łuną tatożar,
Lud się rucha stateczny,
A ty stoisz u płotu,
Gdy dzień taki słoneczny,
Ziemia pełna klekotu,
Pieśni, wzdychań wiośnianych,
Takich marzeń różanych!

Hej!... nie na mojej chacie wam gniazdo wić, bociany!...
Latoś piorun uderzył i rozsypał w proch ściany,
Ni do pługa mi jąć się, ni orać ziemię czarną;
Zły sąsiad dobro zabrał, zły wiatr rozrzucił ziarno!

Nie upomnić się krzywdy, kto sierotą od mała:
Syćko wzięli szczęśliwsi — ino kobza ostała.

»A graj-że mi wesolutko,
Gdy się złoci maj —
O radościach,
Szczęśliwościach,
Moja kobzo — graj!...

»Niemasz strzechy bez bociana —
Ziemia kieby raj!...
Jeno u mnie,
Nikaj w trumnie!..,
Graj wesoło — graj!...

»Na cmentarzu trzy mogiły,
Kołem szumi gaj...
Wesolutko,
Moja dutko,
A graj-że mi — graj!...

»W jednej ociec, macierz w drugiej,
W trzeciej miłość — haj!..,
A graj-że mi!...
O tej ziemi
Szczęśliwościach — graj!«

SŁOWIK.

Cicho, sennie szemrzą drzewa,
Listek z listkiem gada —
Złota jasność się rozlewa,
Słońce w głąb zapada.
Złoty promyk gaśnie bystrze,
Szatę noc rozpina —
Wtedy słowik, mistrz nad mistrze,
Koncert swój zaczyna.

Wkoło cisza uroczysta
I wieczorny chłód —
Tylko płynie pieśń srebrzysta
Nad falami wód;
Ponadbrzeżne kwiaty, zioła
Zachwyceniem drżą,
I rzucają woń dokoła
Senną piersią swą.

A wiośniany pieśniarz dzwoni —
Znać serce śpiewacze!
Niby perły, dźwięki roni,
Wzdycha, łka i płacze —
W tryl uderzy, śmiechem błyśnie
Zawiedzie okrutnie,
Aż pieśń wielką w niebo ciśnie,
Szarpiąc serce-lutnię!

Na gałązce zawsze sam —
A piosenka płynie:
Tam i tu, tu i tam —
W wieczornej godzinie.
Słowik-pieśniarz nie zna snu —
W przestrzenie podniebne,
Tu i tam, tam i tu —
Rzuca dźwięki srebrne.
Słychać płacz i szloch
Bez spoczynku, tchu —
Cały przestwór pieśń przenika,
Drży u niebios bram...
To słowika:
Tu i tam,
Tam i tu:
Och i och!

NIE TAK! — NIE TAM!

Miał jeno kawał sukmany
I silne dłonie —
Pracował nieraz o głodzie,
Rąbał drwa w lesie — pasł konie —
Gdy księżyc świecił rumiany —
Na ziemi sypiał w‹nak...
Nie tak, jak pan —
Nie tak!

Obsiewał nie swoje łany
Orał nie swoje —
A wczesnym rankiem brał kosę,
A nocką bydląt gnał troje
Na zorośnięte kurhany —
Szedł z długim batem sam...
Nie tam, gdzie pany...
Nie tam!

A gdy włos biedą stargany
Błysnął siwizną,
Gdy chude barki się zgięły...
Na żebry ruszaj starzyzno!...
szedł przed siebie, jak gnany,
Z obwisłem skrzydłem ptak —
Nie tak, jak pany,
Nie tak!

Wsunął w żebracze łachmany
Wychudłe członki —
Umarł na progu kościelnym,
Gdy w niebie grały skowronki...
Nic mu już smutki, ni rany!...
Do rajskich poszedł bram —
Nie tam, gdzie pany —
Nie tam!

Z »KRÓLEWSKIEJ PIEŚNI«.

(Strona 488-491).

W Gievonie zwierz się obudził stuzębny,
Widać krwiopijjów rozwalone szyki:
»Teraz ujrzycie bój, lecz bój odrębny!«
Zgrzytnął... miecz uniósł... Zabrzmiały okrzyki,
Trąby zagrały, zagadały bębny —
Słychać rozkazy wodzów, bełkot dziki
Szwadronów, huczy odpowiedź żołnierzy...
Wichr — łoskot — burza... Chwilę! grom uderzy!
Margraf od słońca zrobił daszek z dłoni,
Bo go raziło blaski jarzącemi — · ·
Patrzy — wciąż szybszy staje się pęd koni
Słucha — wciąż rośnie, wzmaga się dreszcz [ziemi —
Powietrze gwiżdże — tętni — huczy — dzwoni —
Pułki się niosą skrzydły wichrowemi,
Nad nimi sztandar połyska »Zawiei«
Z okiem padalca i gwiazdą nadziei.
Huf się rozdwoił... Lewem skrzydłem musnął
Obok zwycięzkich już Lecha zastępów,
Nagle się zwrócił i gradem w twarz plusnął...
Zawrzało. — Rzekłbyś: krwawe stado sępów
W dzioby stuknęło; wiatr, który był usnął
Na chwilę pośród wyciętych ostępów,
Zerwał się znowu i wściekłemi zęby
Runął na sosny, jodły, buki, dęby.

Lecz skrzydło prawe sunęło się dalej
Naprzeciw chmurze Stogniewowych szyków,
Dwa wichry lecą — dwa gromy — dwie fale...
Starły się, — Gievon nie słyszał okrzyków —
Tylko coś błysło na spiętrzonym wale
Głów końskich, ponad piersią wojowników —
Wionęła jakaś błyskawica złota... .
A potem łoskot — szczęk mieczów — grzmot
I ciężki piersi dech — i obłok bury — [młota
I klekot głuchy — urywany — w rogi.
Tak, gdy uderzą o siebie dwa tury,
Oprą się łbami i poplączą rogi:
Grzmot tylko słyszysz, jakim charczą chmury,
Nie widzisz walki, a wre bój złowrogi
Gievo drży, chrzęstem przestrach zdradza zbroja.
— »O, nie upadaj, złota gwardyo moja!...
Ciało Winnildy przebiegają dreszcze,
Podpory szuka biała, drżąca ręka —
A dwie się chmury zmagają, złowieszcze
Szelesty płyną... Szum — huk... to mur stęka
Piersi lechickiej... »Jeszcze — jeszcze — jeszcze,
Siłą całego ramienia — Niech pęka,
W gruzy się sypie i runie do błota — — «
— »O, nie upadaj, moja gwardyo złota!«
I nie upadła... Wzniósł się obłok siny
I odkrył oczom głuchej walki pole —
Hufce Stogniewa wśród krwawej doliny
Już się pierścieniem wygięły w półkole —
Łamią je lasów teutoburskich syny,

Choć krew na piersi, pot mają na czole —
Za chwilę pryśnie ta obręcz żelazna
I serce polskie, co to jest strach — zazna.
Gevo drży. Pod nim kopytem k-ń grzebie
I rzuca grudy, niby z kusz pociski.
Jeszcze cios jeden... ostatni! — Na niebie
Słońce południk przeszło, zachód blizki —
Pierścień się zwiększa -- chwieje się — kolebie,
Słabsze są cięcia, mniej ogniste błyski — —
Gromów strzaskana nie odrzuci zbroja...
— »Ostatni jeszcze cios, o, gwardyo moja!«
Piekło!... nie pękła obręcz Stogniewowa —
Strzaskany pancerz mieczów się nie boi...
Hufiec się wstrzymał, jak chmura gradowa,
Związał się klamrą żelazną — i stoi.
Piekło!!... Błysnęła iskra piorunowa,
W pułkach zwycięskich straszny szczerb wykroi.
Targa się — szarpie — w konwulsyi się miota
Chluba Gievona, jego gwardya złota!
Nie! hańby takiej margraf nie przeżyje —
Runąć on woli pośród burz błyskawic:
Ma pułk nietknięty — tysiąc serc w nim bije
I tysiąc groźnych podnosi się prawic,
A tu z pogromu wracają »krwiopij:«,
Jak gwiazdy błędne, wypryśnięte z mgławic —
Srom pali czoła, ale siła twórcza
Światy zapala, wpadłą pierś rozkurcza.
— »Tegom-że dożył, byście, niezwalczeni,
Stanęli dzisiaj przy mnie, jak wstyd — w mroku?

Z tysiąca ogni, z tysiąca płomieni
Jam was wywodził zawsze z słońcem w oku!
Kto życie swoje ponad godność ceni,
Kto kark swój poda, mając miecz przy boku —
Precz!... Szat nad wami nie będę rozdzierać,
Pokażę tylko, jak trzeba umierać!«
Tu spiął rumaka, ostrogę zanurza,
Aż krew bryznęła z rozprutego brzucha.
Skoczył, jak szatan... lecz za nim gna burza
I rozpętana wichrów zawierucha,
Tętent — szał — Piekło!... Słońca krwawa róża
Nad widnokręgiem stanęła — i słucha:
Czy to — potopu dawnego — szum fali
Echo przyniosło tu — i Bóg świat wali?...

. . . .

MIECZYSŁAW GLIŃSKI

ur. 1865 r. »Poezye« I. 1902.

RUINY.

Jak kamienne tytany,
Po ostatniej przegranej
Leżą kryte mchem ściany
    Zwaliska.
Do samotnych tych ciemnic
Żądne starych tajemnic
    Blade światło księżyca się wciska.
Długie mroków ogniwa
W tej podróży przerywa:
Może gdzie się ukrywa
    Ślad krwawy?
I na cegłach i głazach
W tajemniczych wyrazach
    Kładzie pieczęć: czy hańby, czy sławy?
A gdy północ wybije,
Świat piekielny ożyje,
Wichr, jak szatan, zawyje
    Z rozpaczą —
Na cmentarzu ruiny,
Młodych brzózek krzewiny
    Drżą ze strachu i grozy — i płaczą...
I zatrata, jak zdrada,
Do ruiny się wkrada,
Nocą upiór tu siada
    Zniszczenia.

Ściana stara i krucha —
Szczerbi, niszczy i słucha...
Ale nigdzie ni łzy, ni westchnienia.

Z CYKLU:
»BÓG JEDEN OD KOŃCA DO KOŃCA«

Od dolin, od jarów rozkoszny wiał chłód —
To wieczór szedł cichy, i stawał się cud:
Czas marzeń się zbliżał wieczorny,
Szept wionął dokoła: »W ramiona me pójdź!«
Pierś rzeki faluje, na fali mknie łódź.
Z daleka dzwon słychać klasztorny.

A serce? nie pytaj! — anielskie ma sny,
Pierś pragnie rozsadzić i rwie się i drży,
Jak harfa, gdy miłość ją trąca.
Niepomne bied ludzkich i nędzy i zdrad,
Szalone miłością ogarnąć chce świat
I kochać i kochać bez końca!

O, dzwonie klasztorny! więc tyżeś to wlał
W pierś moją tę falę uniesień, ten szał
I zmusił, bym z tony twojemi
Myśl posłał z rozkazem przed Niebios iść próg
I stać tam z modlitwą i czekać, aż Bóg
Po gwiazdach swych zstąpi ku ziemi?

Więc tyżeś to wstrzymał na fali mą łódź
I czuciem nieziemskiem rozkazał mi czuć,
I trwogą drżeć świętą, tajemną —
Czarowi się poddać i wierzyć w ten czar,
I paść na kolana! —
Sto złudzeń, sto mar
Jak żywe stanęły przede mną!

Słuchałem twej pieśni: »Hozanna! kto żyw,
Niech śpiewa pieśń Panu wśród lasów, wśród niw
I ziemia i Niebo i słońca.
Za chwilę Bóg wyjrzy z szafirów swych szat
I wzrokiem promiennym ogarnie ten świat —
Bóg jeden od końca do końca!

Cześć Panu i chwała!« Pieśń płynie, brzmi wtór,
Ja oczy podnoszę i szukam, gdzie chór,
Skąd pieśń, co gra piersią tysiąca?
I wyszedł duch ze mnie i z pieśnią się zlał,
A tyś już nie śpiewał, tyś, dzwonie, już grzmiał:
Bóg jeden od końca do końca!

Wtem nagle ból czuję: o dzwonie, ty śnisz!...
Dzwon umilkł... Na wieży posępny stał krzyż,
A przy nim tęsknota milcząca...
Gdzieś z głębi topieli wydostał się jęk —
A w piersi mej jeszcze ostatni grał dźwięk:
»Bóg jeden od końca do końca!«

ZIEMOWIT GLIŃSKI.

Z SONETÓW.

Ani ja pójdę tam, gdzie kryształową
Powierzchnię jezior drzew szpaler ocienia,
Gdzie tłum róż złotych z traw się wypromienia,
I gaje dzwonią pieśń szczęścia echową.

Pójdę, gdzie niebo ma szatę wciąż płową,
Gdzie serce dziwne porywają drżenia,
Fale się strzępią o zręby kamienia,
Szalone jakąś orgją burz gromową.

Gdy się ogniste rozpalą pioruny,
Na skał najwyższym odłamie usiędę,
Smutnej spowiedzi morza słuchać będę,

Co łka jak harfy zdruzgotanej struny.
Spojrzę jak fale swoje kręgi znaczą
I tak zapłaczę, jako one płaczą.

OTWÓRZ MI SWOJEJ DUSZY OGRODY KRYSZTALNE.

Otwórz mi duszy swojej krysztalne ogrody,
Niech mię znowu owioną blaski księżycowe,
Niech na twoich kolanach zakołyszę głowę
I zatopię się duchem w marzeń korowody.

Tak mi smutno, jak gdybym stał nad brzegiem wody,
Której taflę trąciły deszczu łzy perłowe —
One chciały wydobyć zeń dźwięki echowe...
I zapadły się cicho w jej krysztalne chłody...

Powiedz — może twa dusza jest tą głębią szklaną,
W której wszystkie pragnienia padną nie odczute
I tylko tam, jak błędne miraże, zostaną?

A może w duszy twojej są żary upalne,
Posągi myśli dumnej, z meteorów kute?
...Otwórz mi swojej duszy ogrody krysztalne.

WIKTOR GOMULICKI

ur. w Ostrołęce 1851 r. Stale mieszka w Warszawie. »Poezye« 1882, »Nowe pieśni« 1896, »Pieśń o Gdańsku« 1900, »Wybór wierszy« 1900, »Zbiór nowy« 1901, »Biały sztandar« 1907, i po czasopismach warszawskich. Nowele i powieści.

ŁAZARZEM JESTEŚ, O LUDZKOŚCI!...

Łazarzem jesteś, o ludzkości!
Łazarzem, mrącym z ran!
Ciało odpada ci od kości,
Nad tobą, karząc nieprawości,
Rękę ociężył Pan.

Azaliś nowych bólów chciwa
I nowych szukasz mąk?
Rozkaz ci niemoc śle straszliwa,
Sam instynkt nawet ciebie wzywa,
Byś miecz puściła z rąk.

Tobie potrzeba ukojenia,
Błękity z poza krat,
Pieśni, co życie opromienia,
Modlitwy mocnej, która zmienia
Stosu zarzewie — w kwiat!...

RODZI SIĘ W CHMURACH DZIEŃ...

Rodzi się w chmurach dzień
    I ciężko walczy z nocą...
Rzekłbyś, że z kruczych szpon
    Ptak biały się wyrywa.
Przyśpiesz, o Boże, świt!
    Oraczom przyjdź z pomocą!
Dawno na przebłysk dnia
    Zasiana czeka niwa!

Rodzi się w chmurach dzień
    Po długim, długim mroku...
I ziemią wstrząsa dreszcz,
    Jak łonem rodzicielki;
I wszystkich oczy tam,
    W kryjącym wschód obłoku,
I wszystkie dusze śnią,
    Że dzień to będzie wielki.

Rodzi się w chmurach dzień...
    Szczęsny, kto go doczeka!
Młodzi, wpatrzeni w świt,
    Radują się i gwarzą;
A starcy szepcą: »Ach!
    Ujrzeć go choć zdaleka,
Zapłakać — i w grób ledz
    Z jasną, na wieczność, twarzą!«

CO MÓWI TRUMNA?

Ach! wy myślicie, że gdy we mnie gości
Trup zabitego niewinnie człowieka,
Tom zaraz pełna urazy i złości?
Że w moich deskach zajadle coś szczeka
I wyje głosem zgłodniałych szakali,
Byście zabójców na żer mi oddali?

Ach, wy myślicie, że gdy bladą zgrają
Czarny mój ołtarz otoczą morderce,
To się na trupie rany otwierają
I krwi fontannę rzuca jego serce?
Że przez ran usta trup krzyczy zjadliwie:
»Nie spocznę póki zabójca mój żywie!«

Zbliżcie się — patrzcie, jakam nieruchoma!
Me ciało — drewno; mój gość — lód i kamień...
Ze złożonemi na piersiach rękoma
Leży trup próżny życiowych omamień,
I jest jak pusty dom, z kartą, co wieści:
»Gospodarz wyszedł i przepadł bez wieści...«

Nie przepadł — żyje! Lecz mieszka wysoko,
Skąd ziemski zamęt niewidny mu zgoła;
Na rzeczy wieczne zwrócone ma oko,
Swych krzywd pamiętać i mścić się nie zdoła.
W męczeńskiej glorji odziany promienie,
Błaga dla katów swych o przebaczenie.

Ani się zżyma, ani o co żali,
Ciche, bezpieczne znalazł we mnie łoże...
Lecz wy! będziecież tak spokojnie spali,
Gdy was dziś, jutro, na sen wieczny złożę,
I gdy on wówczas, w biel śmierci przybrany,
Przed wami stanie i — wskaże swe rany?...

BÓG MÓJ — BÓG CISZY.

Nie kiedy grozisz, błyskasz i grzmisz,
Wielkim Cię widzę, o Panie!
Lecz, gdy wśród błogich, kojących cisz,
Utwierdzasz swe panowanie.

Niechaj Cię sławi za wrogów zgon
Rycerska siostra Mojżesza —
Mój hymn pochwalny zabrzmi, jak dzwon,
Temu, co zbawia i wskrzesza.

Tyś źródło bytu, Tyś żywych król —
Jakże czcić Ciebie grobami?
Pieśń i wesele, nie jęk i ból,
Mówią, że czuwasz nad nami.

Piorun na chmurze wypisał: Bóg,
Otchłań to imię wygrzmiewa —
Lecz piękniej tęczy kreśli je łuk,
Dźwięczniej skowronek je śpiewa.

Wielka to siła, co jako młot,
    Z góry padając, uśmierca —
Większa, co w ciszy, śmiertelny grot
    Z drżącego wyrywa serca.

Orkanom pęta, o Panie, włóż,
    Nad krwią zapanuj i bojem;
Bądź pochwalony jasnością zórz,
    Pól niezmąconym spokojem.

Bądź pochwalony czystością snów,
    Które ma człowiek cnotliwy,
I blaskiem, sianym przez srebrny nów
    Na białe od śniegu niwy.

Bądź pochwalony milczeniem kniej,
    Gdzie zwierz przed łowcem bezpieczny,
I ciszą ducha, co z klatki swej
    Na żywot pośpiesza wieczny...

Sławi Cię ziemia przez znój, przez krzyż,
    Przez święte z niebem zamęście,
Nie kiedy grozisz, błyskasz i grzmisz,
    Lecz gdy ład sprawiasz i szczęście!

PRZYJDŹ!...

W majowy dzień,
Gdy wszystko zmartwychwstaje,
Gdy pełne ogrody i gaje
Miłosnych drżeń —
Przyjdź do mnie, upragniona!...
W otwarte spłyń ramiona,
Jak Anioł Zmartwychwstania,
Co grobu straż rozgania,
Trumienne wieko kruszy —
Wyjście otwiera duszy!
Przyjdź — abym powiedzieć mógł:
— Jest Bóg!
Jest wszechpotężna siła
Na ziemi jako w niebie,
Najmędrsza, bo ciebie stworzyła.
Najlepsza — bo dała mi ciebie!
W lipcową noc
Różano-jaśminową,
Gdy wstrząsa ziemią niemową
Mistyczna moc —
Przyjdź, podobna ogniowi,
Co mnie stli i odnowi!
Obejmij mię pożarem
I daj, uścisków czarem,
W mgnieniu, które świt płoszy,
Przeżyć wieczność rozkoszy!

Przyjdź! — aby dla dwojga nas
Znikł Czas!
Byśmy się w szału chwili
Stopili i roztopili,
Jak łza i uśmiech w dziecka licu,
Jak para chmurek przy księżycu!...
W jesienny zmrok,
Gdy wicher, wyjąc, płacze,
Uśpione wstają rozpacze,
Łza mąci wzrok —
Przyjdź, jak Anioł Pociechy,
Słodkie siejąc uśmiechy!
Żałobna moja cela,
Skąd uszedł duch wesela,
Niech tobą się rozświeci,
Zapachnie i rozkwieci.
Przyjdź! — a gdy zakryje toń
Twą dłoń,
Pierzchną czarne zastępy:
Kruki, puhacze, sępy,
Powróci zbiegły brat do braci,
Piekło ofiarę jedną straci...
W zimowy świt,
Gdy w cmentarnym kurhanie
Uciszy się już me łkanie
I zębów zgrzyt —
Przyjdź, — i na świeżym grobie,
W czarnych oczu żałobie,

Choć bez wdowiego stroju,
Stań — posągiem Spokoju.
Ty biała, cmentarz biały
I ja — ze śnieżnej skały.
Przyjdź — aby potwierdził grób
Nasz ślub!
A gdy w trumiennej czczości
Lica mi błysną kochane —
Ocknie się dusza od radości!
Ach! od radości — zmartwychwstanę!

KONSTANTY MARYAN GÓRSKI

ur. 1862 r. w Woli Pękorzewskiej w pow. Skierniewickim. Poezye: »Wierszem« 1902.

TRZY MODLITWY.

Błądziłem więcej niż cierpiałem,
I bóle ze mną w świat iść muszą;
Spraw, niechaj odtąd cierpię ciałem,
— Nie duszą.

Ukorz mię w dumie najboleśniej,
Każ na barłogu się położyć,
Lecz pozwól duszy mojej, pieśni,
Znów ożyć.

Gdybym na cudzym żebrząc progu,
Miał Tobie bluźnić bezprzytomnie,
Wstań: jak do Joba na barłogu,
Mów do mnie.

Żem o Twych dłoniach, okutych w pioruny,
Zapomniał, zgiąłeś głowę mą do prochu.
I gdy mi serce ustało w popłochu,
Na nerwy palce kładłeś, jak na struny.

Jak zabitego wroga Tyś mię włóczył
Wszędzie, gdzie serce krwawi się i targa

— Aż z ust zsiniałych wybiegł krzyk i skarga,
Ażeś mię znowu modlić się nauczył.

Dziś jużem nawykł... Dziś sam karku nagnę
Pod stopę Twoją; serce dam Ci w ręce,
I będę cicho konał, byle w męce
Czuł, że jest szczęście, gdzie ja szczęścia pragnę.

Ty, któryś w czarną noc
Rozpostarł ponademną
Twych ramion krwawych moc,
Wieczystą i tajemną,
Patrz z góry: oto ból
Rzucił mię do Twych nóg,
A Tyś miłości król,
A Tyś cierpiący Bóg.

Z CYKLU: »WIERSZEM«.

»MANIBUS DATE LILIA PLENIS«.

Warga drży jeszcze, oko jeszcze pała —
Już mnie nie kochasz, jakeś mnie kochała.
I kiedy wołasz, w głosie twoim słyszę,
Jakby pustyni głuchą dal i ciszę...
I gdy miłosne powtarzasz mi słowa,
Wtórzy im jakiś dźwięk, jak pieśń grobowa.

Więc mi już żegnaj, bo nie mogę więcej
Cierpieć — a kochać nie umiem goręcej...
Wreszcie od bólów i żalów przecieka
Danaid wieczna urna, pierś człowieka.
Cóżeśmy winni, żeśmy tak niestrojni,
Zawsze spragnieni, zawsze niespokojni?
Cóżem ja winien, że gdy ci się śniło
O szczęściu wiecznem, aż gdzieś za mogiłą,
Jam nie mógł pojąć i kochać inaczej,
W żalu i w bólu, w szale i rozpaczy —
Cóżeś ty winna, żeś jest taka czysta,
Choć litosnemi łzami promienista?
Cóżem ja winien, że pieśni, co wiszą
Ponad gwiazd białych niezmąconą ciszą,
Ja nie pochwycę, że ich nie przestroję
Na strunę lutni, drżące struny moje?
Cóżem ja winien, że błyskawic snopy
Błękitnych tobie nie padły pod stopy?

Przebacz, zapomnij. Ja miłość dla ciebie
Pod kielichami białych lilij grzebię.
Boś ty mi była wśród obcego świata
Gwiazdą, do której wieczorna pieśń wzlata
I wszystkie swoje bóle i tęsknoty
Tej siostrze w niebie opowiada złotej,
Boś ty mi dała w długich dniach boleści
Współczucie duszy miękkiej i niewieściej —
Aż potępieńcza znudziła cię praca
Rozpraszać troskę, która wiecznie wraca.

FELIKS GWIŻDŻ

ur. 1885 r. w Odrowążu na Podhalu. Pracuje w redakcyi »Kuryera Lwowsk.«. Wydał »Fale« 1907.

GRUSZE.

Pogięte, stare ciotki, koszlawe i krzywe,
Oślepłe już, bezzębne, w biedniutkiem okryciu
Stoją w ogrodzie smutne, zgrzybiałe i siwe

I mądrze, głuchym szeptem mamroczą o życiu,
Lub szczerze, na głos sobie sny tajemne gwarzą...
Jak babska, wracające z jarmarku w upiciu,

Jedna do drugiej cicho, powolutku łażą,
Kiwają konarkami kruchymi jak próchno,
Podnoszą listki w górę, coś ważnego ważą — —

A gdy się człowiek zjawi — drętwieją i głuchną.

PŁACZ.

Rzekłem: niewieście nie dam serca,
Bowiem jej miłość drogi plącze,
Wolę wysysa, czyn uśmierca,
Myśli zabija rącze.

Rzekłem: zamknięte będą wrota
Przed tą, co niszczy i zatraca —

Przeklętą będzie ta tęsknota,
Co ku niej oczy zwraca.

Pustka niech będzie przed nią głucha
I wieczny mrok i dróg zawiłość,
Aż ukrzyżuje noc jej ducha
I skona grzeszna miłość.

Lecz ona przyszła do mnie — zaczem
Już bezdrożami pędzę za nią —
W mrok, w dal — jak dziecko, pędzę z płaczem
Za tą okrutną Panią.

TAK SMUTNY JESTEM...

Tak smutny jestem, jak ten las,
Co w mgłach i mroku szumi
I szalejące skargi swe
Żałosną nutą tłumi.

Tak smutny jestem, jak ten las,
Co ściąć go mają ludzie,
A on niebaczny śpiewa pieśń
O utajonym cudzie.

Tak smutny jestem, jak ten las...

SABAŁOWE WIDZENIE.

Hej! Któż to taki harny, co, na gęślickach grający,
Popod turnie se idzie w Matki Boskiej dzień święty?
Kapelusik strojony w kostki, rżnięte w Orawie,
Zarzucony na bakier... Cuha biała, jak śnieżne
W dzień zimowy ugory, obramiona dokoła
Wstęgą, jak las zieloną — a pod szyją wyszyta,
— Rzekłbyś — w leśne paprocie — — biała cuha
[góralska
W pięknym zwisa nieładzie hej! aż po same
[kolana!...
W blaskach słońca sie iskrzy przepiękna klamra
[złocona,
Spinająca pod szyją w Dunajcu praną koszulę.
Jeszcze harniej jaśnieją mosiężne, duże guziki,
Które pono zmajstrował kowal Rycerzy Zaśniętych
Drzewiej, w czasach królewskich... w Kościeliskiej
[Dolinie...
Powybijane na pasie, który mu ściska brzuch,
Jarzą się, iskrzą, błyszczą, jak szkła cudowne na
[słońcu.
Parzenice i raki i sznur, który znać zdala
(Pewnie we dwaścia złożony, bo śtraśnie bije
[w me oczy)
Szumnie pysznią się, zdobiąc honorność pięknej
[urody...
Hej! cóż to za parobek, co, na gęślickach grający,
Popod turnie se idzie, jak zbójnik wycyfrowany?

Zje dyć to Jaś Sabała, zje dyć to Sablik z Kościelsk,
Co sie Krzeptowski zowie, co gra, jak Pan Bóg
[przykazał.

Hej! gra Sabałów Jaś – hej! mój ty Boże jedyny!...
Hej! gra Sabałów Jaś – a ino w turnie se patrzy,
Bo turnie, bystre granie, spadziste krzesanice,
Bo dzikie, ostre grzbiety i kędzierzawe grzebienie
Rade słuchają grania, rade słuchają muzyki.

Hej! gra Sabałów Jaś – Hej! mój ty Boże jedyny!...
Hej gra Sabałów Jaś – a ino w lasy spoziera,
Bo ciemne lasy, gąszcze, bo nieprzebyte bory,
W których się kryje zwierz, ponad którymi orły
Królewskie toczą koła, hej! i królewskie loty –
Bo nieprzejrzane gęstwie – smereki, jedle, limby
Rade słuchają grania, rade słuchają muzyki,
A nawet wtórzą mu, basują gęślom Janicka.

Hej! gra Sabałów Jaś – hej! gra Krzeptowski
[Sablik...

. . . .

A z wirchu, hań! z Giewontu owieczki białe zgania
Najświętsza Panieneczka i słucha jego grania.
Cała w słonecznych blaskach w przedziwnych
[kwiatków wianku
Za owieczkami idzie i śpiewa o kochanku:
O swym Jezusie Synu, głos puszcza w świat
[żlebami

I tuka se wesoło, aże się Sablik łzami
Zalewa radośnemi... Hej! jak se też to śpiewa
Ta Przenajświętsza Panna — jak Jej to grają
[drzewa —
Jakie to ładne śpiewki z ust świętej — płyną —
[płyną —
I napełniają świat radosną z gwiazd nowiną,
Że Matka Boska idzie Tatrami na Podhale
Spisywać utrapienia i wszystkie, wszystkie żale...
Hej! turlikają owce, migają słońca blaski,
Panienka schodzi z wirchów i niesie ludziom łaski...
Uboczą idzie skalną, przechodzi nad urwiska,
Z oddali ino świętość od głowy Jej połyska.
Już przeszła w drugą ubocz — i tuka se i śpiewa —
Sabałów Jaś jej gra — tatrzańskie grają drzewa...
. . . .

Hej! gra Sabałów Jaś — ino se w turnie patrzy —
Hej! gra Sabałów Jaś — ino se w lasy spoziera,
Bo lasy rade wtórzą, bo turnie rade słuchają
I w nich to, nie kaindziej, Najświętsza Panieneczka
Owieczki rada pasie i tuka se wesoło,
Do Sabałowej nuty przepięknie przyśpiewując,
Kiedy se idzie strojny, popod turnie grajęcy...

BENEDYKT HERTZ

ur. 1872 r. w Warszawie, gdzie stale mieszka.
Bajki po czasopismach warszawskich.

ŚLIMAK.

(Bajka).

Gdy gaduła Skowronek opowiadał dziwy
O przestrzeniach olbrzymich, jakie widać z góry,
Żółw zaś sceptyk podrwiwał — na listku po-
[krzywy
Siedział ślimak i słuchał. A nie wiedząc której
Stronie wierzyć wypada,
By się nie dał ołgać
Pomyślał:
— Jedyna rada:
Gdzieś na wyżynę samemu się wczołgać
I sprawdzić osobiście, co tam znów takiego
Widać bardzo ciekawego.
Ślimak — wiadomo — choć się nawet znuży,
Zmęczy okropnie,
Gdy coś postanowi — dopnie.
Więc rzeczywiście, po trzech dniach podróży
Nasz pielgrzym stanął na pagórka szczycie.
Był świt. Z wierzchołków śnieżnych dookoła
Już tuman spływał, a gór sine czoła
Nad noc nizinną ranek wydobywał
I stroił w blaski. —

Ślimak należycie
Wypoczął, podjadł sobie i wystawia rogi.
Patrzy... Tu widzi trawkę, tam znów kwiatek, listek
Ot widok wszystek.
— Nic — rzekł — nadzwyczajnego. Szkoda było
[drogi.

JAN HUSKOWSKI

ur. 1883 r. w Piaskach w gub. Lubelskiej. Od r. 1904 mieszka we Lwowie. Wydał »Po drodze« 1906 roku.

W GODZINĘ ROZSTANIA.

Płaczesz?! Czyż warto o drobnostkę taką?
Błagasz na klęczkach?! To już chyba śmieszne
Musim się rozstać. Co było — majaką!
Zresztą: śnić? kochać?? — — mazgajstwo ucieszne

Powstań... Jak można... Popraw lepiej suknię...
A włosy również masz w strasznym nieładzie...
Jeszcze cię matka swarliwie ofuknie...
Zwykła to farsa w familijnem stadzie.

Nie słuchasz? Płaczesz? To zwyczaj kobiecy...
Wszak cię kochałem, nosiłem na rękach...
Wstań więc — — nie lubię komedyanckiej hecy!
Nie płacz... i ja się znam nieco na mękach...

Cierpienie sprawiasz mi taką rozpaczą...
Otrzyj oczęta — — pocieszysz się wkrótce...
Nie, nie... te słowa nic a nic nie znaczą...
Wierzaj, najlepsze mam myśli w pobudce...

Usiądź koło mnie. Drżysz trwożnie jak ptaszę...
Spazm głuchy wstrząsa twoją piersią cicho...

Tulisz się do mnie?! Pójdź, niechaj opaszę
Kibić twą jeszcze... A zresztą .. niech licho!...

TAM.

Ukradkiem o zmierzchu, żądny snów i szału,
Tam szuka młodzieniec swych wędrówek celu,
Gdy mu pośród myśli i rojeń nawału
Zabłysło wspomnienie najsłodsze z niewielu...

Tam blady rozpustnik o zgnuśniałej twarzy,
Wierny zwyczajowi na wyprawę idzie, — —
Nic mu już po szczęściu i nic mu po wstydzie,
Tylko o kochance jak o zdrowiu marzy...

I starzec zanosi tam sterane kości,
Kiedy mu swawolna przyjdzie myśl do głowy,
Tam mędrcy, poeci, olbrzymy przyszłości
Dążą na rozkoszne igraszki i łowy...

Szczerzy altruiści, złodzieje z zawodu,
Krezusi, nędzarze, szaleńcy bez miana
Cała ludzka trzoda równa, pojednana
Staje u wrót tego tajemnego grodu...

Tam idzie, kto szczęśliw, kto smutny, kto podły,
Kto piękny, jak bóstwo, lub szpetny urodą,

Tam siły wszechwoli już milion zawiodły
I milion następny za rękę powiodą!..

O zmierzchu, gdy żółte zapłoną latarnie,
Po przez te gościnne, podeptane progi
Cała smętna ciżba przewala się gwarnie,
Zostawiając w domu pogardzone bogi...

KAROL IRZYKOWSKI

ur. około 1870 r. Jest nauczycielem gimn. »Wiersze i dramaty« 1907. Autor słynnej »Pałuby« i »Dobrodzieja złodziei«.

W WAGONIE.

Napchało się w wagonach,
A jazda długa będzie —
»Aj, panie konduktorze,
Po sześciu w jednym rzędzie!«

Naprzeciw ksiądz-bernadyn
Swą tuszą Boga chwali,
Tuż przy mnie piąta kurya
Smrodliwy tytoń pali.

Jest i rodzinny obóz,
Pieluszki, dziecko, pypka;
Bąk starszy z palcem w buzi
Wytrzeszcza ku mnie ślipka.

Ale pomimo ścisku,
Wsiąść jeszcze dwoje może —
Przez okna tu wsiąknęli
Z tej nocy, tam, na dworze.

Biletu nie płacili,
Dziwni pasażerowie —

Bo oni niewidzialni,
Coupé ich w mojej głowie.

Co oni wyprawiają,
Zuchwali i szczęśliwi,
Niech myśl im nie odmawia,
Niech pustkę im ożywi!

Kopnęli wszystkie względy,
Podarli wstydu szaty,
Odziali się w pieszczoty,
W płomienne weszli światy...

Ej, moi goście mili,
Zabawa nieostrożna!
Na oczu mych siatkówce
Zobaczyćby was można.

Hej, moi współpodróżni,
Nikt z was się nie oburza?
Kiwają w dół głowami,
Sen oczy im zamruża.

Hej, stacye wy w ciemności!
Hej światła elektryczne!
Ja wiozę kontrabandę,
Zgorszenie — ach! publiczne!

ĊZESŁAW JANKOWSKI

ur. 1857 r. w Polanach w gub. Wileńskiej. »Poezye« 3 tomy 1879—1884, »Capriccioso« 1884, »Rymów nieco« 1892, »Z seryi lirycznej«, reszta po czasopismach warszawskich. Liczne prace prozą.

KRÓLOWA LALA.

(Tryolet),

Gdy uśmiechnięta zdradzieko
Spojrzenie rzucić ci raczy,
Bachantka? — pytasz — czy dziecko?
Myśli twe zmąci zdradziecko
I sama z pogodą grecką
Przyglada się twej rozpaczy.
Bochantka? — pytasz — czy dziecko?
Gdy spojrzeć na ciebie raczy.

Kochała królowa Lala...
Nikt nie wie dokładnie kogo?
Dziś kochać siebie pozwala,
Choć jawnie królowa Lala,
Na tych się z gniewem użala,
Co kochać raz po raz mogą.
Rzecz prosta — królowa Lala
Nie będzie kochać nikogo.

I po co?... Jej tak do twarzy
Batysty miękkie i puchy!

Dokoła dym trybularzy,
Uśmiech ma zawsze... na twarzy,
Ma wszystko, o czem zamarzy,
Ma szczęścia wszystkie — okruchy;
Uśmiech i łza jej do twarzy,
Koronki, perły i puchy!

I czasem tylko królowę
Tęsknota dziwna ogarnie,
Usteczka drżą karminowe...
Któżby śmiał ostrzedz królowę,
Że nigdy w noce majowe
Nie można igrać bezkarnie,
Z tem, za czem nawet królowę
Tęsknota czasem ogarnie?...

Z ARABESEK.

PRELUDIUM.

Na listku róży dzieje zwykłej treści
Opiszę, praca ręki mej nie znuży;
Miłości naszej poemat nie duży
Wraz z epilogiem, ręczę, że się zmieści
Na listku róży.

Dwie łzy, półuśmiech, i kaprys niewieści...
Ten utwór, pani, niechaj tobie służy!

Wspomnij, gdy krótkość jego cię oburzy,
Że dzieje szczęścia mego w tej powieści
Na listku róży...

II.

Wiem już, czemu ty wciąż pytasz mnie:
W co ja wierzę, a w co ja nie wierzę?
Pan Bóg, dziewczę, tyle rzeczy wie —
Nuż go spytam, czy kochasz mnie
[szczerze?...

Wierzym w Boga, dziewczę, ja i ty
I jednakie mówimy pacierze,
Lecz ja, wybacz, w szczęścia wieczne sny
Nawet wtedy, gdy kocham — nie wierzę.

III.

Rośnie kwiat polny nocą w lesie
Ukryty w cień i w ciszę,
Perełkę rosy, skarb jedyny,
Na listkach swych kołysze.

O świcie jasny słońca promień
Wpadł w leśny cień i ciszę.
Perełkę rosy zabrał z sobą —
A kwiat się wciąż kołysze...

IV.

Wyszedł z mody już romantyzm
I klasyczny spokój grecki,
Wyszedł z mody styl *roccoco*
I styl *empire* staroświecki.

Kwiat niebieski romantyzmu
Zwiądł, i wskrzesim go nie rychło;
Zaś o wdzięku form klasycznych
Dziwnie jakoś w krąg przycichło.

W przyszłość — nam już za daleko,
Nad poziomy — za wysoko;
Choćbyż został na pociechę
Styl *empire* lub styl *roccoco*!

Trudno stąpać wśród tej matni
Śladów, ścieżek i dróg tyłu...
Gdy ci mówię: »Kocham!« powiedz,
W jakim ja to mówię stylu?

Gdy ci mówię: »Kocham« powiedz,
Czy klasycznie brzmi choć trocha?
Lub przeciwnie mówisz sobie:
Romantycznie on mnie kocha?

Pani — miłość jak świat stara,
Starsza, jeśli się nie mylę,
Niż klasycyzm i romantyzm
I najlepsze wszystkie style.

V.

Pamiętasz? — dnia tego o zmierzchu
W salonie nie było nikogo.
Tyś grała preludyum Szopena...
Ach! wszyscy preludya grać mogą.

Lecz nikt mnie tej chwilki nie wróci,
Tej chwilki jak jasny sen krótkiej,
Gdy z pierwszym naszym uściskiem
Preludya urwały się zwrotki...

Wiesz, czemu na twarzy mej dzisiaj
Łzę cichą znienacka ujrzano? —
O zmierzchu mój sąsiad za ścianą
Dziś zagrał preludyum Szopena.

VI.

Gdy ranek majowy mgłą srebrną, mgłą lekką
Kwiateczki zroszone otuli,
Wyjdź, dziewczę, ze świtem na łąkę nad rzeką,
Tam ciebie pożegnam najczulej.

Gdy w lesie drzew czoła zapłonią się lekko
I świergot się zbudzi ptaszęcy,
Pożegnam cię, dziewczę, — i pójdę daleko
I nigdy nie wrócę już więcej!

A dokąd? — zapytasz, uśmiechniesz się lekko
I rzucisz dokoła spojrzeniem.
Dzieweczko, kraj, dokąd ja idę — daleko...
A zwie się ów kraj... Zapomnieniem.

WIOSENNEJ NOCY SEN...

Wiosenny życia dzień, wiem, chwilkę tylko trwa,
Lecz kiedy dla mnie zgasł, nie pomnę już, niestety!
Nie jeden raz, nie dwa, za życia piłem ja
Ze źródeł Lety.

Odtworzyć chciałem go ze wspomnień urn
[i zgliszcz.
Szał mię ogarnął znów i u stóp znów kobiety
Błagałem: »Czarem twym moc zapomnienia
Czar przełam Lety!« [zniszcz,

I przycichł cały świat, i srebrna jakaś mgła
Okryła nas i świat, i zapadł wieczór cichy,
I fijołkowa woń z traw oroszonych szła,
Wybiegły z pod stóp nam krokusów pstre kielichy.

I pierwszym szmerem, hen! w oddali zagrał gaj,
Rzuciły się ze skał strumyków lśniące żyły,
I drżące usta jej u ust mych przemówiły:
»Wiosennej nocy sen przemarzyć ty mi daj!«

I takeśmy z nią szli przez dziwy nocy tej,
A z czeremch biały puch rozpryskał się przed
[nami:
Jam wonny płatek zdjął ustami z włosów jej —
I takeśmy z nią szli przez noc tę — wonną — sami...

Lecz nagle zbladła w krąg zieloność lip i brzóz,
Przejrzysty, nikły cień roztopił w mgłę park cały,
Gdzie niegdzie pośród traw iskrami mignął mróz,
Z pod śnieżnych, białych plam przylaszczki
[wyzierały.

Raz po raz dziwny chłód przebiegał mimo nas;
Jak po przez mleczne szkła migotał księżyc
[w górze,
Zamarła kwiatów woń, barw świeżość ich i kras,
I dziwny jakiś lęk po całej szedł naturze.

I nie wiem dotąd sam, skąd zeschłych liści pęk
W jesienny, suchy chrzęst zazgrzytał mi pod nogą,
I oto samych nas zdjął smutek, żal i lęk — —
I przy mnie – zczezł jej cień. Nie było już nikogo.

»Gdzieś znikła, maro ty! Wiosenny mój ty śnie,
Zimowy podmuch zbiegł, ostatni, bezpowrotny,
Nie zmrozi więcej cię przeklęty chłód przelotny,
Patrz, letnia znowu noc — w nas nowe życie
[tchnie!«

Głos w ciszy przebrzmiał mój. I zbrakło słów
[i sił.
Na niebo wschodni brzask kładł krwawe fiolety.
Wiosenny dniu, co mnie po tobie? mnie, com pił,
Ze zdrojów Lety!

I jak samotny duch, co z miejsc na miejsca mknie,
Bez celu, wrażeń, żądz, i chęci, i podniety,
W otchłanie grobów znów po wiosny wracam śnie,
Do źródeł Lety.

UWAGA: Na str. 128 w wierszu 4 z góry przekreślić słowa: »Z seryi lirycznej«, *które przez pomyłkę tam wydrukowano.*

JÓZEF JANKOWSKI

ur. 1865 r. w Siedleckiem. Jest współpracownikiem prawie wszystkich pism warszawskich. Pisma: »Staccato«, poezye 1892, »Poezye« 1894, »Lalka« poemat (3 wydania), »Rytmy i rymy« 1898, »Zwrotki« 1904, »Skoczek«, poemat 1904, »Z seryi lirycznej« 1905.

Z SERYI LIRYCZNEJ.

MÓJ ŚWIAT.

Mój świat
Nie tam,
Gdzie u rozwartych życia bram
Radości płochej wzrasta kwiat, —
Gdzie gwarem głośnym uczt, w rozbiciu szumnych
[ech
Podźwięcza komnat strop, — gdzie srebrny tryska
[śmiech...
Gdzie krewkość bije z lic promienistością strzał,
Gdzie pustej wrzawy męt i zapomnienia szał...
Gdzie zapał, wziąwszy miecz, w zaciekłe idzie
[boje,
Tryumfem chwili wre i zdobycz święci swoję...
Gdzie ów szacowny hart w kruszeniu śmiałem tam
Osiąga fali wierzch, — ze słabych szydzi rad:
Mój świat —
Nie tam.

. . . .

Mój świat
Nie tam, gdzie ty, pamiątka młodych lat,
Gorących tchnień
Zapału,
Miłości krótki dzień...
Nie ziścił pragnień działu,
Rozkoszy, sercem śnionej, —
Z marzenia zdarł zasłony,
Na przyszłość rzucił cień...
Wieczności, niebu zadał kłam,
Bolesny, z grzechu plam
Zgryzoty roniąc ślad...
Mój świat —
Nie tam...
. . . .

Mój świat...
O! duchu uskrzydlony!
Z anielskich swoich szat,
Z wieczystej toni swej,
Na życia wieczne plony
Tęsknotę na mnie zwiej,
Do serca mego mów!
Mój świat —
Poczęty w sennych mgłach
Fantazyi mojej gmach,
Kraina cudnych snów, —
Gdzie tęczą złudnych kras najtrwalszy raj połyska
Harmonią boską form i kształtów bez nazwiska...

Gdzie zachód złoty lśni jesiennym wieńcem zórz,
Promiennem pasmem łun i malowanych smug, —
Gdzie chwila, wziąwszy lot, czarowny kraj
[odsłania
Śród idealnych sfer szczęsnego obcowania...
Gdzie łzy sperlonej rosą zachwyty błogie lśnią,
Gdzie senne szemrzą zdroje i lilie cicho śpią...
Gdzie pieśni Anioł-Stróż,
Nadziemskich świadom dróg,
Kieruje duszy lot aż do wieczności bram,
Gdzie duchów cichy schron, wytchnienia złoty
[próg,
Zadumy świętej szlak — i ciszy mojej Bóg.
. . . .

Tam, tam..

MARA.

Po tylu latach niewidzenia,
Ujrzałem ciebie znów —
I znów fatalnie się spłomienia
Najtkliwszy z moich snów.

I znów bym pragnął na zaklęcie,
Iść z tobą w dawny świat,
By podeptany tak zawzięcie,
Raz jeszcze podnieść kwiat...

A choć głos serca mi powiada:
Rzuć płochość — marę rzuć!
Trucizna w czarze tej i zdrada,
Śmiertelna na dnie chuć:

Do ust twych chciałbym tak zuchwale,
Na długi, słodki wczas,
Jak samobójca w cichym szale,
Ostatni przypaść raz —

I wypić wszystką czarę do dna,
Zakląwszy w chwilę wiek,
Byle mi śmierć z niej niezawodna,
Twych ust — jedyny lek!

POBUDKA.

SONET JEDNOZGŁOSKOWY.

Antoniemu Langemu, który napisał w *Tygodniku Illustrowanym* piękny sonet trzyzgłoskowy, a który, nie wątpię, napisałby równie piękny sonet miary mniejszej, niźli niniejsza jednozgłoskowa, gdyby taka miara w obwodzie dźwięku istniała *).

W bój!
Z czuć
Rzuć
Zdrój!

Skuj
Chuć!
Budź!
Stój:

Drwij
Z burz,
Rwij
Z zórz,
Żyj,
Twórz!

*) Zobacz niżej: A. Lange: Sonet *(Wyd.)*.

JÓZEF JEDLICZ KAPUŚCIEŃSKI



ur. 1879 r. w Wróblówce na Podhalu. Obecnie nauczyciel gimnazyalny we Lwowie. Poezye: »Słoneczna pieśń« 1905 i po czasopismach: »Krytyka«, »Chimera«, »Tydzień«.

PÓJDĘ NA CICHE POLA...

Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne,
Gdzie źródła młodych marzeń biją nieśmiertelne
I moich snów dziecięcych czuwa anioł blady...

Pójdę na białe, słońcem roześmiane chaty,
Gdzie śnią urokiem ziela wybujałe grzędy,
Gdzie święte, tajemnicze kwitnienia obrzędy
Mąci szałem radości ptactwa huf skrzydlaty.

Tam, w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony,
Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu pieści,
Siądę — śnieżną rozkoszą kwiecia upojony —

I będe słuchał jego długich opowieści;
W duszy mej barwną rzeszą zjawią się ogromne
Wizje dawnych czasów... I może zapomnę...

Z CYKLU: »OJCOWIE«.

TĘSKNOTA PÓL.

Hen, hen, po polach płynie szum przedziwnej wieści:
Jakaś białość promienna, złoty sen o wiośnie!
Gorący wiatr śnieżycę całuje i pieści;
Żółty kwiatek na śniegu już wzeszedł i rośnie

Białe pola już tają! mroczne strzechy śpiące
Wilgną! płoną już w słońcu długie mroźne sople!
Cały przód chaty święte ozłociło słońce;
Po strzesze z cichym pluskiem ciekną złote krople.

Oto dźwierze chałupy niemo się otwarły:
W głębi stają olbrzymie Widma i Postacie —
Przechodzą próg schyleni i w ciszy umarłej
Po oborze w promiennym kroczą majestacie.

Otwierają ogromne, podwórzowe wrota,
W świat wiodące, — nadziemska jakaś prze Ich wola,
Idą w dal, gdzie słoneczna Ich woła tęsknota,
W białą dal — hen, w śniegowe, złociejące pola...

WIOSENNE RANO.

Biała stokroć, zielone pręty, blade cienie,
Cichy żar, upojony swym własnym urokiem;
Złotych jaskrów na bagnię wilgotne płomienie,
Świeża zieleń — pachnące kwiaty nad potokiem!

Srebrzysty deszcz wiosenny, niby pereł struga,
Mży miłośnie w mieniące mgły, na łan zielony —
Jasny owies wykwita w mrocznych brózdach
[pługa,
Promienny blask na deszczu drży jak ptak
[spłoszony.

W dali Ojce umarli idą pustem polem —
Kroczą w świetle pustkowia schyleni i cisi,
Wśród modłów świeży zagon obchodzą półkolem,
By odegnać zarazę, co nad łanem wisi...

Z dalekich siół wciąż siwe unoszą się dymy,
Powiew trzęsie badylem uwiędłej paproci —
W białych mgłach kroczą sennie umarłe olbrzymy,
Deszcz ustał — słońce coraz ogniściej się złoci.

CISZA SŁONECZNA.

Sad zawodzi, jak we śnie, melodyą miłosną;
Przez sen westchnęły śpiewnie zielone jabłonie.
Taka cisza, że słychać wkrąg, jak drzewa rosną,
Lśniące obłoczki w modrym toną nieboskłonie —

W mrocznym sadzie usiada Ojców tłum dostojny,
Drzemią w ciszy — a powiew pieści śnieg Ich
[włosów,
Czasem spojrzą półsennie w pole, kędy znojny
Idzie chłop wśród roniących kwiecie sianokosów...

Naraz w progu rzeźbionych staroświeckich
[dźwierzy
Stanie dziecko i patrzy w drzewa, w głusze śniące,
Ujrzy dziwne postaci — ledwie oczom wierzy
I nazad w dom się cofa nieme, lękiem drżące...

Bo dziecko pomni dużo starych, dziwnych bajek!
I wie, że raz, gdy w górę darło się ukradkiem,
Znęcone skrytem w liściach gniazdem ptasich jajek:
Ktoś wsparł je przerażone, chroniąc przed
[upadkiem...

OCZY.

W mroku polany huczy gędźba tajemnicza!
Trysnęły złote iskry, jarki płomień bucha —
To Sobótka! — to płomię przedwiecznego Znicza,
Przed którym pierzcha w dale zły deszcz i posucha.

Jak chorowód rusałek pląsają dziewczęta!
Chłopcy jak widy skaczą w krąg czerwonej watry!
Pachnie siano skoszone, pachnie mak i mięta —
Rzewna nuta kobzarza leci w dal na Tatry.

Młoda para od watry w mroki się oddala:
Chłopak siłą dziewczynę przytulił do łona,
A ona drży — — miłosnej żądzy prze ją fala; —
Opiera się, — lecz idzie niema, zniewolona...

Weszli w szałas... uściskiem spletli się w po-
[mroczy —
Naraz lęk ich ogarnie, — żądzą nieprzytomne
Zwrócą głowy: — — W ciemności ujrzą świetlne
[oczy. —
Oczy groźnie wpatrzone, nadludzkie, ogromne!...

LETNIE POŁUDNIE.

W złocistych, nieruchomych spoczynkach południa,
Gdy droga pusta, jakby siołem przeszedł pomór;
Gdy słońce wisi nieme, a wieś się wyludnia:
Duchy Ojców wychodzą cicho ze swych komór...

Opuszczają swe mroczne, tajemne przybytki,
Idą chyłkiem pod strzechę milcząco i tajnie,
I patrzą niemo w rolne płody i pożytki,
Tykają starych pługów, pilnie patrzą w stajnie —

I kroczą siwowłosi i od skwaru płowi
Ku drzwiom chaty gazdowskiej, wchodzą w nieme
[progi,
Patrząc w głąb, błogosławią pustemu domowi
I o łaskę błagają stare, dobre Bogi — —

I dziękują im kornie za dni krótkiej słoty
I bezcenny dla żniwa czas złotej posuchy —
I śmieją się uśmiechem dziecięcej prostoty,
A cichy wiew wydyma Ich długie kożuchy. —

SZCZĘŚCIE ŻNIW.

Wieczór już — białe ściernie mroczny sen już
[chwyta —
U drogi gwarzą cudnie osiki i brzozy —
Rżą konie, czasem tryśnie iskra z pod kopyta —
Obciążone snopami, skrzypią stare wozy...

Jadą w pieśniach i gwarze — to ostatki żniwa!
Weselnymi okrzyki huka młodzież dziarska!
Góra snopów w pomroce radośnie się kiwa —
Konie rżą — jeden nozdrza wyciągnął i parska...

Po modrych, sennych polach płynie pieśń
[odwieczna:
Skończony trud! skończony! Niech kosy już
[drzemią!
Minęła twoja służba i praca słoneczna —
Spocznij w szczęściu i ciszy, spocznij Matko
[Ziemio...

Na wierzchu złotych snopów cichym, białym
[tłumem
Usiadły święte Duchy — i w błękit niebiosów
Uśmiechają się niemo, senni polnym szumem —
Bacząc, by nic ze świętych nie uronić kłosów...

PŁUGI.

Wśród starych lip, w zielonej baśni księżycowej,
Gdy pnie lśniących jabłoni rzucają cień długi,
A srebrny powiew trąca w twarde głusz okowy —
Leżą dwa opuszczone, stare, rdzawe pługi.

Ich martwe ciała objął urok ciszy święty
I otulił w grób mroku ich rdzawe lemiesze;
Wid-księżyc sypie z góry gwiazdy-dyamenty
I z wystygłych w martwocie radeł ognie krzesze...

A duchy starych Ojców, co mieszkają w strzesze,
Ślą ku nim z mroku stodół miłosne uśmiechy,
Żal tajemny pobudził w nocy ojców rzesze,
I szept błogosławieństwa idzie ode strzechy...

— O druhy dni minionych, święte, rdzawe pługi,
O kiedyż dumnem skrzydłem w niebios oddal
[szczytne
Wzlecimy, by przeorać one modre smugi,
Gdzie kiedyś nowe słońca i gwiazdy zakwitną!...

SIOSTRY.

Idą siostry, idą siostry trzy —
Jedna w białych dłoniach niesie łzy...

Druga, krocząc w mroku ciemnych drzew,
W swoich białych dłoniach niesie krew.

Trzecia w ciszy błędny stawia krok,
W swoich białych dłoniach niesie mrok.

Idą siostry w zmierzchu ciemnych drzew,
W ciszę spływa mrok i łzy i krew

Idą, idą, idą siostry trzy,
Dziwne, dziwne, dziwne jako sny..

CEZARY JELLENTA

ur. 1861 r. w Warszawie. Jest obecnie adwokatem tamże. »Poezye« 1902. Liczne prace beletrystyczne, filozoficzne, krytyczne etc.

OAZA.

Woń, blask, motyle, jak nad kwiatów wazą!
Przez kryształowe przelewa się stropy
Słońce i sztuczną owłada oazą —
Wid czarodziejski, czy gaj antylopy?

Ciepło i tkliwie. Pierś wziewa haszysze,
Tu mię Bóg lodów gnębić nie ma prawa!
Tchnieniem zefiru trawa się kołysze,
A pod drzew stopy ściele się murawa.

Tam, z za pni śmigłych, srebrny zdrój kaskady
Zaklęty w półsen, gędzie tajemniczo
Swą melodyjną baśń Szecherezady.

I tak muzyką pieści rozemdlałą,
Że głos katuszy zamarł jej słodyczą,
A dzwonom wspomnień serce bić przestało..

DZIATWA LASU.

Muzyką mi nie wrzawa dusznych miast gorąca,
Lecz szczebiot makolągwy, stukanie dzięcioła,
Płochliwy okrzyk kraski, gdy turkusem lśniąca
Wiga wśród drzew — kukułki pobudka wesoła,
Co naraz wszystkie struny ech uśpionych trąca.

Kapelą mą tysiączny ptaków chór; on słucha
Bicia mojego serca; tajemnicze dźwięki
Rozkwieconej natury drżą, jak skrzydła ducha,
To, grając jak skrzypcowe leśnych żuków brzęki,
To łopocąc tajemnie, jak ćma — polatucha.

Żyję, gdy dziatwa lasu na słońce wylega,
Gdy sarny nad zwierciadłem stanąwszy jeziorka,
Trwogę swych wielkich oczów ślą do mego brzega,
I sam się dzikim staję, gdy zwinna wiewiórka,
Nie tknąwszy ziemi, knieję po gałęziach zbiega.

Las mię zrodził, kołysał. Jam ptakom rówieśny,
W podszytych dębem jodłach przelatam swobodnie,
Upojony śpiewami w sen zapadam wcześny,
A budzę się i zrywam, gdy las świtem chłodnie
I górą jodeł płynie szum dziwny bezkreśny...

JAN KASPROWICZ



ur. 1860 r. w Szymborzu na Kujawach z rodziny chłopskiej. Obecnie osiadł na stałe w Poroninie koło Zakopanego. Dzieła: »Poezye« 1889, »Chrystus« 1891, »Z chłopskiego zagonu« 1891, »Anima Lachrymans« 1894, »Miłość« 1894, »Krzak dzikiej róży« 1898 (1907), »Ginącemu światu« 1901. Kilka dramatów, liczne przekłady dzieł poetyckich.

MODLITWO MOJA, CICHA I BEZ SŁÓW!

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz,
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy, wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Łowisz po drodze głuche szumy drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony:
Przygnębiający, pogrzebowy śpiew,
Na strunach żałob jesiennych zrodzony,
Łowisz po drodze z serca nagich drzew.

Na brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiędłe ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmuje cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad brzegami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą;

Żałość wyziera z twych pobladłych ócz,
Gdy spoczniesz w gnieździe, rozrzuconem burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego człeka,
Niedomówionych lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróżbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię bożą wielki upadł cień,
Widma rozpaczy po jej ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drżeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą łuną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

W wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięskich pochodów tętenty;
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,

Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, milcząca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...
O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięgłej,
Niemej, a głośnej! Dusza o tem śni,
By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć śród jej pól!
O ciało słabe! o duchu znikomy:
Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknocie złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja cicha i bez słów!...

BYŁEŚ MI TŁUMIE BOŻYSZCZEM.

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie,
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Dziś z resztką siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy,
Krwawy molochu, coś pożarł me serce,
Jak wampir wyssał drogi szpik mej duszy!

Królu w łachmanach, siedzący na tronie,
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętną paszczę zmienia.

Wytrzeszczasz straszne bazyliszka oczy,
Albo je chytrze przysłaniasz obłudą,
Wabiąc zwierzynę, która we krwi broczy,
Pod twym pazurem, pod twą ręką chudą.

Żer w twe koryto ciągle znoszą wieki,
Wnętrzności swoje rzucając pod nogi,
Ty, od nasyceń wieczyście daleki,
Wściekłyś z pragnienia, — jak żbik, z głoduś srogi.

Myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
Czystość poświęceń, rycerskie porywy,

Modły zachwytne, dyscyplinne razy,
Krwi stygmatycznej święty strumień żywy...

Gwoździe, co sine przebijają ręce,
Ciernie, co kłują blado-żółte skronie:
Wszystko to ginie w twej potwornej szczęce,
Wszystko to brzuch twój w swoich bezdniach
[chłonie.

Przywlokłeś ku mnie swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały jak pachołek służę.

Przyszedłeś ku mnie, ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemięzcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Przyszedłeś ku mnie, dzierżycielu pięści,
I pokazując nabrzmiałe ramiona:
»Glob się z tej mocy rozpadnie na części,
Świat zła — krzyknąłeś, pod tym gromem skona!«

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe opoki rozkruszą?
I bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!

Widzę: olbrzymie szeregi się zbiegły,
Skórzane mają u pasa fartuchy...
Tylcami młotów walą w świątyń cegły,
Przestwór wypełnia huk i łoskot głuchy!

Widzę centaury przebiegają ziemię,
Miast łuków, dzierżą płomienne pochodnie!
Kopyta w iskrach!... Gdzież ta siła drzemie,
Co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnię?

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

To jest konieczność: padł, orząc twe łany,
Ty go przygnieciesz swem cielskiem kosmatem,
Brutalny zwierzu! Ty, bożku miedziany,
Runiesz na niego całym swoim światem...

A sam na pulchnej od popiołów roli,
Na którą padło to przekleństwo boże,
Będziesz już brzuch swój wypasał dowoli,
Nienasycony, stugębny potworze!

Ty wrogu ducha! stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy: na zwiędłem pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała!

Gdzieś dawnych bóżnic zburzył fundamenty,
Tam nowy kościół dla ciebie powstanie,
O! nieskalany! o boski! o święty!
O! ty mocarzu! królu i kapłanie!

Jest wielki ołtarz, cały złotem błyszczy!
Na nim twe ścierwo rozpiera się tłuste,
Między pierwszemi najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę!

Długo tak będziesz cesarzył, o krwawy,
Dziki Molochu, coś pożarł me serce?
Aż śród piekielnej obedrą cię wrzawy,
Jadła i picia spragnieni odzierce.

Żebrak cię zwali, zziębnięty i bosy,
Ten, co swą nędzą aż do łez poruszy!
Sługa jarzemny rozstrzygnie twe losy,
Wampirze, ssący drogi szpik mej duszy!

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco! coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy
Więżąc mnie w swojej dławiącej obroży!

Z WIRCHÓW I HAL.

WIATR HALNY.

Huczy nademną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, z trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładzie na wysmukłe smreki.

Od razu kłody o grubości snopów
Gną się w mych oczach, jak źdźbła lichej słomy:
Tak igra niemi głuchy, niewidomy
Gość, co od skalnych wlecze się przekopów.

Idę, wciąż idę po jęczącym borze...
I choć spotykam pnie, wyrwane z ziemi,
Ten szał, w błękitnym zbudzony przestworze,

By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza... Radbym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa.

CISZA WIECZORNA.

1.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnniczne w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

2.

Płonie kamienna Tatr korona,
A Cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

3.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp Ciszy
Li jednostajny szmer Siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy..

4.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona,

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny;

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wirchy, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

5.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi —
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa,
Aż w tym bezkresie wyczerpania

Sama jak tęskna mdleje dziewa...
A z nią i ludzki ból omdlewa...

SONETY.

MRÓZ.

Baranią czapkę nacisnął na uszy
I wyszedł w pole. Milczkiem powitały
Upiorne świerki. Mróz siarczysty, biały!
Pod jego stopą suchy śnieg się kruszy.

Styczniowych nocy Pan zaciera dłonie,
Iż stłumił życie po drogach: nie złowi
Żadnego głosu... tylko potokowi
Szumy się z piersi wyrywają. Po nie

Zagniewany idzie Mróz. Chce ściąć oddechem
Moc, która płynie, kajdanom daleka.
Zgiął się na brzegu, powiał lodem. W lesie

Zamarły drzewa... Lecz szumiąca echem
Wieczności, w tajniach gór zrodzona rzeka,
Hymn swój, wciąż żywy, w dal miesięczną niesie.

DROGA.

Wybrałem sobie drogę, której sanie
Moich sąsiadów nie ruszyły. W lecie
Krzewna tu rosła trawa, dziś zamiecie
Biel swą pokładły na przemarzłym łanie.

Brnę po pas w śniegu, pot mi czoło zlewa,
Choć takie zimno, że kawki i wrony
Znikły, a wczoraj tłum ich wygłodzony
Wrzaskiem oprzędzał te samotne drzewa.

Śmieją się ze mnie poczciwi ludziska;
Po co wam, panie, trud ten? tak się żali
Chłop, który czasu dość miał poznać zblizka

Potrzeby życia... Lecz ja brodzę dalej,
Zda mi się bowiem, że z tej drogi końca
Zobaczę lepiej zachód mego słońca.

DZWONKI SANEK.

Szczelnie dziś okna przysłoniłem w domu —
Nie chcę, by zajrzał kto do mego wnętrza:
Cisza w niem teraz włada przenajświętsza,
Jej tajemnicy nie zdradzę nikomu.

Żali szczęśliwsza godzina być może
Nad tę samotność, której siła żywa
Gdzieś w ponadziemski przestwór nas porywa
I w bezgranicznym roztapia przestworze?

Zdarzyła mi się przecież chwilka jedna
Że, gdym usłyszał bujne dzwonki sanek,
Mknących po mrozie, jakaś moc bezwiedna

Do przysłoniętych pchnęła mnie firanek.
Alem się oparł: Pocóż księżyc złoty
Miałby się chyłkiem zaśmiać z mej tęsknoty?...

Z CYKLU: »GINĄCEMU ŚWIATU«:

ŚWIĘTY BOŻE! ŚWIĘTY MOCNY!

(Fragment).

Jestem!
Jestem i płaczę...
Biję skrzydłami,
jak ptak ten ranny,
jak ptak ten nocny,
któremu okiem kazano skrwawionem
patrzeć w blask słońca...
A u mych stóp
samotny kopią grób,
a czarna wrona
na Bożej męki usiadłszy ramiona,
bez końca kracze
i dzióbem zmarłe rozsypuje próchno...
A ci się wloką,
świetlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,
jak cienie
do wielkiej się wloką mogiły...
Za nimi dziewanny
z piaszczystych wydm się ruszyły,
z miedz się ruszyły krwawniki,
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,
tatarak zaszumiał w wądolcach
i z mułu otrząsnąwszy pachnące korzenie,
idzie wraz z niemi...

z mokradeł kępy rogoży
z przydroży
osty o żółtych kolcach,
szerokolistne łopiany,
senne podbiały,
fioletowe szaleje,
cierniste głogi
wstały
i idą...
Liśćmi miękkimi
wierzb zaszeleścił rząd
i w cichej sunie się żałobie
śladem ich drogi...
Całe rżyska zaścielone łany
oderwały się w tej dobie
od macierzystej ziemi
i niby olbrzymie ściany,
wzniosły się w górę i płyną
tą wielką żalu godziną...
A Ty, o Boże!
O Nieśmiertelny!
O wieńcem blasków owity!
Na niedostępnym tronie
siedzisz pomiędzy gwiazdami
i głową na złocistym spocząwszy Trójkącie,
krzyż trójramienny mając u swych nóg,
proch gwiazd w klepsydrze przesypujesz złotej
i ani spojrzysz na padolny smug!
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

Słońcom naznaczasz obroty,
gasisz księżyce,
jutrznie zapalasz i zorze
i płodzisz zasiew na byty,
na pełne cierpień żywoty,
które tu muszą mrzeć
w samotny kłaść się grób...
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!
O Boże
o mocny
Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas głód!
Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.
A, jak ryczący lew,
Szatan po ziemi tej krąży,
na pokolenia
zarzuca zdradną sieć,
w synu na ojca zapalczywość budzi,
wynaturzony gniew,
że syn przed ojcem zamyka swój dom!
Bratu na brata wciska krwawy nóż,
a nasze siostry i żony
na straszny rzuca srom...
Podpala nasze stodoły
z garstką zwiezionych świeżo zbóż,
mordy narodów wszczyna i pożogę
sieje na miasta i wsi
i przekleństwami znaczy swoją drogę...
O, zniszczeń dymiące dni!

A my, ten ród potępiony,
krzyże ująwszy w dłonie
i zblakłe w krwawym pochodzie,
trupiemi piszczelami znaczone chorągwie,
idziem o głodzie
po tym śmiertelnym wygonie,
w ten znojny
w ten nieszczęśliwy czas,
w którym konają wieki
i wciąż się rodzą nowe
na cięższą jeszcze niedolę —
idziemy, biedną pochyliwszy głowę
jak ten zsieczony las —
idziemy, a kres tak daleki!
A lęk niespokojny
biczem popędza nas
i dech zapiera wśród łon...
A naokoło rozlega się dzwon,
na te cmentarne przelewa się pole,
na te wyschnięte rzeki,
w chojary żałobą swą godzi,
że te się kładą na piaszczystym łanie..
A pierś nasza łka
a w oku błyszczy łza,
a ptak ciężko ranny
uderza w skrzydła łzą ociekające,
a jaskier więdnie na łące,
a z nami idą dziewanny
i krwawnik i wodne lilije,

a mór nam bydło bije,
a dom się nasz pali,
a siostra utonęła w rozpienionej fali,
a ojciec gdzieś daleko w strasznej zginął bitwie,
a Złe urąga modlitwie...
Cóż z nami się stanie!?
O, Ty, łaskami hojny,
Ty, od powietrza, głodu, ognia i wojny,
od nagłej niespodziewanej śmierci
i od Szatana, który w dom przychodzi
i dusze zwodzi –
zachowaj nas, Panie!...

Nie skłonił się jeszcze dzień,
a Szatan z moczarów łożyska,
gdzie nocą ognikami błyska,
z czeluści błota wstał
a gdy najkrótszy słońce rzuca cień
na te manowce,
na te ścierniska,
pod ramię chwycił kościotrupa
i wzrósł nad jego niebosięgłą stal –
nad Ciebie, Boże, wzrósł!...
Masz-li Ty grom –
masz-li Ty chmurę w ten południa skwar
aby z niej piorun padł
i od Szatana uwolnił ten świat?
Wal błyskawicą, wal!
Niechaj się łamie,

niech się rozkruszy ta zdrada,
która nad życiem i nad śmiercią włada!...
. . . .
Szatanie!
Ty kościotrupa chwyciłeś pod ramię
i nad wysokość jego ostrej kosy
wzrosłeś w niebiosy —
a grom nie pada!
Z nieukojoną żałobą
klękam przed Tobą!
Zlituj się, zlituj nad ziemią,
gdzie ból i rozpacz drzemią,
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega
i w strasznej pieśni brzmi...
Szatanie!
Kop mi samotny grób
na opuszczonym łanie,
u krzyża czarnego stóp,
pod gliny powłoką rdzawą!
A iżby nie porósł trawą,
tańcz na nim taniec piekielny
po wszystkie dni!...
A, Ty, o Święty!
A, Ty, o Mocny!
Ty, Nieśmiertelny,
proch gwiazd przesypuj w Swej klepsydrze złotej
i płódź żywoty,
aby tak klęły, jak ja;
aby płakały, jak ja;

aby w szarpiącej modlitwie,
co jako dzwon ten łka,
o zmiłowanie prosiły;
aby się wlokły z gromnicami w dłoni
ku tej nieznanej ustroni,
do tej ostatniej mogiły;
abv tak wyschły jak łza,
której już oko nic płakać nie może;
aby tak marły jak ja —
O Święty, Nieśmiertelny! Święty Mocny Boże!

MARYA KAZECKA

ur. 1882 r. Córka powstańca z r. 1863, Tomasza Kazeckiego. Poezye: »Kędy milczy słońce« 1903, »Akwarelle« 1904, »Poezye« 1905, »Poezye« tom IV, 1908. Mieszka we Lwowie.

AVE.

1.

Stojąc w oknie szeptała: Ave!.. Ave!.. Chryste...
Moc słodka idzie z morza granatowej nocy,
Rozdzwoniły się krzewy, tłum pluszczów świergoce,
Cisze dziwne się chwieją białe, przeźroczyste...

Srebro siada na źdźbełkach błękitnej murawy...
Nimfy jakieś zwolnione z błękitnych opasek
Idą w młody cień liści ledwo-zielonawy...
Pluskać się, łowić w dłonie muszelki i piasek...

Tyle ciepłych kolorów jest w ciszy przede mną,
Blasków miękkich drgających w łonie białych
[maków,
Woni świeżych, melodyi zakochanych ptaków,

W mojej celi pokutnej tak pusto i ciemno,
Wątłem złotem migocą skry tylko świetliste
Lampki Twojej oliwnej — Ave!... Ave!... Chryste.

II.

— — — — — — — — — — — — — — —

Rzeka słońca powodzią przejasną się kłoni,
Rozlewają się fale ze złotym szelestem,
Modląc się w czarodziejstwie światła: — smutna
[jestem...
— — — — — — — — — — — — — — —

Ktoś wyrwał serce moje z białych twoich dłoni...

— — — — — — — — — — — — — — —

Do stóp bosych tak słońce przypadło radośnie...
Że pokusą mnie naszła i grzechem myśl pusta,
Dać mu, Chryste, całować i oczy i usta
W liliowej, strojnej, cicho rozkwitniętej wiośnie...

Kwiatów wczesnych otwarte, zbyt pełne amfory
Woń stężałą w powietrzu, mgłę do mniszej celi
Ślą przesłodką, przez ogród, Chryste, różnowzory

Więc w różanych mych dłoniach jak konchy
[perłowe
W ciepłych dłoniach o palcach opłatkowej bieli
Tulę srebrne, okrągłe, ziarna różańcowe...

III.

— — — — — — — — — — — — — —

Na kobiercu w szmat kanwi, jedwabny, kwiecisty,
Wiosna nici wysnutych, — więc, Chryste męczenic,
Piję smutki tej wiosny hostyami mych źrenic,
Bo może ja jej więcej nie zobaczę, Chryste!...

Kiedy minie, to świateł ofiarnych ci łunę
Przed obrazem zapalę i patrząc w ich chwiejność
Płomykową, — w gromniczną położę się trunę
Sama, — a Ty mi z duszy zdejmiesz Beznadziejność.
— — — — — — — — — — — — — —

KAZET (Zdzisław Kamiński)

ur. w 1862 roku. Pracuje jako górnik w Galicyi. Pisma: »Scherza« trzy tomy. »Plamka« i »W królestwie nocy«, nowele. Dramat napisany wspólnie z H. Zbierzchowskim pt. »Mrok« został odznaczony na konkursie Wydziału krajowego. Po czasopismach wiersze satyryczne, humoreski i nowele.

PO CO.

Przyroda pełna kwiatów, barw i woni,
Cichutko nucą senne ptasząt chóry,
Słońce z brylantów złota i purpury
Niedługo rąbek błękitu zasłoni,
Już na wieczerzę wabią z chatek dymy,
Już ukończone w polach prace żmudne:
Spoczynek... Po co ubierać to w rymy,
Co samo przez się już takie jest cudne!

Kto z was nie stąpał po kobiercu z wrzosów
Do tej ogromnej świątyni z zieleni,
Tam, gdzie organy są z ptaszęcych głosów
W królestwie dumań i ciszy i cieni?
Te świerki smukłe i dęby olbrzymy
I uroczyska tajemne, bezludne:
To las — ach po co ubierać to w rymy,
Co samo przez się już takie jest cudne!

Nad moją głową sklepienie z błękitu,
A u stóp huczą mórz groźne głębiny,
Tam, gdzie granice zachodu i świtu
Niebo i ziemię łączy rąbek siny.
To Twoje dzieło o Stwórco! wierzymy.
Od gwiazdki w górze, aż do morskich wód dna;
Ziemio! — ach po co ubierać cię w rymy,
Kiedyś ty sama przez się taka cudna!

Żebraczka z dzieckiem stanęła u proga
I po jałmużnę sięga chudą ręką,
Biegną me dziatki: »tatku, mamo droga!
Kobieta biedna z dzieciną maleńką!
My jej cieniutką koszulkę włożymy,
Maleństwo takie obdarte i brudne!«
Serduszko! — po co ubierać cię w rymy,
Kiedy ty samo przez się takie cudne!

Gdy luba włoży pod główkę rączęta
I gdy ją do snu w puch otuli łoże,
Odsłoni marmur koszulka wycięta:
Piękniejszą nawet Wenus być nie może!
Choćbym miał wielki talent Deotymy,
Opisać wszystko zadanie za trudne...
Wszystko? — ach po co ubierać to w rymy
Co samo przez się już takie jest cudne!

Ach i ta chwilka rozkoszna, namiętna,
Gdy się me usta w jej usteczka wpiły,

Przy sercu, serce, razem biją tętna
I strugi lawy przebiegają żyły,
Gdy się w gorącym uścisku złączymy
Jedyne szczęście w miłości nie złudne:
Całus! — ach po co ubierać to w rymy,
Co samo przez się już takie jest cudne!

SAMOBÓJCY.

Dziś przeżywamy taką porę
W »nowego wieku« ćwierci,
Gdy ludzkość sobie »con amore«
Urządza sport ze śmierci.
Co numer świeci z szpalt gazety,
Co dzień tam zobaczycie
Ciekawy opis (tak, niestety!)
Jak ktoś swe skrócił życie.

Trafiało się i w dawnej erze,
Że człek wśród życia męki
O słabym wątłym charakterze
Pochwycił broń do ręki.
W rozpaczy biedak w przepaść leci,
Gdy przeżył dni tułacze...
Dziś... sport ten uprawiają »dzieci«,
»Pędraki« i »smarkacze«.

Co? — Obowiązki! cnota! wiara!
Któż bierze to na seryo?!

Formułka moralistów stara
Jest mrzonką, fanaberyą!

»Ojczyzna!« »ludzkość!« »społeczeństwo!»
Niech nikt się nie odzywa!
Ważniejsze są niż to błazeństwo
Samobójstw dziś motywa.

Ta sprawa teraz idzie gładko:
Młodzian w szesnastej wiośnie,
Zawrócił sobie łeb dzierlatką
I wzdycha: ach! miłośnie.
Lecz Heloiza swe kochanie
Ku innej zwraca stronie...
  Gardzisz mną? dobrze, niech się stanie!
Bęc: w serce, albo w skronie.

Studencik z drugiej, trzeciej klasy,
Typ lenia i nieroby,
Dostawał dwójkę w dawne czasy,
Dziś na to ma sposoby.
Dziś? Groźba!... to są rzeczy znane,
Gimnazyum czy realne:
— Jeżeli »pierwszej« nie dostanę,
To zaraz »w łeb se palnę«.

Z natury rzeczy już wynika,
Nie może być tak samo.
Raz nie otrzyma Jaś piernika,
Zastrzeli się przed mamą —

I nie zapadnie jeszcze klamka,
Bo wkrótce usłyszycie:
»Nie chciała malcu dać ssać mamka:
Odebrał sobie życie«.

Z CYKLU: »SONETY GÓRNIKA«.

STRUMIEŃ PODZIEMNY.

Głęboko w ziemi, w skał twardej osłonie
Strumień się sączy, nieznany dla świata,
Szmer wody uszu ludzkich nie dolata,
Mętne, jak kiry, czarne jego tonie.

Nigdy ponad nim tam słońce nie płonie,
Obca mu tęcza motyli skrzydlata,
Zefirów tchnienie, kwiatów barwna szata...
Nie patrzy w niego lazur w gwiazd koronie.

Przez długie wieki ciche wody cieką,
Nikt o istnieniu nie myśli strumienia...
Nagle, dopływem tajemnym wezbrany,

Strumień się staje wielką rwącą rzeką,
Podmywa komór filary i ściany:
Tytanów dzieła w zapadlisko zmienia.

W KOPALNI.

Wśród nocy wiecznej, jak w grobowej cieśni,
Na zrębie zbitej kilofami ściany
Siedzę w ponurą pieśń ciszy wsłuchany,
W tony żałobnej tej, podziemnej pieśni.

Wilgotny chodnik z rudo-szarej pleśni
W świetle kaganka, jak we krwi, skąpany —
Sam jestem... może na śmierć tu skazany...
Gdzie bracia moi, gdzie moi rówieśni?

Światło przygasa... w dali coś się mroczy,
Coś szepce, wzdycha, kołacze, szeleszcze:
To szmer strumienia, co w głębinach płynie.

Tam... co to? zimne przechodzą mię dreszcze!
Ujrzałem nagle w skalistej szczelinie
Wpatrzone we mnie straszne śmierci oczy.

MARYA KOMORNICKA

urodz. 1876 r. w Grabowie nad Pilicą. »Baśnie i psalmodye« 1900, poezye po czasopismach.

AKT POKORY.

Nie wierzcie mi... ja kłamię wam...
Ja się rozpacznie rwę
Do raju bram...
Nostalgii czarną chmurą
Nad morzem płynę łez –
Latami płynę sam...
I śmiercią złą, ponurą
Mrę...

Nie wierzcie mi... ja wam bezczelnie kłamię,
Gdy archanielskie skrzydła
I tytaniczne ramię
Wyciągam w śpiew..
Zaprawdę mówię wam –
To bohaterskie znamię –
Ta wrąca – purpurowo-złota krew –
To wizye, to mamidła,
To kłam!

Jam jest wasz brat – znękany, nędzny, chory...
Choć jasny wstęgą tęczy –
Choć zbrojny w Cherubinów miecze,
Bogaty jak kosmiczne mgły...

Jam brudny, nędzny, słaby, chory,
Jak wy...

Jednako błądzim wszyscy — wszyscy
Jednako błądzą
Podniośli — piękni — mali — nizcy...
Błędami, bólem, żądzą —
Jam wasz brat.

I tylko wszechmyśl, panująca we mnie,
Podnosi mnie nad wasze smutne czoła
Jehowy daje moc...
Co wam, wrzuconym w beznadziei ciemnie —
Skutym w bezwiednych błędów koła —
W dzień mroczny rozwidnia
Wiekuistą noc...

MAJ.

* * *

W tajniach ogrodu zdaleka
Kuchułka wabi w fale
Zielone —
Chodź, śpiewa, życie ucieka —
W majowym szale
Śmierć jak kochanka cię czeka
Z wieńcem na głowie.
Chodź do mnie, w cichej dąbrowie,

W rozwianem, pachnącem świetle
Zielonych liści
Sen ci się ziści
Przedziwny —
Cze-ka! cze-ka! cze-ka!

(Pokusa wiatru wiosennego).

Daje się nieść
Jak pajęczyna wichrom południowym
I jak pył,
Co nie wie, jak się wzbije i gdzie padnie.
Przymknij oczy —
Niech z pod powiek patrzą w dal ruchomą —
Mądrość znajdziesz
Nie w początku drogi — lecz na końcu.

Dalej w świat —
Tutaj więcej nic nie czeka.
Nie trwóż się,
Że cię ograbią i omamią —
Jeśliś jest
Myśliwym życia — na co reszta?
Niech ci wezmą
Wszystko — wtedy wszystko będzie twojem.

Złodziej w trzosie
Prawdę, zbiegłszy, ci zostawi,

Zdrajca nożem
Pierś otworzy zbyt ścieśnioną —
Tobie nikt
Wyrządzić krzywdy nie jest w stanie
Każdy ból
Nowem niebem cię obdarzy.

Wszelka droga,
Którą pójdziesz nieulękle,
Wiedzie w jasność,
W źródło wiedzy i potęgi.
Dalej w światy —
Twarda zbroja twa, bezpieczna,
I lśni gwiazda
Przeznaczenia nad twą głową!

Odbiję łódkę od brzegu —
Podpłynę
Między toń i niebo sine
W głębinę
Widnokręgów — —
Chwycę się promieni w biegu
Słonecznych —
Szlakiem dróg w szafirze mlecznych
Popłynę —

Oderwę stopy od ziemi –
Polecę
Łukami nieba jasnemi,
Co świecą
Tęczami,
W ślad za gwiazdami złotemi,
Ze łzami
Zachwytu, szczęścia i żalu
Polecę.

O zielono-płowa grzywo
Trawy
Nad wodą –
O kwieciste, białe sady
Pełne pszczół –
O zapachu słodki, dziki
Ziół
Majowych –
O błękitno-złota, świeża
Pogodo!
Pełza myśl moja, wspominająca,
Między źdźbłami,
Pełza po źdźbłach trawy szafirowych
Myśl jak robak –

Jak majowy żuk, wylęgły świeżo,
Jak zmoczony rosą motyl
Biały.
O jak dziwnie przez źdźbła traw wygląda
Twoje wielkie, rozzłocone niebo
Panie — — —

Z. WASIŁOWSKICH

MARYA KONOPNICKA



ur. 1846 r. w Sieniątkach. W r. 1902 obchodziła 25-letni jubileusz we Lwowie. Jako dar narodowy ofiarowano jej dworek w Żarnowcu w Jasielskiem, gdzie jubilatka odtąd stale przebywa. Dzieła: Poezye cztery tomy 1881, 1883, 1887, 1896, »Linie i dźwięki« 1897, »Italia« 1901, »Damnata« 1900, Poezye w nowym układzie, 6 tomów, 1902—1905, »Nowe pieśni« 1905, »Głosy Ciszy« 1906, »Przez głębinę« 1907. Najpiękniejszy jej utwór »Pan Balzer w Brazylii« w druku. Kilka tomów nowel i opisów, poezye dla młodzieży, mnóstwo przekładów wierszem, dzieł krytyczno-literackich etc.

O NOWYM RANKU.

...O nowym ranku świata
Rzucam tę czarną lutnię,
Co gra i śpiewa smutnie,
— Bo oto z krańca mórz,
Z dnia brzaskiem, z świtem słońca,
Cała promieniejąca
Od jutrzenkowych zórz,
Nowa mi pieśń, wiosenne ptasze już nadlata!

O nowym ranku świata
Naciągam struny złote,
Z promieni dnia je plotę,
Roztęczam blaskiem ros...
Bo już skroś martwych pleśni,
Szumiących zdrojów pieśni
Z gór leci huk i głos...
I ziemi już utkana nowej wiosny szata!

O nowym ranku świata
Wiążę me struny złote,
Nie na ból, na tęsknotę,
Na serca stary żal...
W błękity je, bez mety,
Z planety na planety,
W najdalszą rzucam dal...
Od słońc — do słońc, strun moich złoci się już [krata!

MŁODY ŻOŁNIERZU.

...Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
W jaki ty idziesz bój?...

. . . .

W śmiertelny idę bój,
W śmiertelny trud i znój,
W śmiertelny proch i pył,
W bój, który wiecznie był,
I wiecznie trwa —
Idę radosny,
A na promiennym puklerzu
Mej wiosny
Jutrzenka tęczą siedmiobarwną gra!

Wskroś mroków i omdlenia,
Wskroś burzy i zawiei,
Bez wodza i bez roty,
Bez chwały, bez korzyści,
Sam niosąc sztandar mój,
W bój idę wszechtęsknoty,
W bój idę wszechpragnienia,
W bój idę wszechnadziei,
— Co gdy się ziści, nie dla mnie się ziści, —
W śmiertelny duchów bój!

Na śmierć, na skon,
Młodość mą niosę,

Pod żeńca kosę,
Jak złoty plon,
Ciężki od ros...
Idę cichy, płonący,
Idę w mrokach — żarzący,
Na wielkie bojowisko,
Gdzie duchów wszechognisko
Płonie, świeci, rozbłyska...
Lecę — iskra ogniska
Na całopalny stos!

Może rozwidnię sobą
Pola, czarne żałobą,
Może sobą ogrzeję
Stygnącą serc nadzieję...

Jako się rzuca z szczytów
Gwałtowny, skalny zdrój,
Tak — jasny od jutra świtów —
Idę w ten bój,
Co z mojem życiem,
I z serca biciem
Jest nierozdzielny...
W bój duchów idę! W bój duchów śmiertelny!

Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
Za co ty idziesz w bój?
. . . .

...Za wszystko dobre idę w bój!
Za ideałów ołtarz mój,
Za życia moc,
Za życia zdrój,
Co dla milionów niezrodzonych płynie,
W tajemnych wieków głębinie,
W bój idę, wierny przymierzu,
Co duchy w ogniwa sprzęga...
— Na śmierć! jest moja przysięga,
Na śmierć! — mej tarczy znak.

W bój idę za bratni rój,
Za ciszę i plenność pól,
Za ciszę i światło chat,
Za borów szum, za łężny kwiat,
Za mogił zapomnianych tajemniczy ból,
Ja, traw podobnych, podeptanych brat,
W odkupień idę bój!
Idę, by na swem gnieździe mógł śpiewać wolny
By ziemia mogła rodzić dla łaknących kłosy, [ptak,
By usłyszane były jutra tajne głosy,
W pustym, bezdusznym dnia gwarze...
Za podniesienie pochylonych głów,
W promienność słońca...

Za wielką pieśń bez słów,
Którą na dziejów cytarze,
Co świeci chwałą złota,
Na strunach czynów

Z ojców na synów,
Nieśmiertelny hymn żywota,
Naród — od lat tysiąca —
Sam sobie gra!

Ja skra,
Ja ruch,
Ja młodość świata,
Ja życia duch,
Co z grobów wzlata,
Ja życia zdrój,
Za wszystko dobre idę w bój,
W śmiertelny bój!

ZADUMANE MOJE OCZY.

...,Zadumane moje oczy,
Twarz schylona i zakryta,
Mrok powiewa chustą ciemną...
Widzę przecież jak nademną,
Na szafirów gdzieś roztoczy
Złotych astrów łan zakwita.

...Dusza moja w gwiazdach czyta...

Jakaś wielka, mglista karta,
W tajemnicze runy ryta,
Skroś otwiera się przedemną,
Skroś przedemną jest otwarta...

W izbie mojej pusto, ciemo,
W zadumaniu twarz zakryta,

...Dusza moja w gwiazdach czyta...
. . . .

Ziemio! ty będziesz tak myślami bita,
Jak burzliwym oceanem.
Aż w polu zorzą owianem,
Ostatni kłos twego żyta
W chleb się braterstwa przemieni,
Pełen promieni,
Który rozłamią z sobą przez lądy i wody
Świata narody.

Ziemio! Ty będziesz tak chłostana duchem,
I siedmiu wichrami jego,
Które na ciebie nawalnicą puści,
Że musisz dźwignąć się wszechmocnym ruchem,
Z prastarych orbit czeluści,
Coraz wyższymi kręgi wstępując bez końca –
Do najwyższego,
Do kręgu słońca!
. . . .
Już teraz fale myśli gdzieś z świtów nawału,
Podmywają twoje brzegi,
Wdzierają się w twoje właście,
Na twe szczyty, w twe przepaście,
Jak niecofnione zdobywców szeregi.

Każda myśl wstrząsa twą starą łupiną —
Każdy przypływ ideału,
W pierś twą uderza,
Jak fala świeża,
Przygnana tchem potężnym z głębin oceanu
Nieskończoności!
Aż kiedy przejdą wieki i czasy przeminą,
Wśród radosnego peanu
Wszechświata i wszechmiłości,
Rozleją się potopem myśli jasne tonie,
Po twojem łonie,
I — nowa Atlantyda — w wód nowych naporze
Musisz uledz! Nad tobą będzie myśli morze!

Już teraz wstają wichry! Od kończyn gdzieś
Burza duchów nadlata... [świata
Jedne w ogromnym pędzie,
W błyskawicznym locie,
Inne — jako łabędzie,
W gasnącej zórz pozłocie,
W szerokich łun zachodzie,
Wypływające, ciche, srebrne łodzie...
Inne, ledwo z chmur czasu mrokiem się wylęgły,
I rogate piorunem ukazały czoła...
Ale ruch wieczny już je wszystkie woła,
Już je na cztery twe ponosi węgły,
Już je przenika,
Chwyta, jednoczy,

Aż od śpiewnego gajów twych słowika,
Po duch synajski, proroczy,
W jedną burzę je ciśnie,
W jeden grom je rozbłyśnie,
Nad bezduszne bagniska,
Nad wygasłe ogniska,
Nad lodowców stalaktyty,
Nad łan zbożami okryty...

A huf duchów rozpętany,
W błyskawice, w huragany,
Rozegrzmi cię w koniec z końca,
Pochwyci cię – gnuśniejąca,
W ruch potężny, w ruch nowy — do słońca, do
[słońca!

. . . .

A fale – przyjdą cicho i niepostrzeżenie,
A duchy – przyjdą, jak cienie...
I mówić będą ludy bezpieczne o siebie!
— Jaki spokój na niebie!
Jaki spokój na ziemi!...
Odleciały gdzieś burze z wichrami swojemi,
I nigdy już nie wrócą bić w stojące wody!
— Tak będą mówić narody.

. . . .

Ziemio! Ty będziesz tak podminowana
Prochami, co leżą w tobie, —
Jak podścielisko wulkana!

Każde ludzkie pokolenie,
Co gorącem czuciem wzlata
Ku jutrzennym brzaskom świata,
A zaś w twem łonie składa swoje kości, —
Każdy wiek twój pogrzebany,
Każde wielkie ludzkie serce,
Co się rozsiewa w swym grobie
W posiew miłości, —
Każda pierś, w której śpiewa przyszłych dni
Rozpala w tobie tajemne wulkany, [natchnienie,
Widzialne zrazu w iskierce...

Aż kiedy się wyzwoli cały zaczyn śmierci,
Na żywota płomienisko,
Buchniesz — jak krater rozerwan na ćwierci
Jak kometowe mietlisko,
A z popiołów i z kurzawy,
Z dymów i płomieni bicia,
Z pośród gorejącej lawy,
Co się rzuci łożyskiem nigdy niewidzianem,
Dobędzie się zawierucha
Nowego życia,
Nowego ducha,
I posiew gwiazd upadnie niesiewanym łanem...
I uświeżona będziesz i kwitnąca,
Pod nową jutrzenką słońca!

. . . .

...Zadumane moje oczy,
Twarz schylona i zakryta,

Bo między mną tu, a niemi,
Nawskroś nieba, nawskroś ziemi,
Otwarta jest przestrzelna i dźwięcząca droga
Tajemniczej atmosfery,
Co najcichsze chwyta szmery,
Wypełnia sobą przestrzenie,
Czas przenika, oddalenie,
I przez wszechpotężny ruch
Serce do serca zbliża, a do uszu — usta...
A choć się wydaje pusta,
Woła w niej i żyje — duch!

ALEKSANDER KRAUSHAR

ur. 1843 r. w Warszawie. Najstarszy współpracownik »Tygodnika Illustrowanego«. Pisma poetyckie: »Listki« 1863, »Tytan i Aryan z Koryntu« 1866 (1889), »Strofy« (dwa wydania), »Strofy jesienne«. Wydał nadto wielką ilość prac historycznych.

BEATUS ILLE...

I.

Są dusze wielkie z niebios zesłane,
By ziemskim duszom panować;
W hartowną męstwa stal przyodziane,
Idą niebaczne na ból, zawody,
Pustynie ziemskie zmieniać w ogrody
I ludziom niebo zwiastować...

II.

W duszach tych wzniosłych, już dni dziecięce
Nadziemskie budzą wrażenia;
Dla jednych skarbem: gwary ptaszęce,
Baśń o królewnie, fletnia wioskowa...
Będą to z czasem — lutniści słowa.
Będą to męże natchnienia...

III.

Inne — na wzgórek biegną o świcie
Wschód słońca witać i zorzę;
I szukać blasków w nieba błękicie...
Gdy pendzel chwycą do dłoni śmiałej,
Ujrzysz — jak w martwe płótna kawały,
Przeleją myśli swe boże...

IV.

Innym zaduma chmurzy blask czoła...
Za ziemskie ścigając cele —
Kreślą na piasku: kwadraty, koła,
Śledzą bieg planet śród jasnej nocy;
Będą to z czasem mędrcy, prorocy,
Odwiecznych prawd krzewiciele...

V.

Jednym z nich ludzkość wawrzyny splata
Posągi stawia spiżowe;
Udziałem innych — zawody świata...
A gdy ich walka z losem się znuży,
Znajdują w końcu życia podróży
Bolesne wieńce cierniowe...

VI.

Stokroć szczęśliwy, kto w jutrzni życia
Nie czuł za rajem tęsknoty;
Komu się ziemia śmieje z powicia...
Ten w śnie rozkosznym dążyć nie będzie
Tam, gdzie się łamią w wieszczym zapędzie
Duchowych orłów poloty...

KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI
(JAN DENES)

ur. w 1874 r. z rodziców włościan w Królinie nad Wisznią. Redaguje we Lwowie »Jutrzenkę Polską«. Ogłosił: »Z ugorów« poezye 1907, »Równianka« zbiór wierszy 1907, »I mówi do mnie wieś« poezye 1908. Nadto »Tonie« i »Do słońca«. Liczne prace popularne naukowe i beletrystyczne dla ludu i młodzieży.

Z UGORÓW.

— — — — Z rannej zorzy,
Czy też z mgieł ciemnych na kresach przestworzy,
Czy z niw uśpionych melodyą skowronka,
Czy z chmur pogodnych, zbielałych od słonka,
Czy z blasków dziennych, czy też z nocnych cieni,
Czy z przędzy czasu, czy z linii, przestrzeni,
Z błyskawic, z tęczy, czy z mroków mogiły,
Czy skądś, co dociec jest nad moje siły —
Jam się urodził...

— — — — — — — — — — — — — —

Z myśli moich stoga,
Spiętrzonych w kształcie chmury nad wulkanem,
Skry westchnień lecą ku podnóżom Boga,
By nad mem polem mgłami posrebrzanem,
By nad mą wioską przebudzoną dodnia
Błysła stopiona ze stu słońc pochodnia!...

SIANOBRANIE.

Na sianożęci
objętej szarą olsz obręczą
żałobne święto dziś się święci
i jakaś krwawa msza się prawi — —
w rękach kosiarzy,
co jakby długi klucz żórawi
zwartym łańcuchem wzdłuż stanęli,
ze zgrzytem kosy dźwięczą,
mordercze, ostre kosy!...
W kropel srebrzystej bieli,
co z kwietnych zwisły wiech,
słonko się żarzy
i te łzy zielne osusza — —
krawędzią łąki, jak dziad obdarty, bosy,
jak pogorzelisk drwiący śmiech —
kroczy ugorów, niw i łąk błędna dusza!...

Koszą kosiarze...

Stojących ziół za każdem cięciem wciąż ubywa...
Już popod olsze została łąki ledwie grzywa,
w której się mnoga rzesza
przeróżnych stworzeń skupia...
Zgrzyt, co się z ostrych kos wykrzesza
na tułactw miedze iść im każe...
Koniec... Pokosy wpoprzek sterczą;
zaległa łąkę cisza trupia...

Życie miliardów dziś przecięto
kosą morderczą — —

Na sianożęci umarłych dzisiaj święto!...

Upalny dzień z ziemi się zwolna stacza,
kędyś w zachodu otchłanie,
złocąc pochyłe kłosy zbóż:
od olsz nad łąką po wązkim chłopskim łanie
kładą się wzdłuż
cienie olbrzymy, jak smętna pieśń żebracza...

A ponad łąką unoszą się skrzydlate
sny ziół powiędłych w słońca skwarze,
sny zamienione w rzekę woni,
w balsamów chmurę,
we wstęgę dymów kadzideł na obiatę
promiennym gwiazdom w nieb obszarze
i śniącym bóstwom w pól ustroni — — —

Na brzegu łąki usiadł chłop i głowę
na ręce wsparłszy w olsz cienie wpatrzył się ponure
i myśli swoje, jak zmierzch wieczoru płowe,
na każde źdźbło powiędłych kwiatów mota
i o pogodę drży dla swego skarbu — swego siana —
Pól dusza, w wilgoć wieczornej mgły odziana,
muszcze skrzydłami zmarszczoną jego twarz,
nucąc: »Śnij, chłopie, śnij i marz,
ale niedługo... jutro — słota!!!«

PÓJDZIEM WE DWOJE...

I.

Pójdziem we dwoje...
W ognistym zespole
Pomiędzy ciche dąbrowy i role,
Błonia i chaty, uliczki, zagumna...
Przy mem ramieniu kroczyć będziesz dumna,
Bo cię ubiorę w ugorów mych kwiaty,
Wietrzyk do ramion przypnę ci skrzydlaty,
Barwą mych sadów lica ci okiaszę,
Na aureolę dam ci śnień powoje —
Tak pójdziem razem w ciche gniazdko nasze —
Pójdziem we dwoje...

II.

Pójdziem we dwoje...
Spojeni w uścisku,
Ślady odnaleźć me drobne i bose,
Pozostawione na zblakłem ściernisku,
Łez mych pastuszych brylantową rosę
Pozbierać w drogą pamiątek skarbnicę,
Żyjące jeszcze dotąd bladolice
Echa mych piosnek wyczuć z boru głuszy —
Pójdziemy szukać tam dawnej mej duszy,
Co, jak pył kwietny, gubiła powoli
Cząsteczki drobne, co, jak pajęczyna,

Wysnuła kłębek swój na zielska roli,
Tkając materyę obłoczną, mięciuchną,
Ciepłą, jak troska dla dziecka matczyna!
Pójdziem tam z sobą, jasna moja druchno,
Odnaleźć skarby i pamiątki moje —
Pójdziem we dwoje...

III.

Pójdziem we dwoje...
Patrz, ponad parowem
Chatka, jak gniazdko uczepione ptasie...
Wokół się wije lśnieniem szmaragdowem
Bór, niedaleko chłopię trzodę pasie
I tęskną dumkę na fujarce kwili —
I ja tak ongiś... Ach jak owej chwili
Żal! Szkoda wspomnień!...
Potok w dzikim jarze
Mruczy jak żebrak modlitwę przed drzwiami...
Pójdziem we dwoje, nie śledzeni, sami
Na skalnych szczytach budować ołtarze
I palić ognie bóstwom cisz i czaru...
Czasem wypełznie ku nam z głębi jaru
Całun z mgieł rannych i tchnień niw uwity
I przed chatczyną naszą się rozścieli
Skrzydłami orła, by nas wznieść w błękity
I w chmur pierzastych kąpać nas topieli
I w drżących świateł obodziać nas zwoje —
Pójdziem we dwoje!...

IV.

Pójdziem we dwoje...
Na brzegu urwiska
Wiatr brzóz płaczących rozwiane warkocze
Pieszczącą dłonią prostuje i czesze...
Wokół się piętrzą zarośla urocze,
A w nich się ptasząt rozśpiewały rzesze...
Tam ongiś dziewczę, dzisiaj mi z nazwiska
Nawet nieznane, w ramionach mych drżało...
Dziewiczą duszę jego śnieżno-białą
Jak kwiat wiśniowy, wonną, rozkochaną
Ssałem przez usta drżące, koralowe,
Rozkosz w swą duszę wdychałem różaną
Aż do omdlenia... Wchodziliśmy w nowe,
Nieznane sercom dziewiczym świątynie...
Pójdziem tam wyczuć z leśnego zakątka
Woń tych całunków — droga to pamiątka...
A ty przebaczysz i mnie i dziewczynie
I wspomnień moich w pierś swą wciągniesz zdroje...
Pójdziem we dwoje!...

V.

Pójdziem we dwoje —
w blask...
U szczytu stoga,
Usypanego królowi w sukmanie,
Ognistą kulę snów moich wywieszę

I rzucę refleks między mnogie rzesze,
Refleks tak jarki, jak ongiś w zaranie
Wstające słońce z twórczej ręki Boga,
Taki szlak jasny wzdłuż wiosek wyścielę
Że, zda się, chaty w jeden płomień stopi
I mrokom groźnym zadławi gardziele...
I będziesz patrzeć, jak stubarwną wstęgą
Pomaszerują wzdłuż wąwozów chłopi,
Kędyś z brutalną zetrzeć się potęgą...
Tyle ich, tyle!... Zda się, że z bezdeni
Otchłani nić się w nieskończoność przędzie...
Pochód otwarli barczyści Górale..
Gunie ich białe, jak skrzydła łabędzie,
Spływają z ramion... Dziarscy, niezmęczeni
Idą... Odważnie, dumnie wznoszą głowy,
W wyżynach kędyś wzrok ich tkwi zuchwale —
Wiatr halny grywa im marsz narodowy,
A miast sztandaru ponad nimi górą
Orłów gromada ciągnie z wyżyn turni...
. . . .
Słyszysz?... gromami lęk w obłokach dzwoni!...
. . . .
Za Góralami groźni i pochmurni,
W szarej odzieży, jak ziemia ponurą
Ciągną się linią... Poznaję!... To oni,
To nasi blizcy... z nad Dniestru i Buga...
Z kresów... ci, którzy tak niedawno spali,
Noc ich niemocy trzymała zadługa...

Hejże, siermiężna braci, dalej, dalej!
Z trwogą na twoje zbudzenie czekano...
. . . .
Idą... patrz!... Idą... ciągną się bez końca
W dal jasnych świtów — w dal wiosen jutrznianą...
Do zórz płomiennych... do blasków... do słońca!
Więc teraz...
Z nimi na tryumf i boje —
Pójdziem we dwoje!...

I MÓWI DO MNIE WIEŚ...

SKARGA.

I mówi do mnie wieś swojemi
Pieśniami dumań i tęsknoty
I jękiem skrzepłej z mrozu ziemi
I skargą wichrów, co od pola
O strzechy biją i o płoty...
I skarży mi się wieś i zwierza
Ze snów tęczowych, z czuć i troski —
A na uboczu stoi Dola
I kły stępione k'niej wyszczerza
I w gruncie grzebie wieszcze głoski...

GŁÓD...

Szmer łez przez wioskę przeszedł falą,
Jak podmuch wiatru w noc grudniową —
W żadnej chałupie dziś nie palą,
Na wszystkich ustach jedno słowo:
Głód... Szczezła w polach praca nasza...
W stodołach pustki... Wyszła pasza...
W oborach z głodu bydło ginie...
Pustki w komorze... Próżne spichrze...
W takiej to szepce mi godzinie
Wieś skargi ciche, coraz cichsze...

A DZIŚ...

Ongiś, pamiętam, w każde rano
Ze strzech się blade pasma dymią —
W iosce potęgę życia dano;
Radość w powietrzu czuć olbrzymią...
A dziś tak pusto wśród osiedli,
Jak w północnego snu godzinę...
Stroskani chłopi dziś powiedli
Głodem zmorzoną na targ trzodę,
A inni orzą ozimine,
Bo Pan Bóg przeklął jej urodę...

W ŚWIAT.

Przed karczmą ciżba.. Czy to może
Wesele jakie, lub zabawa?
Młódź płci obojga i omało
Nie cała ludność... Czy to zboże
Na pańskim łanie już dojrzało
I lud do pracy z sierpem stawa?
Nie słychać śpiewki, nie rzempolą
Grajki jak ongiś... Tu się daje
Słyszeć płacz... łkanie... W obce kraje
Za lepszą rzesza idzie dolą.

TRWOŻY SIĘ MOJA DUSZA.

Tak pusto... Wioska oniemiała,
Lęk smutną duszę mą upaja
Dreszczem i trwogą... Wonna, biała
Od kwietnych sadów w brzasku maja,
Bogactwa pełna co jesieni
Wieś cmentarzyskiem dziś się mieni ..
Puste osiedla... Puste grunta...
Z czemże ty wiosko moja droga
Staniesz u świtów krwawych progа,
Kiedy da hasło głos Zygmunta?

I MÓWI DO MNIE WIEŚ...

I mówi do mnie wieś i gwarzy
O tem, co śniła długie wieki,
Co przecierpiała od stworzenia
W zimowe noce, w letnie spieki...
Z jej ogorzałej, smętnej twarzy,
Zda się, narodu czytam dzieje;
Wszystkie jej troski i niedole
Mnogie znam z treści, nie z imienia,
Burze jej myśli, śnień zawieje
Chwyciłem dysząc z nią w zespole...

ANTONI LANGE



ur. w Warszawie 1863. Dłuższy czas przebywał za granicą, obecnie osiadł w Warszawie. Dzieła: »Pogrzeb Shelleya« 1890 r., »Poezye« I. 1895 r., II. 1898 r., III. (Przekłady) 1900 r., »Wybór poezyi« 1900, »Fragmenta« (Wybór) 1901, »Pierwszy dzień stworzenia« 1907. r. Reszta poezyi w »Tygodniku illustr.«, »Świecie« etc. Kilka prac naukowych.

Z CYKLU: »PRZEKLEŃSTWO«.

Bo przekleństwo jest rykiem lwa, który za kratą
Gromami swego gardła jak orkan wybucha:
Drży dozorca, bo krata zdaje mu się krucha,
A lew mu rozjuszony — grozi życia stratą!

Przekleństwo jest kołyską świadomości ducha,
Co poznał, że nad mrokiem jego świeci lato;
Jest pobudką bojową, jest bojową czatą,
I jest ostrzem dla miecza — i rdzą dla łańcucha.

Jest trucizną, sztyletem, ogniem. Jest mogiłą,
Gdzie duchy mroków legną na wieki. Jest siłą,
Co do nowego życia przywołuje truny.

Jest hymnem, jest modlitwą do tych potęg wie-
[cznych,
Co, zepchnięte zazdrośnie z wyżyn nadsłone-
[cznych,
Wydzierają z niebiosów bogom — ich pioruny!

Z CYKLU: »POGROBOWCOM«.

O, gdyby się wykąpać w jakich fal kryształach
Coby nas oczyściły, jak stygijskie wody!
Gdyby znaleźć do nieba prowadzące wschody,
Coby w duszach nam młodość zbudziły i ciałach

O, gdyby odrodzonym w nowych słońc zapałach
Wstrząsnąć groźną prawicą, niby tytan młody —
I, ogniem roztopiwszy własnych duchów lody,
Iść rozkochanym w życia wielkich ideałach!

O, gdyby tak do życia zbudzonym na nowo
Odczuć sercem, na jakiej stanął dziejów osi
Geniusz wieku — i jakie prawdy ludziom głosi!

O, gdyby znaleźć jedno, jedno wielkie słowo,
Co w naszych serc rozdźwięki żywy ład pownosi,
I pierś natchnie nam wolą, jako miecz stalową!

Z CYKLU: »NA ROLI«:

III.

Po szerokim — po ugorze
Ze swym pługiem rolnik kroczy,
Twardą ziemię ciężko orze,
Wyostrzonem radłem toczy.

Orze ziemię lat tysiące
I zasyła modły w nieba
O pogodę i o słońce —
Słowo Boże — i kęs chleba.

IV.

Raźny, chociaż niewesoły
Idzie brózdą i powraca
I pogania swoje woły,
Skroń mu potem zlewa praca.

Włos ma płowy, – szare oko –
Twarz od słońca ogorzałą –
Barki silne – pierś szeroką
I koszulę nosi białą.

W koszulisku swojem lnianem,
W białych, lnianych spodniach — bosy
W kapeluszu swym słomianym
Swoje ciche spełnia losy.

V.

Dziwna postać ta oracza!
Idą – płyną pokolenia,
Jego nic nie przeinacza
Jego ducha nic nie zmienia.

I tak kroczy śród gorąca
Jak na wyżni gdzieś irańskiej
Jakiś duch z przed lat tysiąca,
Jakiś wid starosłowiański.

Takim był on za dni Lecha,
Za Lumirów i Bojanów:
Nieruchoma wiejska strzecha
Nie zna świata huraganów.

Gdzieś na świecie wyły burze,
Świat niejedno stworzył dzieło;
On niezmienny w swej naturze:
Skrzydło dziejów go nietknęło.

Z CYKLU »NA ŚWITEZI«.

Na samym środku fal, gdzie niezgłębiona toń,
Stanęła nasza łódź i wielkiej słucha ciszy —
I wstał towarzysz mój i, w mokrą patrząc błoń,
Okrzyknął w cały głos, czy też go kto usłyszy:
Hej, hej!

Popłynął jego głos — po nocy w ciemny bór —
I odbił się od drzew, od sosen, iw i buków —
I wrócił ku nam znów, w stokrotny wrócił wtór,
Stokrotnym gromem ech i gwarów i rozhuków
Hej, hej!

Z płużyńskich ciemnych puszcz z Świtezi srebr-
[nych fal
Zabrzmiała niegdyś pieśń, skrą bożą rozpalona —

I, grzmiąc, płynęła w świat — na siół i borów
[dal —
Stokrotnym gwarem ech brzmiąc w piersiach mi-
[liona.
Hej, hej!

Z Świtezi srebrnych fal, z płużyńskich ciemnych
[puszcz
Stokrotnem echem gra i żywi pierś miljona —
Potężnej pieśni grom, płomienny Boga kuszcz,
Nieugaszony Znicz na przyszłych dni plemiona.
Hej, hej!

LILLA.

O szczęście, śnie mój złoty, śnie mój bezpo-
[wrotny!
Mówiłaś mi w dzień owy o zachodzie słońca,
Kiedyś nad brzegiem rzeki siedziała marząca —
Z tobą ja: duch, co błądzi śród toni zawrotnej...

Mówiłaś, żeś szczęśliwa... Lekki lot polotny
Kołysał oczerety — a śród fal bez końca
Drobna łódka rybacza sunęła się drżąca —
Cichy — cichy pamiątek bywa żal pieszczotny!

O, gdyby można wrócić dni minionych zorze —
Gdyby można glob powstrzymać w obiegu —
Gdyby można! Czy prawda — tam u rzeki brzegu?

Więc nigdy już tą pieśnią serca nie upieszczę?
Szczęśliwa — czy naprawdę? Bądź miłościw Boże!
O, gdybyś mi to mogła powtórzyć raz jeszcze!

SONET.

Hej, gdzie kres
Wichrów — burz?
Wonie róż
Z krwi i łez?

Bodaj zczezł
W ogniu zórz
W zorzy dusz
Mroku bies.

Pełni rządz
Blaski słońc —

Poprzez mgły
Gromy — skry —

Idziem drżąc
W jutra sny.

Z BALLAD PIJACKICH.

KAWA.

Witaj mi, witaj wonna czaro mokki!
Kocham, twą duszę o płynny hebanie,
Aromatyczne pary twej obłoki,
Któremi buchasz w polewanym dzbanie,
Kiedy kipiące twych ziarn gotowanie
Cały glob ziemski czyni mą dzierżawą;
Oto spoczęłaś w białej porcelanie,
Arabskich pustyń córo, czarna kawo!

Rzekł Wolter, mistrz picia kawy głęboki,
Że masz być słodka, jak dwa serc kochanie,
I taka czarna, jak smolne potoki,
I tak gorąca, jak piekieł otchłanie.
Tak cię pijają chodzący w turbanie
Puszcz dzikie syny, z fantazyą jaskrawą!
O słodki, czarny, gorący szatanie,
Arabskich pustyń córo, czarna kawo!

Słońce Arabii żarzyło twe soki,
Puszcza bujała twój kwiat w huraganie,
I z ciebie idą natchnione proroki,
Co zasiadają w Allacha dywanie.
Mirażów matko, upojeń sułtanie,
Który snem jawę, a sen czynisz jawą,

Chwała ci za to myśli poczynanie,
Arabskich pustyń córo, czarna kawo!

Kiedy mnie znudzą jałowi mieszczanie,
Ducha pogrążon w twej fata-morganie!
Tyś mi natchnieniem, i pieśnią i sławą.
W Tobie mam cudów i niebios poznanie
Arabskich pustyń córo, czarna kawo!

KAZIM. LASKOWSKI (EL.)

ur. 1861 w Tokarni, guberni Kieleckiej. Pisuje do kilku pism warszawskich, mieszka w Borkach pod Tłuszczem. Poezye »Z chłopskiej piersi« 5 tomików, »Melodye« 1904, »Z rapsodów wolności« 1907 r. Liczne powieści.

HEJ ŻEBY TAK.

Hej, żeby tak w garści socha
Iść warkoczem skib,
Orać dla tych, co się kocha,
Na powszedni chleb — o wiośnie,
Na powszedni chleb!

Hej, żeby tak wodzić pługiem...
»Odsie«, »wiśta«, »kse«!
Ponad Wisłą, Narwią, Bugiem,
Tam, gdzie serce rwie i dusza,
Tam gdzie serce rwie!

Hej, żeby tak ziarna z korzec,
Na tysiączny plon,
Niechby rosło, jak proporzec,
Jak radosny dzwon szumiało,
Jak radosny dzwon!

Hej, żeby tak cztery siwe,
Bicz konopny... hej!

Huknąć! Jechać w dni szczęśliwe
O wiosence tej złocistej,
O wiosence tej!

CZEM MAM ZACZĄĆ.

Czem mam zacząć, moje śliczne,
Noworoczny tan?...
Gdybym dobra miał dziedziczne,
Dwory, cugi, włości liczne,
Szedłbym z wami w tan,
A hulał
Szedłbym z wami w tan!

Hej! poleciałbym kuligiem
Cztery siwe wzdłuż;
Wiózłbym moje zorzę migiem
Przez te pola popod śniegiem,
Niby wianek róż
Po bieli,
Niby wianek róż.

I kapelaby nam grała,
Troje skrzypiec, bas,
Ażby echem rozlegała
W noc gwiaździstą ziemia cała,
Dwory, chaty las
I serca!
Dwory, chaty wraz.

Cóż, ni włości, ni kapeli,
Siwe... były kie(j)ś,
Nawet śnieżek nie uścieli,
Świętej ziemi nie pobieli,
Szare miasto, wieś
I dola,
Szare miasto, wieś.

Jedno tylko pozostało
Za bogaty plon:
To, co w dworkach rozbrzmiewało,
Co po chatach »wej« hukało,
Skoczna śpiewka, ton.

To w zapustnym, jak dziś czasie,
Złożę u stóp wam,
Pójdą drzazgi w obertasie,
Po krakowskim brzęknę pasie
I hołubca dam
Z mazurska
I hołupca dam!

I choćby pierś trzasnąć miała,
Śpiewać będę rad,
Bo się wspomni ściana biała,
Co te echa odbijała,
Dworek, ojciec, dziad
I szczęście...
Dworek, ojciec, dziad...

Znów zadzwoni myśl kuligiem,
Jak leciała kie(j)ś,
Znowu siwki pomkną migiem
Przez te pola popod śniegiem,
Przez tę moją wieś,
Kołyskę,
Przez tę moją wieś!

NIE DOŚPIEWAŁEM.

Nie dośpiewałem jeszcze do tej nuty,
Co pierś obrała za macierzy brzemię
I czeka wschodu i zielonej ruty,
Jak ziarno, w twardą posypane ziemię,
Nim strzeli runią życia...
Czy ożyje?
Nie wiem. Zgadywać nie śmiem...

...Serce bije!
Lecz wiem, że jeśli wzejdzie tak poczęta,
Jak ta, co sercem kolebie, słoneczna,
To będzie taka archanielska święta,
Taka w niej będzie moc i jasność wieczna,
Że już nie łzami w źrenicach rozbłyśnie,
Ale, objąwszy dusze w krąg, zawiśnie...

I będzie trwała, by słońca w błękicie,
Brzmiąca, jak wszystkich lat, ludów pacierze,
I będzie miała prawd niezłomnych życie,

I będzie niosła odkupienia krzyże,
I to, co jeszcze przez usta nie głosić,
A o co trzeba dni jutrzejszych... prosić.

Lecz wiem, że jeśli wstanie z piersi mojej,
Jeśli narodzin doczeka godziny,
To bez przyłbicy przejdzie i bez zbroi,
Ościeżem serca przez cnoty i winy
I wszystkie duchy przeniknie na przewał,
Bo i ja będę tę pieśń duszą śpiewał.
Daj mi pieśń taką, Panie! Pieśń, — bożyszcze!
Jeślim niegodzien... Daj innym...
Niech słyszę...
Jak się znów tęczą przepasuje zgliszcze,
Jak tłum się ufny ku harfom kołysze
I kładzie ręce na strunach radosny...
O, daj mi, Panie, Pieśń — tłum!
Daj... Litosny!

CHATY.

W mojej wiosce — w środku dróżka,
Przy niej chaty we dwa rzędy.
Pod oknami: kwietnie grzędy —
Boże drzewko, mak, ostróżka...
Chata chacie — jak rodzona!
Zręb na węgieł mocowany —
»Podsiebitka« wokół ściany —
Strzecha w »jeża« przystrojona.

Na grzebieniu w sznur »kalonka«,
Niżej dymnik w samym szczycie,
Mchem porosłe w krąg poszycie
Zieleni się, nikiej łąka.
Ściany białe, wylepiane,
Z okieneczkiem na gościniec –
Pod okapem ptasi wieniec:
Gniazda wróble, jaskółczane...
Drzwi z zamknięciem – przy zaworze
Surowcowy wisi rzemień,
Próg wysoki, jak pień w borze –
Poprzed progiem polny krzemień.
Sień głęboka – nad nią górka –
Z sieni – izba. Zaraz z progu
W jednym kącie żarna w rogu –
W drugim komin od podwórka.
Komin z »babą«, grubomury –
Piec chlebowy i przypiecek,
Na przypiecku spanie »dziecek«, –
Pod kominem »niosą« kury...
W izbie – ściany pobielone,
Kłoć zatknięta za stragarze –
Dokoluśka Świętych twarze
I wianuszki ziół święcone!
»Przenajświętsza« wraz z »Dzieciną«
Ma dwie »palmy« prócz gromnicy..
A tak patrzy po świetlicy,
Że przemówić ino! ino!

Na podłodze z ciemnej gliny —
Ku wygodzie i obrządku —
Wszelakiego moc porządku
I dla człeka i gadziny.
Stół sosnowy, heblowany —
Szafa za szkłem, półki kołem,
Dębne ławy poza stołem —
Beczka z wodą wedle ściany,
Koło beczki konew, wiadro
I półkwarcie, i drapaka
I korytko dla wieprzaka..
Wszystko w kupie pod »zanadrą«,
Jest i lampka u powały --
Przyodziewek z barwną skrzynką -
Dwoje łóżek pod pierzynką,
Pod pierzynką jak rok cały!
Nad łóżkami ponad głowy
Z »Bożą męką« wisi krzyżyk -
I koronka i skaplerzyk,
Poświęcane z Częstochowy.
Wszędy strzeże Oko Boże,
Niebieskiego dłoń dziedzica...
Z świętym Janem kropielnica
Utwierdzona przy komorze.
Do komory — drzwi kowane,
Wrzeciądz, kłódka jak się patrzy
Bo tam statek co bogatszy —
Wszelkie dobro przechowane:

Jest odświętny przyodziewek,
I słonina i mleczywo,
I zapaśne w faskach mlewo,
I garść ziarna na obsiewek!
Jest kapusta, kruszek soli,
Sadło w łupkach, aż się topi!
Pozu belką pęk konopi,
Serków, masła jest do woli.
. . . .
W mojej wiosce - środkiem dróżka,
Przy niej chaty we dwa rzędy.
Pod oknami: kwietnie grzędy —
Boże drzewko, mak, ostróżka!
Chata w chatę — kiej siostrzyce!
Jak bliźniaki — głowa w głowę!
I komory i świetlice,
A i serca jednakowe!
I komory i świetlice,
A i serca jednakowe!

JAN LEMAŃSKI

ur. 1865 r. w Głażewie w gubernii Płockiej. Jest stałym współpracownikiem »Chimery« w Warszawie. Liczne wiersze po czasopismach. Osobno wyda »Bajki« 1904, »Nowenna« 1906.

SŁOMIANA ZGODA.

Pies, gdy już zeczcigodniał
Zproział, zepsiał krzynę;
Gdy sobie już zaczepną
Zmierził bieganinę;
Gdy myśliwskie mu ruchy
Szły coraz nieraźniej, —
Rzekł do kota:
— »Wiesz kocie?
Ot, żyjmy w przyjaźni!
Niech legnie między nasze
Waśnie bratnia grobla,
Może kapnie nam za to
Jakie premium *Nobla*,
Albo inne zaszczyty
Na nas jakie zlecą.
Miłość, równość, braterstwo...
Dajmy pokój hecom!«
— »Miau! — rzekł kot. — Nie stracim
Na tem, ni ty, ni ja«.
— »Zgoda więc?«
— »Tak. A długoż?«
— Wieczna! No, daj ryja...«

I tu, nim kot się spostrzedz
Mógł i umknąć źdźiebko,
Za cąber go szerokiem
Łapskiem ujął krzepko,
Serdecznie, po bratersku
Tak, i pyszczek koci
Gwazdnął ozorem, niby
Talerz od łakoci.

Kot, brzydząc się psu-bratu
Odpieszczać tem samem,
Na odlew mu wszelako
Plunął w ustną jamę,
I susa dawszy na mur,
Przybrał kształt pałąka.
Pies wściekł się.
Taka zwięzła
Sojuszowa płonka.

Pies się z kotem nie zżyje,
Ani kot z psem. Czemu?
Bo lepiej się nie kochać,
Niż kochać po psiemu.

WOLNOŚĆ.

Koń, co od źrebca w pługu
Chodził, tudzież w bronie,
Posłyszał raz, że w stepach
Żyją wolne konie.
Przyszedł więc do dziedzica
I rzekł: »Mój dziedzicu,
Sprzykrzyło mi się chodzić
W chomącie i w licu.
Daj mi wolność! Gdy nie dasz
Zdobędę ją strajkiem!«

Dziedzic, słysząc to wyjął
Z cholewy nahajkę
I zawołał: — »Robota
Przykrzy ci się, leniu?
Nic z wolności, póki mam
Siłę w tym rzemieniu.
Twoja wolność, to dla mnie
Ruina, aniele.
Zresztą wolność od robót
W każdą masz Niedzielę.
Wtedy zgodnie z mem dobrem
No — i z boskiem prawem
Od pługa wolny, możesz
Do woli jeść trawę«.

Tu spętał go i pewny,
Że nie umknie nikaj,
Rzekł: – »No, teraz, mój koniu,
Strajkuj tu i brykaj!« –

ŻAL.

Strącony okwiat grusz na staw nafrunął bielą,
Na skrzek i duży liść okrągły padł grążelom;
Kaczeniec żółty śpi na habrze wód i gra mi
Błękitnych szklarek rój – rój skier nad ajerami.

Odbijam senną łódź i płynę ku topielom,
Gdzie w pląsach gony ryb przeźroczy nurt popielą,
Gdzie tonie runo chmur i czystość wody plami,
Gdzie szczupak lustro wód przecina pletw ostrzami.

Niekiedy wiosło z dna wywlecze kwiat kaczeńcy.
Niekiedy łodzi burt o suchy trze oczeret –
Siedzibę chmary much. Kapela muszych czered

Dogania senną łódź, i długo za mną dźwięczy
Smętnawy cichy brzęk – jęczenie brzmi komarze:
Oddaję fali ster i wiosło z rąk i marzę...

EDWARD LESZCZYŃSKI

ur. 1880 r. w Przemyślu. Mieszka w Krakowie. Wydał »Poezye« 1901 r., reszta po czasopismach »Chimera«, »Krytyka« itd. »Cupio dissolvi« 1903, »Jolanta« 1904.

GDY W MOGIŁĘ ZAMKNĄ CIEMNĄ...

Gdy w mogiłę zamkną ciemną
me serce tułacze,
ludzka miłość niech nademną
umarłym nie płacze;

bo mi trumna nie za ciasna,
ni mię noc przestrasza;
moich pieśni gwiazda jasna
niech mi mrok rozprasza —

niech nademną oddech boży
płynie z chłodem ros —
już mię żaden lęk nie strwoży,
ni doścignie los;

bo grot losu już bezsilny
u żelaznych bram,
już ja wtedy pan mogilny
odpoczynek mam.

GDY W MOGIŁĘ ZAMKNĄ CIEMNĄ
Już ja wtedy rosnę w ciszy,
niewidzialny duch —
w szumie liści mię usłyszy,
kto otworzył słuch.

Gdy się łany zazielenią,
gdy zapachną kwiaty,
w dal odśmiechnę się przestrzeniom,
kędym żył przed laty.

A gdy będzie bardzo cicho,
gdzieś, gdzie ludzie siędą,
przy łuczywie, w chatę lichą
przyjdę jak z kolendą.

W własnem sercu mię usłyszy,
kto otworzył słuch
i harmonią będę ciszy,
niewidzialny duch.

TWÓRCA.

Jam jest żądza, co dyszy pod mgławic ogromem,
Płomiennymi palcami tworzę bryły światów
I najskrytszych pożądań tchnieniem nieświadomem
Wyrzucam łąk szmaragdy i rubiny kwiatów.

I rzeźbię kształt człowieka i rozbijam gromem,
Gaszę dzikie pragnienia krwią jego stygmatów;
I pastwiąc się bez końca nad ciałem znikomem,
Mieczem błyskam i trony odzieram z szkarłatów.

Jam jest siła, co tworzy i niszczy wszechwładnie,
Najtajniejszej spowiedzi wszechstworzenia słucham,
Bez mej woli z gwiazd żadna z błękitów nie spadnie.

Wieki płyną – ja wiecznie nowym żarem bucham,
A mędrzec tego świata ni prorok nie zgadnie,
Jakie z jednej iskierki pożary rozdmucham.

MELODYA ZMIERZCHU.

Czemuż, o! czemuż w godzinę wieczora
Na skrzydłach zmierzchu tęsknota przylata?
Czemuż tak smutno wtedy -- i myśl chora
Do nieznanego wyrywa się świata?
Mnie się wydaje, że w ową tajemną
Zmierzchów godzinę źrenice rozwarte,
W księgę przeszłości zapatrzone ciemną,
Niejedną życia przebiegają kartę;
I duch w minione wracając koleje,
Łzą żegna każdą rozwianą nadzieję
I nad popiołem współwygasłych zniczy
Z boleścią własne spustoszenia liczy.
I cisza wtedy... lecz tej ciszy skrytość

Błogosławiona bądź mi, maro tajemnicza,
w jakiejkolwiek przychodzisz opętać mię zjawie,
— każdą iskrę, roztloną w żarach twego znicza,
— każdą rozkosz i każdy kształt twój błogosławię.

Gdy przestrzenie powietrzne drżą w upalną ciszę,
na łące wydeptanej południcy nogą,
na złocistym rydwanie w tryumfalnej pysze
lecisz, błyszcząc, jak słońce, szprych złotych po-
[żogą.

Cały rozpęd rumaków, ujęty w twej ręce,
czuję w dreszczach mych pulsów; jak derwisz sza-
[lony,
rzucam się pod twe koła, a w konania męce
straszna rozkosz w krwi mojej zatapia swe szpo-
[ny.

Czasem cicha przychodzisz, jak widmo z kurha-
[nów,
przeczysta, jak marzenie, nim w kształty się wcieli,
oddech twój, jak muzyka, pod liśćmi bananów
— Pójdź... Znowu przestrzeń wszystkich gwiazd
[cię dzieli.

Znowu ręce chwytają próżnię, znowu sporne
myśli, jak wężowisko, kłębią się ruszone;
językami płomyków pragnienia potworne
syczą, pełznąc i gasną, jak głownie zetlone.

Otom wydan na pastwę mej posępnej nędzy —
Noc idzie, co rozprzęga wszystkie spójnie ducha.
O, roztrącić się w nicość! skonać! byle prędzej!
Płaczu niema i Boga niema, który słucha.

Tam, w górze, jakieś światy konają nademną
i ostatnich się wspomnień załamują głosy —
Naraz promień światłości rozdarł otchłań ciemną,
jakby ręka anioła przetarła niebiosy.

Znowu czuję cię, boska; jesteś — jesteś przy
[mnie —
jak matka, na swe dziecię spoglądasz litośnie;
usta twe rozchylone w przenajświętszym hymnie,
w którym ból wszystkich wieków pali się mi-
[łośnie.

Moc wieczystych odrodzeń biorę z twojej ręki
a w piersiach cicha wiedza wstaje, nakształt słońca;
że przez błędne manowce rozkoszy i męki
wiedziesz mię ku otchłaniom początku i końca.

BOLESŁAW LEŚMIAN (LESMAN)

ur. 1878 r. w Warszawie. Mieszka stale w Paryżu. Prace w »Chimerze«, »Wędrowcu«, »Tygodniku Illustrowanym« i. i.

Z KSIĘGI PRZECZUĆ.

NOC.

Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała
W bezkształt senny, tu – owdzie światłem zwy-
[puklony.
Psów wycie rozpowiększa bezbrzeż wsi uśpionej,
I, niby srebra stosy, płonie chmur nawała.

W tej i owej chat szybie lśni światełka gwiazda,
Czasem sylwetka głowy zamignie i zginie, –
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej
[głębinie
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.

Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów
Zlewa się w jakiś mocny i wystały trunek.
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, –
Skąd, od kogo? – sam nie wiem! Może z poza
[światów...

A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem
Księżyc pała, chmur srebrne zwisająodlewy,

Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)
Anioł błękitnooki i złocistobrewy,
Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciedle księżyca
Przegląda swe o Bogu zadumane lica.

GŁUCHONIEMA.

We wsi naszej jest jedna głuchoniema dziewka.
Pragniesz głos jej posłyszeć, gdy patrzy w lazury,
Bo w jej oku się tai gadatliwa śpiewka.
Przyszła do nas z wsi obcej, niewiadomo której.

Nikt nie zna jej nazwiska, ni Snu, co ją stworzył, —
Chyba śmierć ją zawoła kiedyś po imieniu...
Ja — chciałem być jej śmiercią, aby w jej milczeniu
Znaleźć strunę, na której Bóg dłonie położył...

Myślałem, że gdy w złotym wieczności obłędzie
Garścią ziemi uderzę w niemą pierś dziewczyny,
Pierś ta dumką łabędzią zahuczy w doliny
I zbudzi na jeziorach uśpione łabędzie!...

We wsi naszej jest jedna rzeka bardzo blada.
Dziad jakiś nurzał sieci w falistej głębinie, —
Pytam go, co za rzeka? — a on odpowiada:
»Trudno dać imię temu, co w dalekość płynie...

»Mówią jedni, że Tykicz, drudzy, że Mohiła, —
Inni mówią: Daleka, a zaś inni: Blizka, —
Ja stary wiem, że niema ta rzeka nazwiska,
Co rzece po imieniu, gdy w snach dno zgubiła!...«

We wsi naszej nieziemskie bywają wieczory,
Gdy zorza świat przemienia w sen o snach
[nietrwały,
Wtedy w duszy się rodzą fioletowe zmory
I wspomnienia o rzeczach, które nie istniały.

W taki wieczór widziałem, jak ta głuchoniema
Z duszą do umarłego podobną słowika,
Ta śpiewaczka bezgłosna, lira bez lirnika
Szła ku rzece, witając ją dłońmi obiema.

Tam stanęła jak człowiek, co nie słysząc, słucha --
I złotą sieć warkocza zanurzyła w głębi,
Rybaczka! — chciała może złowić sen gołębi,
Który własnym jej głosem na dnie rzeki grucha.

Albo może pragnęła ta łowczyni śmiała
Chwycić własne odbicie w sieć złocisto-płową,
Myśląc, że ono, ludzką obdarzone mową,
Opowie ludziom wszystko, o czem wciąż milczała!

Nagle strząsnęła sploty. Ognie zórz ją złocą,
Jak światłość wiekuista, przyćmiona i senna ..

Obca sobie i światu, między dniem a nocą
Nad bezimienną rzeką stoi bezimienna....

LEŻĘ NAWZNAK NA ŁĄCE...

Leżę nawznak na łące. Jakiś duch po burzy
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali
Zaniósł mię tu i złożył — sam odleciał dalej.
Słońce z dłoni omdlałej złoty sen mi wróży!

Wicher włosy mi czesze na rozgranej skroni.
Szum w dali niewidzialną kotarą powiewa,
Za którą harem kwiatów lubieżnie omdlewa,
Aż czuję podniebieniem smak trującej woni.

Zdaje mi się, żem skonał umyślnie i ożył,
Przemieniony w szum leśny, albo w szelest łąki,
Co życia nie pojmuje bez wiecznej rozłąki
Z drzewem, z którego powstał, — z kwiatem, co go [stworzył.

Zdaje mi się, że mózg mój jest tyglem piekielnym,
W którym słońce swe szały przetapia na złoto,
Żem roztajał oddawna w traw zgiełku weselnym,
Żem się rozsiał po łące, aby wzejść tęsknotą!...

Wrażenie barw i szumów i bezdennych światów,
Zmieszane w jedność, niby w stworzenia pradobie,

Oddziela się odemnie, jako woń od kwiatów,
I trwa już ponademną — i już samo w sobie!

A chociaż ze mną wyszło — należy nie do mnie,
Lecz do wszystkich chmur, słońca przerażonych
[marą,
Do bezkresów, do nieba, jasnego ogromnie,
Co na mnie - niewiernego - patrzy z taką wiarą!...

OGRÓD ZAKLĘTY.

Tak mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Że tam, gdzie wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany —
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

łzyą skrzydeł spromieniony,
cudowne owe strony,
ałych snów urwiska,
ch bytów uroczyska,

I nieraz w dzikiej swej podróży
Spotkałem widma bladych róży,
I mary lilij, co w przestworze
Na widziadlanem tkwią jeziorze.
I spotykałem wśród rozdołów
Omszone zwłoki tych aniołów,
Których Bóg strącił w te bezdenie
Za potępieńcze serc płomienie...
I spotykałem senne kraje,
Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,
Gdzie się kołysze w mgieł odmęcie
Dziwaczny okręt przy okręcie,
A melancholii słodkie fale
Przez ich pokłady mkną niedbale
I w bezpowrotne płyną dale!...

Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
Jakiegoś Boga mając w oku,
Z duszą na wschodzie i zachodzie,
Stanąłem blady w tym ogrodzie!
Tam każde drzewo jest zaklęte,
Tam są topole wniebowzięte
Kaskady drętwe, w snach skąpane,
Mocą obłędów sfałdowane,
I takich jezior tonie sine,
Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła,
By twarz ci nagle nie pobladła,
Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła.

Pod jednem drzewem niezbadanem,
Zaczarowanem, obłąkanem,
Gdzie każdy liść od marzeń kona,
Nawpół stworzona, wpół wyśniona,
Królewna cudna odpoczywa!
Z skroni jej warkocz wonny spływa,
Spływa i wpływa w alej głębie,
Zwisa na każdej skały zrębie,
Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
Jak czarodziejskie jakieś ziele,
A w górze – srebrem pałająca,
Niewyczerpana głąb' miesiąca!

Mów mi, królewno moja blada,
W jaki się mrok twój sen zapada?
I z jakich stron twych oczu dale?
I z jakich mórz twych warg korale?
I z jakich piekieł twe warkocze,
Po których drżący teraz kroczę?
I mów mi, w jaką wiodą stronę
Warkocze twoje nieskończone –
Bo mię na wiek, na wiek już cały
Warkocze twoje opętały!

Ach! idźcie wszyscy, idźcie ze mną,
Ku niej – w krainę ponadziemną,
Lecz nie pytajcie mnie (o Boże!
I któż mnie spytać o to może!)

Gdzie jest ten ogród, gdzie te światy,
Do których wszystkie tęsknią kwiaty,
I wszystkie dusze snem ozdobne,
Co są do kwiatów tak podobne!
I skąd ta powieść moja rzewna?
I czem jest cudna ta królewna?
Bo, choć mi serce rozpłomienia,
Już nie pamiętam jej imienia!
I choć mi zawsze taka blizka,
Już nie pamiętam jej nazwiska!

Lecz wiem, że ogród ten istnieje,
Że tai straszne jakieś dzieje,
Ach! dzieje straszne, niezbadane,
Zaczarowane, obłąkane —
Bo mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Że tam, gdzie wisząc nad przestrzenią
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany!
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

SONET.

Od zmierzchającej pozłoty zachodu
Pod szronem nagie pordzewiały drzewa, —
Szklane powietrze dźwiękiem nie rozbrzmiewa
I czerwienieje do dna błękit lodu!

Chmurki zastygły. Ziemia pełna chłodu
I cisza ziarna makowe rozsiewa...
Po szkle niebiosów tęcza się przewiewa,
Niby zasłona anielskiego grodu.

Chwila — i spadnie tęczowa kurtyna —
Przedemną bogów zakwitnie kraina,
Zobaczę skarby zagrzebane w niebie!

Świat ten bezkresny, jak marzeń ogromy
Będzie mi prawie blizki i znajomy,
Bom go czuł zawsze naokoło siebie!

LILJANA

wydała »Płomienie« 1906. Poezye w »Tygodniku Illustrowanym« i i.

Przyjdź do mnie w cichem dnia zaraniu,
Kiedy się rozkwit życia pieni...
Przyjdź, gdy przeczucie twarz zrumieni,
I kiedym w skrytem serca drganiu
Twoja. — Życie się tęczą mieni...
Przyjdź z hymnem o kochaniu...

Przyjdź, gdy zdyszane słońca żarem
Kwiaty się tulą do zieleni...
Gdy zcicha rozgwar... Żar spłomieni,
Upojeń dzikich omgli czarem —
Przyjdź, gdym omdlała krwi pożarem...
Przyjdź w uścisk mój z płomieni ..

Przyjdź w oczekiwań szarej porze,
W którejbym biegła na kraj świata —
Przyjdź, kiedy dusza ma skrzydlata,
I gdy wspomnieniem serce gorze —
Przyjdź, a otchłanne serca zorze
Stworzą ci raj zaświata...

Przyjdź, gdy czerwona słońc poświata
Zgaśnie, zapadnie w nocy morze —
Przyjdź w ukwiecone szałem łoże —
Przyjdź gdzie z zachwytów moc się splata

Gdzie zapach myrhy wonnej wzlata,
Gdzie szczęścia śmierć nie zmoże.

PRZECZUCIE...

Przeczucie pieszczot bije w serce żarem,
Łuną twarz moją powleka —
Krew mą zapala wizji pożarem -
Idę — kochanek mnie czeka...

Bledną mi lica, we krwi szumi fali,
Dzikie wezwanie pieszczoty —
W oczach mi gorze, świat mi się pali —
Pragnień się wije tłum złoty..,

Po zbladłej twarzy łza ścieka sperlona,
Chłoniesz ją cichy, pijany —
Drżę od rozkoszy w twój uścisk wtulona,
I śnię...
Dzień świta wiośniany..,

JUŻ MI SIĘ NIGDY...

Już mi się nigdy nie będzie śnić,
Co mi się śniło wczora...
. . . .
. . . .

Już mi się nigdy młoda krew
Nie spali od kochania –
I już upojeń żarnych wiew
Nie zbudzi do śpiewania...

Już się nie wzbije w górny szlak
Płomień, co zgasł w iskierce –
Nie będzie nigdy boleć tak,
Jak dzisiaj boli serce...

Nigdy ze zbladłych moich warg
Nie tryśnie potok śmiechu...
Już niema w duszy tyle skarg,
Jak w nocnem dzisiaj echu...

. . . .
. . . .

Już mi się nigdy nie będzie śnić,
Co mi się śniło wczora...

KAZIMIERZ LUBECKI

ur. roku 1880 w Królestwie Polskiem. Przebywa w Krakowie. Pisma: »Sonety wschodnie«, »Ilustrowane sonety rzymskie«, »Podróż poślubna«. Liczne utwory beletrystyczne i naukowe po czasopimmach.

Z III. »TOMU POEZYI«.

DZIEŃ.

Zakwitnął wielki, złoty kwiat dnia: słońce! Leci
Zeń jasność, jak woń kwietne! Drżąc, lekko prze-
[chyla
Koronę swoją, jak po odlocie motyla.
Wielki, złoty kwiat nieba kwitnie: słońce świeci!

Kwitnie, wspaniałe barwy po świecie rozpyla,
Ziemia gorze w olbrzymiej kolorów zamieci,
I dzień się złotym słońca tulipanem kwieci
I tak trwa południowa, promienista chwila...

I tak trwa południowa, słoneczna dnia chwila...
Ziemia gorze w olbrzymiej kolorów zamieci,
Które słońca złocisty tulipan rozpyla.

W przestworza zeń ogromny blask, jak zapach, leci!
Jasny, wielki dnia kwiat, drżąc, lekko się przechyla.
Hej! kwitnie! hej! kwiat nieba kwitnie; słońce
[świeci!

CISZA NATCHNIENIA.

Wrzesz,
O, ciszo ty potężna, o, ciszo natchnienia!
Dzwon,
Który kołyszą, wrze tak, nim zagrzmi spiżowo;
Skłon,
Płonąc, nim słońce wejdzie z chwałą purpurową;
Mórz
Wody przed przyjściem burzy falujące dreszczem;
Zórz
Tysiące na niebiosach przed gwiaździstym deszczem.
Tak
Źródło kipiące wrze, nim wybuchnie gejzerem;
Ptak,
Zanim wzleci, by wyżyn poić się eterem;
Głąb
Ziemi, zanim law ognie zakipią z wulkanu;
Trąb
Piersi, kiedy tchu czerpią na granie peanu.
Wrzesz,
O, ciszo ty potężna, o, ciszo natchnienia!

Z »SONETÓW WSCHODNICH«.

W MECZECIE OMARA.

Ogarnęła nas rozkosz kolorów przedziwnych,
Przepysznymi akordy zalała nas z góry;
Wśród barw złote drżą linie, jak harfiane wtóry,
Jak dzwoniące janczarki — iskry lamp oliwnych.

Pieszczotliwie objęły nas ciemne lazury,
Omotała nas sieć arabesek naiwnych,
Spłynęły ku nam zdroje tęcz z okien przeci-
[wnych,
I przez meczet przewiało wskróś tchnienie pur-
[pury.

Bez obuwia po matach po cichu stąpamy,
Pośród świętego gaju kolumn, co w przestrzeni
Kolorowej unoszą ciemne w poprzek tramy.

Łuki z białych i ciemnych złożone kamieni,
Stoją, jak na magiczny świat otwarte bramy,
Daleki świat topazów, błękitu czerwieni...

NAD JORDANEM.

Nurt, nocą naczerniony, błękitnieć zaczyna,
Wśród bladych piasków brzegu barwiściej się toczy,
Wstają i otrząsają się z nocnej pomroczy
Strzępiaste boże drzewka i wysoka trzcina.

Na niebie się roziskrza złotem wschód uroczy,
Złotem się zapaliła Jordanu dolina,
Pozłociła się ogniem woda w rzece sina
I miejsce, gdzie Chrystusa ochrzcił Jan proroczy

A na duszę, gorąco mądlącą się Panu,
Jako słoneczne złoto popłynęła łaska,
Że z chmurnej jest podobna promiennemu ranu.

I jak chrztu, nic nie zetrze z niej tego obrazka
Nad błogosławionymi brzegami Jordanu,
Ni zniknie rzeka święta, wschód i puszcza płaska.

Z »SONETÓW RZYMSKICH«.

LEON XIII. NA »SEDIA GESTATORIA«.

Czy to feretron wnoszą? Figurę woskową
Świętego na ponsowym tronie? Nie, to żywa
Postać tak przecudowna. Krzyk szczęścia się zrywa,
Wielki, zgodny, jak jedno powitania słowo.

Twarz z alabastru w cudny uśmiech się rozpływa,
Czarne oczy zdaleka palą się ogniowo,
Biała, jedwabna piuska lśni, jak nimb nad głową.
Oklaski, krzyk: »Evviva! Papież-król! Evviva!!!

Płynie powoli, płynie, jak postać widzenia,
Biały, w złocie, w purpurze... Jak wiatr, co się
[zrywa
W godzinę cudu, bije okrzyk uniesienia.

Błogosławi panieńską rączką i przepływa,
Jak anioł-pocieszyciel, co żal w radość zmienia..
Brzmi pieśń krzyków, wiwatów: »Papa-Ré! Evviva!«.

JESZCZE...

Błękit i błękit nieba i fal... Złote runa
Chmurek wiszą w przestworzu. Na modrym kry-
[sztale
Wody iskrzy się srebro słońca. Jakie dale...
Czuć aromaty wiatru, wieczoru zwiastuna.

Schodzi słońce, błękitów król w purpury chwale:
Fiolet owiewa wzgórza, zachód krasna łuna,
Czerwienieje ogniście woda srebrnoruna,
Ciemnieją, w bronz kipiący zmieniają się fale.

Ostatnie blaski gasną na wodzie i niebie.
Noc. Wulkan tylko gore. W naturze drżą dreszcze,
Czarne morze skrwawione trwożnie się kolebie.

Wulkan wre. Kipią żary piekielne, złowieszcze;
Otchłań morska w pożarze! Świat wyraz dał z siebie.
Kraso, grozo, potęgo, mało jeszcze! Jeszcze...

ADAM ŁADA (CYBULSKI)

ur. 1871 r. w Grabownicy w Sanockiem. Poezye rozprószone po czasopismach.

ŻEM KOCHAŁ CISZĘ...

Żem kochał ciszę i wieczorne cienie,
I zapomniane przeszłości cmentarze,
Kościołów wiejskich senne rozmodlenie,
Botticellowskich bladych Madonn twarze;
Żem kochał wielką cichych serc prostotę
I głośne w głębi niemych dusz milczenie,
Pól zaśnieżonych bezmierną tęsknotę,
Nocy wiosennych jasne ukojenie;
Żem nieraz stawał i słuchał, jak idzie
Czas, który przyszłość w swojej ciszy kryje,
Żem po spodlonych ludzkich serc ohydzie
Szedł, jako fala, która złoto myje,
Żem był jak kwiaty jesienią więdniące,
Jako wędrowne na dolinach ptaki,
Żem nieraz w oczach mając łzy palące,
Duchem biegł w blade znicestwienia szlaki;
Żem cierpiał bardzo, ale nie przeklinał,
Żem bardzo kochał, choć serca pogardą,
Żem głowy nigdy przed kłamstwem nie zginał,
I duszę cichą w sobie miał, lecz hardą —
Mam w sobie pokój dzisiaj i milczenie,
I w oczach sennych ciche upojenie

I cichą bardzo i słodką tęsknotę,
A we snach moich jedno słońce — złote
I jedną miłość płomienną w przeźroczach:
Bezmierne jedno szczęście — w Twoich oczach!.

Z WŁOCH.

Józefowi Jasieńskiemu.

WIZYA PERUGII.

Pamiętasz miasto, gdzie na ulic skręcie
Błękit się nagle otwierał przed nami
W dalekie, jasne marzeń wniebowzięcie?

Dokoła senne wzgórza za wzgórzami,
Zda się wieczyście falują i płyną
Kręgiem, co morza rytmy oczom mami:

Kraj, gdy wieczorną nań spojrzysz godziną,
Taki sam słodki i r zem surowy,
Jakim malował go mistrz Perugino.

Oliwki gajów podmiejskich rozmowy
Nad cysternami ciche wiodą wszędzie
Gdy od Subasio miesiąc wzejdzie nowy,

Zda się, że Chrystus biały wtedy sięgdzie
U onych studzien i w umbryjską, jasną
Noc miejscu temu błogosławić będzie...

RZYM ŻEGNAJĄC...

Rzym żegnając, gdy strząsam z siebie pył stuleci —
Napróżno żegnam Rzym. Ponad Kampanią świeci
Słońce, co się lituje, a może urąga;
Ciche się stada pasą w cieniu wodociąga,
A w mieście? Tam, gdy dzienny ścichnie gwar [i zamęt
Stu fontann rzymskich nocą wieczny słychać lament
Jak stu harf srebnostrunych zgodzonego chóru,
(Na wieki tak im płaczu starczy i marmuru).
O, krok tam lekko stawiaj pod świątyni progiem,
Bo ten, po którym depcesz głaz mógł kiedyś bogiem
Być, albo Cezara motłoch straszył twarzą
I jeszcze mu się teraz ofiarnicze marzą
Dymy; rzesza wokół u stóp jego tłumna,
Ponad nim żałobnica, samotna kolumna,
Jedna nietknięta, biała w akantu koronie,
O zmarłych siostrzyc swoich marzy ślubnem [gronie...
Nie płosz tych snów, i pytać nie chodź do kościoła,
W którym rybaczy grób: gdzie moc ta, która czoła
Kolumn tych starła w proch?
Tam, w złotość lamp spowita,
Taka mogiła pustką głuchą cię powita,
Że gdzie polecieć zechcesz, wszędzie, ptaku ranny,
Rzymskie ci odtąd będą płakały fontanny.

KORNEL MAKUSZYŃSKI



ur. w Stryju. Jest członkiem redakcyi Słowa Polskiego« i krytykiem teatralnym. Osobno: »Połów gwiazd« 1908.

LORELEY.

Uplotłem sobie złotą sieć
Z włosów niewiernych mych kochanek,
Uplotłem sobie sieć złocistą:
Minstrel uparty zapatrzony w ganek,
Wydzwaniający piosnkę płomienistą,
Uplotłem sobie złotą sieć
Z włosów niewiernych mych kochanek.
Rycerz płomienny nie schodzący z szranek,
Zakuty w zbroi srebro blach i miedź,
Uplotłem sobie złotą sieć
Z włosów niewiernych mych kochanek.
Śmiechem mnie ima apostolska szata,
Cięży u sieci mej złocistej ołów,
Spada mi z ramion moja sieć bogata,
Idę na połów!

Rzuciłem wszystkie nocne ćmy — minstrele,
I cichym krokiem, z udaną powagą,
Idę zarzucać mą sieć na topiele:
Może wyłowię jaką nimfę nagą,
I w podarunku dam przyjacielowi,
Który maluje nimfy...
Może oto
Skarby wyłowię siecią moją złotą:
Muszlę przeczystą z przeogromną perłą,
Zwłoki królewny, koronę i berło;

Harfę, na której grają senne fale,
Srebro fal rannych, wieczornych opale;
Te stosy złota, które słońcu kradnie
Rój nimf, gdy słońce z falą się kołysze, —
Może sieć moja znajdzie w głębi, na dnie
Spokój umarły i śmiertelną ciszę...

Sieć ma rozewrze oczu swych tysiące,
Bezdenne oczy w złocistej oprawie,
Ramiona swoje wyciągnie chłonące,
Tysiącramienny polip na obławie –
I złowi ciszę, zielonego trupa...
(Raz ją był mędrzec utopił szalony,
By uciszyła wklęte w topiel dzwony).

Chodźmy na połów gwiazd! Złocisty połów
Siecią złocistą! A któryż z rybaków
Nie chciał wyławiać gwiazd z niebieskich szlaków?
Pójdź, sieci rzucim...
Na połów! Na połów!
Błogosławione nadzieje rybacze
I trud tak ciężki, jak u sieci ołów,
I mozół wielki, największy z mozołów,
I niestrudzeni ci gwiazd poławiacze.
Gwiazd nie dosięgniem, obłąkańcy gwiezdni,
Lecz ich złociste powstrzymam pochody:
Siecią wyłowię księżyc z wodnej bezdni
Siecią wyłowię gwiazdy z cichej wody.

Ho! Ho! Sieć rzucam...
Zaczyna się połów:
Tysiącem oczu patrzy złota sieć,
W ręku zaciężył mi mej sieci ołów,
Co ją pociągnie w przepaść i zatopi...
Nie zerwie mi się, wszak nie jest z konopi
Złocista moja sieć.
Ty siądź na skale: będziesz Loreley!
Perukę złotą weź i harfę w ręce,
(Musisz złociste włosy mieć).
A potem graj, tak cudnie graj,
Bym mógł uwierzyć, że płynę i płynę,
Z siecią złocistą na wir i głębinę,
By mi się zdało, żem jest w wielkiej męce,
O, Loreley!...

Ho! Ho! Sieć rzucam...
Ty śpiewaj i graj!
Gwiazdy nie słyszą, drzemią... gwiazdy drzemią...
Czuwają tylko tamte, ponad ziemią.
Topi się cicho moja sieć i zdradnie,
Tysiącem oczu patrzy, dłonie kładnie
Na topiel... Przebóg! cicho! — Od niebiosów
Upadła w tonie gwiazda, co dojrzała
Zamiarów naszych, nocnych gwiazd złodziei,
I teraz na dnie tajnie wieści losów.
Patrzmy: wnet ujrzym wir gwiezdnej zawiei,
Jak ryb spłoszonych stado, gwiezdne roje...

Niech zmilkną usta i twoje i moje.
Skryj się! Zbyt twarzą swoją świecisz jasną,
Gwiazdy nas ujrzą, przyczają się, zgasną,
W zielska się wodne skryją, zamkną oczy,
Nie dojrzym w toni...
Toń się dziwnie mroczy...
Przez miłość!... Na dnie ktoś uderzył w dzwony..
Och! jakże dzwoni...
Jak dzwoni...
Jak dzwoni...

Ho! Ho! Już sieć zapadła w głąb,
Już tylko widać brzeg złocony,
I złoty tylko widać sznur...
Muzykę zacznij... teraz graj...
Udawaj, że mnie wabisz w wir,
O, Loreley...
O, Loreley!...
Komedyę gram, ubrany w kir.
Udaję z duszą straszny spór,
A ty mnie wabisz, wabisz w wir...

O, jak sieć moja plącze się i mota,
O, gwiazdy! gwiazdy!
A topiel cała tak się stała złota,
Jakby się gwiazdy rozpłynęły moje,
Jakgdyby w topiel biły złote zdroje.
Szarpnąłem sieć: ujęła coś w swe sznury,

Chwyciła z mocy wszystkiej, żem wyprężył
Ramiona — szarpnął, — i łup mój zwyciężył.
To wieże były kryształowe pewnie,
A sieć chwyciła te zaklęte mury, —
Pałace może zwaliłem królewnie.

Wlecze sieć moja kilka nenufarów,
Tryumfy mnogie gdzieś z bezdennych jarów...
I plon mozołów.
Dobyłem sieć na suchy brzegu skraj, —
Zdejm już perukę, dobra Loreley,
Skończony połów...

Wszakże ci piękna była ma wyprawa
Na połów gwiazd, choć mi nie stroją głowy!
Piękne jest to, co z siebie nic nie dawa,
I piękny był mój mozół syzyfowy.
I tęsknić będę do tego połowu:
Choć obłąkanie w tem jest — są nadzieje...
Przeto naprawię sieci, gdy zadnieje,
I pójdę łowić senne gwiazdy znowu.

Żegnaj mi, Piękna moja!... Idę dalej,
Łaskawszej szukać do połowu fali.
Loreley dobra! okryj się żałobą,
I nie płacz...
Pan Bóg... och, nie! — Heine z tobą!

W KARCZMIE NA ROZDROŻU.

Zeszliśmy się ze wszystkich stron świata,
Dżdżysta noc nas spędziła gromadą,
Nikt z nas nie ma ni siostry ni brata,
Z jakiej ziemi czy z jakiego świata
Wędrujemy i dniami i nocą,
Nikt z nas nie wie, ni dokąd ni po co...
Królestwo nasze nie z tego świata.
Dżdżysta noc nas spędziła gromadą,
Jakieś światło między nami lata,
Każdy ma sakwę... i twarz ma bladą...

Siądźcie! niech tutaj pustka gospodarzy,
O, wy kramarze wędrowni!
Dorzućcie pryskających na ognisko głowni,
Otrzyjcie łzy deszczu z twarzy...
Idziemy wszyscy z daleka,
Więc niech się nikomu nie spieszy:
Na wiatrów patrząca taniec,
Śmierć siadła pod karczmą, na przyzbie,
Odmawia różaniec
I czeka...

O bracia moi!
Potrzebne jest słońce...
Kto słońcem kupczy, niech wstanie
Rozwiąże sakwy swej końce

I słońcem pułap ustroi,
Bowiem jest świetne zebranie,
O, bracia moi!
Ty zaś, pijany wiecznie trubadurze,
Ruchem przecudnym wszystkim rzuć na głowy
Krwawiące róże...
Tyś chodził na gwiazd połowy,
Przeto każdemu daj gwiazd pełne dłonie,
I syp je garścią hojną
Na szaty i na skronie...

Kto z was jest malarz snów?
O, bracie!
Wymaluj pułap niebieski
Pełen anielskich głów,
I archanioły w szkarłacie.
Na ścianach maluj freski:
Winnicę na górskim stoku
Śmiejącą się winogradem,
Niewiastę z ogniem w oku,
Z licem od wzruszeń bladem,
Która pragnąca nadaremnie woła,
Malowanego na stropie anioła...
W okna witraże wpraw i tysiąc tęcz!
Kiedy się cieszyć będziemy biesiadą,
Niech się nam tęcze na stoły pokładą...

Ty dobądź muzyckie narzędzie,
I dźwięcz...

Kanzonę śpiewaj składaną
Z rymów kradzionych Petrarce!
Rozpustną, -- pomodlim się rano,
Płomienną, -- nie siedzą tu starce...
Kanzonę taką miłosną,
By w popiół paliła wargi
Temu, co śpiewa
A dusze,
By wszystkim zakwitły wiosną.
Kanzonę bez męki i skargi,
A każde w kanzonie słowo
Niech będzie pocałunkiem!
Gdy skończysz, – to z ust pij na nowo,
Niech wszyscy pijani będą
Płomiennym trunkiem...
Hohej! Niech wszyscy zasiędą,
A herold niech wkoło ogłasza,
Że sny się wspaniałe tu przędą
I że tu odprawia biesiady,
Łatana królewskość nasza,
Że tłum tu ucztuje blady.
Kto łzami kupczy?!...
Niechaj płakać zacznie,
Aby wesołość wśród nas się rozparła.
Smutek nam będzie zastępował karła,
Co wszystkich cieszy łzą,
I patrzy bacznie
Panu swojemu w oczy
Jak pies...

Rzeknij mi tylko bracie, czem ty kupczysz?
Och! Tylko słońcem?...
A ja kupczę — duszą.

Uczyńcie wrzawę, zgiełk i głosów wojnę,
Dusze przed własnych śmiechów stawcie sądem,
Na śmiech skazując...
Były zbyt dostojne...
Do życia wracać? Którędy i — po co?
Słońca są wszystkie zarażone trądem,
A uciążliwa jest wędrówka nocą...
Śnijcie! aż przyśni wam się śmierć, a oto
To najpiękniejsze zakończenie dramy.
Uśmiech wam usta skrzywił, więc z ochotą
Zda się, pójdziecie do dantejskiej bramy.
Bracie, handlarzu mądrości żywota,
Wytłómacz wszystkim, że są rzeczy bliźnie,
Choć niemi nie są, że jest grzechem cnota,
I że lekarstwo często jest — w truciźnie...

A teraz w sakwy każdy niech zabierze,
To, co jest jego: i słońca i róże,
Czary murrheńskie i złote talerze,
I niechaj idzie dalej w swe podróże.
Ukryjcie skrzętnie skarby sezamowe
O króle biedni...
Na jakiemś rozdrożu
Gdzieś się spotkamy — kiedy i jak, nie wiem..
Ale pomnijcie:

Nim kto z głodu padnie,
Ten niechaj legnie gdzieś w przydrożnem zbożu
I żre oczyma zboże
I oczyma
Z przydrożnych bogactw jak ptak boży kradnie,
By lekkomyślny miał skon i wesoły...
O, bracia moi!
Jako Apostoły
Chodźmy na wszystkie cztery świata strony
Zaprzeczać prawdzie ludzkiej, siać męczarnie
W pola uprawne...
Śmierć jak chwast wyrośnie
I suchą dłonią złoto zbóż zagarnie.
Nie nasze zboże i męka nie nasza...
A potem krzyczmy na drogach rozgłośnie:
O, ludzie dobrzy, którzy Messyasza
Czekacie! Idzie tutaj naszym śladem,
Z dłonią łaskawą i obliczem bladem!...
Niechaj czekają w rozpaczy i męce,
Na oczu łaskę i na dobre ręce,
Aż ich czekania straszny obłęd strawi,
I Śmierć-Zbawiciel przyjdzie, co ich zbawi.

O, bracia moi...
Noc deszczem płacze, że się oto dusze
Nam zapodziały gdzieś; i wichr się skarzy
Jak pies, warczący u karczmy podwoi
Na nocnej straży...
Chodźmy...

•

•

Czas się powlecze za nami, kaleka,
Gasnący w ręku podnosząc kaganiec...
Śmierć w pogotowiu...
Siadła na karczmy przyzbie,
Odmawia różaniec
I czeka.

LIST OSTATNI.

...A dzisiaj będę histryo, który rolę
Tragiczną tylko gra i hamletową:
Ze zmarszczką pyszną na wyniosłem czole,
Chodzący z smutnie pochyloną głową,
Umarłe kwiaty mając w płaszcza pole,
Z duszą niezmiernie chorą, bo zbyt — zdrową,
I udam, w bladość przyoblókłszy lice,
Że pragnę boże gasić błyskawice.

I tak, — rzuciwszy wiatrom wielkim gestem
Płaszcz, zdarty martwym bohaterom z ramion,
Pijany pozą i płaszcza szelestem,
Z tarczą, co znamię ma, z słonecznych znamion
Najsłoneczniejsze, — bohaterski jestem!
I histryo marny, płaszcz niczem nie splamion
Zbrudzę, gdy scena skończy się tragiczna,
Ucieszna bardzo, nędzna i... prześliczna.

Klaszcz w ręce! walka będzie pełna wrzawy,
Odgłosów burzy i bijących dzwonów
I pełna złotej gwiaździstej kurzawy,
Odłamków bożych potrzaskanych tronów...

A nad to wszystko pył się wzniesie krwawy,
I wrzask scenicznych i udanych skonów;
A gdy ostatni krzyk w komedyi skona,
Znów klaśnij w ręce: niech spadnie zasłona!

Znajdź do tej pozy słowa na tej stronie
W biblii, gdzie rzecz jest cudna o aniołach:
»...Oto zdumiony usiadł Pan na tronie,
A oni, gwiazdy krwawe mając w połach,
Pędzili — słońca dwa na nieboskłonie,
Dwa archanioły na złocistych kołach,
Gwiazdy ciskając w siebie jak pociski,
Gromy z ust, wichry z piersi, z oczu błyski...«

Kto padnie?!... Czytaj: »Pan się wsparł na ręku,
Na bitwę patrząc, a śmiertelne poty
Na czoło wyszły mu w przedziwnym lęku...
(Oto mocniejszy zdał się duch tęsknoty)!
A oni zasię w krwawych błysków pęku
Słońca i gwiazdy w pył trzaskali złoty,
A Pan oczyma błogosławił walce,
W śmiertelnym lęku krwawiąc twórcze palce«

»A walka była o to, że z aniołów
Jeden, w zadumie strasznej splótłszy ręce,
Odlatał w pustkę od niebieskich stołów
Lub w tęsknot wielkich rozpaczliwej męce,
Co nocy chodził na gwiazd bożych połów,
Albo z zórz szaty utkawszy książęce

Nad boże trony wznosił swą tęknotę,
Jak Bóg na głowę wziąwszy słońce złote«...

Odwróćmy kartę: »...A w chmurne dni owe,
Kiedy tęsknotą pjany był jak winem,
Archanioł inny na wozy bojowe
Wsiadł, wargi blade gryząc przed swym czynem,
I walkę począł... i w słoneczną głowę
Gwiazdą najkrwawszą cisnął jak rubinem,
A potem, dysząc śpiewał swą potęgę,
Po trupie jadąc świetnym«... – Zamknij księgę!

Nie trwóż się wrzawy! Ja cię tylko chciałem
Pożegnać świetnie, najświetniejszą pozą,
Pyszną, anielską! Licem badzo białem
I burzą rymów i śmiertelną grozą
I histryońskiem mem bogactwem całem.
Jutro już szczery będę, — ale prozą,
Bo gdybym rymem, co od krwi jest krwawszy
Pisał, -- to tybyś padła, przeczytawszy.

Kończmy komedyę. Więc dłonią pajęczą
Dobądź mi słońce z sezamowej skrzyni,
I niech aktorskie łzy zagrają tęczą,
A znak się zgody na niebie uczyni...
A siedmiobarwną złączeni obręczą,
Niech nikt nikogo o prawdę nie wini.
Ja zgaszę łuny, ty zgaś błyskawice
I w zmierzchu w pańskie pójdziemy winnice.

Na południowe stoki pójdźmy strome
Rwać winogrady, (o, uciecho pusta!)
W kielichy sączyć wino i łakome
Podawać winu do rozkoszy usta.
Ty zatańcz taniec Duncan lub — Salome!
Chcesz śmierci mojej? — Więc bądź jak Lokusta,
Ja Magiem będę i w uciesznej psocie
Udam, żem znalazł śmierć w kielicha złocie.

Dyonizyjskie święto! Niech kapłany
Ustroją kwieciem głowy swoje łyse
I niech zatańczą taniec opętany!
Zabitych wołów na ofiarną misę
Serca niech rzucą, a bóg, potem zlany,
Niech idzie serca zjadać za kulisę...
Niech się muzyckie rozełka narzędzie
I niechaj dusze tańczą — lecz w obłędzie!

A potem odejdź w pokoju i ciszy
Gdziekolwiek zechcesz. Ty i myśli twoje.
Bądź kurtyzaną lub wdziej habit mniszy —
Wszystko mi jedno! graliśmy oboje.
Wspomnij mnie jednak, choć cię nikt nie słyszy,
Choć na komedyę nową rym mój stroję,
Żegnaj. Me statki drżą na złotej fali.
Sam dzisiaj będę ucztował w Walhalli.

JADWIGA MARCINOWSKA



*poezye rozprószone po czasopismach. **Dramaty**: »Kościuszko«, »Piastowie« i inne.*

MĄDROŚĆ ZBÓŻ.

Jeżeli przyjdzie na cię godzina
tej smutnej nudy,
gdy serce klątwą znaczyć poczyna
życiowe trudy;
to głowę cicho gdzieś na miedzy złóż
i patrzaj w płowość dochodzących zbóż.

Jeżeli pogrzebie grabarz, smutek twój,
twych wierzeń święto,
jeżeli będziesz miał jak wyschły zdrój
duszę wyschniętą;
to myślom korne uciszenie stwórz,
niech cię ogarnie dziwna mądrość zbóż.

W Polsce na łanach cudny rozlew tchnień,
kojąca fala;
przedziwny wschodzi miłościwy dzień,
błyski zapala;
wiatr przebiegł szeptem aż po miedzy skraje
z trąconych kłosów mądrość ziemi wstaje.

W Polsce na łanach tajna pamięć lat,
daleko, daleko,
aż gdzie wynikał z obsłon młody świat..
Szemrzą i cieką

tajemne dzieje, co już wonczas były,
z poczuciem krzepkiej, niestarganej siły.

Ucisz się, człeku, rozewrzyj oczy.
Patrz: kłosy stoją;
w złotawej fali poszum się toczy,
i śpiewa pieśń swoją
niewyrażoną żadnym dźwiękiem słów.
Szumie zbożowy, płyń i graj i mów.

W polu wieść mądra, jeno czerpać chciej:
kłosy się złocą;
dojrzewa nizki obszar żytnich kniej
niezmienną mocą...
Strąć z swoich oczu zmorę ciężkich snów;
chciej, otwórz serce: będziesz sercem zdrów.

Stanie-ć się zwolna głodu sycenie,
jakby przez święty chleb,
jeno zmyj w słońca złej woli cienie
i smętek serca grzeb;
bądź gorzkiej myśli swojej pilny stróż:
słuchaj, gdy mówi do cię mądrość zbóż.

Może ku tobie wtedy płynąć będzie
potężny wiew,
słodycz żywota, który po krawędzie
ziemi i głębie trzew

króluje, czyniąc swych odrodzeń chrzest,
a ukojony w tem, że wiecznie jest.

Może przed tobą w tej godzinie świata,
kiedy przecudnie
woń tchów żywiących k'niebu ulata
w samo południe,
zjawienie... Stopi żar zmysłów osłonę;
wzejdą na jawie rzeczy w śnie przemknione.

Gdzieś — z gęstwi trawy pod błyskiem słońca
stal się wychyli...
Patrz: złoty promień o miecz-szczerbiec trąca...
Szczęk -- w krótkiej chwili...
Cichy szczęk... Słyszysz? Stłumiony, chropawy;
pod słońcem skarga zardzewiałej sławy.

Albo też wyjrzy przez opłotki żyta,
kłosiane wrota,
głowa niewieścia w płótno chust owita...
Twarz zamigota...
W ciszy południa, gdy łan pełnią wzdycha,
zbóż gospodyni, królów mać, Rzepicha.

Potem, gdy głębiej pocznie w tobie brzmieć
strun dusznych granie,
że się poczujesz jako Boży kmieć
na wiecznym łanie;

przylecą dziwne o początkach wieści,
zapłodnień pyłki, pełne życia treści.

W cichem powietrzu lotne puchy płoną,
w słońcu wir złoty;
oddana przestrzeń jak miłośne łono
w twórczość tęsknoty...
Wybuchł kwiat szczęścia i plon chwały gorze,
gdzie hymny bytów i fal gwiezdnych morze.
Oto masz w uściech smak krzepiący chleba,
w piersiach woń ziarna;
stań się jak ziemia, niestargana gleba
mocą ofiarna,
i wszystkim sercem wielkiej chwili wtórz,
w której cię uczy wielka mądrość zbóż.

MARYA MARKOWSKA

ur. 1878 r. w Terespolu nad Bugiem. Mieszka obecnie w Krakowie. Poezye po czasopismach.

MROKIEM.

Szarą godziną, cichym mrokiem,
Od pól dalekich i od boru,
Powietrzem wolnem, a szerokiem,
Płynie powoli pieśń wieczoru.

Płynie po rosie, z echem leci,
Na serce smutkiem ciężkim pada,
Łzą brylantową w oku świeci,
Na progu chaty — smętna — siada

Niby to pieści i kołysze,
Duszę oplącze i omota,
Aż zasłuchane w nocną ciszę
Serce zabierze ci tęsknota...

Kędyś nad pola, nad zagony
Płynie i płynie pieśń — tęsknica,
Z sobą w dalekie niesie strony
Skradzione serce — czarownica.

BABIE LATO.

Snuje się, snuje babie lato,
Po rżysku płynie, po zagonie,
I blaskiem dziwnym w słońcu płonie
Cieniuchna, mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!

Pajęcza nić,
Zaklęta nić,
Czepia się łodyg zwiędłej trawy,
Ostatni maku kwiat jaskrawy
Osrebrza cały i oplata;

Tam — gdzie ostróżki fioletowe
Na złocie ścierni haft swój kładą,
Niby błyszczący szych ulata,
By tej jesieni smętnej szata
W barwy mieniła się tęczowe;

Tam na puszystą ostu głowę,
Na koniczyny czerwień bladą
I na piaszczyste, hen, rozłogi,
I na dziewanny szare kiście —
Gdzie kwiat ostatni lśni ogniście —
Gdzie się przegonów ciągną smugi,
Gdzie się grusz starych cienie kładą,

Na ich gałęzie rosochate,
Na ten pas miedzy — wązki, długi,
Na szare stogi, sterty płowe,
Tam, na zagaje, na dąbrowę,
Aż do tej wody, do tej rzeki,
Na mokre łąki, na bagniska,
Gdzie się ta trzcina chwieje ślizka,
Gdzie tataraki, wodne ziele —
Tak się to srebro żywe ściele,
Jedna za drugą mleczna nić —
Wrzeciono oto z bajki chwyć,
By wić przędziwo srebrne, wić!
I płynie nić,
Zaklęta nić...

A śladem za nią, na ścieżyny,
Co się wśród pola bielą znaczą,
Pod tych niebiosów błękit siny,
Za bladą nicią tą tułaczą,
Nadpływa dusza —
Żalem gnana,
W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Gdzie się na miedzach oset chwieje,
Łodyg cykoryi szare pęki,
Srebrne piołuny i bylice —
Pobladłe zwraca, smętne lice,
To jej marzenia, jej nadzieje...

Uwiędłe ziele...
I tylko wiatr
Roznosi jęki,
Trawami chwieje,
I nić się snuje,
Duszę chwyta
— Taka w niej siła niespożyta —
Ta zwiewna nić, tych wspomnień nić.

Ugorem przeszły znojne pługi,
Pobłyska w słońcu ziemia czarna,
Jeden za drugim zagon długi,
Na nowe plony, nowe ziarna.
Po skibach płynie, tam, powoli...
I krwi i potu tyle, łez,
Na tych zagonach, na tej roli...
Bez zbiorów siewy...
Znojów kres,
Już kres!
I innym trud — a żal...
Z powietrznych cichych płynie fal
— Ani jej zerwać, ani skryć —
Ta srebrna nić, tych znojów nić.

Och!
To jakiś polem przeszedł jęk,
To jakiś ziemią wstrząsnął szloch,
Daleko hen

Zatoczył krąg,
Niby na wodzie te koła,
I tam od łąk,
W poszumach trawy,
Głos idzie łzawy,
I woła,
I łka.

Z poszumem wiatru
Jedno imię
Jękiem nadleci,
Jak olbrzymie
Ziemi westchnienie – polem wieje,
Aż mu zawtórzą echem knieje,
W wierzbach zahuczy, w rokicinie,
W mgłach nieuchwytnych się rozpłynie
To jedno imię – jedno imię...

Przędziwa nić,
Pajęcza nić,
Drży tem imieniem –
Żal, tęsknica,
Zadumana wstaje bladolica,
Powraca znów
Niezapomniana jedna nuta,
Z zaprzepaszczonych lat wysnuta
Ta nić, ta srebrna nić –
Płynie nad polem, z wiatrem leci,
W jesiennem słońcu skrzy się, świeci

Ta dziwna nić,
Ta nuta,
Z przeszłości mgieł wysnuta,
Na życie całe
— Jak pokuta
Zaprzepaszczonych dawnych dni —
Omota duszę i pochwyci:
Taka w niej siła,
Taka moc
W pajęczej wątłej nici!

Niema boleści w niej, rozpaczy,
A smętek jeno zadumanie,
Jakieś w przeszłości rozkochanie,
Tej — promienistej, pełnej dum...
Orłowe loty,
Skrzydeł szum,
I duchów moc...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było, to było już.
Od liliowych wrzosów wstaje
I płynie, płynie na rozstaje,
Gdzie krzyż spróchniały czarny stoi;
Gdzie się czerwienią brzeźniak troi,
Kamienie wielkie leżą...
I huczy wicher po przez łany,
Niesie przędziwa szmat stargany...

O życie! biedne życie...

I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było... to było już...
Po tych ścieżynach, co się znaczą
I złem, i dobrem — i rozpaczą,
I słonecznemi smugi —
Nadpływa dusza...
Żalem gnana,
W dalekie echa zasłuchana,
Z tęsknicą cichą.

Cicho...
Niech płynie ugorami,
I ornem polem i łąkami,
Gdzie się wysrebrza wstęga rzeki
W starej wierzbiny zżółkłej ramie,
Gdzie rokiciny szum daleki,
Gdzie się echową skargą łamie
Fujarki nuta;
Gdzie z kotliny
Na pole dym się wlecze siny,
I szary kamień miedzy strzeże,
I majaczeją stare wieże
W bezchmurnym, jasnym nieb błękicie.

Cicho...
Niech w dawne płynie życie...

Niech się rozświetli, niech roztęczy
Ten szlak, utkany z mgły pajęczej,
Litosnych Maryi rąk robota,
Niech się ta droga wije złota
Bez szarpiącego wspomnień jęku,
Bez krwi zapiekłej z dawnej rany,
Bez tej rozpaczy,
Tej bez słowa,
Co się w grobowem: nigdy! chowa,
Bez zgrzytu struny potarganej,
Bez żalu i bez lęku...

Cicho...
Niech drogą płynie białą —
Już przeminęło, już się stało...
Uwiędły liście...
Było... było...
Mgły się wieszają nad mogiłą,
Pogodny zachód, jasny, złoty...
I rzewność jeno, zadumanie,
I smutku powiew i tęsknoty,
I przedwieczorne zasłuchanie,
I zachód jasny, cichy, złoty...
I tych pajęczych nici sploty,
I chłodnych kilka ros na ręku,
I tylko jeszcze dumać... śnić...

Bo płynie nić,
Pajęcza nić,
Zaklęta, dziwna nić!...

Z JESIENNYCH ZMIERZCHÓW.

Graj mi dzieweczko! graj ciemnowłosa,
Piosenkę smętną, rzewną...

Wieczorna pada chłodna rosa,
Bezgwiezdne, chmurne dziś niebiosa –
Graj mi dziewczko, graj ciemnowłosa...

Powiędły kwiaty, liść chrzęści suchy,
Opustoszały gaje,
Płyną powietrzem pajęcze puchy,
Od czarnych bagnisk jęk idzie głuchy
Na łąki, na rozstaje!...

Graj mi dzieweczko! –
Czarna rola
Do snu układa skronie,
Śmiercią powiało już na pola,
Skończona dola i niedola,
Zawodzi wiatr po zgonie...
Tka pajęczyna śmierci chusty,
Mogiłę liście ścielą,
A stare wierzby nad topielą,
Gdzie się piaszczyste smugi bielą,
Obumarłemi usty
»Requiescat« szepczą z cicha
I bór za niemi cały wzdycha...

Ach!
Graj, graj dzieweczko!
Tak mi strach
Na duszę dziwny pada
Od tego zgonu, od tych pól,
Gdzie łka, zawodzi trud i ból
I troska wstaje blada...

Graj, graj!
Zaczaruj blaski, wonie,
Majowych tchnień pieszczoty,
Niech się roziskrzy, niech zapłonie
Słoneczny urok złoty,
Graj! –

Gdzie mogiły, chłodne, świeże,
Niech kwiat zapomnień wzrośnie.
Niech...
Próżno, próżno!
Nie uwierzę,
Nie uwierzę w pieśń o wiośnie!

TADEUSZ MICIŃSKI



ur. 1873 r. w Królestwie Polskiem. Tom poezy »W mroku gwiazd«. Inne poezye w »Chimerze«, »Ateneum« i t. d.

* * *

Wśród traw
omdlały leżę
bezwładnie —
jak senny staw.
Czarne więcierze
czyhają na dnie
i każda żywa
myśl tam przepadnie,
wola spoczywa
w zaroślach na dnie.

Czy sen?
dzikie widziadła —
gromada hien
umarłą duszę
kręgiem obsiadła.
Krew płynie z żył —
lecz słodko znoszę katusze —
i śnię — żem kiedyś dawno — żył.
W obojętności
bujnych pokoszonych traw —
idę do Boga —
wśród kolumn czarnych wieczności.

A złota rosa na twarz moją pada.
I wstrząsa dreszcz.

Czarne chmurzyska,
jako bawołów pędzących stada --
tysiące krwawych oczu błyska.
I kataraktą lunął deszcz.
To sen mnie łudzi —
to nad grobem wyje
oślepła skarga —
ja głaz myślący — nie żyję.
— — — — — — — — — — —
Grom budzi!
— — — — — — — — — — —
Wichrem sieczony —
nad grzywą rumaka
porywam mocnemi ramiony
piorun —
i skrzydła swe rozwijam ptaka.
Nad morze!
nad lśniące,
gwiazdami usiane morze —
za purpurowe góry
w czarne, głębokie niebiosa.

LUCIFER.

am ciemny jest wśród wichrów płomień boży,
,ecący z jękiem w dal — jak głuchy dzwon północny
ι w mrokach gór zapalam czerwień zorzy
ıkrą mych bolów, gwiazdą mej bezmocy.

Ja komet król — a duch się we mnie wichrzy
jak pył pustyni w zwiewną piramidę —
ja piorun burz — a od grobowca cichszy
mogił swych kryję trupiość i ohydę.

Ja otchłań tęcz — a płakałbym nad sobą,
jak zimny wiatr na zwiędłych stawu trzcinach.
Jam blask wulkanów — a w błotnych nizinach
idę, jak pogrzeb, z nudą i żałobą.

Na harfach morze gra — kłębi się rajów pożoga —
i słońce — mój wróg słońce! Wschodzi, wielbiąc
[Boga.

Bądź zdrowa! [Jak dziwnie brzmi dzwon!]
Bądź zdrowa! [lecą liście z drzewa...]
Bądź zdrowa! [miłość jest jak zgon...]
Bądź zdrowa! [wiatr złowrogi śpiewa...]
— Już nigdy! —
Rwie serce Twój płacz!
— Wydarł się z piersi niespodzianie,
— żegnam Cię — trzeba — i ty Boże racz —
— litości!... — —
W konie!... Chryste Panie.

EDWARD MILEWSKI.

Z CYKLU: »KWITNĄCE CIERNIE«.

Z CZARNEJ PRZESZŁOŚCI...

Strasznie mi duszę zmordowały katy,
Zżarły mię czarną mego ludu klęską,
Mrozem pobiły pacholęctwa kwiaty,
Słotą zasnuły moją wiosnę męską.

A gdy mi potem nastał wiek dojrzały,
Dzika szaruga miotała mną wściekle, —
Aż zwalczon padłem — osłabły, zbolały,
Przez czarne sępy dziobany zaciekle.

Później... gdy z omdleń ocknęło się ramię, —
Gdy wstać z niemocy pragnąłem, z bezcześci, —
Na okrucieństwa rozpięto mię tramie
I octem krwawej pojono boleści.

Me biedne ciało spowite w powrozy,
I tram na wzgórza ustawiano żwirze,
Bym mógł ogarnąć w obłąkaniu zgrozy
Wszystkie morderstwa, katusze i krzyże.

Na wzgórzu stałem... — łąki, zbożne łany,
Chałupy nizkie, — stawy, strugi, rzeki...
Jezior źrenice, szumne borów ściany... —
Obszar rozległy, — hej, obszar daleki...

A wszędzie, wszędzie, kędy dojrzeć można,
Upiorna, krwawa wizya nad polami —
Krzyżem się chwieje, jak mara przydrożna,
Przestrachem mrozi i dziwnością mami.

I wszędzie ramion okrwawionych dwoje,
I wszędzie skronie omdlałe bezwładnie,
I stóp przebitych rubinowe zdroje,
I ostrza włóczni kąsające zdradnie...

Na wzgórzu stałem... znękane ramiona
Prężyłem darmo, — walczyłem bezpłodnie,
A serce czuło, że stygnie, że kona,
Że żegna ziemię, oprawców i zbrodnie.

Więc duch mój upadł w rozpaczy otchłanie
I pojął straszną wysiłków daremność,
I nocnych ptaków złowieszcze krakanie,
I horyzontów beznadziejną ciemność.

Ach!... gdy przypomnę, jak niedawno jeszcze
U progu stałem zagłady śmiertelnej, —
Trzęsą mię niemej okropności dreszcze
I znowu mary katują piekielne.

I nieraz jeszcze uwierzyć nie mogę,
Że tamto przeszło, że inne przychodzi,
Że wszyscy w lepszą żeglujemy drogę,
Ku wyspom słońca, na wolności łodzi.

I nieraz jeszcze zdaje mi się cudem,
Że oto żyję, pożądam i dążę,
Że walczę razem z męczenników ludem,
Że koło słońca razem wiarą krążę.

FRANCISZEK MIRANDOLLA
(FRANCISZEK PIK)

ur. 1871 w Krośnie. Wydał »Liber tristum« 1898 i »Liryki« 1900. Poezye po czasopismach.

CHWILE.

I.

Wychyliły się drżące z pośród wrzosowiska,
Na szklanną taflę wody wypuściły oczy...
Nim chmura czarnym cieniem świat dokoła
[zmroczy,
Wybiegły na bezdroża, z piersi, co uciska.

Pobiegły ponad falą i w słońcu migocą,
Jak rój wojsk, wielkimi przemykają kręgi,
Zwarte w uściskach bratnich składają przysięgi,
Roją dziwy i czyny, co życie ozłocą.

Ale pobladło światło, bo od strony lasu
Sunie cień ponad wodą, chwieje się do taktu
Jakichś praw wiekuistych, stąpa w rytm pra-
[wideł.

Płynie cicho, jak okręt wrogi, bez hałasu...
Pierzcha tęczowe wojsko, milkną drgania skrzydeł
Od grozy nieznanego, zwycięskiego faktu.

II.

Zbiły się w mgłę różową, niby rój motyli
Nad kielichem rozwitej lilii cichą nocą.
Niewiadomo skąd przyszły, dokąd idą, poco?
I w dale uleciały z kwiatu, co się chyli.

Zapatrzeni w zjawisko słowa-śmy zgubili
I dusze pozostały w pół myśli otwarte...
A one lecą, lecą, chmur minęły wartę
I za gwiazd srebrnych rojem przepadły od chwili.

Co czynią, czy z otchłani ogromnych na doły
Patrzą i liczą puste trony bóstw i marzeń,
Czy je poznania w niebie wstrzymały anioły.

Czy zetlały w płomiennym wirze przeobrażeń
I drgają teraz w słońca zamienione złoto...
Czy spadną w duszę ciężką, bezsilną tęsknotą?

NOKTURN.

(Wizya wiosenna).

Pannie E. L.

Wiosna zakwitająca. — Lilia otwiera kielich biały.
Na szarej ziemi błyszczące irysy pozakwitały,
Mienią się sino, jak gwiazdy wiatrem strącone
[na ziemię.

W białych promieniach księżyca
Parku starego ulica
Drzemie.
Trwożnie i tylko Nocą Wiosna otwiera kielichy
Kwiatów dotkniętych niemocą, słyszę jej oddech
A drzewa drżą. [cichy,
Woda, co stała się krą,
Srebrzy się teraz i żyje.

Och! tylko gdy ciemność Nocy wszystkie połyski
[wypije
I na dziewiczą pustkę wypłynie księżyc biały,
Wtedy się tylko zdaje, że kwiaty pozakwitały!
I wizya żyje.

Bo w dzień się jeszcze w słońca promieni pęki chowa,
Jak w płowych włosów sploty chorego dziecka
[głowa,
A kiedy otworzy czasem wypełzłe blade oczy
I wzrokiem sennym pijanym, po ziemi krąg zatoczy,
Ziemia wygląda wtedy, jak opuszczona gospoda.

Już nic nie widać, już Wiosna zamyka kielich biały
I z szarej trawy błyszczące irysy pouciekały,
I tylko długimi pasami topole ścielą ziemię —
W białych promieniach księżyca,
Parku starego ulica
Drzemie.

MIRIAM (ZENON PRZESMYCKI)



ur. 1861 r. w Radzyniu. Obecnie redaguje »Chimerę« w Warszawie. Zbiór poezyi: »Z czary młodości — liryczny pamiętnik duszy« 1894. Liczne przekłady, studya krytyczno-literackie i t. p.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Szarawy brzask. Wiater się zrywa.
Jak morska toń faluje niwa.

Tu-ówdzie świt. Budzą się ptaki.
Od chłodnych tchnień dreszcz przebiegł krzaki.

Woń ros i traw. Rzeźwo a świeżo.
Purpury już widnokrąg brzeżą.

Jeziora toń zarumieniona,
Jak gdy się krew poleje z łona.

W sitowiu szmer. Wzmógł się — i ścicha.
Jak z baśni twór, puszcza oddycha.

Nieb lazur zbladł. Już blizka chwila...
Ostatni tryl słowik dokwila.

Wkrąg wszystko drży... Oczekiwanie...
Wnet ziemi król już zmartwychwstanie.

Nad rzeką mgły rzedną i giną.
W powietrzu chłód. Na niebie sino.

Sto złotych strzał — i noc ucieka.
Sto złotych strzał — i światła rzeka.

Świecący pył! Morze promieni!
Dyjamenty z ros! Szmaragd z zieleni!

Sława a moc! Płomienna kula
Rozbija mgłę, co świat otula.

Sława a moc! — o złoty bogu,
Pokłon ci, cześć w jutrznianym progu!

Z CYKLU: »WIECZORY W GÓRACH«.

II.

Noc letnia zwolna spuszcza zwój perłowy
Zawój na góry.
W dolinach mrok
Dawno panuje — tylko szczytów głowy
W wieńcach z purpury,
Jak sięgnie wzrok.

Z połonin wiater niesie zapach siana.
Słychać z oddali
Dzwoneczki stad
I głos ligawki. Ziemia mgłą zalana.
Pod szmery fali
Zasypia świat.

I ścicha wszystko. Śpią w cieniach podgórza,
Śpią mchy, paprocie,
Śpi ciemny bór.
Ziemia w spokoju bez granic się nurza.
Czasem w przelocie
Lśni gwiazda z chmur.

Ciemność, milczenie. Wśród tej wielkiej ciszy
Wytężam ucho
W przestwór, w dal.
I pierś ma dziwnym niepokojem dyszy.
Lecz martwo, głucho —
I w sercu żal...

ŚWIĘTY OGIEŃ.

Pani El. Orzeszkowej.

Ubogi z głazów ołtarz ich pośród olbrzymich
[stał menhirów,
A śpiew ich smętny miał za wtór oceanowych
[łoskot wirów.
Z zielonych swych, szumiących puszcz przynieśli
[tu, nad mórz odmęty,
Praojców wiarę w głębi serc — i niegasnący
[ogień święty.

Gdy padł ostatni czczony dąb, liściastą swą
[powiawszy szatą,
Odeszli precz, bo oczy ich nie mogły dłużej
[patrzeć na to,
Jak dawnych bóstw skrzydlaty rój w dal gdzieś
[odpływał widm orszakiem,
A lud pokornie chylił skroń przed nowej wiary
[obcym znakiem.
W najdalszy, cichy kraju kąt unieśli swe naj-
[droższe skarby
I, pielęgnując święty żar, między skalnemi żyli
[garby.
Wierzyli tak, że żadna moc nie mogła złamać
[tej ich wiary:
Że przyjdzie dzień, gdy w łonach puszcz odżyje
[znów świat bogów stary,
Gnomy i elfy w dziupłach drzew, straszne
[w pieczarach gór olbrzymy,
Że znów zaszumi dębów gaj, w niebo się objat
[wzbiją dymy,
I lud porzuci obce sny, ukocha znowu przeszłość
[jasną, –
Jeśli tak ognia będą strzedz, że święte żary nie
[zagasną.
Bo w tem zarzewiu siła tkwi, pewniejsza wiele
[od oręży,
Co przerwie sen, oświeci błąd, – nieufność, opór
[przezwycięży;

Moc cicha w niem zaklęta śpi, moc święta ducha
[wszego ludu,
Póki w niem jedna skra się tli, można z ufnością
[czekać cudu.
Mijały dnie, szeregi lat. W skwarne południa,
[mgliste noce
Druidów orszak czuwał wciąż nad świętym
[ogniem na opoce.
Oblicza im poczernił dym, zgrubiały dłonie od
[mozołów,
Bo trzeba było nosić drwa — het — z oddalonych
[gór wierzchołów.
Pot lał się z czół, z ócz krwawe łzy płynęły,
[w bruzdy krając lice,
Gdy własną piersią święty żar trza było chronić
[w nawałnicę.
Lecz mężnie trwali w pracy swej, wiara krzepiła
[ich, że strzegą
Ogniska myśli, uczuć cnót, przyszłości całej
[ludu swego.
Marzyli wciąż, że ujrzą dnie przeszłości się
[odradzające —
I widział wokół lud co noc ich ogień, jako
[krwawe słońce.
Lecz przyszła chwila, kiedy stróż, co stał
[z kolei u ołtarza,
Krzyk trwogi wydał, że brak drew, a ogień
[święty się dożarza.

Druidów grono zbiegło się, aby usłyszeć wieść
[straszliwą,
Że nastrojony wrogo lud broni im z lasów brać
[paliwo.
Zgroza! Więc ogień zgasnąć ma? Ból im szalony
[zmysły miesza!
Nadzieja złudną była więc? z rozpaczą szepcze
[cała rzesza.
Lecz arcykapłan woła: Nie! ta ostateczna klęska
[wieści,
Że już się zbliża koniec zła, i trudów naszych,
[i boleści.
Odwagi, bracia! Blizko świt! Aby nam zorza
[zajaśniała,
Wytrwania tylko kilka chwil! Paliwa brak? —
[A nasze ciała...
Jeden po drugim szli na stos, a każdy pośród
[mąk konania
Pytał, czy z dali nie brzmi głos, głos odrodzenia,
[zmartwychwstania,
Czy już nie szumi dębów gaj, czy objat się nie
[wznoszą dymy,
Czy nie odżywa świat ich bóstw?... I w ogniu
[marli tak, olbrzymy,
Aż arcykapłan został sam... Widział męczeńską
[śmierć współbraci,
A nie miał dotąd żadnych wróżb, że ich ofiarę
[los odpłaci,

Że się marzony spełni cud. Jednak nie wahał
[się ni chwili.
Może tam już się budzi lud? Może śmierć jego—
[los przesili?
I wstąpił na ofiarny głaz...

NAPIS NA GROBIE.

»Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...«
— O wiejskich dzwonów dalekie lamenty!
O ciszy skrytych pośród niw cmentarzy!—
Nieboskłon ogniem zachodu się żarzy,
W szafir ciemnieją blade firmamenty.

— O aromaty macierzanek, mięty!
W dal cicho płyną srebrną chmur okręty,
Dusza w woń cała roztapia się, marzy,
Jako kwiat.

»Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...«
Bezbrzeżny spokój bez żądz, bez ponęty...
O, nędzo lśniących żywota miraży!
— Cicho! coś w grobie, czy we mnie się skarży,
Coś, mrąc, trwa jeszcze w woni nieugiętej,
Jako kwiat.

ADAM M-SKI (MAŃKOWSKI)

urodzony w gubernii Mińskiej. Osobno wydał »Jeden z wielu« poemat. Liczne drobne wiersze w »Życiu«, »Prawdzie«, »Chimerze«, »Tygodniku illustrowanym« i innych.

WIECZORNE SNY.

I.

Czy ty zatęsknisz, gdy po ciężkiej pracy
Wracasz do pustki, do swojego domu,
A nikt kochany na odgłos twych kroków
Na próg nie bieży, witać niema komu?
I kiedy troska powszednia, codzienna,
Ciężkim kamieniem piersi ci przywali,
Nikt ci nie powie: Ciężar podziel ze mną,
O, ukochany, bądź mężnym, idź dalej«.
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz — kiedy podłość ludzi
Straszną goryczą usta twe napoi,
A nikt nie szepnie: »Ja kocham cię zawsze!
O wszystkiem wątpiąc, wierz miłości mojej«.
Czy ty zatęsknisz, że szczebiot dziecięcy,
Ni śmiech kobiety nigdy nie ożywi
Ścian twojej chaty wesołym rozgwarem,
Coby ci mówił: »My z tobą szczęśliwi!«
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz, czy w oczach ci stanie,
Że jest na świecie pokrewna ci dusza,
Krwią, sercem, duchem bezgranicznie twoja,
A którą przecież los zdala stać zmusza;
Że ona ręce ściąga przez otchłanie,
Rwąc się ku tobie sercem i oczyma,
Zdolna czuć, myśleć, działać — a bezsilna,
Bo przez tę otchłań żadnej drogi niema?
Czy ty zatęsknisz?

TĘSKNA.

Z nastaniem wiosny zakwitł bez;
Czekałam cię stęskniona,
W oczach mi drżały krople łez,
Serce się rwało z łona!

Lecz czas wszystkiemu znaczy kres,
I wiosna uleciała...
Nie było cię — przekwitnął bez,
Tęsknota pozostała.

Ja śniłam znów, że róży woń
Przynęty ma niezłomne,
Że o twą pierś mą oprę skroń
I tęsknic mych zapomnę.

Lecz przekwitł jaśmin — bledną już
Szkarłaty róż jaskrawsze...

Nie było cię w godzinę róż,
Ja kocham, tęsknię zawsze.

I przyjdzie jesień, zżółknie liść,
Wiatr jęknie, kwiaty posną;
Czyliż-byś wówczas ty miał przyjść,
Jeśliś nie przyszedł wiosną?

Na ziemię zimny padnie szron
I resztki życia zwarzy;
Lecz serce me, choć blizki skon,
O tobie zawsze marzy.

TĘSKNOTA.

O jakbym chciał wyciągnąć me ramiona
W szeroki świat, ten pełen dziwów świat,
By zbiegła mi tu do drżącego łona
Najczystsza z złud, złuda mych młodych lat!

Ja do stóp jej skłoniłbym zwiędłe skronie,
I wiosny mej owiany błogim tchem,
Jeszczebym raz uczuł, jak serce płonie,
Jak dusza śni młodzieńczym życia snem.

Miłość i pieśń, niech wielkie te potęgi
Przyspieszą takt serca mojego drgnień!

Niech jeszcze raz słoneczne widnokręgi
Obejmie wzrok, nim śćmi go wieczny cień!

Szczęśliwy ptak, zabity w chyżym locie,
Swobodny gość szerokich niebios stron:
Ja nie chcę mrzeć w zwątpieniu i tęsknocie,
Jam także ptak: niech ginę jako on!

Z CYKLU »DĄBROWA«.

Wokoło las – płucami wciągam jego wonie,
Żywicę z aromatu mnogich kwieci falą;
Dyamentowe ognie w łzach rosy się palą;
Błogo mi, dobrze, lubo – przyroda mnie chłonie.

Zlewam się z nią. – Tęsknoty w sercu się nie żalą;
Nie wiem, czy duch w ekstazie, czy w niebycie tonie;
Tętna stają... śnię... las się staje wielką salą
O słupach z malachitu, z lazuru oponie.

Jestem królem, mam dwór swój: – Skierki i Cho-
[chliki,
Koralowe biedronki, szmaragdy – koniki
I żabki; – mam kobierce miękkie, aksamitne,

Utkane w niezabudek turkusy błękitne;
Do snu gra mi orkiestra drzew, szemrzą pomniki
I życie szepce; »Jestem« – Ziemia: »Kocham,
[kwitnę!«

ZAGASŁE OCZY.

Jeśli los zdarzy, że staniesz na chwilę
Nad trumną moją, gdy mnie śmierć zamroczy,
Nie drżyj przed śmiercią, nie złorzecz mogile,
Tylko zagasłe ucałuj mi oczy.

Ach! bo tak smętnie, długo, całe wieki
Patrzyły w ciebie, promieniu mój jasny,
Że jeśli martwe podniesiesz powieki,
W szklistych źrenicach ujrzysz obraz własny.

Łez nie roniłam, ani skarg daremnych,
Że los mi splątał pasmo życia złote;
Poeta, chyba ze źrenic mych ciemnych
Odgadłby życia całego tęsknotę.

Nikomu ból mój nie stanął na drodze,
Nikomu widmem snów błogich nie spłoszę;
Jako cień byłam i jak cień odchodzę
Lecz, jeśli przyjść masz, o jedno cię proszę:

Zanim się skryję cicha między groby,
Niech żaden wieniec piersi mi nie tłoczy;
Nie chcę twych kwiatów, ni łez, ni żałoby,
Tylko zagasłe ucałuj mi oczy.

Kto wie, co w grobów kryje się zamroczach?
Nicość nas spotka? Czy duchowie bratni?
Niech więc uniosę na mych smutnych oczach
Twój pocałunek pierwszy i ostatni.

TADEUSZ NALEPIŃSKI

wydał tom poezyi »Gaśnienie« 1904.

Z CYKLU »MIŁOŚĆ«.

— Stój!... za mną przepaść, klątwa i zniszczenie!
O moje czoło strzaskasz dumną głowę,
O moje piersi strzaskasz sny tęczowe...
Patrz — za mną błądzą ofiar moich cienie...

— Ktoś ty? mgieł czarnych złowrogie wyśnienie,
Kształty nieznane, tajemne i nowe?
O nie... ten uśmiech... piersi marmurowe...
Ktoś ty? kobieto?!...

— Jam złego nasienie...
Jam była, zanim słońce światłem trysło
I tęsknym splotem ogarnęło ziemię.
I barw tysiącem w tęczę się rozprysło...

Jam truła wiecznie sny przeczyste, cichę,
Przekleństwem było mej rozkoszy brzemię...
. . . .
Jam była, zanim się zrodziła Psyche...

ZOFIA RYGIER NAŁKOWSKA

ur. 1885 w Warszawie. Córka geografa Wacława Nałkowskiego. Wyszła za mąż za Leona Rygiera. Poezye w »Krytyce«, »Ateneum«, »Chimerze«, »Tygodniku illustr.« i innych. Powieści: »Kobiety« i »Książę«.

PRZEBUDZENIE.

Wiesz — to piorun mię zbudził, gdy senna i biała
Oczekiwałam w ciszy, gdy zmęczona, drżąca,
Spalonemi wargami przyzywałem słońca...
To błyskawica padła w serce — i skonała.

Wiesz, ja skarżę się dzisiaj, bo on mnie nie słucha,
Bo mi tak strasznie smutno po słońca zachodzie
Znowu chodzę po kwiatach umarłych w ogrodzie —
Słyszysz ty! — ja się boję... taka pustka głucha.

Wiesz — jak ptak jestem dzisiaj skostniała, zmę-
[czona —
Długo biłam skrzydłami w skały granitowe,
Dziś — własną krwią pijana — ściskam chorą głowę
I dyszę nieprzytomnie, jak ptak, kiedy kona.

Doprawdy — ja sił nie mam... Wzrokiem obłąkańca
Patrzę — w samo dno duszy, trwogą oszalała —
Nie płacz — ja sama będę za chwilę się śmiała,
Tylko jeszcze nie teraz — i pójdę do tańca...

Tylko jeszcze nie teraz... Wiesz — ta myśl paląca,
Ten szał bólu i trwogi, ta pustka wokoło...
Nie płacz... Widzisz, już kończę. Jak ja, podnieść
[czoło,
Z ust zetrzeć krew i pianę — i śmiać się do
[słońca

ŁZY.

W wysokiej, jasnej, zwierciadlanej sali
Łagodnie dzwoni srebrzysta fontanna,
Jak harf muzyka – słodka bezustanna,
Płynąca z cichej, zbłękitnionej dali.

Matowem światłem szereg lamp się pali,
Jak mgłą stłumiona gwiazd jasność poranna,
Łagodnie dzwoni srebrzysta fontanna
W wysokiej, jasnej, zwierciadlanej sali...

Na sztywnym, lśniącym pręcie zimnej stali,
Siedzi orlica... Kropel chłodna manna
Opada, dzwoniąc, jak pereł garść szklanna:
To wzrok orlicy łzy me w lód kryształi.

W wysokiej, jasnej, zwierciadlanej sali
Łagodnie dzwoni srebrzysta fontanna...

Z CYKLU »W OGRODZIE«.

W haremie tęsknot samotna dziś błądzę,
Spragniona świeżych ust, krwi i gorąca,
Z pod kwiatów senną wygrzebałam rządzę
I patrzę smutnie w pobladłą twarz słońca.

Wieczór nadchodzi fioletową chmurą.
Nie patrzcie na mnie dziś oczy bratkowe,
Czemu oblewasz się wstydu purpurą,
Różo, i schylasz w dół królewską głowę?

Odwróć odemnie twarz, daturo blada,
Blade zdziwieniem narcyzowe twarze,
Noc idzie, noc... Nie patrzcie — noc zapada:
Dziś jeszcze zwalić chcę moje ołtarze...

Cicho — to smutny wieczór... Wzrok przesłania
Jakieś krwi morze i iskier migoty.
Napróżno tłumię rozpaczliwe łkania
Napróżno tłumię wielkie łzy tęsknoty.

Cicho — to smutny wieczór... drżące dłonie
Z niemem błaganiem wyciągam nad kwiaty...
Tęsknię... To smutny wieczór... Zachód płonie,
We łzach się łamią złota i szkarłaty.

To smutny wieczór... Z białego kielicha
Woń się wznosiła mgłą lekką, błękitną...

Wiesz, — kto raz w życiu tą wonią oddycha...
Prawda — te kwiaty dzisiaj już nie kwitną.

Wiesz — ten ostatni zmięłam własną dłonią,
Biały, przeczysty, cudny kwiat — wspomnienie...
Wiesz, kto raz w życiu oddychał tą wonią,
Nigdy już... — Cicho. Idą nocne cienie.

JÓZEF NAWROCKI

ur. około 1875 r. Mieszka stale w Żółkwi. Wydał: 2 tomiki poezyi: »Strofy«, »Światło i cień«.

LÓD.

Z zamarzłej w śnieżnem polu szafirowej rzeczki
rębacze lód, pocięty w jasne tafle, biorą —
chcąc go zwieźć do lodowni przed wiosenną porą,
ciężkie płyty składają na wątłe saneczki.

Widoczny na tle nieba w swem niezgrabnem futrze,
siada rębacz na sanki i w dal biało-siną
jadąc w ślad, który w śniegu poprzednik mu utrze,
wiezie srebrem okute płyty seledynu.

Seledyn się pod słońce w ton błękitu mieni,
a gdy sanki wśród sosen suną się pomału,
przechodzi w ton głębokich szmaragdowych cieni,
aż znów w słońcu zapłonie ogniami kryształu.

Rozświetloną głąb widać w kryształowej płycie;
srebrne kule, paciorki, iskrzące się słoje
i zielonych porostów powikłane zwoje —
w piersi lodu tajone obudza się życie.

Śni się głazom lodowym dzień letni, daleki:
w ciemnej, ciasnej lodowni, wśród lipcowej spieki,
trwa pamięć szafirowej w białem polu rzeczki,
z której lód do lodowni zabrały saneczki.

ZAWIERUCHA.

Noc. Na dworze szaleje śnieżna zawierucha,
wiatr białemi rózgami szyby okien chłosta,
nudna, wciąż powtarzana, nieskończona prosta
nuta, śnieżnej zawiei wdziera się do ucha.

Naraz głos obłąkanej jakiejś pieśni dzikiej
zahuczy wśród zawiei i głucho zadudni
wśród drewnianych cembrowań niedalekiej studni —
w dal poniosło się echo piekielnej muzyki..
Biała mara znienacka pod oknem zahuka
i cichemi stopami po śniegu zadrepce,
obchodząc dom wokoło, nieustannie szepce
i dłonią, pełną śniegu, do okien zastuka.
Chwilę czeka — a potem ramą okna rusza,
ku jasnym szybom domu wspina się i zcicha
głosem, pełnym boleści, skarży się i wzdycha...

W głębi domu zamknięta odpowie jej dusza,
która w wichru poświście poznała głos ducha —
gotuje się na drogę, coś ze sobą gada
i licząc chwile trwogi, szybko się spowiada...
Noc. Za oknem szaleje śnieżna zawierucha...

CISZA.

I.

Za oknami noc czarna, bezszelestna, głucha...
Zolbrzymiałe drzew widma pod oknami stoją —
na stole, wśród ścian jasnych mojego pokoju,
płonie lampa... Milczenie... Cisza siebie słucha...

Słabo brzęcząc w powietrzu gdzieś grymasi mucha,
w ciszy nocnej wplątana subtelne sitowie —
uchem śledzę milczenie i treść ciszy łowię:
dusza szuka się w ciszy — sama siebie słucha...

Każdy szmer coś mi mówi, wpadając do ucha —
nachylone nad lampą głębokie zwierciadło
w dali streszcza mą postać: treść moją odgadło —
dusza blizką jest siebie — i blizką jest ducha...

Za oknem tajemnicę noc ukrywa głucha —
w słuch i wzrok się zmieniłem, nocnej ciszy łowiec...
O Duszo! ty się odsłoń i, czem jesteś, powiedz! —
Dusza blizką jest siebie — sama siebie słucha...

II.

W oświetlonym okręcie w dal nieznaną płynę —
mój okręt nieprzebita ciemność w głąb swą garnie,

rzucają smugi światła mych okien latarnie
w falującą za oknem ciemności głębinę.

Całe wieki tak płyniem — przez jedną godzinę —
gęsta ciemność przez okien szczeliny przecieka,
końca drogi myśl moja trudząca się czeka,
ku któremu los wiedzie okrętu łupinę.

Całe wieki tak płyniem — przez jedną godzinę —
w czarodziejskiem przedemną zjawiona zwierciadle,
moja dusza w twarz twarzą mi patrzy niezgadle,
milcząc — w oczach swych kryje milczenia przy-
[czynę.

Nie wiem, kiedy, do jakiej przystani zawinę —
milcząc, w twarze tak sobie patrzymy przez wieki...
Duszo! blizki ci jestem — a jednak daleki... —
Całe wieki tak płyniem — przez jedną godzinę.

III.

W mym pokoju — okręcie w dal nieznaną płynę —
dzwoni cisza, ni jeden szelest się nie ruszy,
sam jestem, a przedemną widmo mojej duszy,
nieruchome, zapadłe w zwierciadła głębinę.

Śledzi mnie i wraz ze mną nocnej ciszy słucha...
Jedna chwila — i tysiąc ujrzałem zwierciadeł,

a w nich tysiąc odbitych mej duszy widziadeł...
I znów: cisza — blask lampy — noc czernieje
[głucha...

Płynąc, okręt, niejeden w ciemności wyminę;
to inni płyną w dali ciemniejącą głuszą,
samotni — w nocnej ciszy wizye dusz ich kuszą,
całe wieki tak płyną — przez jedną godzinę...

Światło z latarń okiennych w głąb ciemności bucha,
a jaskrawy blask lampy w bezdeni zwierciadła
ukazuje im ciche, patrzące widziadła;
Dusza szuka się w ciszy — sama siebie słucha.

MILCZĄCY LUDZIE.

Srebrne strzałki, rzucone na ciemne tapety
w zapełnionej lustrami weneckiemi sali...
pośród luster ze ścian się zwieszają kinkiety;
szereg lampek żarowych w barwnych szkłach się
[pali.
U stropu kryształowy pająk elektryczny...
Na stole różne cacka: — smok: oczy z emalii,
głowa wilka... — i rycerz: miecz, usta z korali...
Obok figurki z bronzu roboty prześlicznej.

W klatce złota papuga na kółku się kręci...
W rogu sali ogromne weneckie zwierciadło,

w niem druga sala: rycerz — ów smok z głową
i papuga... [wilczą

W fotelach grono gości siadło,
milcząc, patrzą na siebie, sztywni, uśmiechnięci:
Wszystko już przemyśleli i przeżyli — milczą...

TWARZ.

W ciszy.
znów ta sama zjawia się twarz,
którą raz jedna wywołała chwila
z nicości —
w służbie Tajemnic pełniąca swą straż
twarz.

W ciszy
wargi zbielałe rozchyla
ku powiedzeniu niepojętych słów,
słów, których żadne ucho nie dosłyszy —
lecz nagle znów, struchlała, milknie w ciszy.

I słów niepowiedzianych
zwiędłe sypią się kwiaty
w ciszy...

WŁADYSŁAW NAWROCKI

ur. 1872 roku w Warszawie, gdzie stale mieszka. Poemat »Maj — księga miłości« odznaczony został na konkursie »Prawdy« w 1900 r. Poezye po czasopismach warszawskich. Liczne przekłady poetów obcych.

Z SONETÓW KRÓLEWSKICH.

WANDA.

Rzucam tobie, Wisło, mój wianuszek z ruty:
Nie popłynie z wodą, jeno w głębi lęże...
W mym wianuszku z ruty zagnieżdżą się węże,
Jako we mnie, winnej, miłowaniem strutej.

Rzucam tobie, Wisło, miecz o krzemień kuty,
Bo niemieckich wojów już on nie dosięże,
I mój pancerz złoty, i hełm, i pawęże,
Co mię strzedz nie znały od miłości lutej.

Chwyć mnie ninie, nurcie, Moraną zasnuty...
Rytygiera-m zmogła... siebie nie zwyciężę!
Mnie się nie imały niemieckie oręże.

Choć ciebie krwi naszych zbroczył dopływ suty —
Niech mię lud mój, Wisło, zna z fal twoich nuty...
Niech koję niewiasty i ukrzepiam męże!

ZYGMUNT AUGUST.

Szept złotowłosej słychać Isaotty...
Do ust przypadła mu w cieniu kotary:
»Ja, królewiczu, kocham cię bez miary,
A ty — ty moje odtrącasz pieszczoty...

Wszystkich ku tobie drżą pożądań loty!
Wszystkich ku tobie płoną tęsknot żary!
Słuchaj! Okrutnej wzywam niebios kary
Na tę, co ócz twych zabierze mi groty!

Bodaj miłości twojej promień złoty
Złudne jej tylko przywiódł szczęścia mary
I rychło w straszne zmienił je maszkary —

Bodajby zczezła z bólu i zgryzoty!«
. . . .
A królewicza — rąk liliowe sploty
Palą... rwie duszę cichy płacz Barbary...

W marzeniach, co poją,
I w żądz huraganie
Aniele, szatanie –
Bądź moją!
Niech szczęścia ostoją
Twój uścisk się stanie...
W twych tęsknot rydwanie
Niech sny się ukoją –
Bądź moją!

Szarą godziną, myśli jak mrok szare,
Wypełzną z mózgu... wstęgą zimną, siną,
Serce wkrąg w uścisk wężowy owiną
I wszystkie rany w niem rozjątrzą stare,
Zwarzą nadzieję i zagłuszą wiarę
Szarą godziną.

Jak nad pogodną zwieszone równiną
Chmury wkrąg błękit zasępią w chwil parę,
Tak one wnoszą we mnie jadu czarę.
Szarą godziną.

Nad miarę-m kochał, – to jest moją winą
I cierpieć za to muszę dziś nad miarę,

Całą moc ducha złożyć na ofiarę
I truć się codzień tą myślą jedyną,
Szarą godziną.

Na mojej drodze pustka leży...
Gdziebądź źrenicą puszczę wodze,
Nigdzie niczego nie znachodzę.
I myśl za niczem w ślad nie bieży,
I w jutra brzaski duch nie wierzy, —
Na mojej drodze.

Ani radości ani trwodze
Nie palę ognia z mych wybrzeży
I śród nich stoję na rubieży —
Na mojej drodze.

Jeśli się dotąd z życiem godzę,
To, że chcę ujrzeć tryumf świeży
Losu, kiedy się ze mną zmierzy...
I już dziś w krwi serdecznej brodzę —
Na mojej drodze.

ANNA NEUMANOWA

bawiła długi czas w Egipcie, jako żona austryackiego konsula. Obecnie mieszka we Lwowie. Wydała »Poezye« 1901. Oprócz tego kilka prac o Wschodzie, dramaty i nowele.

NA SZCZYCIE GROBU CHEOPSA.

Idźmy w górę, brył ciężkich kamienna potęga
Siły miażdży, dech tłumi, już ciało się zgina
W ciężkim trudzie; ten granit strop nieba przecina,
Wstecz nie cofaj, tam przepaść, w niej śmierć się
[wylęga.

Spojrz ze szczytu, pustyni bezbrzeżna dolina
Groby szare otwarła, jak tajemnic księga
Święte karty; nurt Nilu, błękitna wód pręga,
Pierś jej porze. Patrz! owad po głazach się wspina.

Nie! to człowiek, tak drobny, a jednak błękity
Jak grom Boży myśl jego rozrywa skrzydlata,
Wszak on wolą monarszą utworzył te szczyty.

Myśli moja! wstań z prochu; niech z orły się
[brata
Lot twój śmiały, trącając tęczowych łun świty,
Na tych głazach odczujesz byt wieczny wszech-
[świata.

FIAT LUX.

Przed lud! Przed lud!
Ze światła jasną smugą,
Ze szczęścia złotą strugą,
Wy, którym dany cud,
Potęgi, wiedzy, mienia,
Przed lud! Przed lud!

Do chat! do chat!
Gdzie chleb w popiele czarny,
Gdzie pracy pot ofiarny,
Gdzie w bolu zgięty brat,
Krzyż dźwiga swój codzienny
Do chat! do chat!
Tam nieśmy siew promienny,
W ten szary biedny świat!

Przed lud! Przed lud!
Z harf naszych pieśnią brzmiącą,
Z pochodnią światła lśniącą,
By pierzchły: grzech i głód;
By pierś rozegrzać skrzepłą,
I wieków otrząść brud,
Skrę światła rzućmy ciepłą
W potęgę przyszłą:
w lud!

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI



ur. 1864 r. w Rokitnicy w gubernii Płockiej. Obecnie jest współpracownikiem kilku pism warszawskich. Dzieła: »Poezye« 1891, »Poezye prozą I« 1891, »Poezye II« 1893. »Majówka« 1895, »Podziemia« 1895, »Iriedenta« 1895, »Wybór poezyi« 1899, »Pokrzywy« 1907. Liczne prace prozą (Listy człowieka szalonego, Legendy, Z pod pyłu wieków, Prometeusz i i.).

IDZIE BIEDA.

Od wsi do wsi idzie bieda,
A przytułku któż jej nie da?
Choć ją z dworów wyszturchali,
Bieda sobie u nas chwali.

Bo chłop czeka ją przed progiem,
I powita Panem Bogiem,
Ugościwszy należycie,
Ofiaruje własne życie.

Różnie w świecie jest niekiedy,
Ale nikt tak nie czci biedy,
Nikt się o nią nie postara,
Jak ta nasza chłopska wiara!

Leje deszcz, dmie zawierucha,
Bieda idąc w palce dmucha,
Moknie, ziębnie, lezie dalej,
Ale sobie u nas chwali.

Z CYKLU: »WESOŁO ŻEGLUJMY«.

(Na temat E. Wasilewskiego).

I.

Wesoło żeglujmy po falach żywota,
Wesoło żeglujmy, wesoło!
Choć dziko wrą fale, choć łodzią wiatr miota,
Chmur czarnych nie widzim wokoło!

Na falach, na dalach jak hucznie, jak szumnie
To życie, to nasze ucieka,
A fale wzburzone, spienione, jak tłumnie
Spiętrzając się, ryczące z daleka!

I płyniem śród morza ludzkości wokoło,
Śród dzikich, spienionych odmętów,
I kiedyś nasz żagiel powieje wesoło
Na masztach przeznaczeń okrętów!

II.

Wesoło my lećmy, jak ptaki swobody
Na lądy i morza, z kolei!
Wesoło my lećmy! Uskrzydla wiek młody
I puszcza z burzami stulecia w zawody
Jak ptactwo skrzydlate idei!

Wesoło my lećmy nad tłumy te śpiące,
Co legły bez ducha wokoło!
Pod nami tumany przesądów świat ćmiące,
Nad nami w obszarach rozlewa blask słońce,
Wesoło my lećmy, wesoło!

Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie
My dumnie podnieśmy dziś czoło!
Ulecim, jak ptaki, zwiastując świtanie,
Zwiastując ludzkości dziejowe zaranie,
Wesoło my lećmy, wesoło!

III.

Wesoło, wesoło!... Brzmi okrzyk radosny,
Jak burza wesela śród szczęścia i wiosny,
Wesoło, wesoło!... Lecz czemu łza w oku
I czemu, ach czemu to czoło w pomroku!...
Ta radość, co w duszy słoneczny żar mieści,
Wykwitła jak róża śród głogów boleści.

Gdzie szczęście? – Ach ono daremnie nas szuka,
Aż kiedyś do naszej mogiły zapuka.
Gdy ono w kwiecistej podąży ozdobie
Na czele ludzkości – my będziem już w grobie!

NUREK.

Szuka pereł, w toń skoczył, zwarły się fal wrota,
Tam rekin nie wytrzebi żeglarza mogiły,
Lecz on ma pierś trytona! — Wysiłkiem lwiej siły
Chwycił na dnie, wypłynął... To była garść złota!

Odetchnął. W górze słońce lśni w strumieniach
[złota,
On wraca na dno. Fale grzbiety nad nim zbiły,
Bój toczy z własną piersią, palce w muł się wpiły,
Szuka — za nim śmierć pełza.. Tu cmentarz żywota!

Ha, tchu znowu nie stało! — Z morza postać
[blada
Wypływa, chwyta oddech, bez sił się szamota...
Cóż to? Znów się zanurza w obłędzie pośpiechu?

Rzekłbyś — to wieszcz, co wiecznie w głąb narodu
[spada,
A chcąc cząstkę najlepszą wydobyć z pod błota,
Wypływa, lecz jak tryton, tylko dla oddechu!

Z CYKLU: »W POCIĄGU«.

W BIEGU.

Wśród huku i świstu, przy oknie zwieszona
Młodziutka turystka przystaje.
O szybę opiera swe wiotkie ramiona —
Na czole zaduma, westchnienie wśród łona,
A oczy — błękitne dwa raje.

— »Ach, pani! Mgła siwa widnokrąg powleka,
Myśl płocha grę marzeń poczyna.
»Pogwarzmy! Bieg zbliża z człowiekiem czło-
[wieka...
»Daleko podążasz? Przybywasz z daleka?
Gdzie kraj twój, ziomkowie, rodzina?

»I za czem przebiegasz świat z końca do końca
Wśród życia złudnego poranka?
»Gdzie matka została? Czy łza jej paląca
»Pieścideł fantazyi w serduszku nie zmąca?
A naprzód — czy masz już kochanka?«...

Wśród huku i świstu w pędzącym wagonie
O szyby śmiech dziki potrąca.
Przedemną z mgły postać, purpurą twarz płonie,
Namiętność z brwi strzela, faluje na łonie,
A oczy — to czarne dwa słońca..

Wśród huku i świstu grzmią dołem koliska,
Świat w mglistej roztapia się dali —
Już oddech gorący w twarz powiał mi zblizka,
Wśród huku i świstu dłoń rękę mą ściska,
Na ustach szał mowy się pali :

»Daj ramię.... Nie pytaj gdzie matka, rodacy,
Nie pytaj gdzie świta cel drogi...
»Pielgrzymie, leć ze mną! pomkniemy jak ptacy!
»W mej willi chleb z solą już czeka na tacy,
A rozkosz umai nam progi...

»W mej willi tam szumią pieniste puhary,
Tajemną muzyką brzmią drzewa,
»Powoje oplotły wysmukłe filary —
»Na puchach kwiecistych, pod cieniem kotary.
Sen-demon skrzydłami żar zwiewa...

»Codziennie tłum służby tka nowe mi szaty,
Tłum wierny wśród dymu i potu,
»Codziennie do uczty w wian splata mi kwiaty,
»Codziennie po skarby w podziemne mknie światy
Wśród dymu, wśród młotów łoskotu...

»Daj rękę! Uśniemy w upojeń godzinie,
O jutra nie dbając zagadkę...
»Gdzie kraj mój? Tam kraj mój, gdzie złota nurt
[płynie.

»Rodzina? Ha, wrogów mam tylko w rodzinie.
A matka? Zabiłam ja matkę...

»Mą matką jest Przeszłość i w trumnie już leży,
A wieko naciska ma stopa...
»O jutro ja nie dbam!... W »dziś« tylko się wierzy
»Na skrzydłach geniuszu w żelaznej odzieży — —
Leć ze mną — ja jestem Europa!«...

Z CYKLU: »POKRZYWY«.

ZWROTKI EGIPSKIE.

1.

Na nilowej łódce lekkiej
Płynę z wiatrem w stronę Mekki
A dokoła palmy drzemią
Nad Egiptu białą ziemią.

Białe niebo, białe dale,
Nawet Nilu białe fale,
Nawet gór strzępiaste wały
Jak rysunek kredki białej.

Tylko czasem czarną twarzą
Mignie Etjop między gmachy

Lub miedziane, gdzie Fellachy
Na pustyni stoją strażą.

Albo Arab hen, z za morza
Na libijskie mknie bezdroża,
W oku pustyń świat bezbrzeżny,
Patrzy z poza skały śnieżnej.

II.

Mleczny Nil pod zachód słońca
Rozczerwienił białe nurty,
Żywym ogniem koło burty
Pryska fala gorejąca.

Stanął cały maszt w płomieniu
Jako słup ów Mojżeszowy,
Rząd piramid na wzniesieniu
W krwawe płachty pokrył głowy.

Słońce jako bóg ów Amon
Rozgorzało w świata progu –
Bierz sól, mirrę i cynamon
I kadzidła gotuj bogu...

Za swój powrót, dziatki, żonę
Chyl w słonecznych blasków marę
Trzykroć czoło rozmodlone –
Drżyć! Przyjął bóg ofiarę.

III.

Słychać śpiew: »Gotujcie dzidy
»I siodłajcie w rząd wielbłądy!
»Dzwonią święte rzeki prądy,
»Huczą głucho piramidy!

»Dymią, dymią jak wulkany
»Połyskując w dziwnych blaskach!
»Sfinks po szyję zasypany
»Znów łapami grzebie w piaskach,

»Groźne oczy obracając
»W wir czerwonej zawieruchy —
»Naszych władców wielkie duchy
»Napływają, ciał szukając!

»Już grobowce swe obległy,
»Bo w zamorzach, bo w rozdali
»Jakiś wielki świat się wali
»Wraz z bogami, co go strzegły«.

MASKARADA.

Gib mir die Larv...
H. HEINE.

Ach, daj mi maskę, daj maskę łajdaka,
Gdy oni w maskach wielkich charakterów,
W maskach proroków, w maskach bohaterów
Tumanią naród, że wkoło nich skaka!

I moja mowa niech nie będzie taka
Jak apostolstwo społecznych szulerów;
Śród tych świetności, śród tych pionierów,
Wolę twarz zbója i łachman żebraka!

Huczy, szaleje nasz karnawał stary,
Patrz, wszędzie święte, szanowne maszkary —
Wódz ich tu spojrzał z przerażenia blady...

Gniewasz się wodzu? Chcesz, zedrzyjmy maski!
Lękasz się? Prawda, powstałyby wrzaski
I musiałbyś dać — nura z maskarady!

FRANCISZEK NOWICKI

ur. 1864 w Krakowie. Obecnie nauczyciel gimn. w Stanisławowie. »Poezye« 1901.

TATRY.

W dali!... jakby ciągnący ławą, huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie
[mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!

ZAWRAT.

Stanąłem na przełęczy... świat czarów przedemną!
Wzrok zdumiony weń topię – podziw duszę tłoczy...
Dołem – stawy czernieją, jak piór pawich oczy,
W górze – pieśń!... ale myślą stworzona nad-
[ziemną.

Pieśń runami granitów pisana przedemną!
Skamieniały sen Stwórcy, dumny, sen, uroczy!
Tam – ku krańcom pustyni gwiazda dnia się toczy.
Płoną szczyty – tam z głębin wstaje wieczór
[ciemno.

Siadłem; – cisza na górach – oko stawów drzymie,
Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki,
Chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli
[olbrzymie.

Wiatr-bajarz lekkim palcem strunę marzeń trąca,
Zwolna uchodzą z serca goryczy ostatki,
O! tu siedzieć i słuchać i dumać bez końca!

Z CYKLU »OBRAZY PUSTYNI«.

DUNAJEC.

Tak myśl młoda nim wzniesie do polotu skrzydła,
Wpierw rozsadza cieśń piersi burzą swych za-
[pałów,
Jak stąd, potok stopniowych w pieczarze kry-
[ształów,
Syn gór dziki wylata, rwąc skalne wędzidła.

I tak młodzian, gdy goni ułud malowidła,
Nie zna przeszkód na ścieżce swoich ideałów —
Jak on pędzi spieniony, dumny siłą szałów
Przez skaliste zapory i przepaści sidła.

Gdzie tak pędzisz gór synu? co ścigasz za młodu?
Czy ci źle u twej skalnej piersi macierzystej?
Nie wrócisz!... tam zabłądzisz w bagniska bez
[brodu!

Gdzie gonisz młoda myśli po drodze gwiaździstej?
Bramą marzeń wylatasz za świat rzeczywisty,
Wrócisz... ach!... bez piór... cicha... i bramą za-
[wodu...

Z »TRAGEDYI PUSTYNI«.

SZAROTKA.

Granią, gdzie błądzi tylko stopa wiatru lotna,
Ku szarotce błyszczącej wśród turni szeregu,
Jak zmarzła gwiazda, puchem otulona śniegu —
Wspina się ludzka postać śmiała i obrotna.

Ptasia droga prowadzi do skalnych ścian brzegu,
Tam gdzie pełza ten góral - droga bezpowrotna!
Czy go ciągnie w tę drogę szarotka samotna?
Czy dla niej życie swoje chce powstrzymać
[w biegu?

On grosz za nią dostanie!... trwożnym ruchem
[kota
Wspiął się... zwisnął w powietrzu... kładzie rękę
[na niej...
Zerwał!... zamknął nad kwiatem palce — śmieri
[wrota.

Czemuż nagle zbladł, patrząc zejścia w dół po
[grani?
Ha!... nie można zejść na dół, nie zbywszy ży-
[wota!
Odwróć oczy... rozegra się dramat otchłani...

Z CYKLU »ECHA PUSTYNI«.

III.

Szumcie świerki, szumcie sosny!
Grzmijcie górskie wody pian,
Szumcie wiatry pochód wiosny,
Mgły w korowód! w wietrzny tan!

W góry!... w dumny gród przyrody,
Który stawiał młodzian — czas,
Rwie się serce z piersi młodej,
Druhów dzieła wabią nas!

Tam w obłoczny gród przyrody
Nie dolata ból ni żal,
Tam pieśń grają srebrne wody,
I marzące kwiaty hal.

Ach, tam chciałbym mieć mogiłę,
Tam śmierć nawet życiem żyć,
Tam los — sławę — bardów siłę —
Miłość — chciałbym wiecznie śnić.

Grałyby mi świerki, sosny
I szumiały burze wód,
Pieśń natury, dumę wiosny,
Najwspanialszą z wszystkich ód.

Z PIEŚNI CZASU.

CZARNY OKRĘT.

Po morzu dziejów płyną wolne ludów nawy,
Dumnie białe ich żagle świecą wśród odmętu,
Pośród nich, czarny statek, jak upiór okrętu,
Błądzi bez steru, pusty, zrabowany, krwawy...

Starszyzna śpi w kajutach, niepomna naprawy,
Sternicy poginęli wśród bitew zamętu,
Boją się statki ludów czarnego okrętu,
Straszy ich kapitanów cień przeszłości krwawy.

On nie tonie lecz płynie, choć padli sternicy,
Kto go trzyma, że w mokrej nie zniknie mogile?
Tam, na dnie — ci z wiosłami skuci niewolnicy ..

Ty czarny statku! kto są ci ludzie u spodu,
Co znojem ramion zguby powstrzymują chwilę?
O wiem kto!... to heloci mojego narodu...

SEN.

Sen leżącego wskazał mi olbrzyma...
Ciałem ogromnem zaległ kraj szeroki,
Stopami wspiera śnieżnych gór opoki,
Dłońmi za sine brzegi morza trzyma,
Lecz głowy darmo szukałem oczyma —
Zwisnęła w ciemność otchłani.

Na jego piersi, krwiożercze gromady
Czerwonych karłów w hulance szalały
I ssąc krew jego w puhary brzękały,
I krzyk pijany szedł w nieba posady.
Czy to wampiry u krwawej biesiady?
Nie, ludzie!... ludzcy szatani.

Zakryłem oczy, przyspieszonym krokiem
Zbiegłem w głąb ciemną ku olbrzyma głowie,
Spojrzałem w twarz mu... przebiegło mię mrowie...
Twarz cicha, bólu zmrożona obłokiem,
Patrzyła na mnie mętnem duchów okiem,
A usta się spiekłe skarżyły:

»Wy karły dumne, od biesiady wroniej
Wstańcie i zejdźcie z latarniami w ręku
Tu, w otchłań nocy, cierpienia i jęku;
Stańcie ze światłem u mej śniadej skroni,

Wnieście mi głowy przez litość z tej toni,
Bo cierpieć dłużej — nad siły...

Śpię już przez wieki lepszych dni tęskniący,
Leczcież me rany, bo sam gdy z snu wstanę
Zbudzony słońcem i uczuję ranę --
Zmiażdżę na piersi rój wampirów ssący,
Chwycę strop, dźwignąć chcąc z ziemi śpiącej,
I niebo przyciągnę do ziemi«.

Leżący olbrzym zawodził daremno,
W górze szalała uczta i rozpusta...
Klęknąłem przy nim, spiekłe jego usta,
Zwilżałem łzami, skroń całując ciemną,
Nagle... sen pierzchnął... jaw stanął przedemną...
Ów olbrzym — lud biednej mej ziemi...

WŁADYSŁAW ORKAN (FRANCISZEK SMRECZYŃSKI)



ur. w Porębie Wielkiej w Gorcach 1876 r., gdzie po ukończeniu nauk osiadł na wiejskiej zagrodzie. »Z tej smutnej ziemi« poezye, Lwów 1903, reszta w »Chimerze«, »Krytyce«, »Tygodniku illustr.«, »Tygodniu« itp. Wydał kilka tomów powieści, nowel i dramatów. Poemat: »Z tej smutnej ziemi«, odznaczony na konkursie »Prawdy« r. 1900.

Z POEMATU »Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI«.

(Fragment).

Patrz — nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Śmiertelna jakaś, cicha Noc
Zawisła u krawędzi...

I jedno skrzydło czarne wzdłuż
Po niebie rozpostarła,
A drugie pod się biorąc — tuż,
O skały je oparła...

I tak w milczeniu pełna dum,
Stanęła nad urwiskiem.
U stóp jej czernią zaległ tłum,
Kotłuje się mrowiskiem.

I w rozpętaniu ślepych mas
Szalonem kołem pędzi —
A przed nim zwolna stąpa Czas
I mierzy dal krawędzi...

Widzisz na stoku czarny las?
Jak długo stoi, kto wie...
Stoi tak, jak przed wiekiem stał —
I nikt z żyjących już ci nie opowie,
Kto go tam siał...

Hej!... nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole.

Szatański jakiś tworzy wir
Ta rozbawiona rzesza,
A Noc rozplata ciemny kir
I dołem go rozwiesza...

»Zapomnieć! dalej! wartko! w skok
Niech ziemia się rozdudni!...
Rozbity piersią, padnie mrok
I noc się wypołudni...

Zapomnieć trosk i łez i krwi,
Ho, dalej! bez pamięci!...
Naród z proroków bożych drwi,
Igrzyska stare święci!

»Hej, ognia! ognia! Palcie stos!
Niech bogom strzeli w oczy!...« —
Huczy wezbranej fali głos
Daleko po uboczy...

CIEŃ.

Idę ścieżyną i mijam zboża,
Łany złociste —
Pod stopy śle mi zachodnia zorza
Światło rzęsiste...

Krwawi przedemną miękkie trawniki
Ruń aksamitną,
Ubraną w jaskry, mchy, rozchodniki,
W rosę błękitną...

Złocista przestrzeń chyli i gnie się
I w takt kołysze,
A lekki podmuch z oddali niesie
Szelest i ciszę..

W oczach się mieni rozkołysana
Rytmiczna fala,
Gdy, w znikającej zorzy skąpana,
Ognie rozpala.

Dokoła kłonią poważnie kłosy,
Wysmukłe żyta,
Tuli się kąkol, chwieją stokłosy
I mak rozkwita.

Bławat oczkami patrzy siwemi
Na mnie z ukrycia —
Idę — i marzę tu, na tej ziemi
Słoneczność życia...

Śnię... tędy Boska przechodzi stopa...
Zboża się kładą...
Nagle — dojrzałem w życie twarz chłopa
Śmiertelnie bladą...

MÓJ DOM.

I.

Mój dom — skalista wyspa na szarym wód bez-
[kresie...
Morze ludzkiej niedoli, z potoków łez powstałe,
Opływa go dokoła, podmywa się pod skałę,
Żywą, stupłetwną falą pod kamienny wierch
[pnie się...

Mój dom — odwieczna pustka, pola opustoszałe...
Wiatr po ścianach zawodzi, po jałowcowym lesie,
Stracone w ziemi płacze przez ugory mi niesie,
Zmarłe przewiewa liście, od mrozu osendziałe.

Mój dom — to mój niepokój, to grób mojego życia,
Kolebka Duszy smutnej i roztęsknionej wiecznie —
Gniazdo, gdy las tną, w szczycie u ostatniego
[złomu...

Nie wiem, kto bardziej trwożny: Czy ten, co od
[rozbicia
Chroniąc się, wszedł na deskę, żegluje niebez-
[piecznie —
Czy ja, który się na to patrzę z mojego domu...

II.

Zaledwie Cisza zajrzy w moją pustą dziedzinę,
Już jej niema — traci się i przepada u węgła...
A tuż za nią Płacz staje; na twarzy ino ściągła,
W oczach widać otchłanie dwie i jedną głębinę...

I poczynają wzbierać te dwa jeziora sine,
Zlewać się w jedno morze, jakby je powódź
[sprzęgła —
Już jedna fala mokra serca mego dosięgła,
Już Duszą na zwełnionych, wezbranych wodach
[płynę...

Lament fal — krzyk gór, w niebo wdzierających
[wyłomem —
Jęk wód, zapadających w ciężkie, bez dna,
[otchłanie —
Przelatujące w wichrze Nędze - Bóle — Rozpacze...

Otom w samotni pustej sam opuszczonym domem —
Dusza z falami poszła na wieczne bojowanie,
A serce po ugorach straconej Duszy płacze...

PRZELOTNE PTAKI.

I.

Nieraz jesienią, idąc po ugorze
Pośród jałowców osendziałych śniegiem,
Widziałem ptaki, lecące szeregiem
Gdzieś nad nieznane południowe morze...

Oczy za nimi gubiłem w przestworze,
Goniąc myślami za ich chmurnym biegiem:
Gdzie one spoczną i nad jakim brzegiem?
Czy nowe życie znajdą, czy śmierć może?...

I długo stałem, zapatrzony w dale —
Aż cały smutny ten różaniec ptasi
W krople się stopił i zginął w przeźroczu...

Wówczas się ku mnie zbiegły wszystkie żale
Tęsknice za tem nieznanem, co gasi
Wieczne pragnienia i łzy ściera z oczu...

II.

I z kraju nędzy, gdzie nie giną lody,
A śnieg po turniach z wieku na wiek leży,
Ziemię zamraża i ugory śnieży,
Z krainy, kędy zimne wieją chłody —

Poszedłem szukać słońca i pogody.
Gór mych odbiegłem i trzód i pasterzy,
Z nadzieją wiosny, jak dziecko, co wierzy
W nowe świtania i promienne wschody.

Marzyłem zawsze o tak wielkiem świetle
Gwiazd na tysiączne rozszczepionych ognie,
Które po niebie łuk za łukiem kreślą —

Że albo przy nich serce w popiół zetlę,
Albo tak duszę stopię i rozognię,
Że słońcu buchnie w twarz płomienną myślą...

III.

Stanąłem w cichej, uśpionej dolinie,
Pełnej oświetleń słońca i promieni,

Gdzie drga powietrze tysiącem odcieni
I morze światła przed oczyma płynie...

Chciałbym zatrzymać duszę w tej krainie,
Zapomnieć lodów, zimy i jesieni
I być, jak ludzie w szczęściu zamyśleni,
Bez wiecznych pragnień i zawsze i ninie...

Tak tu spokojnie, cicho... Całe życie
Zdaje się tonąć w bieli i błękicie,
Słońce promieni żywot i ozłaca...

Idę w te blaski martwemi oczyma —
Myśl nieustanie i zawsze powraca
W krainę, kędy wieczna leży zima...

Genewa w kwietniu.

UMARŁY MOJE PIEŚNI.

I.

Umarły dawne moje pieśni —
Już zmartwych nie powstaną.
Wszysto, co człowiek sercem tworzy,
Co widzi w kształtach, śniąc, że nie śni —
Jest tylko łodzią z mgły na zorzy
Na bystrej fali pianą...

Przemknęły lata spłomienione,
Młodzieńczy huf skrzydlaty,
Dziś mi się zdają takie z lica,
Jakby gdzieś w innem życiu śnione,
Próżno ożywia je tęsknica.
Umarły moje światy.

II.

Umarły moje pieśni — zginął mój świat,
Zgasło, co żyło we mnie —
Dziś tych zginionych światów — minionych lat
Wzywałbym nadaremnie.

Mgłą zaszły, zatonęły,
Jak wszystko, co zamiera —
A tu już z nowem życiem
Nowy się świat otwiera.

NA ROZSTAJU.

I.

I oto przyjdzie czas surowych zważeń
Wszystkiego, coś dokonał przez dni upłynione —
Weźmiesz pamięć zaostrzoną, jak żelazną bronę,
I będziesz wlókł po polach zagrobionych zdarzeń...

Będziesz rozrywał ostrzem groby zadarnione,
Mogiły zapomniane swych młodzieńczych marzeń,
I będziesz napotykał miejsca przeobrażeń,
Święte dni, choć tak ongi w twem sercu prze-
[klnione.

Wszystko porównasz broną w jeden łęg zorany...
Tak chwast rosnący dziko, jak i plon zasiany
Zarówno ostrze myśli twej u świata zetnie.

I obaczysz, że twoje trudy wieloletnie
Próżne są, gdy je zimne doświadczenie zmierzy
Pole daremnych siewów znów odłogiem leży.

II.

I staniesz wobec jesieni żywota
Posępny, jako wobec drzew odartych z liści,
Lub polnego ołtarza, gdy go deszcz oczyści
Z gwiazd, girland papierowych, z iluzyi złota:

Pojrzy na ciebie ikon tak surowy, iż ci
Strach ziębi krew i bezwład członki ci omota —
Tak spojrzy życie bez złud... Przyjdzie-li-ć ochota

Pytać o przyszłość: jakie ci nadzieje ziści?
I gdy tak będziesz trwał, lękowi zdany,
Duszę zwilżać ci będzie mgłą sapiąca słota,
Abyś nie zasechł w skórze, jak smrek nad upłazem.

Uderzy o cię próbą czas z grobu zawiany,
Czas martwy, kiedy nawet umiera tęsknota,
A na serce stacza się smutek ciężkim głazem.

III.

Na głazie smutku siedząc, po tęsknocie wdowiec,
Będziesz bezradny patrzał przed siebie i za się,
Jak ten pasterz, co we mgle siwe owce pasie
I nie może w mgle siwej dojrzeć swoich owiec.

Sam w postaci przestrzennej, niby krzew-jałowiec,
Sam — głuszą ochłonięty — czujący się w czasie —
Na głazie smutku... Obok puste gniazdo ptasie,
Skowrończane, i u stóp dziwny kwiat-żmijowiec.

Wonczas spadnie-ć na piersi płacz taki drapieżny,
Jak zwierz... bezgłośne, śmiertelne zdławienie —
Potem ukój — prószący, jako ten kwiat śnieżny.

I wonczas odejdzie cię zbolała żywotność —
Skurczone u stóp twoich sięldzie Opuszczenie
I otoczy cię pustką bezkreśną — Samotność.

KRWAWY STRUMIEŃ.

Przez dziki, obumarły step mego żywota,
Przez wszystkie dni jeden się strumień krwawy
[wije...
W cieniach przyleśnych błyszczy, jak srebrzyste
[żmije,
W słońcu zaś wyłyskuje się, jak taśma złota.

Oczyma nurtu, jako wąż, ofiary mota...
I wszystko, czego dotknie swym ziewem — zabije,
I wszystko, co z nad brzegu wychyli swą szyję,
Połknie... Jedyna stawać tu może Martwota.

A urok jego ciągnie... rwie oczy ku sobie.
Nieraz też, za straconą ofiarą - w żałobie
Dusza staje i limbą nad brzegiem się chwieje...

Widzi, w nurcie toczone, łzy... kwiaty... pamiątki...
Topielce... blade widma... snów najdroższych
[szczątki...
Patrzy długo — i z grozy przeraźnej martwieje.

OR-OT (ARTUR OPPMAN)

ur. 1867 r. w Warszawie. Stały współpracownik »Tygodnika illustrowanego«. Wydał: »Poezye« 1888, »Na obcej ziemi« 1891, »Stare miasto« 1892, »Pieśni« 1894, »Wiosenne kwiecie« 1896, »Wybór poezyi« 1900, »Poezye« 4 tomy 1901—1902, »Warszawa w rymach«. Utwór »Śpiewak zwycięzca« został nagrodzony na konkursie »Lutni«.

Z SZOPENOWSKICH PIEŚNI.

I.

Po klawiszach ręka twoja płynie,
Pieśń zawodzi, skarży się i śpiewa,
I tęsknoty morze się rozlewa
O szarej godzinie.

Wniebowziętą duszą rozmodlony,
W zaświatowej błądzę gdzieś krainie,
Ale słyszę te pogrzebne tony
O szarej godzinie...

II.

Czy przypomnisz to nokturno,
Grane w senny zmrok wiośniany,
Kiedy zapach wiał różany
W duszę chmurną?

Czy przypomnisz tony owe,
Powłóczyste jakby cienie,
Kiedyś kładła ócz promienie
Na mą głowę?

I urwała się piosenka,
I drgnął płaczem ton w piosence,
I spoczęła w mojej ręce
Twoja ręka.

Była wiosna z kwiatów pękiem,
Idzie jesień boleściwa,
I miłości pieśń się zrywa
Z serca jękiem...

IV.

Och, walc ten znajomy znowu nam gra
Na pustem życia polu;
Czy znajdzie się jeszcze w źrenicach łza?
Czy serce drgnie od bolu?

Żar w oczach, a piołun na ustach mam,
Mrze blask ostatni słonka,
Och, znam tę melodyę, dobrze ją znam,
Na imię jej: rozłąka!

Precz z serca róż kwiaty! nie wolno wam róść!
Oczy! nie dla was słońce!

Uciszcie się, dźwięki! już dość! już dość!
Już pęka serce drżące!

Gdzie spojrzeć dokoła: pustka i mgła,
I żal i ból po wiośnie,
A walc ten znajomy ciągle nam gra,
Tak strasznie, bezlitośnie!...

RYNEK STAROMIEJSKI.

I.

Wśród kamienic niebotycznych
Staromiejski leży rynek —
Z rana kramów jest terenem,
A wieczorem katarynek.

Kamienice mieszczą w sobie
Wielce zacny świat mieszczański,
Zaś im nadał budowniczy
Styl gotycko-nadwiślański.

W każdym domu sklep na dole,
Każdy sklep ma swoje godło,
A na progu jest podkowa,
By się kupcom dobrze wiodło.

Jak są cztery świata strony,
Cztery rogi są w tym rynku;
Gwoli gardłom staromiejskim
Każdy z rogów ma po szynku.

II.

Ledwie słońce przetrze oczy
I na stare zerknie mury,
W rynku siedzą już przekupki
I ładowne stoją fury.

Ta swój towar ma na wozie,
Ten się rozparł przy kramiku
(Wszyscy byli wprzód »na rożku«
Łyknąć »blaszkę« alembiku).

W starym rynku coraz ludniej,
Targ ożywia się pomału —
Kędy spojrzeć, pełno warzyw,
Mięsa, chleba i nabiału.

Woń surowizn, głosy kłótni,
Na wietrzyka mkną podmuchu
Słońce sypie blaski złote
Na ten obraz pełen ruchu.

III.

Tłusty majster do warsztatu
Niesie w flaszce przedni trunek;
Że chłopakom nie dowierza
Sam załatwił ten sprawunek.

Rozczochrany terminator,
Dziecko bruku od kolebki,
Jedząc »zalcka« biegnie szybko
I podrzuca nogą trepki.

Pod szynkownią całą w słońcu,
Hogartowska drzemie para —
Ona gruba i czerwona,
On wyżółkły, gdyby mara.

Wśród gawiedzi ożywionej
Dziwnie chmurne błysły lica:
Łzy wstrzymując, do roboty
Idzie głodna wyrobnica.

IV.

Przy kramiku z warzywami
Wre zacięta jakaś sprzeczka —
To z przekupką się targuje
Filuterna mężateczka.

I przekupce i mężatce
Z ust potokiem słowa biegą...
Chce nowalią stolarzowa
Ufetować majstra swego.

Fury z drzewem strzeże chłopek,
Ogłupiały w tym rwetesie,
Już emeryt wygolony
Dla kanarków siemię niesie.

Ze swem kupnem biedna wdowa
Do facyatki biegnie małej —
Trochę sera, trochę chleba
Dla drobiazgu na dzień cały...

V.

Cichnie rynek staromiejski
I wyludnia się pomału,
Pustoszeją kramy warzyw,
Mięsa, bułek i nabiału.

I przekupki i przekupnie
Znów na »rożek« dążą miły,
By ochrypłe zwilżać gardła
I zwątlone wzmocnić siły.

Gdzieś pod murem dziad pieśń nuci
I do szynku tęsknie zerka,

Gdzieś popsuta katarynka
Gra mazura czy oberka.

Z okien domów staroświeckich
Warsztatowe płyną echa,
Złote słońce z jasnych niebios
Dobrodusznie się uśmiecha.

WARSZAWA.

Nad mazowiecką szczerą glebą
Wieżami świątyń strzela w niebo
I starożytne złote krzyże
Nurza w lazurze i szafirze,
A kiedy górą płyną chmury
I spada na dół mrok ponury,
To, jako dawniej wśród turkusów
I z mgły wyziera krzyż Chrystusów.

Nad szarą Wisłą ona leży
I słucha cichych jej pacierzy,
Toczy swe fale rzeka dawna,
Szumi, a gwarzy: przeszłość sławna,
Minione boje, stare dzieje,
Gorzkie przeżytych lat koleje
W pacierzu snuje tak łaskawie
Umiłowanej swej Warszawie!

Spiętrzone, ciasne, ciche, szare,
Patrzy na Wisłę Miasto Stare,
Pilnują domostw Pańscy święci,
Na szczycie z blachy ptak się kręci,
Z niszy wygląda Matka Boża,
Królowa nasza, niebios zorza,
A z tablic stare lśnią napisy,
Smutne i łzawe, jak cyprysy.

Dziwni tam ludzie dotąd żyją,
Nić staroświecką przędą, wiją,
Nić staroświecką wiją, przędą,
Trwają wspomnieniem i legendą,
Trwają miłością zmierzchłej doby,
Od wiru życia wolą groby
I są z pozoru jako próchno,
Próchno — z którego iskry buchną!

Nie wiem, co wolisz? czy te szczątki,
W których, jak perły, tkwią pamiątki?
Czy owe pełne zgiełku, lśniące
Ulice nowe, w dal idące?
Pałace świetne, kamienice,
Co tak bezmyślne mają lice,
Jak lalka żywa z buduaru
Pusta, — choć może pełna czaru?

Nie wiem, co wolisz? Ja wśród miasta,
Gdzie wyświeżony tłum się szasta,

Gdzie — jeśli dotknie się do nędzy —
Ściera muśnięcie jej czemprędzej, —
Nie mógłbym wyżyć! jak jaskółki,
Lubię zakątki i zaułki
I wolę proste owe duchy
Od bezduszności mdłej i suchej.

W mroku suteryn i podstryszy
Krzyk serca ucho twe usłyszy,
Usłyszy słowa takiej siły,
Co są kluczami do mogiły!
Ty, któryś błądził wśród barw żywych,
Idź tam, tam ludzi znasz prawdziwych!
A często padniesz kornem czołem
Przed sercem, które jest kościołem!

Warszawa! Zawsze była ona,
Jako kapłanka poświęcona.
Zawsze w mgły szare, w mroczne cienie,
Z jej łona złote szły promienie
I z niej to błyskał cnót tych zaród,
Co hartowały cały naród
I w długie, ciężkie lata trudu
Kazały czekać — dnia i cudu!

Jej mury, drzewa i kamienie
W jedno zaklęte są wspomnienie,
Do tych, co znają mowę głazów,
Mówią gromami swych wyrazów!

Mówią i krzyczą tak donośnie,
Że głaz w twem sercu w burzę rośnie
I w czarodziejski krąg cię wzywa
I bierze z sobą i porywa!

Warszawa! Niech się trzykroć święci!
Za nieśmiertelność jej pamięci!
Za serce wiecznie współczujące!
Za to widzialne z za chmur słońce!
Za moc ogromną z mogił braną!
Za pieśń w tysiącach rozśpiewaną!
Za krzyż, co zawsze nad nią świeci! —
Niechaj się święci skroś stuleci!

Bo z niej na tłumy pójdzie oto
Miłość ogromną falą złotą!
Bo rozdzielone ona zbrata
I obce zwiąże, na dziw świata!
Bo będzie miejscem, gdzie świtanie
Najpromienniejszą zorzą wstanie
I skąd wieść będzie pewna droga
Do szczęścia ludów — i do Boga

JESIENIĄ.

Już serce spokojne
Nie walczy jak z młodu,
Przebyło swą wojnę
Z bólami zawodu,
Wie: nic go nie czeka
I nic się nie zmieni,
Więc drzemie bezczynnie
W dniach cichej jesieni.

A niegdyś, gdy złotą
Maj rozpiął swą lutnię,
W dal gnane tęsknotą
Szalało rozrzutnie
I biegło na oślep,
Przez morza płomieni,
To serce drzemiące
W dniach cichej jesieni.

W słonecznych skier błysku
W zwyż myśli się rwały,
Spragnione w uścisku
Ogarnąć świat cały;
I hojnie rzucało
Kaskadą promieni,
Nim w lód się zmieniło
W dniach cichej jesieni.

Ach, drogi życiowe.
Tak pełne są cierni!
Sny gubią tęczowe
Szlachetni i wierni
Ryçerze z kolei
Padają zmęczeni
By zmartwieć, jak trupy
W dniach cichej jesieni.

Już życie zdradliwy
Zatruwa czar wnęki,
A wody im żywej
Nikt nie da kropelki,
Tej wody czarownej,
Co ciemność w blask zmieni —
I giną samotnie
W dniach cichej jesieni.

A jednak choć kropla
Ożywczej tej wody
Świat zdobi urokiem
Wiosennej pogody;
Z niej czerpią moc nową
Rycerze stęsknieni
W dniach grozy i zgonu
W dniach cichej jesieni.

Lecz kędyż jej szukać?
Już wyschły jej źródła,

Pierś ludzka oddawna
Na kamień wychłódła...
Gdzie szukać miłości
Z tęcz, z woni, z promieni?
Umarła królewna
W dniach cichej jesieni.

I pusto tak bez niej,
Tak ciemno i smutno,
Świat, żalem trawiony,
Wdział szatę pokutną
Zanurzył się cały
W toń mroków i cieni
I zwolna zamiera
W dniach cichej jesieni.

NASZE SZTANDARY.

Nasze sztandary z Panną Przeczystą,
Na śmierć tysięcy patrzyły,
Co marli z wiarą w jutrznię złocistą
I w zmartwychwstanie z mogiły.

Nasze sztandary w bój krwawy wiodła
Moc, której kule nie straszą;
Na wielkie, święte podniosłe godła:
»Za waszą wolność i naszą!«

BRONISŁAWA OSTROWSKA (EDMA MIERZ)

ur. 1881 roku. Wyszła za artystę rzeźbiarza St. Ostrowskiego w Warszawie. Wydała »Opale« poezye 1902, »Jesienne liście« 1905.

MSZA.

O, śpiewne msze wśród polnej samotnej kaplicy,
Płynące skroś na pola i sady owocne!
O, ludu głosy proste, a wiarą wszechmocne
I rozchwiane od wiatru płomienie gromnicy!

Czasem kwieciste chusty przywabią motyla,
Że zabłąkany wleci ze lnu albo gryki
I na sztucznych bukietach w kadzidłach się chyla,
Aż opalą mu skrzydła gromniczne płomyki.

Dokoła pól dostałych południe słoneczne,
Nagrzany wicher wonny błękitem przelata,
I zda się stać nad ziemią święto życia wieczne.

A msza z kaplicy płynie na sady i łany
I łączy się z prześwietną harmonią wszechświata...
O, motylu, na sztucznych bukietach zbłąkany!

SOSNA.

Na złotych piaskach wyrosłaś,
O sosno!
Gdzie rdzawe mchy tylko rosną,
Ty w niebo czoło podniosłaś
O sosno.

Stoisz jak mara cmentarna,
Sieroto!
Dokoła blaski i złoto,
Ty stoisz smutna i czarna
Sieroto.

Sięgasz w lazurów gdzieś stropy,
Ty dumna!
Lecz kwiatów gromada tłumna
Nie błyszczy pod twemi stopy,
Ty dumna.

Bo nie dasz cienia tej ziemi,
O sosno!
I tylko rdzawe mchy rosną
Pod konarami twojemi,
O sosno.

Z TAMTEGO BRZEGU.

Ja ciebie cicha widzę już,
I pragnę cię ogromnie,
Ja ciebie cicha widzę już:
...Owiana kwieciem zwiędłych róż
Powoli spływasz do mnie.

Spowita w obsłon białych śnieg,
Owiana snem i wonią,
Spowita w obsłon białych śnieg,
Wskazujesz tamten, – cichy brzeg
Przejrzystą swoją dłonią.

Nad czołem gwiazdy zgasłe masz
I martwych róż kielichy,
Nad czołem gwiazdy zgasłe masz
I zadumaną, bladą twarz
Otulasz w całun cichy.

Za tobą płynie pieśni dźwięk
Rozwiany w wiatru tchnienie,
Za tobą płynie pieśni dźwięk,
A mnie ogarnia dziwny lęk,
Lęk wielki i pragnienie.

Ja ciebie cicha widzieć chcę
Przepiękną nieskończoną,
Ja ciebie jasno widzieć chcę, —
Rozwiać całunów twoich mgłę
I paść na twoje łono.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI



ur. 1878 r. w Opocznie gub. Radomskiej. Odbywał liczne podróże. Pracował w »Życiu« i umieszczał prace w najpoczytniejszych pismach polskich. Obecnie mieszka w Warszawie. Wydał: »Poezye« 1900. Komedye »Lekkomyślna siostra« i »Aszantka« zjednały mu szeroki rozgłos

ROZMOWA.

Pójdź, dziewczę, siądź mi na kolana,
Nagie ręce zarzuć mi na szyję...
Pieść mię, całuj, patrz, już ledwo żyję,
Nic nie nęci mnie i w nic nie wierzę,
Po otchłaniach bezsłonecznych błądzę,
A żyć pragnę... ratuj mię, kochana...
Pieść mię, całuj, rób co chcesz, a szczerze,
Z całej duszy... jeszcze mam pieniądze.

Co? Ty dziwisz się, żem taki młody?
Może... może... lecz już wyschło serce,
Tak nieznacznie, iskrę po iskierce
Przytłumiałem w niem... nie z własnej woli...
Mniejsza o to... Dzisiaj dusza pusta,
Jeśli szuka, to letejskiej wody...
Nie rozumiesz? Co tam!... to tak boli...
Lepiej pieść mię... wessij mi się w usta.

Wiesz co!... bawmy się, szepcz mi do ucha,
Że ty jesteś tą moją wyśnioną
W snach słonecznych, kochanką, czy żoną,
Potem szepcz, że mię kochasz nad życie
I pytaj się, czemum taki smutny,
Żeśmy sami, że nikt nas nie słucha,
Mów i mowę przeplataj obficie
Pieszczotami, a będę rozrzutny...

O tak... przytul się do mnie... tak... mocno...
Więc tyś moją już duszą i ciałem...
Przez lat tyle wszędzie cię szukałem
We łzach, w trwodze, ból krwawił mi łono,
Zdało mi się, że przejdę przez życie...
O daj spokój... zapomnij, żeś nocną
Heroiną, ja chcę mieć wyśnioną
I wyśnionej zapłacę sowicie...

No pójdź, wróć się, siądź mi na kolana,
Nagie ręce zarzuć mi na szyję...
Pieść mię, całuj, patrz, już ledwo żyję,
Nic nie nęci mnie i w nic nie wierzę...
Po otchłaniach bezsłonecznych błądzę,
A żyć pragnę... Ratuj mię, kochana,
Pieść, gryź, całuj, rób co chcesz, a szczerze,
Z całej duszy... jeszcze mam pieniądze.

UAJALI.

Kochanka moja, Uajali biała,
O oczach czarnych, jak noc południowa,
O włosach złotych, jak łan w blaskach słońca,
Smętna jak lilia, jak płomień gorąca,
Gwiazd lśniących w duszy pani i królowa,
Kochanka moja, Uajali biała,
Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała,

Potem na czole położyła dłonie
I rzekła głosem, w którym słońce płonie:
— »Weź mnie... na wieki oddaję się tobie,
Wieńcem z róż jasnych czoło ci ozdobię,
Pieszczotą myśli do snu ukołyszę
I poprowadzę w dal, w błękitną ciszę...
A tam swe usta w usta twoje wplotę,
Pierś w pierś i w owym uścisku złączeni
Będziemy śnili, aż nas rozpłomieni
Krew, aż się w ognie przemienimy złote«
Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją
I kiedy w starym, przedwiekowym borze
Na drzewach ptactwo budzi się z uśpienia,
Kiedy łódź-słońce, na błękitów morze
Płynąc, zorzami drogę rozpłomienia.
Było to rankiem, kiedy gwiazdy mdleją;
Na kwiatach jeszcze srebrzyła się rosa,
W powietrzu jeszcze stały mgły perłowe,
Na niebie jeszcze noc hebano-włosa
Snuła warkoczem wstęgi purpurowe.
Kochanka moja, Uajali biała,
Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała,
A jej śmiech niebo otworzył nade mną.
Ciche, przesłodkie harf anielskich granie
Oplotło srebrną wstęgą moją duszę,
Poczułem szczęścia jasne zmartwychwstanie
I w sercu taka weszła mi ochota,
Że rozśpiewało się jak harfa złota.

Stanęła przy mnie, cicho się zaśmiała,
A mnie się zdało, żem już wyszedł z ciała
I że na kwiatach, gdzieś pod niebios progiem
Leżę i gwarzę cichą pieśnią z Bogiem,
Że jestem blaskiem lilii, wonią róży
I pocałunków anielskich słodyczą,
Że jestem cichą piosenką słowiczą,
Świeżą jak łąka po wiosennej burzy.
Nie! To sen chyba! Uajali... ona!
Wizya słoneczna ateńskich rzeźbiarzy,
Pieścić mnie pragnie i tulić do łona,
U stóp mych na głos o miłości marzy...
Nie, to sen chyba!... Uajali biała,
Do której długom modlił się daremnie,
Szepce, kochania owiana tęsknotą:
— »Niech mnie twe dłonie pożarem oplotą,
Niech usta twoje krew wypiją ze mnie«.

PIEŚŃ O OCZACH.

I.

Te oczy ciche, głębokie, jak morze,
Niepostrzeżenie wzięły mnie w niewolę.
Myślą się błąkam w złotych rojeń kole,
Czuję, że w sercu palą mi się zorze
I błogosławię za moją niewolę
Te oczy ciche, głębokie, jak morze.

Te oczy ciche, głębokie, jak morze,
Rozsłoneczniły moją smutną duszę —
Modlę się do nich w zachwycie i skrusze
I znowu w sobie mam królestwo Boże...
Odkąd olśniły moją smutną duszę
Te oczy ciche, głębokie, jak morze...

Te oczy ciche, głębokie, jak morze
Niepostrzeżenie wzięły mnie w niewolę,
Wróżą mi jakąś słoneczniejszą dolę.
Modlę się, tęsknię. Smucę się i trwożę
I kocham... kocham za moją niewolę
Te oczy ciche, głębokie, jak morze.

II.

Błogosławione niech będą te oczy,
Które mi świecą dziś, jak gwiazdy złote,
Te sny płomienne, ten obłęd uroczy.
Co moje myśli falą światła mroczy,
Kiedy z urojeń jasne wieńce splotę...
Bo sercu memu odjęły martwotę,
Bo duszę grzeją mi, jak hymn proroczy.
Te oczy ciche, te jasne, te oczy
Błogosławione

Niosą mi życia mojego tęsknotę
I niebo widzę w ich głębi przeźroczej.

A wówczas duch mój z bóstwem się jednoczy
I tak się modlę; niech będą te oczy,
Które się świecą dziś, jak gwiazdy złote,
Błogosławione.

III.

A choć nie dla mnie śmieją się i płaczą
Te oczy ciche, głębokie, jak morze,
Innym już serca chyba nie otworzę...
A choć nie dla mnie śmieją się i płaczą,
Ja pamięć o nich z tęsknotą tułaczą
Będę niósł w sercu, aż się w grób położę...
A choć nie dla mnie śmieją się i płaczą,
Wiecznie mi będą świeciły, jak zorze.

Bo nic i nigdy nie wyrwie z mej duszy
Dziękczynnej myśli, za ten sen mój złoty,
Za te złudzenia, za te orle wzloty.
Bo nic i nigdy nie wyrwie z mej duszy
Tych spojrzeń, ani słów tych nie zagłuszy.
Słońcem mi będą w szarych dniach tęsknoty!
Bo nic i nigdy nie wyrwie z mej duszy
Tego złudzenia, tego snu Heloty.

BRZASK.

Już dnieje. Szare światło wkrada się nieśmiało...
Patrz... A teraz ktoś złota naprószył na ścianę...
To słońce!? Coś tak gorzko w mem sercu załkało?
— Ciekawym, czy też słońce jest kiedy pijane?

Dobrze... Dobrze... pójdziemy. Purpurowe zorze,
Las się pali... Cudowny jest wschód słońca
[w lesie,
A nad morzem... Bezbrzeżne, nieskończone morze,
Atlantyk!! Każda fala złoty pożar niesie!

Dobrze... pójdę. Jej oczy świeciły jak słońce,
A taki blask z nich płynął, świeży, nieustanny,
Takie światło pogodne, zaziemskie, rzeźwiące,
Niby w godzinę cudu z ócz Najświętszej Panny.

Ależ pójdę już... pójdę... W grabowej altanie
Cichą, żałosną skargą zaszumiały drzewa...
Moja biała królewna, moje ukochanie...
Słyszysz! Słyszysz! Tu, w sercu, echo słów jej
[śpiewa.

WARSZAWA.

Patrzyłem na nią o zachodniej porze,
Gdy słońce mdlało w szkarłatów koronie,
Wisłę wieczorne pozłociły zorze

I każda fala, zdawało się, płonie;
Ciepły, zachodni wiatr z cicha coś śpiewał
I oddalonych pól przynosił wonie,

Trawy, pożółkłe od słońca, rozwiewał
Czasami wichrzył nadrzeczne szuwary,
Czasem, jak gdyby zmęczony, omdlewał

I milkł... Nad wodą płynęły opary. —
Coraz to bardziej mdlało złote słońce,
Coraz ciemniejszym stawał się gród stary...

Patrzyłem smutny... Myśli, oczów gońce,
Biegły, skupione, za błędnem spojrzeniem
I przystrajały rzęsy w łzy palące

I omraczały czoło smutku tchnieniem...
Ach! bo wzrok dojrzał śmiech, szał i wesele...
Myśl się spotkała z nędzą i cierpieniem.

PRZYSIĘGA.

»Z nią, albo na niej!« Z tarczą lub na tarczy
Zejdziemy z pola odpocząć w mogiłach!
A będziem walczyć, póki tchu nam starczy,
Póki krew będzie czerwienić się w żyłach!
A naszem słońcem nieśmiertelne piękno!
A nasze hufce przed wrogiem nie klękną!

Naprzód! Z miłością, z wiarą i z tęsknotą
Do ideału, do sławy, a wiernie!
A jeśli błoto na drodze — przez błoto,
A jeśli ciernie i kolce — przez ciernie,
A jeśli róże i wieńce — przez róże,
Z królewską dumą, w królewskiej purpurze.

O świcie w pole!... Dziś uczta weselna —
Śmiech, szał, sny złote, rojenia... My, młodzi,
Przed nami życie — chwała nieśmiertelna —
Pójdziemy po nią, jak wiatr przez step chodz
I, albo zmiecie nas z drogi śmierć krwawa,
Albo tam — czoła uwieńczy nam sława!

O świcie w pole!... Białych orłów skrzydła
Pieśń nam zaszumią, las odpowie echem...
Wnet szare życie porozsnuwa sidła,
Wnet tłum opluje nas szyderczym śmiechem,
Wnet mgły posępne niebo nam oplotą,
A my — pójdziemy z wiarą i z tęsknotą!

Tak, przysięgamy! Z tarczą lub na tarczy
Zejdziemy z pola odpocząć w mogiłach!
A będziem walczyć, póki tchu nam starczy,
Póki krew będzie czerwienić się w żyłach!
A naszem słońcem nieśmiertelne piękno!
Z niem — póki dzwony na pogrzeb nie jękną.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ur. 1873 r. w Warszawie, pracuje w Warszawie jako artysta malarz. Wiersze po czasopismach.

DUSZA TŁUMU.

Jest potwór, który codzień mi w oczy zagląda
I olbrzymie swe łapy na ramiona kładzie,
I zatapia mnie w włosów brunatnej kaskadzie,
I przyczaja się, tuli, drży i pieszczot żąda...

Pod moją drobną dłonią pierś potworna jęczy,
I widzę jak tęsknota rwie ten łeb kosmaty —
W żyłach gra mu szum lasów słyszany przed laty,
W ślepiach słońce zwrotników lśni kroplami tęczy...

On płacze!... Jednak jeszcze dziś tą czarną wargą
Żłopał chciwie krew ludzką, rwał czerwone [mięso...
Teraz warga mu zwisła ciężka bólem, skargą.

Chrapy rozdął i skomli — łapy mu się trzęsą...
Przed oczami w mgle płyną palmy, piaski, morze,
I zmrok lasów... On tęskni... O — biedny po- [tworze!...

POWRÓT.

O, ciemny lesie przeczuć!... Stary; wielki borze —
Oto w przedwieczne wnętrze twe, odarty, bosy,
Znękany wracam... Wilgoć twej przeczystej rosy
Zbolałe stopy chłodzi... W twych drzew rozho-
[worze

Szumi wieczność upojeń... Za latarką chrząszcza
Pójdę błędny!... Ku źródłom przyczołgam się
[trawą
Śladem żmii — twarz, biedną twarz obmyję krwawą
I w kniej zacisza, w czarną głąb puszczy, przez
[gąszcza

Moczarów pójdę!... Widmem księżycowem w kę-
[pach
Prześliznę się po dębów zwalonych poręczy,
I dalej — w najtajniejszych zabłądzę ostępach,

Gdzie przy ogniu chór dryad o północy klęczy,
I gdzie z mchów mi się zjawi duch lasu —
[i cieniem
Utuli — i głębokiem ukoi milczeniem...

JAN PIETRZYCKI

ur. 1880 r. w Tarnowie, obecnie nauczyciel gimnazyalny we Lwowie. Wydał: »Kyrie elejson« 1889. »Zbiór poezyi« 1901, »Refleksy światła« 1905. Tłumaczenie »Liryki Anakreonta« 1908.

Z CYKLU: »KARNAWAŁ«.

KARNAWAŁ.

W złote dzwonki zadzwonił i pomknął w mrok
[nocy,
Elektryczne lamp białych zapalił balony.
Jeszcze szatą tęczową raz błysnął na strony
I znikł we mgle... cudownej, rozkosznej pan mocy.

Z serc dziewczętom rozniecił marzenne ogniska.
Królewiczów pokazał przez chwilę snu złudną.
A sam jasny, jak cherub, twarz taką miał cudną,
Że w niej tylko miłości gorzały zjawiska.

Unoszony obłokiem złotego eteru,
W gwiazd się nurzał tumanach ów bożek widmowy,
Karminowych róż gradem, rzucając, jak z procy.

Lecz te gwiazdy — to były... ordery z papieru...
Lecz te róże — to były... z bibuły ponsowej...
W złote dzwonki zadzwonił i pomknął w mrok nocy.

ARLEKINADA.

Purpurowych szkieł barwne mozaiki skrzą się,
Walc zawrotny w mosiężne uderzył trombony.
Jakichś wiewnych postaci wir płynie szalony,
Szat kolorem migoce, zanurza się w ponsie.

Baletnica... arlekin i miłość ich wieczna...
Zazdrość skrzypka, co w struny uderza do tańca...
Śmiech srebrzysty tyrrada rozkoszy posłańca...
Na świecącej posadzce uciecha serdeczna...

Ale w dźwiękach, niosących szalone widziadła,
Jakaś jedna łza głośna, łza gorzka się wkradła,
Dyssonansem melodyi wpadając żałośnie.

Może w blasków czerwonych ułudnej powodzi
I w tej fali, co sztucznym urokiem zawodzi,
Wstało tęskne wspomnienie — o szczęściu i wiośnie.

Z CYKLU: »KOLOROWE MALOWANIA«.

WIOSENNY TANIEC.

Małe satyry, wybiegłszy o brzasku,
Wiosenny taniec zawodzą po łące,
Kąpią się w kwiecia zapachu i blasku,
Gną traw łodygi wilgotne, pachnące...

Kwiaty się chylą strwożone i drżące,
Zielona łąka lśni w złocie i ponsie,
Rosy upadły w głąb trawy i skrzą się,
Satyry tańczą, jak wichry, po łące.

Wraz za kosmate ująwszy się ręce,
Obłędnem kołem wirują uciesznie,
Wydęły usta i krzywią się śmiesznie,
W wesołej, dzikiej, młodzieńczej piosence.

Wichrowe stopy rwą młodych traw sploty,
Wichrowym ruchem podnoszą się łona,
W kosmatych piersiach drżą serca, jak młoty,
Prężą się hardo kosmate ramiona.

Na złote rosy stoczyło się słońce,
Szaleje młodość śród kwiecia i blasku...
Małe satyry, wybiegłszy o brasku,
Wiosenny taniec zawodzą po łące.

FAUN I ECHO.

Faun kochał psotne echo, co mu snuło czary
Po zielonej leszczynie, w złoty ranek letni,
I piosenkę dobywał z wierzbinowej fletni,
Nasłuchując, jak dźwięki powtarza las stary.

Słuchały go konwalie, od rosy wilgotne,
Ślaz złocisty, błyszczący brylantem w łzach słońca,

I rusałka, po trawach motyle płosząca,
Gnała piosnkę... a echo motało ją psotne...

Fletne dźwięki, jak kule łyskliwe i rącze,
W traw nurzały się gąszcze i kwiecia rozchwieje...
Psotne echo, zbierając, rzucało przez pnącze,
Aż zielona leszczyna piosence się śmieje
I w słonecznej ulewie połyska ogniście,
Pławiąc w złotych strumieniach gałęzie i liście.

Z POEMATU: »BEZSENNA NOC«.

(FRAGMENTY).

III.

. . . .

Bo w duszy trzeba nieraz stłumić owe złote,
Te blaski, które grają tam świetlaną tęczą.
Bo w duszy trzeba zerwać struny, co tam dźwięczą,
I zadusić ku słońcu wiecznemu tęsknotę.

Kto na szyję wziął życia żelazne obroże,
Kto znużony zórz przespał tęczowe świtanie,
Temu śnić się nie mogą słoneczne przystanie,
Ani dusza mu dźwięczeć, jak harfa, nie może.

Więc niech męka tajemnie się w głębiach przepala,
Niech umrą na zawsze najczystsze sny święte
I ogrody wieczyste niech będą zamknięte,
Bo gdy rzucisz kwiat życia, to życie go skala!

V.

Śmierć gra piosenkę — —
W zaułek uliczny
Pada dźwięk skrzypiec ostry, metaliczny —
Od latarń cienie włóczą się omdlałe — —

Mgła nocna... We mgle stoi widmo białe,
Na strunach chudą położyło rękę
I gra piosenkę...

A najcudniejszą gra ze wszystkich pieśni,
Bo jej nie mącą w dźwięk zaklęte słowa...
Pieśń to dostojna, a taka surowa,
O jakiej dusza w życiu nigdy nie śni —

W czar naiwności spowita dziecięcej,
Pieśń upojniejsza, jak płomienne trunki...
Milkną w jej dźwiękach łzy i pocałunki,
A co zamilkło w niej — nie wraca więcej!

VII.

. . . .
Więc pochwaloną bądźże mi, dziewczyno,
Za ten ostatni sen, za miłość jasną,
Za twoją duszę młodą i wiosenną —

Jakże powoli mgły gdzieś z pola płyną...
Na szybach okien krwawe światła gasną...
Mrok senny pada w ciszę bezpromienną...

A zdało mi się, że w tej nocnej zmroczy
Jakieś się słowo przelewa kojące —

A zdało mi się, że przyszły twe oczy
Takie ogromnie smutne, pytające,
— A dzień mój jasny, złoty dobiegł końca
I już nie ujrzę wschodzącego słońca — —
. . . .

IX.

Jest najcudniejszą ze wszystkich miłości
Ta jedna miłość, która jest tęsknotą
I nigdy... nigdy dwojga ust nie łączy...

I w snów wpatrzona księżycowe złoto,
Idzie w ułudy świetlanej opończy,
Daleka życia i rzeczywistości.

Bo najcudniejszą jest z wszystkich miłości,
Ta, jaką wiosna niesie w sad wiśniowy,
Gdy wiatr obrywa białe, wonne kwiaty.

A najłaskawszem to słońce, co gości
W cichym szpitalu i złoci komnaty —
I na uśpionych przelewa się głowy.

O, żyć snem takim i z grecką pogodą
Iść w grób... gdzie cisza i wieczność milcząca —

I pozostawić po sobie baśń słońca,
Jak kwiaty świeżo rozwite, baśń młodą...

Światu porzucić tęskotę snów wiecznych —
Uwięzić duszę, co była skrzydlata —

I umieć odejść bez żalu ze świata
W godzinę pragnień i przeczuć słonecznych.

IDA PILECKA

Poezye w czasopismach warszawskich.

WIOSNA IDZIE...

Czy ty ją czujesz, tę idącą
W twych snów bezkształtnych upojeniu,
W rozradowaiu... w rozrzewnieniu,
Co padło w duszę twą gorącą?...

Czy ty ją widzisz wśród gałęzi,
Któremi lekko wiatr powiewa,
Czy ty ją widzisz w pękach drzewa,
Gdzie życie zrywa się z uwięzi?...

Pegazów-wichrów dzierżąc uzdy
Zima, w północnej zmiera stronie,
A wietrzyk igra po zagonie,
Marszcząc smug wody środkiem brózdy.

Idzie... i w słońcu już migoce,
Ufna, że zwalczy — że zwycięży,
Ludziom do pracy dłonie pręży
I wlewa w serca nowe moce...

Idzie... na szare rzuca krosna
Wzorzystych haftów pierwsze ściegi,
A sposępniałe blade śniegi,
Strąciła w jary Pani-Wiosna

Już się zerwali w niebo ptacy
Gonić w lazurach obłok biały,
Dzwonią już piosnki i hejnały!
Do pracy rwijmy się... Do pracy!...

Niechby mnie senną mgłą, w miesięczną noc prze-
[czystą
Ku tobie cicho zwiał omdlały wiatru prąd;
Niechby mnie w szumie lip rozkoszą jedwabistą
Zapachniał jeszcze raz twych złotych włosów
[blond.

SŁAWA PRUSZYŃSKA

ur. w Kozarynówce, gubernia Kijowska, roku 1888.
Pisma: »Poezye« 1906, »Najdalszym«, poezye 1907.

O SŁOŃCE...

Pocałunkami mówisz do mnie
                    o słońce!...
Usta twe purpurowe ogromnie gorące –
K'tobie me ramiona wciąż tężę
                    tęskniące – –
Upój mię swoją mocą – a mroki zwyciężę –
                    o słońce!...
. . . .

Całunki mi na czoło kładź wiecznie
                    o złote!...
Duszy mojej opromień słonecznie
                    tęsknotę...
Aż tobie z kłosów żytnich bujne wianki
                    splotę
I oddam ci je dłońmi przecichej kochanki –
                    o złote!...

W PRZEDEDNIU.

W drzwi moje czyjaś dłoń uderza — — —
Dłoń dziwnie mocna, jednak cicha —
Za drzwiami czyjaś pierś oddycha.

W drzwi moje czyjaś dłoń uderza — — —
Myśl jakaś wielka na mnie czeka —
Tajemna dotąd i daleka
Od słońc idąca i zabrzeża...

Myśl jakaś jasna na mnie woła — — —
Nie śmiem wyjść ku niej, w trwodze, skrusze —
Chcę zabić niemoc mego czoła,
Od zrozpaczenia zbawić duszę...
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —

W drzwi moje czyjaś dłoń uderza — — —
Dłoń dziwnie mocna, jednak cicha —
Za drzwiami czyjaś pierś oddycha...

STAN. PRZYBYSZEWSKI



ur. 1868 w Łojewie koło Inowrocławia. Początkowo pisał po niemiecku. Od roku 1898 osiadł w Krakowie redagując tam »Życie«. Dzieła: »Z cyklu Wigilii« 1899, »Nad morzem« 1899, »Androgyne« 1901, »De profundis« 1900, »Requiem aeternam« (w »Krytyce«), »Poezye prozą« 1902 r. Powieści: »Dzieci szatana«, »Homo sapiens«. Dramaty: »Dla szczęścia«, »Taniec miłości i śmierci«, »Złote runo«, »Goście«, »Odwieczna baśń«, »Śluby« i inne prace.

Z POEMATU: »NAD MORZEM«.

MODLITWA.

Ty, która w czarne sny moje świetlanymi palcami wplatasz piękność więdniejących jesieni, blaski okwitłych przepychów, spiekłe barwy ogniem trawionych rajów, —

O jasna moja —
wiele bólu się prześniło, odkąd Cię po raz ostatni widziałem, ale wciąż jeszcze lśni me serce nad gwiazdami, któreś w me życie rozsiała, wciąż jeszcze rwą się z krwi mojej dyszące ręce ku szczęściu, które mi kiedyś w duszy rozpaliłaś.

Ty, która w ciemnej pomroce cichemi rękoma przędziesz mi na zaczarowanych harfach ciężką zadumę o chwilach rozkoszy, co jak poszum dalekich skrzydeł przewiały, o słońcach, co w morzu tonąc, iskrzą się na zachodzie krwawą rosą, o nocach, co do ciepłych piersi tulą serca zbolałe —

O jasna moja —
już tyle razy słońce zapadło, odkąd koiłaś czarownemi pieśniami smutek mej duszy a wciąż jeszcze widzę w smutnym rozjęku Twe oczy, jak się żarzą w nieziemskim zachwycie i jasną rękę widzę, jak się ku mnie wysuwa i w płonącym krzyku chwyta za moją.

Ty, która mi noce burz na dni pogody przemieniasz, w głębiach snu mi jawy gasisz, w bezbrzeżne dale odsuwasz pobliża — która mi w sercu błędne ognie rozpalasz i czarne kwiecie ku życiu niecisz —

O jasna moja —

Już tysiąc razy świat się przeobraził, odkąd Twe ostatnie spojrzenie chłonęło gasnące blaski mej duszy, a wciąż jeszcze widzę Twą drobną twarz dziecka i złotą koronę jedwabnych włosów wokół twej skroni, widzę, jak dwie łzy spłynęły w blady uśmiech, co tlał na Twych ustach i słyszę, jak głos ciemną skargą się żali.

Ty, która mi rozrywasz pieczęcie wszelkich tajemnic i czytasz runy ukrytych sił, a po wszystkich szałach mego życia roztaczasz się tęczą łaski od jednego nieba do drugiego — nigdy jeszcze nie wichrzyły się taką burzą gwiazdy moje, nigdy jeszcze nie płomieniała jasność, co Twą skroń wieńczy, tak krwawymi błyski, jak teraz, kiedym Cię już na zawsze utracił.

Przed Twe nogi rzucam gwiazdy moje, stopy, Twe oplatam snów mych czarnym kirem, a w ręce Twoje kładę me serce — me serce...

ODWIECZNE ŹRÓDŁO.

Przedwieczna ciszo —
 ukój me serce.
Niezgłębiona tajni życia —
 skłoń mą tęsknotę.
Odwieczna falo powrotu i wiecznego bytu —
 zlej się łaską nadziei w mą duszę.
Elejson, elejson!
A iż jestem od początku i trwać będę po wszystkie bezkresy wieczności —
 wspomóż mnie, Pani!
A iż imię Twoje święte mi zawsze było i nigdy daremnie go nie użyłem —
 wysłuchaj mnie, Pani!
A iż najcięższe bólu brzemię wziąłem bez skargi na ramiona i straszny krzyż cierpień dźwigałem w krwawym znoju na wzgórze śmierci i potępienia —
 odkup mnie, Pani!
Elejson, elejson,
Źródło bolesnych rozkoszy —
Obłędna łasko natchnienia —
Potępieńcze łkania jesiennych wichur —
Grozo przekleństwa, szlochu pokuty, szepcie miłości, bełkocie upojeń —
Elejson, elejson!
Dobrotliwa —

Wieczna –
Ułudo – Męko – Rozkoszy –
Amen, Amen, Amen...

TĘSKNOTA.

Wokół Twej głowy wieniec zwiędłych kwiatów, gdyby korona czarnych słońc, a Twe oblicze płonie żałobą zastygłych gwiazd.

U nóg twych kona burza mego żywota, gasnącą falą oblewa Twe stopy chory płód mej duszy –

Szaremi skrzydły okrąża Cię obłęd mych ciemnych przeznaczeń – kolebko Ty moja, grobie Ty mój!

Z czarnych mgławic mego początku wyrosłaś w chmurne nieb stropy, w słabej muszli perłowej mego bytu płyniesz w głuche bezkresy, Ty bolesna piękności, coś jest ponad wszechpięknością –

Tęsknoto Ty!

I czemu stałaś mi się grobem, czemuż płonące Twe pienia, któremi innych rwiesz w niepojęte krainy piękna, kraczą w mej duszy złowrogie wróżby, a czerwone pochodnie, które innym stawiasz po drodze ku wzgórzu szczęścia, czemuż gromniczną załobą obstawiły mi łoże?

Byłaś mej braci słowem Boga, co z Niczego światy wyrzuca, byłaś jej żebrem Adama, co

święte cuda w sobie nosi, byłaś jej wiecznością i bezgraniczem potęgi — tylko w moją głowę w wierciłaś suche kolce cierniowego wieńca. —

Ty bolesna piękności — coś jest ponad wszechpięknością.

Tęsknoto Ty!

A przecież stało napisane, że moja dusza syta Twej boskiej siły, odrodzi od nowa w nowej potędze i piękności świat cały i wszechstworzenie. —

— Bo i jemu i mnie dany ten sam początek —

Stało napisane, że dusza moja będzie mocą Twojej wszechmocy, powietrzem, które wszechstworzenie nową rozkoszą upoi, obejmie wszechświaty, porozrywa pieczęcie ich tajemnic, a nad gwiazdami od jednej do drugiej rozpostrze się gdyby płaszcz królewski, a na nim spocznie Twój święty majestat Odkupienia.

I jeszcze stało napisane, że oddasz się w moc moją, dasz się ująć ślubną obręczą mego słowa, rozświetlisz mi dźwięki, co z pod mych rąk wypłyną, w słoneczne dale mych pól rodzinnych, roztętnisz barwy moje tą siłą i życiem, jakiem drga wiosna we wiecznych porodach.

Z poza ciemnych gór miałaś wzejść krwawem słońcem nad twem nowem królestwem i nigdy już nie zapadać, bo w nowem Twem królestwie słońce nie zapada.

Moją męką, moją Gehenną miałaś się odkupić na nową przyszłość na Nowy Zakon.

A otóż patrz? Tu króluje, jak Pan Zastępów, Ja, Twoje odkupienie i piekło Twoje!

Patrz! Majestat mój opanował wszechbyty. Ja, Twoje ostatnie słowo, co nieskończoną i przepotężną ręką pisze w ciemnościach przyszłości czyn z Boga urodzony, czyn Nowego Testamentu, Czyn rozerwania wszelkich pieczęci.

Tu siedzę na mym tronie, i myślę, czemby Cię odkupić można.

A teraz widzę Cię!

Wokół Twej głowy wieniec tysiąca nagich błyskawic, burze lat tysiąca rozszarpały Twoje włosy i cała wieczność szczęścia i rozpaczy ludzkiej rozpasała się w Tobie. Płyniesz na tęczach rozszalałych mocy, a wola Twa gdyby otchłań kipiących sił.

Oddaj mi akord, coby objął twoją moc. Daj mi to wszechmocne słowo, daj mi to Stań się! pierwszego dnia, coby Cię wypowiedzieć mogło.

Ten akord, to słowo, co światy z ich torów postrąca, akord, co się jednem olbrzymiem słońcem, jedną olbrzymią pożogą słońca od jednego krańca do drugiego na niebie rozleje — och akord ten! och słowo to!

Silniej, bliżej, straszniej! Ha! Kto zna to słowo, kto zna ten akord?

Ja znam tę pieśń, Ja syn Twej burzy, Ja syn Twojej rozpaczy, Twoich wiecznych obłędów!

Daj mi tę nową pieśń — silniej, bliżej! Bliżej jeszcze.

Rozlej się na światów przestworza strugami krzyczących błyskawic, rozszalej się orkanem, co góry piasku pod niebo rzuca, rozpioruń się grozą Jehowy, gdy ze Synai swe gromy ciskał: Jam jest Pan Bóg Twój.

Już słyszę wściekłą wichrzycę skrzydeł tej pieśni, już kłębi się orkan jej mocy w moich żyłach, już prężę się, rosnę, wybiegam głową w niebo, już pękają fale, już przebłysk bezgranic, już oddech wieczności, już..

Daremnie! Zanikło!

Jak robak toczyłaś, mój tron królewski, toczyłaś bezustannie, toczyłaś aż chwiać się począł, zadygotała na mej głowie królewska korona, a razem z mym tronem Cezarów runąłem na ziemię: strzępy i łachmany, to moja purpura...

Zimnym blaskiem zagasłych słońc więdnieje Twe oblicze, na twej głowie wieniec zwiędłych kwiatów, a w słabej muszli perłowej mej niemocy płyniesz w ciemną dal wiecznych cieni i bezsiły, Ty straszna piękności, co jest nad wszechpięknością. —

Tęsknoto Ty.

JÓZEF RĄCZKOWSKI

ur. w roku 1885 w Siarach koło Gorlic. Obecnie słuchacz filozofii na uniwersytecie Jagiellońskim. Poezye I. 1903, reszta po czasopismach. »Wóz Drzymały« jednoaktówka 1907.

Z CYKLU: »MELODYE ZADUMAŃ«.

U PROGU.

W mej duszy lampa płomienna się pali,
jak złote słońce na niebios błękicie. —
Wchodzę z nią w mrokiem osłonięte Życie,
jak do zaklętej w uroczysku sali.

Sala wspaniała, wykuta z opali — — —
A jednak — pręgi na skalnym suficie,
trzeszczą kolumny, rzeźbione w granicie —
za małą chwilę sala w gruz się zwali...

Lampa ma gorze tak jasnym płomieniem,
że mroczną salę rozświetla, jak słońce;
widzę dokładnie szczerby — nad sklepieniem
schyla się drzewo, z skały spadające...

I nie wiem, czyli wejść mam z mym płomieniem,
czyli się cofnąć... W górze świeci słońce...

NA STEPIE.

Wszedłem w step dziki. Wokół mnie burzany
szumią, jakgdyby pieśń weselną grały
i w takt tej pieśni z wiatrem się chylały —
Chwila — a może step się puści w tany...

Głową wyrosłem ponad zielska łany
i chociaż wokół mrok — idę zmężniały
naprzód, gdzie wielkie błyszczą ideały —
Przejdę — lub padnę krwią i potem zlany!

Wicher się zaśmiał, zasyczał złowrogo,
zatrząsł sitowiem i wraz całe morze
burzanów legło... Kędy stąpię nogą,
chwasty mi grodzą przejście... Przejdę może

Idę... nie można iść dalej tą drogą!...
Stanąłem — czekam, aż zabłysną zorze...

JESIENIĄ.

Hannie Gramatyczance.

Nad ugory i ścierniska
Dym się ściele siny,
Pastuszego blask ogniska
Świetlanemi skrami błyska,

Złoci zżółkłe, zwiędłe rżyska
I szumiące trzciny. .

Smęt po ziemi płynie całej,
        Po kobiercu liści.
Płynie w szacie swojej białej,
Pełen bolu, syty chwały,
Mocą swoją zolbrzymiały
Wśród drzew suchych kiści.

Zadumane śpią ugory,
        Wiatr im do snu śpiewa.
Dziwne słyszą rozhowory,
Gdy wieczorem gwarzą bory
I jesiennej widmo zmory
Wszędzie się rozlewa.

Pusto wszędzie... Łąk zielenie
        Dymią oparami.
Jak żałosne, ciche tchnienie
Wiatr swą pieśń po ziemi żenie,
Jakby koić chciał westchnienie
Srebrnej rosy łzami.

Na ugorach śpi martwota,
        Smęt siadł ponad ziemią.
Zwiędłe liście wicher miota,
W łozach cicho łka tęsknota;

Przed chatami koło płota
Stare wierzby drzemią.

Wszędzie duma się rozsiada,
Drzewa liściem prószą.
Jakaś dziwna mara blada
Z cicha w serce mi się wkrada
I tajemne słowa gada
Z moją biedną duszą.

Wiatr zawiewa. W mojej duszy
Dziwne słychać łkanie.
I zda mi się, że w mej duszy
Niby siny dym pastuszy
Płynie, kłębi się i puszy
Ta duma po łanie...

STANISŁAW ROSSOWSKI

ur. 1861 w Monasterzyskach. Obecnie jest współpracownikiem »Gazety Lwowskiej«. Pisma: »Poezye« 1887 (1892), »Tempi passati« 1894, »Psyche« 1900. Ponadto nowele, dramaty i utwory sceniczne.

PRZYJŚCIE WIOSNY.

I.

Swej złotowłosej dziecinie
Tak matuś prawi:
—»Nadstaw-że uszka...
Już z wiatrem głos wiosny płynie...
Lada dzień stanie tu różowa nóżka
I zabłyśnie sukienka barwna z piórek pawi —
I zrobi się na świecie tak jasno, tak miło,
Jakby nigdy tej zimy nieznośnej nie było!«

Dziecina klaszcze radośnie,
Skrzą się oczęta...
W serduszku dźwięczy piosnka o wiośnie...
Jak to? »Lód spłynął...« Nie, słów nie pamięta,
Tylko melodya brzmi, jakby zaklęta
Coraz to rzewniej, mięciej, coraz słodziej...
— A na dworze tak smutno, zimny wiatr zawodzi

II.

— »Mamusiu!« — »Czy podać ci wody, dziecino!«
»Nie! Chodź tu, niech ciebie popieszczę.
Wiosenki świt blizko, patrz: w oknach już sino...«
— »Śnisz, mała, tam czarna noc jeszcze«.

— »Cóż znowu! Nie widzisz, matusiu, anioła,
Jak zmiata chmur strzępy i mroki?
I piosnki nie słyszysz? Ach, taka wesoła!...«
— »Ja słyszę jęk wichru głęboki!«

— »Jęk wichru? Jęk wichru? Ach, przebudź się,
[mamo!
Ubieraj mnie — szybko - już pora...
Błysnęło słoneczko, wiosenka pod bramą«.
— »Na Boga, dziecino, ty chora!«

— Matuchno, doprawdy, śmiać mi się chce z ciebie,
Udajesz, lecz ja się znam na tem!
Kwiatuszki na ziemi, ptaszęta na niebie...
Jak dobrze być ptaszkiem i kwiatem!...

— »No, nie strój-że żartów, ty mamo, filutko!
No skądże ta minka żałosna?
Daj rękę... Czy czujesz?... — O jak mi cieplutko...
To wiosna, to wiosna, to wiosna!«

POSZLI RYCERZE...

— »Duch nasz gorący, a serca młode
I tylko z Bogiem nasze przymierze...«
Za siódmą górę, za siódmą wodę
Poszli rycerze.

W oczach im błyszczał zapał i wiara;
Któż się drużynie takiej ostoi?
Szli, jak aniołów walczących chmara,
W złocistej zbroi.

Na dumne czoła słońce im z góry
Złotą koronę swych blasków chyli;
Aż się rozjaśnił ten las ponury,
Kędy pędzili.

Aż się ocknęła na szarej łące
Badyli cichych ciżba żałosna
I drgały, szumem swym pytające:
— »Noważ to wiosna?«

Aż się zerwały serca prostacze,
Które nadżarła troska niesyta,
I każde łkało: »Oto, jak baczę,
Wielki dzień świta!«

Wzrok się wytężył w oczekiwanie,
Łakome zdarzeń, jak tchnienia — płuco,

I ciągle modły błagały: »Panie,
Kiedyż powrócą?«

Tyle lat przeszło! Milczy wieść cicha,
Snać wracających nikt nie dostrzeże...
A jednak dotąd stara baść wzdycha:
— »Poszli rycerze...«

ZYGMUNT RÓŻYCKI

współpracownik »Świata«. Poezye przeważnie tamże.

NA STRUNACH ZBÓŻ.

Szumią cichutko pozłociste łany...
Zbudził się ciepły zefir... jego dłoń pieściwa
Melodyę czarującą, wiośnianą wygrywa
Na drżących strunach zboża, na harfie kłosianej...

Złote harfy zbóż grają cicho, nieprzerwanie,
Pieśń miękka i rozlewna dookoła dzwoni,
A polne zioła, kwiaty ponadrzecznych błoni
Wsłuchują się w to dziwne, niepojęte granie...

RANEK.

Słońce tka na niebiosach jasne arabeski
I drży na sennych liściach pajęczyną złotą,
Zdala rozwiewnych chmurek płynie tłum niebieski,
W wonnem powietrzu sny się przecudowne plotą.

Cisza ukojna, święta, zawisła nad ziemią,
Tylko niekiedy zefir na skrzydłach anielich
Podniesie blade kwiaty, które jeszcze drzemią,
I do ust im nektaru chyli srebrny kielich.

A wtem z za widnokręgów płynie hymn stugłosy,
Ziemia drży w jakimś wielkim, obłędnym za-
[chwycie,
Z wilgotnego rzeszota sypiąc perły rosy...

I zewsząd płynie jeden okrzyk: Życie!... Życie!..
A słońce swe ogniste rozczesawszy włosy,
Zawisło nieruchome, nieme na błękicie...

POD TWĄ OBRONĘ...

Pod Przenajświętszą Twą obronę,
I pod troskliwą Twoją pieczę,
Składam dziś serce swe zmęczone,
Z którego krew rubinem ciecze,
I całą duszę młodocianą
Składam Ci, jako swoje wiano.

Jam jeszcze młody, bardzo młody,
Jednak do walki brak mi siły,
Zmogły mnie burze i zawody
I wieczne klęski mnie znużyły
I ciągłe smutki, niepokoje,
Przeżarły młode piersi moje.

Szedłem ciernistą życia drogą,
Pełen nadziei, pełen wiary,

I nie skrzywdziłem tu nikogo —
Może zaświadczyć bór mój stary,
Co mi nad głową nieraz szumiał,
On jeden, jeden mnie rozumiał.

Kochałem ludzi i świat cały
Miłością szczerą, niekłamaną —
I cóż mi w zamian losy dały?...
Za miłość serce mi oplwano,
Za dobroć bito mnie rózgami,
Me ciało krwawa rana plami.

Walczyłem z sobą bardzo długo,
Chcąc stłumić w sobie wszystkie skargi,
A łzy mi ciekły srebrną strugą,
A z bolu mi bielały wargi,
Lecz nie żaliłem się nikomu,
Bom wolał płakać pokryjomu.

Przed ludźmi zawsze miałem oczy,
Pełne spokoju i słodyczy —
I nikt nie widział, że mnie toczy
Czerw rezygnacyi i goryczy
I nikt nie słyszał, jak śród nocy
Ku gwiazdom słałem głos sierocy.

Walczyłem długo — całe lata
Znosiłem wszystko w niemej skrusze,

Lecz dziś mnie taki ból przygniata,
Że już doprawdy spocząć muszę,
Bo, — gdyby liście z drzew zerwane,
Padnę — i nigdy już nie wstanę.

O Matko święta i Jedyna —
Ja już nie mogę walczyć dłużej
Przyjm pod opiekę Twego syna,
Który tu z ziemskiej wypił kruży
Wszystkie rozpacze, całą mękę —
O, Matko, podaj mi Swą rękę!

POŁAMCIE HARFĘ MOJĄ...

Połamcie harfę moją złotą,
Która wam smutne daje dźwięki,
W której jest tyle łez i męki,
I która wieczną drży tęsknotą —
Połamcie harfę moją złotą!

Ludzi i tak cierpienia gniotą,
I tak już zewsząd płyną jęki,
Radosnej trzeba wam piosenki,
W której się tęcze szczęścia plotą —
Połamcie harfę moją złotą!

JÓZEF RUFFER

ur. 1878 r. w Żółkwi. Obecnie nauczyciel gimn. we Lwowie. Wydał »Posłanie do dusz« 1903 r. Umieszcza poezye w »Chimerze«, »Krytyce« i i.

WEZWANIE.

Pij hojnie to przedziwne duszy mojej wino,
Którego kosztownością – Pan – dumnie się szczycę.
Najukochańsze słońcu z mych winnic winnice
Zrodziły bujne grona... Ich soki w niem płyną...

Lekkie, jad dusza tchnienia, a jednak głębiną
Upaja niepojętą... Kochasz Tajemnice:
Pij hojnie to przedziwne duszy mojej wino,
Którego kosztownością – Pan – dumnie się szczycę.

Pij – aż od jego mocy skrzydła się rozwiną
Twym czuciom w lot nieznany, aż pięknością lice
Spromienieje dostojną - aż wejdziesz w świątnicę
Tajemną duszy mojej: Kochanką jedyną...
Pij hojnie to przedziwne duszy mojej wino...

MIŁA MARZY, IDĄCA KU MNIE.

Mój Miły mnie miłuje — i ma piękną duszę...
A przeto jestem piękna! — przetom jest szczęśliwa:
Oblubienica słodka! — — Tęsknota porywa
Moje serce ku niemu — ku niemu iść muszę!...

Ma dwoje ócz głębokich — — Potworne katusze
Stwarzają mym pragnieniom — i nasyceń żniwa!...
Mój miły mnie miłuje — i ma piękną duszę...
A przeto jestem piękna! — przetom jest szczęśliwa..

Idę ku niemu dumna królowa i — w skrusze...
Idę pełna ociągań i idę skwapliwa...
Trwożę się, że mi wszystkie z ust kwiaty po-
[zrywa —
I, że wszystkie pozrywa, w tajnem sercu tuszę...
Mój miły mnie miłuje — i ma piękną duszę...

PIES.

Ja miałem kiedyś swoją budę, lecz w nocy raz
[głuszący huk,
Obudził mię obuchem w głowę i rozszalała masa
[wód
Na moje wpadła legowisko, i darmo prężył się
[mój trud!
Daremniem się z żywiołem wściekłym o swoją
[budę gryzł i mógł!

Zatopił mi ją! a mnie porwał i z rykiem tryum-
[falnych trąb.
Zwyciężonego niósł na barach i z mych wysił-
[ków marnych drwił,
I oszołomion dzikim pędem, zgnębiony, zaba-
[czyłem sił
I zdałem mu się, nawpół czując, jak niesie mię
[na straszną głąb!

Na morze rzucił mnie! na morze, co jak pustynia
[leży w krąg,
I myśli, żem się tych obszarów bezkresnych, pu-
[stych morza zląkł,
Że będę, łeb ku niebu tężąc, z wściekłości
[i rozpaczy wył!
Nie będę wył! Na żywioł morza, co taki groźny
[w koło legł,
Mam – pies potężny – morze mocy, huczące burzą
[skroś mych żył!
Mnie stanie tchu! i łap mi stanie! i mój jest
[niewiadomy brzeg!

NA MORZE!

We własnem swojem dziele: w kaziennym, dręt-
[wym śnie
Zaległem nazbyt długo i oto boską burzą
Nawiedzon ze snu wstałem! Jak halny buki gnie,
Wyparłem wrogie dźwierze: o, jakież szczęście
[wróżą
Mym oczom brzaski świtu! Z za gór me słońce
[wstanie.
Z mojego wzejdzie Morza, nad moje Turnie
[i Granie!
Ku Słońcu! ku Górom! ku Morzu!

Wytrysło moje Słońce! opromieniło mnie
I jako młody wicher, obnażon, piękny gonię
Ku Górom, niebaczny Łąk! ku Turniom stopa
[się pnie!
Hej! za mną ostatni legł Szczyt — przedemną wód
[mych tonie!
Nie, piersi! zaprzyj dech! Hej skrzydeł! Tam łódź
[moja czeka
Wysmukła kołysze się, drży! ma serce niewiasty,
[Człowieka.
Do łodzi! do smukłej łodzi!

Potężne pchnięcie wiosła: i wypłynęła łódź!
Wtóre potężne pchnięcie: i mkniemy w pełne
[Morze!

Przystań spokojnej ciszy woła mnie, wabiąc:
[wróć...
Przedemną wielkie, słodkie, burzliwe Morze-
[bezdroże...
Hej! w tęgi rytm ramiona! zbudził się pomiot
[lwi!
W białkach radosnych oczu płoną mi ognie krwi!
Na Morze! na Morze!! na Morze!!

LUCYAN RYDEL



ur. w Krakowie r. 1870. Doktorat prawa uzyskał w uniw. Jagiellońskim, poczem odbywał studya z zakresu literatury w uniw. berlińskim i paryskim. Obecnie wykłada historyę literatury powszechnej na wyższych kursach kobiecych imienia Baranieckiego w Krakowie. Wydał: »Poezye« (dwa wydania), »Zaczarowane Koło«, baśń dram w 5 aktach (dwa wydania), »Utwory dramatyczne« dwa tomy, »Na zawsze« dramat, »Pan Twardowski« poemat, »Betleem polskie« jasełka, »Bodenheim« dramat, »Awanturnik XVIII. w.« szkic obyczajowy. Obecnie przygotowuje całkowity przekład »Iliady«.

Z CYKLU: »HANIA«.

LECI PIOSENKA.

Leci piosenka moja skrzydlata
Na krańce świata
Przez mroczny bór,
Nad jasne pola, nad modre rzeki,
Gdzieś w kraj daleki
Za grzbiety gór...

I śpiewna płynie jaskółczym lotem
W powietrzu złotem
Błękitnych dróg —
Aż przyleciała moja piosenka
I kornie klęka
U twoich nóg.

TRIOLETY WOJEWODZIANKI.

(Z »Zaczarowanego Koła«).

Pod tym jaworem ogródek
To mój ulubiony kątek...
Zwę go »Ustroniem pamiątek«,
Ten mój najmilszy ogródek,
Bo w nim tyle niezabudek
Nad wodą i modnych łątek...
Ach, pod jaworem ogródek
To mój ulubiony kątek.

Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jak gdyby wczora:
W cieniu onego jawora...
Gdy byłam jeszcze maleńka
Siadała ze mną mateńka,
Taka biedna, taka chora!...
— Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam, jak gdyby wczora:

Te uśmiechy, te pieszczoty,
Gdym u kolan jej usiadła!
Czasami przedemną kładła
Wśród uśmiechów i pieszczoty
Swój stary *Ołtarzyk Złoty*
I uczyła abecadła...
Te uśmiechy, te pieszczoty
Gdym u kolan jej usiadła!

Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience...
Wspomnienia moje dziecięce
Wabią mnie do tej ustroni;
Tam w gałęziach słowik dzwoni
Tam pamiątki lube święcę!
Więc bronią cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience...

Tam obyczajem pasterek
W studzience poję baranki

I z kwiatów składam równianki
Zwyczajem tkliwych pasterek.
W jaworze szumi wiaterek,
A ja — wśród drogiej sielanki
Zwyczajem tkliwych pasterek
W studzience poję baranki...

WENUS MILOŃSKA.

Dla niej helleńscy pieśniarze,
Przy złotostrunej cytarze,
Płomienny śpiewali psalm;
Dziewice na jej podnóże,
Słały narcyzy i róże
I pęki zielonych palm.

I dla niej pod kolumnadą,
Wstęgą przewijał się bladą,
Kadzideł błękitny dym;
I mórz dla niej słońce wstawało,
Aby świątynię jej białą,
Różowić promieniem swym.

Dla niej przez niebios lazury,
Gołębi leciały sznury,
Na skrzydłach bielszych nad śnieg;
Do niej o słońca zachodzie,
Z białymi żaglami łodzie,
Niosły pielgrzymów na brzeg.

I stała w blasku i chwale,
Cudna, przegięta niedbale,
Wśród marmurowych tych ścian;
I cichym uśmiechem na twarzy,
Słuchała morza, co gwarzy,
Zrodzona z perłowych pian.

Z CYKLU SONETÓW: MYTOLOGIE:

FAUN I NAJADA.

W porannej mgle i ciszy śpią bory stuletnie,
Pełne mrocznych tajemnic. W pośrodku polana
Traw zielenią pokryta i słońcem zalana,
Na niej złote dziewanny zakwitają świetnie.

U zdroju Faun młodzieńczy
dmie w trzcinową fletnię,
A melodye powtarza ciemnych lasów ściana
I po kamieniach woda wtoruje mu szklana
I pszczoła, kiedy brzękiem jasną ciszę przetnie.

I zatopiony w słodkim swej piszczałki śpiewie
Faun kozłonogi, grając nie widzi i nie wie,
Że się z źródła wychyla trwożliwa Najada.

Wodny szuwar wilgotną rozchyliła ręką,
Stoi oczarowana srebrzystą piosenką,
Słucha... słucha — i z oczu łza po łzie jej pada

PRZEKLEŃSTWO ŁZOM.

Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,
Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie uginać czoła --
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom,
Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo —
Przekleństwo snom!

Przeklęta jest — po trzykroć jest przeklęta
Ta małoduszność blada,
Co znosi srom
I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada
Swym łzom i snom.

PROCESYA.

Dzień był złocisty, niebo turkusowe,
Podobne wielkiej kopule sklepionej.
Słońce, uszedłszy drogi swej połowę,
Opromieniało z góry lip korony
I biały kościół. Przez liści osnowę
Zieloną blask się cedził rozstrzelony
I rozpościerał po ciemnej murawie
Centki świetlane — niby oka pawie.

Łagodne tchnienia czasem z pól się ruszą
I sianokosów mieszają zapachy
Z wonią lip, które drobnem kwieciem prószą,
Jak pyłem złotym, na kościelne dachy
I cmentarz. Wewnątrz śpiewa całą duszą
Lud rozmodlony, a głosów rozmachy,
Zmieszane z jękiem przeciągłym organu,
W strop uderzają, nakształt huraganu.

Tłum, co w kościele zmieścić się nie może,
Pod ścianą w cieniu, albo u drzwi zgięty,
Klęczy i chórem śpiewa: »Święty Boże...!«
I lipy szumią: »Święty — Święty — Święty... !«
I — »Święty, mocny!...« szemrze w polach zboże
I zewsząd płynie ten hymn wniebowzięty:
— »Święty, a nieśmiertelny!« — Powiewami
Wiatru tchnie ziemia: »Zmiłuj się nad nami!«

Pieśń uleciała błękitnemi szlaki
W czystem powietrzu — i zmilkły organy.
Wtem pod dzwonnicą stojące chłopaki,
Strojni w siermięgi mleczne i kaftany
Ognisto kraśne, jako polne maki —
Targnęli sznury i z paszczy miedzianej
Dzwonów — potężny, grzmiący ton wylata,
Drga, huczy, dudni, — a chmara skrzydlata

Wróbli, co lipy napełnia świegotem,
Teraz, w popłochu furknęła w lazury
I rozleciała się w powietrzu złotem.
Chłopaki, dzwoniąc, wyprężają sznury
I przysiadają ku ziemi, a potem
Z odmachem dzwonów rosną znów do góry:
Raz w raz, ci z jednej, tamci z drugiej strony,
Naprzemian ciągną, a rozchwiane dzwony

Ryczą i tętnią sercami ze spiżu.
Z kościoła słychać nowy śpiew i kroki...
Lud na cmentarzu garnie się w pobliżu
Kruchty pół-ciemnej — i nagle z pomroki
Krzyż się ukazał we drzwiach, a na krzyżu
Chrystus rozpięty. Niósł go chłop wysoki,
Co na sukmanie krótką miał komeżkę,
I tłum się cofnął, czyniąc przed nim ścieżkę.

Przy nim dwaj chłopcy w bieli i w czerwieni
Niosą natkane na kolcach lichtarzy

Świece woskowe. Z migotem płomieni
Igra dech wiatru i na bok je waży. —
Z przyćmionej kruchty rój świateł się mieni,
Rzeka ruchomych skrzących gwiazd się jarzy;
Nad nią, jak żagle wzniesione do góry,
Sterczą chorągwie z wyblakłej purpury.

W odrzwiach kościelnych każda się przykłania,
A potem w górę złotym krzyżem zmierza.
Na każdej inne błyszczą malowania:
Anioł świętego wita Kazimierza,
Co się korony ziemskiej dotknąć wzbrania —
Tam konna postać Marcina rycerza,
Tu znów archanioł Michał w srebrnej zbroi
Na krwawym cielsku Lucypera stoi.

I tłum powoli ruszył się wezbrany,
Podobny wielkiej falującej rzece;
Tysiąc barw płonie: bielą się sukmany,
Jak śnieg — a chusty mienią się kobiece
Niby motyle, niby tulipany —
Na tym kobiercu kolorowym świecie,
Jakby języków gorejących krocie,
Chwieją się, rude w słonecznej pozłocie.

I skrzy lawica świateł migotliwa,
Nad płomieniami ćmią się dymne męty
I drżą, podobne do płynnego szkliwa —
Górą, na złote drzazgi rozpryśnięty,

Przez lip konary blask słoneczny spływa,
Łamie się w tęcze, sieje dyamenty,
Zmienia w szmaragdy każdy liść na drzewie
I rzuca — chwiejny przy lada powiewie —

Na przemian cienie i świetlane plamy.
Za chorągwiami ciągną feretrony
Długim szeregiem od kościelnej bramy.
Z białych muślinów lekkie drżą osłony,
Upięte wkoło pozłocistej ramy
Girlandą kwiatów z bibułki czerwonej,
I z tych trzęsideł, które promień złoty
Słońca, w najdroższe przerabia klejnoty.

Przodem, na pierwszym zaraz feretronie
Chrystus Bolesny, wyciosany z drzewa,
Nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie,
Usiadł i z żalu nad ludźmi omdlewa,
Bo zwiesił głowę i na chude dłonie
Położył lica. Wiatr mu z ramion zwiewa
Płaszcz, którym dawno snać Go przyodziały
Ręce pobożne: szkarłatny, spłowiały.

Za nim uwita z białych róż altana,
W niej Marya Panna, rozpostarłszy ręce,
Na kuli ziemskiej stanęła, przybrana
W złotej koronie, w jedwabnej sukience.
Nogą pół-księżyc depce i szatana
W postaci węża, co jabłko w paszczęce

Gryzie, ślepiami łypiąc zielonemi,
Rad, że opasał cały okrąg ziemi.

Niosą Ją cztery dorodne dziewczęta,
Strojne, jak łąka i jak wiosna świeże:
Twarz, co od dziecka skwar słońca pamięta,
Złotawą krasę na policzki bierze;
Pierś młoda cudnym gorsetem opięta:
Jak owe z drogich kamieni pancerze,
Co miały w bajkach smoki blaskiem straszyć —
Tak gorset każdy grał blaskiem pstrych naszyć.

A każdy w inne mienił się naszycie —
Paciorki, blaszki, frendzelki, wisiory
Na wyrabianym w kwiaty aksamicie,
Jakby napierśnik tworzą różnowzory.
Od krótkich spódnic, nawdzianych sowicie
I szumnie, biją gorące kolory,
A z ramion chusty spadają krasiate,
W czerwoną, białą i zieloną kratę.

Wieją wzorzyste przy koralach wstążki
Na karku w węzeł zadzierżgnięte suty,
Warkocze w tyle upięte w dwa krążki —
Niby w kształt serca — zdobi wianek ruty.
Szły proste, ciche, na ramionach drążki
Od feretronu unosząc, a buty
Wysokie, sztywne, skórą jeszcze nową
Za każdym krokiem skrzypiały miarowo.

I feretrony płyną, jako statki,
Dołem nawała ludzkich głów -- jak fale,
Na końcu obraz Częstochowskiej Matki
W gloryi złocistej szedł, w promiennej chwale,
W bieli osłonek strojnych w polne kwiatki.
U szyi miała przypięte korale,
Jakby łzy krwawe, w kamień zamienione —
Czyjeś, kto pod Jej uciekł się obronę.

I ponad ciżbą ludu swego płynie,
Patrząc litośnie twarzą czarną, smętną...
U drążków kroczą cztery gospodynie,
Co przyodziewę włożyły odświętną;
W dostojnym chodzie, w uroczystej minie
Widać skupienia i powagi piętno —
Powoli suną pyszne tryumfalne,
A w krąg spodnice szeleszczą krochmalne.

O krok za niemi stąpał organista
Z książką. Przy czarnym, świątecznym surducie,
Pałała żywo krawata ognista.
Śpiewał, co gardła — na końcowej nucie
Głos przeciągając, a rosa kroplista
Na czole świadkiem była, że uczucie
I dech ostatni wlewał w pieśni wątek.
Potem tłum ludu szedł i rój dziewczątek,

Co wstecz stąpały zwrócone w półkole:
Oczy podobne do niezapominek,

Włosy, jak słoma płowe i na czole
Wianuszki polne. Każda z tych dziewczynek
Z kobiałki sieje bławatki, kąkole,
Płatki piwonij, rumianki, barwinek
I drobne kwiecie poprzed Panem ściele,
Co między lud swój zstąpił w Żywem Ciele.

U baldachimu czterech gospodarzy
Krzepkich, jak dęby stuletnie — i zda się,
Że to lechiccy władykowie starzy,
Co wespół z Piastem żyli w dawnym czasie.
Jakiś majestat senatorski w twarzy
I sukman białość i na ciężkim pasie
Moc niezliczona gwoździków mosiężnych
U tych wioskowych magnatów siermiężnych.

Sam pan kolator księdza wiódł pod ramię,
Świecę woskową niosąc w drugim ręku,
A proboszcz, cały w pozłocistej lamie,
Nad czołem, zgiętem od świętego lęku,
Dzierżył Monstrancyę, na której się łamie
Sto strzał słonecznych i szedł śród pobrzęku
Dzwonków i z pieśnią, której wiara żywa
Serca i głosy w błękit gdzieś porywa.

Ołtarz wzniesiony był w rogu cmentarza,
Pod lip ogromnych cienistym namiotem;
Tam stanął pochód. Na stopniach ołtarza
Ksiądz Ewangelię odczytał, a potem

Podniósł Monstrancyę... Jako się przeważa
Łan zgięty wichrem – tak się kładł pokotem
Lud, a chorągwie skłonione w tej chwili,
Były, jak drzewa, gdy je burza chyli.

I tak leżała owa ludzka ława,
Cała w kolorach świetnych, jako łąka
Przepychem kwiecia barwnego jaskrawa.
A po niej cieniów lipowych koronka
I jasność słońca chodziła złotawa.
Cisza. W tem zagrzmiał głos srebrzysty dzwonka
I z piersi tłumu w słoneczne przestrzenie
Buchnęło wielkie, przeciągłe westchnienie.

Jak lipy, w których letni powiew drzymie,
Z podniesionemi stojące ramiony –
Tak ksiądz ramiona zdał się mieć olbrzymie,
Kiedy Monstrancyi krąg rozpromieniony
Dźwignął. I była w kadzidlanym dymie,
Jak drugie słońce; w cztery świata strony
Zwracał je ponad mnóstwem ludu zgiętem
I zaczął: »Przed tak wielkim Sakramentem!«...

BIEDNE PIEŚNI.

Biedne pieśni mojej duszy –
Co się z wami stanie?
Czy was przyjmą ludzkie uszy
I czy jaką pierś poruszy
Śpiewne wasze granie?
Może wicher was rozprószy,
Może przebrzmi w ciemnej głuszy
Śpiewne wasze granie...
Biedne pieśni mojej duszy,
Co się z wami stanie?

Zbierałem ja wasze głosy
W radościach i bolach,
Jako kwiaty pełne rosy,
Jak złociste szumne kłosy
Po łąkach i rolach --
Szeptały mi wasze głosy
W każdej wierzbie srebrnowłosej,
W brzozach i topolach,
Szły skowronkiem pod niebiosy,
Echem grały w polach.

I szły ku mnie cichą nocą,
Nocą księżycową,
Nad wodami, co się złocą,
Po tych gajach, co szczebiocą
Słowików rozmową

I swą skargę, swą sierocą
Zawodziły z dziwną mocą
Ponad moją głową —
Zbierałem je cichą nocą,
Nocą księżycową...

Zbierałem je w wichrów szumie
I w milczącej głuszy
I w zachwycie i w zadumie
I w tym żalu, co nie umie
Wyśpiewać się z duszy...
I nosiłem w ludzkim tłumie,
Który pieśni nie rozumie,
Pełne dźwięków uszy —
Wypłakałem was w zadumie,
Pieśni mojej duszy...

LEON RYGIER

urodzony 1875 r. Mieszka w Warszawie. Pisma: »Z motywów greckich« 1900, »Poezye« serya I 1904, reszta po czasopismach warszawskich.

W PĘTACH.

Dalilo moja!... W uściskach twych płonę
I na pierś twoją chylę głowę złotą...
— Niechaj mię ręce twe błogosławione,
Jak lniane sznury niewoli oplotą...
A chociaż zdradne dostrzegam nożyce,
Nie będę bronił swej królewskiej mocy:
Sprzedam ci duszę, korną niewolnicę,
Za kwiat płomienny miłości i nocy..

Na oczy moje padło bielmo szału...
— Żegnajcie bujne, stargane kędziory!...
Z ramion mych krzepkość uchodzi pomału..
Pijany jestem pragnieniem i chory...
Słodka woń nardu nozdrza me rozdyma,
Rozchyla wargi, twarz bladością znaczy...
— Jeśli pierś moja tę rozkosz wytrzyma,
Jutro wróg hańbę Samsona obaczy...

Jutro skrwawione jamy oczodołów
Bezczelny pachoł piaskiem mi zasypie...
— Lecz nim źrenice wykapie mi ołów,
Pragnę się upić na swej własnej stypie!...

Ust twoich pragnę najpełniejszej czary..
— Poraz ostatni, Dalilo, bądź szczodra:
Niech z pod szkarłatnej błysną mi kotary
Twe śnieżne piersi i toczone biodra!..,

Och, rozkosz, rozkosz... Chłodne alabastry
Owionąć żarem ostatniego tchnienia....
— W lwiej się paszczęce złocą miodu plastry...
— Ośla się szczęka w miecz zagłady zmienia...
— Tryumf... potęga!... sny moje prześnione!...
Pęta niewoli na wieki mnie gniotą...
Dalilo moja!... W twych uściskach płonę
I na pierś twoją chylę głowę złotą...

VOX AETERNITATIS.

— Tam... pode mną
Potworna otchłań paszczą zieje ciemną,
I z wnętrza, w żyłach mrożąc krew,
Potworny huczy zew...

— O pójdź... Jam owa tajemnica,
O której śniłeś nadaremnie...
O pójdź!...

Odkryję ci fatalne lica,
Byś się mądrości uczył ze mnie...
O pójdź!.

Niech trwoga woli twej nie pęta,
Niech wstręt twych oczu nie odpycha...
O pójdź!...

Ja, niezgłębiona, niepojęta,
Dam ci z wieczności pić kielicha...
O pójdź!...

* * *

— Zorza!... Zorza!...
Słońce podniosło skroń z za morza,
I krwawo – purpurowe włosy
Rozwiawszy - wschodzi na niebiosy!...
Olbrzymi hejnał z fal powstaje...
Wtórzą mu echem wzgórza, gaje,
I jednym krzykiem drżą przestworza:
Zorza!... Zorza!...

— Życie!... Życie!...
Krwawawy płodzenia szał w zenicie!...
Gorący blask, płomienne kwiaty
I duszne, parne aromaty!...
Nic prądu dzikich sił nie wstrzyma!...
Ląd się rozognia — morze wzdyma!...
Duch i materya drżą w zachwycie:
Życie!... Życie!...

* * *

— A pode mną
Potworna otchłań paszczą zieje ciemną,
I z wnętrza, w żyłach mrożąc krew,
Potworny huczy zew...

— O pójdź!... Ta chwila upojenia
Posad odwiecznych praw nie wzrusza...
O pójdź!...

Cóż — że doczesność kształt odmienia?
Lecz nieśmiertelną — tylko dusza!...
O pójdź!...

Przez moje ciemne, głuche wrota
Dnia tego wszystkie przejdą płody...
O pójdź!...

Więc, zanim zmoże cię tęsknota,
Nim przeklniesz jednodniowe gody —
O pójdź!... O pójdź!... O pójdź!...

WIESZ, KWIATY PACHNĄ...

Wiesz, kwiaty pachną... dziwne jakieś kwiaty —
Wielkie... o bladych, rozwartych kielichach —
I o królewskich mówią mi przepychach
Ich delikatne, senne aromaty...

Śnią mi się miękkie, puszyste kobierce.
Fontanny, pereł szemrzące kaskadą,
Co, odurzając myśl swych szeptów zdradą,
Rozkosznie zmysły pieszczą mi i serce...

Nic nie mów... nawet dźwięk twojego głosu
Zamąciłby mi harmonię tej ciszy,
Co upojeniem bezgranicznem dyszy,
Dając ziemskiego zapomnienie losu...

Pachnijcie, kwiaty!... Najbujniejsza wiosna
Takiej po gajach nie rozlewa woni...
Siądź, luba... miękka pieszczota twej dłoni
Niech złotym szlakiem zdobi marzeń krosna...

O życie! masz ty wielkie upojenia
I aż po brzegi nalane kielichy!
. . . .
Zmierzch idzie senny, zadumany, cichy,
I serca nasze w struny harfy zmienia..

NOKTURN.

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej,
Ktoś gra bez przerwy i bez końca...
Rytm monotonny, nieustanny,
Jak ciecz się w serce wlewa żrąca.

Ktoś gra, ktoś gra — i pieśń się żali,
Że nie zna wiosny, nie zna słońca,
Że jej wśród mgieł jesiennych fali
Każą tak łkać i łkać bez końca...

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej
I moich nocy sny zamąca...
Rytm monotonny, nieustanny
W gorzką apatyę duszę wtrąca...

Ktoś gra, ktoś gra w posępnej dali,
Jakaś dłoń senna — czy mdlejąca —
I pieśń się żali, serce żali
Na chmurne noce — dni bez słońca...

HENRYK SALZ

ur. około roku 1880. Obecnie mieszka w Krakowie. Wydał: »Błędnymi szlaki« 1900, »Krzyk niewolnika« 1903, »Powrotna fala« 1908.

ZMIERZCH GWIAZD.

Czy znasz godzinę, kiedy gwiazdy gasną?
Bytu tajemny łka gdzieś Ból odwieczny — —
szary dzień świta, chłodny, bezsłoneczny...
Gwiazdy zmęczone jak oczy, nim zasną...

Zdajesz się czytać tajemnicę własną:
zmierzchu i świtu blask boleśnie sprzeczny...
zgon gwiezdnych tęsknic, krwawy a konieczny,
i słońce w mgłach wschodzące tak niejasno...

Kędyś - na wielkiem morzu rozpostarta
spogląda dusza na swych snów zachody
i płacze krwią, jak rana wszerz rozdarta...

Kędyś — na wielkiem polu w krzyż rozpięty
Syn ziemi łka, konając: Jestem młody...
Kochałem gwiazdy... Czemum jest przeklęty?...

ARTUR SCHRÖDER

ur. 1882 roku w Przemyślu. Mieszka w Berlinie. Wydał »Chwile« 1907.

* * *

Nienawidzę tych wiecznie uśmiechniętych twarzy
Z sytą błogością, z szczęściem w zdrowych, tę-
[gich licach,
Z czołem, na którem sennie przyziemna się ża zy
Bezmyśl, z zadowoleniem, co w mętnych źrenicach
Ócz ich spokojnych zawsze, pewnem jutra błyszcze,
Przesytem, purpurowiąc warg ich pragnień
[zgliszcze.

Kocham smutne, wybladłe, gorączką trawione,
Ciche, bolesne, tęsknotą targane bez skargi,
Pół-przeczuciem nieznanych rozkoszy zemdlone,
Co milczeniem spragnione zapieka im wargi,
Obłąkanych snów łuną oczy tląc łkające —
Wszystkie zmęczone życiem, nędzne, chore, drżące.

ŻAL.

Z mrokiem się szarym poprzez okno wkrada
(– Gorących tęsknot zrodziła go łąka —)
Wolno po ciemnym pokoju się błąka
I bezszelestnie do kąta przypada...

I słyszę, jak szepce blado coś do mnie,
(— Wicher w rozkwitłej poruszył się lipie —)
Z zapachem kwiatów na pokój się sypie
Szept wspomnień cichych i tęsknych ogromnie...

I wpija we mnie oczy pełne smutku,
(— Coraz się gęstszy zmierzch po ziemi kładnie —)
A potem zwolna, dziecinnie, bezradnie
Głowę pochyla i łka po cichutku...

DESZCZ.

Przysiądź się bliżej... Tak — oprzej swą głowę
O me stęsknione snów piersi tułacze;
Słyszysz?... Na dworze zawierucha płacze...
Słyszysz, jak sercem rwą pragnienia nowe?...

Tak długo czekałem... Łka deszcz wilgotny,
W pustych ulicach ciężkie krople dzwonią...
Śniłem, że z spartą o pierś twoją skronią
Cichy, na życia ból pójdę, stokrotny...

Deszcz ciągle płacze... Ogromne łzy chłodne
W rozchwiej serc naszych wspomnieniami cieką,
Co ślubów dawnych echem jeszcze dźwięczą...

Raz więc ostatni — Cała — Na odchodne —
Piersi mi opasz płomienistą tęczą,
Niech mi ślad znaczy w mą drogę daleką.

ŚNIEG.

Cicho i bez szelestu, niewstrzymane w pędzie,
Jak pieszczących słów słodkie, ukojne szeptanie,
Śnień zwidnionych i marzeń białe zwiastowanie,
Lecą płatki śniegowe w skrach rozchwianym
[rzędzie

I padają na ziemię nieruchomą, senną,
Snów przedzgonnych objętą błękitnawą ciszą,
I ruchem piór swych drobnych w powietrzu
[kołyszą
Monotonną tęsknoty melodyę niezmienną.

Z szmerem modlitw, co płyną w rozchwień drżą-
[cych wichrze,
Na twarz białe zapomnień rzuciwszy rańtuchy,
Od tych pyłków lecących słowa szepcąc cichsze,

Idzie dusza wskróś pustkę, co się mrokiem ścieli —
Ukojeń sypiąc wkoło miękkich płatków puchy,
I na samotnych grobach klęka cała w bieli.

SEN.

Widziałem przez sen, jak zbity i tłumny
Wielki lud bladych i posępnych twarzy
Na zgiętych barkach do nowych ołtarzy
Niósł złomy skalne – nowych prawd kolumny.

Gmach się podnosił, na niebne szedł wierzchy —
Z ciemnego potu, łez i bolu morza
Szła zrumieniona nadzieją już zorza,
Niewolnych świtów rozpraszając zmierzchy...

A kiedy gmach mocą stanął tajemną,
Tysiące ludu z płaczem w proch upadło,
Modląc się cicho krwi modlitwą ciemną...

I zdało mi się, że przez łez zwierciadło
Bolem schylonej, znędzniałej gromady
Bóg się ukazał — w łzach cały i blady.

SELIM
(WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI)

ur. 1871 r. w Święcicy w Sandomierskiem. Obecnie mieszka w Warszawie. Wydał dwa zbiory poezyi »Z marzeń i życia« i »Nowy zeszyt«. Poezye w »Prawdzie«, »Głosie«, »Tygodniku illustr.«.

Z WRAŻEŃ JESIENNYCH.

I znów, i znów w słońca złocie
Barwnych astrów błyszczą krocie,
    Z drzew z szelestem spada liść...
Ponad łąką, ponad chatą
Znów się srebrzy babie lato,
Płyną gęste mgły, opary,
A tęsknica bladolica
Po dawnemu ściska ducha, —
Człowiek tęskni, patrzy, słucha
I w ten przestwór złoto-szary
    Pragnie iść i iść.

Dusza lecieć chce daleko,
Kędy srebrne strugi cieką
    Na szeroki Boży świat...
Hen, wysoko nad borami
Popłynąłbym z żórawiami
W kraj radosny wiecznej wiosny,

Byle uciec przed tęsknotą,
Byle spędzić chmurę z czoła...
Co to? Echo z boru woła?...
Może znów — przez liści złoto —
Echo dawnych lat...

FRAGMENT.

A gdy z młodością nadchodzi rozłąka,
Gdy z drzewa wiosny opadają kwiaty,
Duch jak kometa w bezmiarach się błąka,
Pragnie raz jeszcze rój marzeń skrzydlaty
Potrącić skrzydłem strzaskanem przedwcześnie,
Ku gwiazdom wznieść się na jawie — lub we śnie,

Więc rozgwieździoną, cichą, jasną nocą,
Skąpany w blaskach srebrzystych księżyca,
Leci, gdzie nocy pochodnie migocą,
Jak brylantowa leci błyskawica,
Której szlak znaczy złocista orbita,
A nieskończoność swem tchnieniem ją wita.

Ach, z takich wyżyn spojrzawszy na ziemię,
Widzisz, że ona jest jak czarna truna,
Co — przystrojona w kir — od wieków drzemie
I ożywczego nie pragnie pioruna,
Któryby błysnął płomieniem czerwonym,
Spadł i ostatni raz wstrząsnął jej łonem.

Prometeusza ród wygasł przed wieki,
Iskry wszechbytu nie wydarł Zeusowi,
Więc przed ludzkoćcią świt jeszcze daleki,
A półbogowie nie przychodzą nowi,
Coby na Olimp zwrócili dłoń hardą.
Aby zwyciężyć, albo — zabić wzgardą!

Prometeusze, Herakle, tytany!
Przeszła, nie wróci już epoka wasza —
Strzaskał się puhar po brzegi nalany
Nektarem bogów. Pełna mętów czasza
Spragnionych tłumów dzisiaj nie napoi,
Co u przyszłości cisną się podwoi...

ROZSTANIE.

(Z poematu: »Na greckiej fali«).

Podobna śmierci, co się cicho skrada,
Nadeszła straszna godzina rozstania,
Pamiętam... byłaś, jak ten marmur, blada
I, jak krew róży, co się w wichrze słania,
O marmurową oparłaś kolumnę
Swe czoło ciche, smutne, ale dumne.

Poranek. Śpiewne Salaminy fale,
Skąpane w złotych promieniach Heliosa,

Niosą nam do stóp swe jęki i żale,
Którymi próżno wstrząsały niebiosa,
Echa tej skargi, która nam tak blizka,
Płyną gdzieś między świątyni zwaliska.

W milczeniu dłoń swą podałaś mi białą,
Której dotknięcie samo jest rozkoszą.
Cichy szept z ust twych wybiegł: »Już się stało!...
Tych przeszkód, które przed nami się [wznoszą,
Tytanów nawet nie pokruszą siły...
Rozstać się trzeba... na zawsze... mój miły«!...

Rozstać... na zawsze... Echo gdzieś powtarza
Dwa słowa tylko, jak dwa straszne zgrzyty
Nożów kapłańskich, lecące z ołtarza,
Na którym we krwi pławi się zabity
Na straszną bogom mścicielom ofiarę
Jeniec, w świetlaną zapatrzony marę.

Na zawsze!... Nie mów tak nigdy, o luba!
Są słowa, które mają moc trucizny, —
W samym ich dźwięku brzmi dla serca zguba..
Są rany, co się nie zasklepią w blizny.
Są myśli, co się, jak gadziny wiją
W mózgu, i dotąd gryzą, aż zabiją!

Błysnęłaś dla mnie, jako gwiazda złota,
Nad szarą, smutną pustynią istnienia

I ozłociłaś czarną noc żywota,
Jak słońce, które ziemię opromienia,
A czar twój dla mnie, jak to słońce właśnie,
Choć się oddala czasem, lecz nie gaśnie.

Godziny szczęścia mkną, jak wartkie fale,
Lecz w niepamięci nie wpadają morze...
Wspomnienia o nich wracać będą stale,
I nieraz, nieraz o wieczornej porze,
Gdy rozłączeni będziemy i sami,
O serca nasze bić będą skrzydłami.

Twój obraz zarył się głęboko w duszy...
I ty mojego nie wyrwiesz z pamięci.
Choć szczęście nasze losu młot pokruszy,
Choć ciebie może nowy miraż znęci,
Mój cień cię znajdzie... Nieraz niespodzianie
Przed tobą w blasku księżycowym stanie.

Na księżycowym promieniu, w róż woni,
Spływać do ciebie będę w nocnej ciszy.
Wspomnienie w przyszłość za tobą pogoni
I znowu duch twój cichy szept usłyszy,
Którym cię będę pozdrawiał w noc ciemną,
Choć już nie będziesz tak, jak teraz, ze mną...

Po nieskończonych gościńcach wszechbytu
Błądzimy, jak dwie mgławice pokrewne.

Razem na chwilę dobiegłszy zenitu,
Znów się rozchodzim na szlaki niepewne,
Znów błądzić będziem długo, aż pęd rączy
W gwiazdę nas wspólną na wieki połączy.

. . . .

Nad Salaminy falą smutny stoję
I tanecznice-mewy wzrokiem gonię.
Cisza dokoła, znikło słońce moje,
I w duszy pusto, ciężko, jak po skonie.
A fala, bóle najcięższe kojąca,
Wabiąc w głąb modrą, o stopy me trąca...

EDWARD SŁOŃSKI

ur. około 1875 r. w gubernii Witebskiej. Wydał »Z wiosennych dni« 1898. »Poezye« 1901, »Noc« 1903, »Okruchy« 1904, »Pieśń nad Pieśniami« 1905.

GŁÓD.

W chłopskiej chacie głód usiadł przy stole,
Żółte zęby wyszczerzył i zgrzyta...
Wszystkie ziarna wygrzebał w stodole –
Niemasz w spichrzu pszenicy ni żyta!
A w gospodzie głód siedzi przy stole.

Siedzi głuchy na ludzką niedolę,
W oczy patrzy i patrzy i pyta –
Czemu bydła nie wygnano w pole,
Wszak na dworze już biały dzień świta,
Już dzień biały patrzy na niedolę...

Izba pusta... Na sosnowym stole
Stoi trumna z białych desek zbita –
W trumnie chłopskie spoczywa pacholę.

Żółte ręce i twarz nieumyta –
Wielka żałość zastygła na czole,
A przy stole głód siedzi i zgrzyta.

O ŚWICIE.

Świta... Ucichły wszystkie szmery w borze,
Blask jakiś srebrny zszedł na górskie szczyty...
Świat śpi, białemi mgłami upowity,
Stary bór milczy... W dole, na jeziorze,

Drzemią lilije, wpatrzone w błękity,
W tęczowych świateł budzące się morze,
Gdzie płoną jutrznie i mienią się zorze,
Skąd schodzą blade na ziemię przedświty...

Ja jeden nie śpię... W szarawym półmroku
Świetlanych marzeń wije się nić złota —
Chcę uciec w kraje niedostępne oku,

Na orle drogi, — chcę stargać wędzidła —
Lecz na mym progu usiadła tęsknota
I pierś przygniotła i związała skrzydła.

BYLIŚMY SAMI.

Byliśmy sami... Na zwalonej sośnie
Staliśmy, wonią kwiatów upojeni...
Nad nami w gąszczu wiosennej zieleni
Leśny trubadur śpiewał pieśń o wiośnie;

Śpiewał o jutrzni, co się tęczą mieni,
Śpiewał o lilii, co nad stawem rośnie —
I pieśń płynęła po lesie rozgłośnie
I zamierała śród wieczornych cieni...

A zmrok zapadał... Na gór szare grzbiety
Schodziły z niebios blade fijolety
I mgła się kładła pomiędzy drzewami...

A nam w ów wieczór półjasny, półsenny,
Śnił się o zmroku taki sen promienny,
Żeśmy milczeli, choć byliśmy sami.

LEOPOLD STAFF



ur. we Lwowie 1878 i stale tam przebywa. Pisma: »Sny o potędze« 1901, »Mistrz Twardowski« 1902, »Dzień duszy« 1903, »Ptakom niebieskim« 1906. Dramaty: »Skarb« i »Godiwa«.

BRZEMIĘ GODZIN.

Vulnerant omnes, necat ultima.

Pokój wszystkim wieczorom... Znużoną już głową
Pochylam się ku ziemi... Skończyłem swą drogę. —
Zamiećcie izbę moją gałęzią sosnową,
Tatarakiem zielonym posypcie podłogę
I pokropcie ją wodą z krynicznego zdroja...
Na tapczanie mym płótna swą biel rozpostarły,
Bowiem spać tutaj będzie czcigodny umarły...
Ty będziesz dzisiaj tutaj spała, duszo moja...

W prawą dłoń jabłko dajcie mi, pokusę kwaśną
Białych dziecięcych zębów i oczu, co jasną
Źrenicą widzą lata, które w przyszłość biegą...
A w lewą dłoń mi dajcie garść piasku białego,
Takiego, jaki sypią w usta tym, co zmarli...
Oto granice życia... Przebiegłem je całe,
Życie długie, jak droga chorego pątnika...
Jeno mi się należy, by kamień odwarli
I spowiwszy mnie w chłodne prześcieradło białe,
Z grudką ziemią na oczach, które noc przymyka,
Położyli konopnym związanego sznurem,
Twarzą do ziemi, w rowie, pod przydrożnym
[murem...

Idzie zmierzch, co rozgrzesza dzień i krzywdy
[dzienne...
Zachód krwawi się cały w chorych słońca ramach;
Mrok modli się skruszony, korny na kolanach
Za mnie, za smutki moje i myśli bezsenne,
Za wszystko, co łka, więdnie, kona w dnia roz-
[pierzchu,
I w beznadziei nieme zapada głębiny...
Modlitewne lamenty pobożnego zmierzchu
Bo darmo sny i dłonie chcą pochwycić marę!
Ach, pustynie są nagie, ach, sen jest zbyt krótki!
Wszystkie napoje gorzkie! Wszystkie wiary kłamią!
Wszelkie ziarno jad zdradny ukrywa i trutki!
Zbrodnią i krzywdą wszystkie są rzeczy.. bo
[mamią!...

Straszne są chwile, kiedy przekleństwo się rodzi!
Potwornie cierpią usta, które bluźnią w niebo!
Ach, obłędne są oczy, które rozpacz wodzi,
Szukając w niebie czarnem Boga i zbrodniarza!
Ach, sen kamienny, głuchy jest mi dziś potrzebą,
By odpocząć od klątew, od spojrzeń rozpaczy,
Od nienawiści dzikiej i grozy głębinnej,
Od krzyków, wzywających kogoś, co jest winny!
Krzywdziciele, co gwiazdom i dniom drogę
[znaczy...

Ale stało się do mnie wielkie słowo w ciszy...
Tajemniczemi drogi zachodzą przez mroki

Tam, gdzie wiedzą milcząca otchłań bezdnią dyszy,
Kędy ustają wszelkie szukające kroki...
Noc rozbiła na niebie swe gwiezdne obozy,
Noc, która dzień i krzywdy dnia smutkiem roz-
[grzesza...
Niema tu już rozpaczy, ni klątwy, ni grozy,
Nic nie koi, nie leczy... ale śmierć pociesza...

Rozgrzeszyć trzeba wszystko, przebaczyć wszyst-
[kiemu!
Niema winy! Nikogo niema, co jest winny!
Niema rzeczy złoczynnej, ani dobroczynnej,
Nikt tu już nie oskarża, ani pyta »czemu?«
Bezbrzeże smutnej pustki nieme się otwarło...
Jest jeno przeszłość, jeno jest to, co już było,
Jest to, czego już niema... Wspomnienia bezsiłą
Sądzę, co we mnie żyje, a co we we mnie zmarło...
A wszystko, co jest, umrze; już jakby mijało,
Śmierć będzie znakiem tego, co dawniej się stało.

Płyną, a dusza wini, skarży się i żali...
W siniejącym bezruchu zastygłej oddali
Drzemie jak zwał chmur gniewnych, strąconych
[z błękitów,
W hardość zacięty granat upartych granitów...

Mrok wlewa noc w zwierciadła jezior... Góry
[kołem...
Niepocieszony spokój wziął ziemię w swe pęta...

Tłum srebrzystych gołębic lata nad mem czołem,
A każda mego życia rok jeden pamięta.
Słyszę szelest ich skrzydeł i ich smutne głosy...
Złotemi były wszystkie te ptaki przed laty...
Dzisiaj wszystkie są białe, jakby starców włosy —
Tłum srebrzystych gołębic lata nad mą skronią...
To moje wszystkie lata tak się zgromadziły,
Bym raz ostatni suchą popieścił je dłonią,
Bym im przypomniał wszystko, co ze mną prze-
[żyły...

Przedziwnie w sercu mojem mam ów dzień daleki,
Gdym był, jakbym miał w duszy sady i pasieki,
Gdy dzień mi był owocem a godzina kwiatem,
Tęsknota snem o żniwach a każdy sen latem...
Gdy myśli, które dzisiaj trwożnie ziemią pełzną,
Zrywały się w szumiący lot, zrzuciwszy kiełzno,
Gdym snów słonecznych pszczelne zgarniając
[wyroje,
Głęboko, na dnie duszy miał królestwo swoje
I mądrość w serce chował, jak w cedrowe
[skrzynie
I Bogiem wielkim wszystkie napełniał pustynie...

O, zbyt boleśnie szumi o swej młodości
Wspomnienie, muszla dawno wyschłych mórz,
[przeszłości...

Ach, zbyt wiele się serce dowiedziało stare
I nic mu już nie było odtąd niespodzianką.
I przestało się cieszyć tęczy malowanką,
Niema nikogo, który jest winny... Są w świecie
Krzywdy jeno... Ach, niema krzywd — tylko cier-
[pienia!
Niema winy... Ach, niema więc i przebaczenia,
Słodkiego kwiecia, które smutek w wieniec plecie!
Dobrem jest wszystko, co raz stawszy się, minęło.
Błogosławię cię kłamstwo me i me męczeństwo,
Błogosławię cię moje dobre i złe dzieło,
Radości ma kłamana i moje przekleństwo...

Ach, jeślim klął cię, życie, potępiciel twardy,
Tom potępiał najgłębszą, bolesną tkliwością;
Bluźniłem, lecz nie było we mnie nigdy wzgardy,
A przekleństwo me było więcej niż miłością...
Bom sam rodzic mej doli i jej syn ubogi,
Bom sam sobie najemnik i sam włodarz srogi,
Sam nasienie i owoc, sam sad i siekiera,
Ul i włóczęga, który miód nocą podbiera,
Sam kłos i śpiew dziękczynny żniwiarza za płody,
Sam rosą i najgłębszem odczuciem ochłody...

Na dnie zostaje duszy miłość... I kochałem,
Ach wiele, nazbyt wiele... O ratunku desko!
Na morzu się chwyciłem ciebie rozszalałem,
Bom chciał żyć jeszcze! patrzeć w toń słońca
[niebieską!

Smutku miłości! Kochać! Ach, kochać nie wolą,
Nie przeto, że chcę, ale że muszę! Nie aby
Żyć miłością, lecz bez niej nie skonać! Bo słaby
Szuka poręczy! Chorzy sami iść nie zdolą!
Ach! Kochać jeno smutkiem i wielkiem znużeniem,
I bezradną potrzebą kochania: -- żyć cieniem...

Życie nieuleczalne jest. — Daremne leki!
Dzban mój w mórz gorycz codzień kroplę słodką
[wlewa,
Choć nigdy nie osłodzi ich, ni się spodziewa,
Bo wszystkie morza gorzkie zostaną na wieki!

Życie me! Chciałem chwycić promień słońca blady,
Zakopać w ziemię, aby skrzepł w złota pokłady;
Chciałem na pniach zrąbanych zaszczepiać owoce;
Świetlakami rozjaśniać beznadziejne noce;
Garść czarnoziemu w suche nosiłem pustynie,
Śniąc, że trud mój użyźni je, życiem zaludni...
Tęsknota próżna! Wszelki trud na ziemi ginie!
Ach, bo nie kopie nigdy nikt na morzu studni!

A jednak błogosławię cię śnie kłamny!... Żadnej
Winy nie masz i nie masz przeto przebaczenia...
Nic nie jest złe, a tylko wszystko się przemienia...
Sen żaden nie jest wierny... a żaden ból zdradny.
Kędyż jest krzywda? Kamień usunął się nodze...
Ach, przepaść nie jest winna!... Na otchłani progu

Kto potknął się, swym własnym stacza się cię-
[żarem...
Duszo, tęsknot brzemieniem obarczonaś srodze!
A kto aż na dno padnie, śni... Dno śni o wrogu,
Który przemawia straszną twarzą, jak pożarem!
Dno przerażone sobą – rozbrzmiewa o Bogu...

Są jeno sny... Godziny, dnie snu... Jeno życie...
Ach w śnie się przywiduje twarz wraża, lub
[bratnia...
Niema mórz złych, ni dobrych... lecz prąd, lub
[rozbicie...
Godziny... Ranią wszystkie, zabija ostatnia...

Błogosławię dziś wszelkich snów prawdę kłamaną.
Sny nie są prawdziwszymi, gdy jawą się staną.

O, siewcy i żniwiarze snu, którzy na roli
Zostajecie, by zbierać godzin ból i krasy!
Zdarz wam los czas pogodny i spokojne wczasy!
Czarny bochen razowy i dostatek soli.
Mój chleb zapleśniał w dzieży... Płocha gospodyni
Złym kwasem go kwasiła... Niechaj go zaczyni
Wam lepiej i szczęśliwiej dola-gospodarka,
Niech wam sierpy ochocze da, by była szparka
Robota, i niedzielę da, co jest uciechą,
Gniazdo jaskółcze, klekot bociani nad strzechą...
I niechaj sen po pracy czoła wam pokrzepi...
Ale kto nie przebudzi się już, temu lepiej...

U wrót już wóz mnie czeka... w jarzmie woły
[czarne;
Ozłociłem im rogi; w żytnie i pszeniczne
Wieńce je okręciłem; gałęzie żywiczne
Wóz ścielą... W noc powiozą mnie... Wszystko jest
[marne...
Świątecznie czysta izba... Ostatnia ostoja...
Na tapczanie mym płótna swą biel rozpostarły —
Teraz, ciszy, kamiennym bezruchem mnie okuj.
Spać w izbie tej dziś będzie czcigodny umarły:
Ty będziesz tutaj dzisiaj spała, duszo moja.

Pokój wszystkim wieczorom... Pokój! Pokój! Pokój!

PUHAR MOJEGO SERCA.

O, jak ostrożnie niosę ciche serce moje,
O, z jak niezmierną trwogą niosę je przez życie!
Omijam drogę, którą torują przeboje,
Omijam strome ścieżki, gdzie grozi rozbicie!
Bo z takim trudem dałem mu ciszę ukojną,
Z takim trudem zdobyłem dla niego ostoję,
Przystań dla umęczonych milczącą, spokojną...
O, jak ostrożnie niosę ciche serce moje!

O, jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu,
O, jak z nim trwożnie stąpam wśród drogi mej
[cichej,

Zdala od uczt, gdzie pośród płomiennego szału
Biesiadnicy trącają w wezbrane kielichy!
Gorycz rysę pęknięcia wyżarła w nim wieczną,
A z takim trudem, długo, cierpliwie, pomału
Napełniałem go winem łez, mą krwią serdeczną...
O, jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu!

MODLITWA PRZED CZYNEM.

Odsuń mi, Panie, na jesień żywota
Dzień mego czynu... Oto stoję w wiośnie,
A karmią wiosny jest dzieła tęsknota...
Niech widzę, jako krzew mój bujnie rośnie,
Jak się w rozkoszy rozwoju szamota
Z wichrami, kiedy burza go ochłośnie...
Odsuń na jesień życia cel mój, Panie,
Wszakże rozkoszą wiosny dojrzewanie...

Bo oto dusza ma jest jako drzewo
Złotemi ziarny pszczół owiane rojnie,
Olśnione blasków słonecznych ulewą,
Dojrzewające ciężarnie, spokojnie,
Pyszną soczystych owoców odziewą,
Dorodnym plonem obarczone hojnie...
Piękno me teraz na soki się zmienia
W cudownej pełni świętego rodzenia...

Duch mój jest ciężki wnętrzną swoją treścią,
Bo owoc jego jeszcze nie strząśniony...

Szczęśliwą, pełną rozkoszy boleścią
Stawań się zwolna źrzeje upojony...
Jam teraz latem, cudowną powieścią
O przyszłych żniwach, co bogate w plony
Zbliża się w blasku chwały i zieleni...
Odsuń mi zbiorów czas i czas jesieni...

Duch mój jest drogą do celu, pochodem
Ciągłym, dążeniem wprzód nieustającem...
Nie bierz mi, Panie, w życiu mojem młodem
Rozkoszy ruchu i pędu! Stojącem
Jeziorem kres jest i spoczynku chłodem....
Nie daj, bym życia cel przed życia końcem
Osiągnął... Nie daj, bym jak spustoszałe
Był drzewo, które przeżyło swą chwałę...

Niedokonany czyn śpi jeszcze we mnie,
Cudnym zapasem jest moich śpichlerzy,
Wypełnia sobą moich skarbców ciemnie,
Jest siłą, która cicho we mnie leży...
Spełnione dzieło ucieka tajemnie
Z mojego ducha... między ludzi bieży,
Staje się złotym owocem z jabłoni
Strząśniętym, skarbem jasnym cudzej dłoni...

Niedokonanym czynem jam bogaty...
Lecz idą parne przejrzałości noce.
Posłuszny jestem i niosę objaty...
Oto mi każą niezbadane moce,

Abym sam sobie dłonią był, co szaty
Złote mym sadom puzdziera, owoce
Moje... I duch mój musi treść swą stradać...
Idzie czas... Zaczną z drzew owoce padać...

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Jakaż nam przyszłość?... Jakaż nasza droga?...
Zachód krwią spłynął... mrok smutkiem się ścieli...
Ktoś się z rozpaczy zaparł swego Boga
I potępieni są wszyscy anieli...

Szatani serca swe rozpaczą jedzą,
Piekło swe krwawym oplwali urągiem...
Bóg się przeraził swoją własną Wiedzą,
Czołem uderzył przed strachu posągiem...

I Wszechmoc swoją podeptał szalenie,
Wieczność swą cisnął w czarny mrok nicości..
Chrystus w swe własne zwątpił Odkupienie
I nie mógł w sercu swem znaleźć miłości.,.

Poszedł u ludzi żebrać sił, otuchy — —
Uczniowie rzucali sieci na jeziorze,
Lecz go nie chciały poznać dawne druhy,
Szyderstwo jego cisnąwszy pokorze...

Matka Bolesna, w obłędzie zgubiona,
Dla Syna miała twarz kamienną, głuchą,

A Magdalena, rozpuście wrócona,
Poszła frymarczyć pokutą i skruchą..

W gospodzie dzwonią srebrniki na ławie
I pełna wina rozpienia się czasza,
A Jan skroń w niecnej zastygłą niesławie
Miłośnie oparł na piersi Judasza..

I ujrzał Chrystus zaparcie i zdradę,
W niewiarę rzucił swe daremne trudy,
Gorzkiemi łzami zwilżył lica blade
I beznadziejny — poszedł... zbawiać ludy...

Z CYKLU: »MODLITWA«.

Panie nasz, więcej niźli sprawiedliwy,
Przebaczający zapomnieniem winy...
Nie bądź nam Sędzią — a bądź pobłażliwy!
Zbyt nieszczęśliwe są Twoje złe syny...

Za tych, co trwodze swych wylękłych źrenic
Snów niespokojnych dają odpoczynki,
W niedokończonych piwnicach kamienic
Kryjąc w cień nocy swego dnia uczynki;

Za tych się wstawiam, co w pustej ruderze
Zwalonych domostw, wśród głodów i chłodów
Dla swych znużonych ciał znajdują leże,
Na pustych ławkach zamiejskich ogrodów;

Za tych się wstawiam, co ludzkim wyrokim
Ścigani z sobą w sen niosą zgryzoty —
Wejrzyj na wszystkich tych Twej łaski okiem,
Co są zbyt biedni, by mogli mieć cnoty...

A jeśliś walczyć rozkazał im z grzechem,
Odpuść im, żeś im dał za mało siły...
Litosnym, pełnym goryczy uśmiechem
Wybacz tę ciężką drogę do mogiły...

I dłoń swą podnieś nad miarę odpłaty,
Daj im choć z czynów złych pomyślność biedną...
Kto z cnót plon zbiera, drugi raz bogaty
Jest tem, że miał już przedtem szczęście jedno...

Bo cnota szczęściem jest... Czemuż niedola
Ma znów niedolę rodzić, co łzy liczy...?
Niech ziarno wyda im kamienna rola...
I tak z niej więcej bólu, niż słodyczy...

Więc leniwego w polu robotnika,
Co swym zarobkiem ledwo żyje w głodzie,
Racz skryć przed okiem surowem strażnika,
Jeśliby zasnął w skwar pod krzakiem w chłodzie..

I pijaczynę biednego do domu
Zawiedź po drodze szerokiej i gładkiej,
By się do izby dostał w noc, bez sromu,
I przebył pełne zdrad rowy i kładki...

I żebrakowi drżącemu z niemocy,
Gdy bez jałmużny dzień spędził w męczarni
Głodu, daj — Panie - znaleźć o północy
Drzwi niedomknięte przydrożnej piekarni...

Niech nierządnica z ubielonem, chorem
Licem, gdy włóczy się ulicą pustą,
Znajdzie kochanka jeszcze przed wieczorem
I niech zarobi grosz na chleb rozpustą...

A złodziejowi, co się w cudze progi
Wkrad nocą — gdyby ludzie się zbudzili —
Daj, dobry Boże, zdrowe, mocne nogi
A gdy go chwycą, by go zbyt nie bili...

Dziewczynie, którą uwiodła obłuda,
Gdy z niemowlęciem na ręku rozpacza,
Chcąc je podrzucić — daj, niech jej się uda
Trafić przypadkiem gdzieś pod drzwi bogacza..

Podnieś dłoń swoją nad miarę odpłaty,
Daj im choć z czynów złych pomyślność biedną...
Kto z cnót plon zbiera, drugi raz bogaty
Jest tem, że miał już przedtem szczęście jedno...

A potem, dobry Boże, gdy się zdarzy
Dzień zrozpaczenia, z którego nie wstaną.
Daj im łask łaskę, to szczęście nędzarzy,
Daj im śmierć nagłą i niespodziewaną!

Nie dopuść, Panie, Stwórco złotych światów,
Aby słoneczną Twoją jasną ziemię,
Strojną zielenią łąk i tęczą kwiatów
Skalało plamą krwi rozbite ciemię!

Nie dopuść, aby rzeka Twa, co śpiewa,
Z fal wynurzyła wzdętą twarz topielca,
Ażeby Twoje jasne, piękne drzewa
Hańbił swą grozą siny trup wisielca!

Panie, co piszesz gwiazdami swe miano,
O, władający w chwale słońca złotej!
Daj po dniach hańby śmierć niespodziewaną
Tym, co zbyt biedni, by mogli mieć cnoty,

O DOROBKU PIELGRZYMKI.

Na beznadziejny bolów ból skazany:
Szukanie szczęścia — wędrowiec tułaczy
W sioło, w rodzinnej chaty wracam ściany.

Gromadka wiejskich dzieci mnie osaczy...
Próżno szukają spojrzeniem nieśmiałem...
Gościńców w pustej mej sakwie żebraczej...

Ojciec mnie pyta: »Cóżeś począł z całem
Życiem? Czyś znalazł gdzie szczęście wśród [drogi?«
Milczałem patrząc w ziemię i płakałem...

A matka pyta: »Czy wnosisz skarb w progi?«
Matko! Skarb w sercu mam... Losom zań dzięki.
Żyłem wzgardzony i jestem ubogi..

»Coś czynił?« — pyta siostra ma. — Piosenki
Śpiewałem proste... To tak, jakbym rzeszy
Pielgrzymów stopy mył ranne z udręki..

»Czyś zdobył prawdę choć« — brat pytać spieszy —
»By mogły dusze omdlałe nią ożyć?«
O, bracie! Prawdą jest, co duszę cieszy...

By dzieci, kobiet i chorych nie trwożyć,
Uczyłem, że się bóstwo narodziło...
»Niema go« — mówisz? — Uwierzyć to stworzyć...

Uczę, że piękną i dobrą jest siłą
Życie... »Kłam!« — wołasz i w twarz mnie-ś
[uderzył?
Przecie sam chciałbyś, by to prawdą było...

O, nie broń, abym między ludźmi szerzył
Naukę, którą ma tęsknota śpiewa —
I tak nikt moim słowom nie uwierzył...

Nie dla przechodniów cień rzucają drzewa
Stojące w słońcu...

WANDA STANISŁAWSKA

Wydała »Szare kartki«, Kraków 1907.

W WIECZÓR ZIMOWY.

Czy pamiętasz ten wieczór i miejskie latarnie,
Których blask, mdłe na ściany domów kładnął
[smugi?
I latarni tych szereg długi, długi, długi,
Jak lamp ku chwale nocy płonących ofiarnie...

Śnieg skrzypiał pod stopami, mróz mgielnym
[oparem
Otulał jakby nimbem świetlnym nasze głowy,
A z ust padały słowa banalnej rozmowy,
Jakby serca zamilkły pod zaklęcia czarem.

I szliśmy tak tą drogą ramię przy ramieniu,
Bojąc się spojrzeć w oczy, dalecy — a razem
Tak blizcy, jednym w myśli pieszcząc się obrazem

Pocałunku... A dusze już w siebie kochania
Brały wszystkie uśmiechy, łzy, rozczarowania...

Za nami cicha wizya Smutku rosła w cieniu...

Z CYKLU: »BÓL«.

Czekam cię cicha, przyjdź! Zmęczone zamknij
[oczy,
Daj ukojenie sercu, zapomnienie myśli,
Złudzenie szczęścia chociaż w sennych marach
[przyślij,
Niech robak zwątpień chwilę duszę mi nie toczy...

Przyjdź, upragniona, cicha, miłosierna nocy!
Przyjdź w szacie swej z szafiru w złote gwiazdy
[tkanej,
Na serca, dzienną męką, znów krwawiące rany
Połóż dłonie — twe dłonie pełne łask i mocy..

Czemu ty nie trwasz wiecznie? Czemu bezustanku
Znikasz przed bladem widmem szarego poranku,
I jak całun swej na mnie nie rozciągniesz szaty?

I duszy wracać każesz w bezlitośne pęta
Życia — gdzie zawsze tęskni i zawsze pamięta,
Że istnieją wiecznego spokoju gdzieś światy...

A MOŻE...

A może... może lepiej żeśmy tu na ziemi,
Młodości cudne lata jak duchy przebiegli,
Gorące serc porywy na wieki pogrzebli,
Za marzeniami tęskniąc tu niespełnionemi...

Może lepiej, że bólów idąc ściernistemi
Ścieżki, myśmy pożary uczucia zażegli,
Anieli może kroków nieopatrznych strzegli
Nad przepaścią skrzydłami chroniąc nas białemi...

Możeby kiedyś na dnie rozkoszy kielicha,
Został osad przesytu, rozczarowań męty,
I z ustby może skarga popłynęła cicha,

Czemu czas rozwiał złudny sen w piersiach zaklęty?
I nigdyby już może, nadchodząca wiosna
Nie wplotła kwiatów tęczy w naszych wspomnień
[krosna...

Z SZOPENOWSKICH PIEŚNI.

STUDYUM E-DUR.

Rozkołysaną, tęskną, szemrzącą kaskadą,
Drżąc strun śpiewem w powietrza fali rozdźwięczonej,
Płyną w wieczornym mroku cudne, słodkie tony,
I jak balsam na duszę znużoną się kładą.

A ból, co z głębin myśli wypełznąwszy, zdradą,
Milczkiem jak żmija kąsał, jadem przesiąkniony.
Cofa się od wrót cichej, w pieśni rozmodlonej,
I mrze pod dźwięków słodką, szemrzącą kaskadą...

O grajcie struny, grajcie! Zda się, że anieli
Biedną, schorzałą duszę w swe ramiona wzięli,
I obmytą już z grzechu łez jej własnych rosą,

W cierpienia ostrych cierniach, w pokutniczej
[bieli,
W wiekuistej gdzieś ciszy krainę ją niosą.
I na miękkiej z obłoków składają pościeli...

PRELUD H-MOLL.

Kłąb sino-czarnych chmur... jesienny wiatr dmie,
[słota...
Zciemniały nieba strop, deszcz łez po szybach
[roni...
A z każdą kroplą pieśń żałobna dzwoni... dzwoni...
A w mroku snują się – Ból, Żałość i Zgryzota...

Po kurytarzach sam jak potępieniec chodzę,
Tam wiatr platanów liść o ściany wściekle miota,
A za mną mary trzy – Ból, Żałość i Zgryzota
Trzymają w rękach, mych rozpierzchłych myśli
[wodze.

Czy to z za grobu głos w klasztornej tej ustroni
Tak mnie do siebie wciąż z pod ziemi kędyś
[wzywa?
Czy to z za grobu głos? czy w duszy mojej
Mogilna pieśń? [śpiewa
A deszcz po szybach dzwoni...
[dzwoni..

Jak senny idę wciąż, i nic mnie nie obroni
Od rozpaczliwych mar, zrodzonych w trwogi
[męce...
Jak senny idę wciąż... wyciągam tylko ręce,

Jakbym uciekać chciał od bólu, co mnie goni,
Co w rozełkanej tam za oknem brzmi piosence,
I z każdą kroplą śmierć mi dzwoni.. dzwoni...
[dzwoni...

Z DROGI.

Z błyskawiczną szybkością pędzi w dal przed
[siebie,
Buchając słupem dymu i kłębami pary,
Jak wąż się wije... pełza, wrzynając się w szary
Tęskny polski krajobraz...
Wciąż dalej od ciebie

Jestem...
Na zachodzie się krwawą łuną pali

Słońca krąg... coraz niżej... ziemi krańców sięga,
Niżej... Zgasł już... Już tylko fioletowa wstęga
Złota rąbkiem się żarzy...
Coraz dalej... dalej...

Uciekają przedemną lasy, pola, drzewa,
Chaty w obramowaniu gajów w długim rzędzie,
A w nastającym mroku i szalonym pędzie,
Wszystko się w jeden półton bez konturu zlewa...

Pierwsze gwiazdy na niebios już błyszczą skle-
[pieniu,
Bladym, matowym blaskiem.. Dla nas nikłe, małe
Światełka, we wszechświecie epopeje całe
Dziejów — w nieskończoności pogrążone cieniu.

Potwór żelazny pędzi, skier plując snopami,
I z piekielnym w noc ciemną zapada hałasem,
Drga i syczy, i dyszy, i wyrzuca czasem
Krzyk ostry — płomiennemi błyskając ślepiami

Pędź! i w wnętrznościach swoich te istnień
[tysiące
Nieś wraz ze mną — gdzie fatum, ta zagadka
[bytu,
Jednych olśniewa blaskiem różanego świtu,
Drugim naprzeciw, czarne niedoli śle gońce...

. . . .

Księżyc wszedł... Od kobierca łąk już białe rosy
Wstają — wśród olch się ciemnych czołgając
[leniwie,
Już noc... Że ciebie niema, wiem — jednak się
Że nie widzę już ciebie... [dziwię,
Czemu nasze losy

Jak jednego pnia liście wiatr w przeciwne strony
Niesie? Czemu rozkwitłe więdnąć musi kwiecie?
Czemu się chmurzy nieba strop, wprzód uśmiech-
[niony?...
Czemu smutek, tęsknota i łzy są na świecie?...

JAN STEN (LUDWIK BRUNNER)

ur. 1871 w Warszawie. Obecnie docent chemii Uniwersytetu w Krakowie. Wydał »Poezye« 1899. Liczne prace z zakresu nauk przyrodniczych i krytyczno-literackie.

MORZE.

I. POŁUDNIE.

... W przejasną dal,
Gdzie niema nic, prócz miękkich fal,
Fal cichych, sennych fal,
Płynie mój duch,
Jak lotny puch,
Po srebrnej wód głębinie.
Utkwiwszy oczy w niebieskich chmur,
Z chmur białych tkany szlak,
Duch mój marząc się kołysze,
Jak zasłuchany w letnią ciszę
Topoli drżący liść.
I śni, że oto może iść
Za czarny złom uśpionych fal,
W błękitną, kryształową dal...

II. ZACHÓD.

Schylone nad zachodem słońce gorejące
Rzuciło krwawe blaski i nagle, czerwone
Jak miedź, spłonęły obszary wód.
Szary mrok, co na fale kładł się tryumfalnie,
W dal nieskończoną pierzchnął i za czarną
Tam horyzontu ukrył się oponą.
Łuną pożarną
Słońce zatliło słoną pianę fal
I rozsypane chmury na zenicie.
Całe przestworze,
Bezdenne głębie nieba i wód
W krwawe sztandary się otuliły
W zorze płomienne...
I duch mój, wziąwszy skrzydła purpurowe,
Już się do lotu zrywa tam, gdzie nowe
Światło, gdzie żywa tryumfów pochodnia,
Gdzie w złotych iskrach złote słońce błyszczy,
Jak głownia zwycięstw, gasnąca wśród zgliszczy.

III. NOC.

Huk wód, gdy o skalne roztrąca się zręby,
Z wichru poświstem na urwiska pędzi
I kona w głuchym szumie. Wiatr w twarz mi
[ciska
Ciemność starganą i podartą w kłęby,
Wilgotne jak rosa.
Od łez, któremi niewidzialne płaczą,
Duchy nadmorskie, smagane rozpaczą
I bezlitosnym bólem.
Niebo ogromne, czarne, nieskończone,
Jakgdyby trumny odchylone wieko,
Już się na ziemię zasuwało zwolna.
Daleki
Łoskot fal grzmiał jak młot,
Którym trumien przytwierdzają ćwieki.

I duch mój zbawień czekając daremnie
Drży przeraźliwie i patrząc w te ciemnie
Zwija się, czołga i wypełza ze mnie.

WŁADYSŁAW STERLING

ur. 1876 roku w Warszawie i tam jest lekarzem.
»Poezye« 1899.

SONET.

Konwalia — jeden zeschły kwiatuszek konwalii —
Nawet nie kwiat, ślad tylko plamą się wyciska
Woniejącą. Kwiat zginął, i zda ci się zblizka,
Jakby tam aniołkowie łezki wypłakali.

Czytam, jakeśmy wtenczas we dwoje czytali,
Gdy dusze u poezyi grzały się ogniska —
I śnię, żeś ty mi znowu jedyna huryska
Tej mojej ziemskiej, świętej, promiennej Walhalli.

Gdzieżeś ty teraz, skarbie? W tym ziemi obszarze
Tyle lądów rozlicznych, różnych ludzi tyle!
A wszystko takie cudze ziemie, obce twarze!

I widzę tylko teraz, jak we mgle i pyle
Grzebią mi złotej przędzy rojenia motyle
Zwątpienie i niewiara — straszliwi grabarze!

SKARBY.

Jak skąpiec, który mienie swoje chowa
I bóstwu swemu składa na objaty.
To dusza. Skarb ma dziwny i bogaty:
Niewymówione nigdy, święte słowa.

I jest skarbnica złotopurpurowa,
Jedwabiem kryta, wśród ciemnej komnaty.
Jak muszle, szumią tam, pachną, jak kwiaty
Niewymówione nigdy, święte słowa...

A gdy nadchodzi Święto duszy: oto
Perły, rubiny płoną, jak pożoga —
I te, co były, jak myśl piorunowa,

I te, co były pełne snu i Boga,
I te, co były męką i tęsknotą —
Skarby nadludzkie -- zamilczane słowa!

CHWILE.

Bywają chwile dziwnego olśnienia,
Kiedy z powszedniej rzeczy i zjawiska
Nagle nieznana, piękna twarz wybłyska
I w nieśmiertelną treść się wypromienia.

Bywają ludzkie słowa bez znaczenia,
Z których melodya nagle cudna tryska,
Płynąca stamtąd, gdzie rzeczy kołyska...
Bywają chwile dziwnego olśnienia.

Bywają chwile palące, jak płomień,
Bywają chwile mocne wiekuiście,
Bywają chwile, które stać się muszą.

Bywają chwile wielkich uświadomień,
Kiedy się wierzy w jasnych cudów przyjście
I na spotkanie im wybiega — duszą.

ADAM STODOR (CEHAK)

ur. około r. 1872 w Łańcucie. Obecnie nauczyciel szkoły realnej w Stanisławowie. Wydał: »Adoracya« 1899. »Atlantyda« 1904, »Con dolore« 1906. Dwa tomy przekładów Verlaine'a, dramat: »Złocista góra« i i.

PRAGNĘ...

Moim Rodzicom.

Pragnę być silnym!... silnym górnym duchem,
który się wznasza nad małe wypadki
i pewną stopą przez niepewne kładki
myśli przechodzi — i spogląda suchem

okiem Bramina, Maga czy Ascety,
na powikłanie życiowe, dlań jasne —
bo Państwo myśli stworzył sobie własne,
gdzie nie brzmi: Może... lub słabe: Niestety...

Pragnę być silnym! – idę do celu,
drogą cierniową, znojną doświadczenia —
pójdź ze mną, jeśli pragniesz, Przyjacielu!

Choć dotąd trud mi dał nikłe zdobycze,
choć sił swych dusza moja nie przecenia —
idę, gdzie płoną święte dla mnie Znicze...

SIERPNIOWA NOC...

Sierpniowa noc rzeźwiąca i chłodna...
nademną blask tarczy księżycowej
kąpie ruń chmur w bieli opalowej,
dla której tłem niebios toń łagodna.

Gdzieniegdzie gwiazd płoną zbladłe oczy –
przyćmił ich moc blask jaśni księżyca,
co płynąc w dół w krąg wszystko przesyca
srebrzystym tchem, w ciszy nocnej mroczy.

I szczyty gór srebrzysty przysłania
tej jaśni pył, gdyby gaza wiotka
i pośród traw lśni ta światłość słodka –
na niej cień drzew ostro się wyłania...

A cisza cisz... li rzeczułki szmery
bez przerwy, wciąż, pełne utęsknienia
tocząc fal blask łożyskiem z kamienia
w srebrzysty głos nucą pieśń zadumy...

A cisza cisz... jednej tylko chaty,
by zaszłe krwią patrzą oczy szklanne – –
może z niej Nędz uściski staranne
jakową z dusz wiodą w tajń Zatraty...

U SZCZYTU.

U szczytu jestem... na cichej polanie,
okrytej bujną trawą i kwiatami —
podemną jaru głąb, kędy szemranie
rzeczułki słyszysz, srebrzystej falami...

Gdzieniegdzie w jarze widzisz rozrzucone,
huculskie, nikłe chatki, deską kryte,
ujęte w gajów cienistą osłonę,
i łanki zboża, w kamieniska wryte...

i łąk zieloną ruń, majątek chłopa,
biegnącą w wyże, pod urwiste skały,
których bez trwogi, nie dosięże stopa —

A na tych skałach szereg plamek biały —
to kozy... kędyś brzmią fujarki łkania...
a hen, hen kracze, żądna deszczu, kania...

MGŁY.

Ponad szemrzącą rytmicznie rzeką,
w wieczornym mroku, wiotkie opary
płyną białawe zwolna, daleko,
hen, kędy drzemie jodeł las stary...

Płyną powoli, nad łąką stają
i piją chciwie woń macierzanek,
i po jałowcach cicho stąpają,
to znów w taneczny łączą się wianek..

Wtem księżyc wyjrzał przez chmur szczelinę
i rzucił światło swe fosforyczne
na osłonioną mgłami dolinę —

a wtedy, zda się, że widzisz liczne,
w słodkich uściskach spowite pary,
płynące zwolna w rajskie bezmiary...

BURZA.

Niebo okryte szarą, ciężką chmur zasłoną --
lasy sine bez przerwy oparami dymią,
zasłaniającymi nawet gór masę olbrzymią,
postrzępioną, białawą, ruchliwą oponą — —

Deszcz siecze... wtem mgły naraz jasny błysk [rozedrze —
huknął grom!... gór przeciągłe ozwały się echa
jakimś śmiechem piekielnym... płonie sosny wiecha
gdyby jasna gromnica w szatańskiej katedrze...

A rzeka rozwścieczona ciągłym wód napływem,
szamocze się mętnemi w łożysku falami —
wzdyma się, o brzeg bije brudnemi pianami

i cielskiem być się zdaje jakiemś gadu żywem...
Deszcz leje!... gromy huczą!... świecą błyskawice!...
a słońce w rdzawych chmurach ukryło swe lice...

Z CYKLU: »PRZY KONAJĄCEJ«.

...I szliśmy długo, długo, długo —
a z nami miłość nasza szła —
szliśmy nią zbrojni, by kolczugą,
i niczem ból nam był i łza —

Lecz nigdy słońce jasną smugą,
na żwir nie padło naszych dróg —
deszcze li lały rwącą strugą,
jeno błyskawic świecił smug —

i szliśmy drogą ciężką, długą,
której nie zdobił nigdy kwiat,
a w zamian los za jedną, drugą
bryłę kamienną wpoprzek kładł...

LUDWIK SZCZEPAŃSKI

ur. 1872 roku w Krakowie. Założył i redagował »Życie«, »Illustracyę polską«, obecnie »Nowiny«. Wydał »Srebrne noce - lunatica« 1897, »Hymny« 1897. »Pieśni i Hymny«, oraz humorystyczną powieść »W naszej letniej stolicy«.

ŚPIĄCA KRÓLEWNA.

Czy to wiatr okno rozchylił twoje,
Śpiąca królewno?
Czy to wiatr lekkim wionął podmuchem
I chłodu nocne rozwiewa zdroje
Z parku, co leży w milczeniu głuchem,
Śpiąca królewno!

O jakże cichy jest park ten stary,
Śpiąca królewno!
I tylko dęby pod twym balkonem,
Czarne, cieniste ścieląc konary,
Zaszumią czasem tchnieniem stłumionem,
Śpiąca królewno!

Północ się zbliża. Z głuchej oddali,
Śpiąca królewno!
Zamkowej straży róg zagrzmi twardy,
I zamigocą odbłyski stali,
W księżycu — zbirów lśnią halabardy,
Śpiąca królewno!

Czy to łysnęła zbroja rycerza,
Śpiąca królewno!
Zbroja rycerza na twym balkonie?
Pas blady światła wślizł się i zmierza,
Gdzie śnisz w jedwabnych kotar osłonie,
Śpiąca królewno!

Noc się rozsrebrza w twojej komnacie,
Śpiąca królewno!
W mdłych blaskach ciemne drżą gobeliny,
I wszedł kochanek w świetlanej szacie,
Z błękitnych mroków płynąc głębiny,
Śpiąca królewno!

Jasność oblewa łoża kotarę,
Śpiąca królewno!
Księżyc miłośnie cię opromienia,
Całuje splotów twych złoto szare,
Pije gorących ust twoich tchnienia,
Śpiąca królewno!

Czemu się płonisz w róży rozkwicie,
Śpiąca królewno?
I czemu uśmiech na licu gości? —
W gloryi niebiańskiej usypiasz świcie,
W białej księżyca toniesz miłości,
Śpiąca królewno!

LISTY.

I.

Z gorączką w duszy, w późną noc,
Trawiony żarem tęsknych snów,
Piszę do Ciebie. Muszę, wiedz,
Choć mówić z Tobą muszę znów!

Spokoju nie mam. Dzień po dniu
Mija, a tchu mi w piersiach brak,
Chodzę jak błędny, próżen sił –
Tęsknię za Tobą, tęsknię tak!

Tak mi Cię brak! – W tę ciemną noc,
Gdy wsłucham się w wichrowy szum,
Słyszę, jak żal w mej duszy łka,
Skroń mi rozsadza wspomnień tłum.

Wspominam tak niedawne dni!
Słyszę Twój głos, Twój śmiech, Twój chód –
I drogą, blizką jesteś mi,
I kocham Cię, jak nigdy wprzód.

Dość oczy przymknąć, ręką dość
Osłonić mi płonącą skroń,
A tak wyraźnie widzę Cię,
Że drżę i drżąc, zaciskam dłoń...

Usta mi pali taki żar
Jak gdym całował piersi Twe...
Cicho. O szyby bije deszcz —
O, jak mi smutno, jak mi źle!

II.

Może jam śmieszny i szalony,
Że wciąż z tych wspomnień gorycz czerpię.
Komedyi jeden akt skończony —
Ale ja cierpię!

Rozumiesz Ty? Żal żre mi duszę
Rdzą jadowitą, bezlitośną,
Że zda mi się, iż krzyczeć muszę
Rozpacznie, głośno!

Chcę śmiać się, szydzić. — Nadaremno
Wyplenić ból ironią krwawą —
Napróżno wszystko! W duszy ciemno,
A w oczach łzawo.

Ach, jak źdźbłem uschłem, co ulata,
Porwane wirem zawieruchy,
Tak sercem mojem ból pomiata,
Wśród pustki głuchej.

III.

Nie dziw się, Droga, że nie mogę
Spokoju znaleźć. Tu tak smutno!
I cień jesienny na mą drogę
Jakby żałobą padł pokutną.

Chmurne dni przyszły, i z gór stoku
Smutku się zwiewa mroczna fala.
Gdybyś wiedziała, jak w tym mroku
Echo wspomnienia się rozżala!

Z wieczora mgła się dołem ścieli,
Ostrzępia stoki skał skrzesane,
Jezioro niknie w sinej bieli
Bezbrzeżne, głucho rozpłakane...

Posępne szczytów zbocza nizko,
Dziś zrana śnieg ubielił nowy —
Wiatr chłodny dmie przez pól ściernisko
I szumem pełni bór świerkowy.

Przed oknem mojem droga biała
Tak dziwnie w noc bieleje ciemną...
Z gorączką w oczach, rozbolała
Tęskota idzie w dal tajemną. —

Nie, nie. — Tu nie zostanę dłużej,
Cięży mi spokój ten kamienny —

Pierś wzbiera bólem, dzień się dłuży,
I nocy lękam się bezsennej.

Do miasta tęsknię znów, do ludzi!
W odmęt się rzucę blasku, gwaru!
Tam może w piersi moc się zbudzi,
Od złego się uwolnię czaru.

Może rozjaśni mi się droga
I gorycz w sercu się wyczerpie!
Może zapomnę! — Lecz nie, Droga,
Zapomnieć nie chcę, choć tak cierpię!

IV.

Przez sen szepnąłem imię Twoje,
Zbudziłem się cały drżący:
Zdawało mi się, żem cisnął usta
Do piersi Twej gorącej.

I sen uleciał: Tęsknię i płonę,
Wyciągam do Cię ramiona —
A w koło szumi noc czarna, głucha
I żarem spłomieniona.

V.

Słuchaj: zanadto Cię kochałem,
Zadługom z Tobą dzielił drogę,
Zbyt pragnień się złączyłem szałem.

W krew moją weszłaś, wrosłaś w duszę,
Oderwać się od Ciebie muszę —
A żyć bez Ciebie dziś nie mogę!

SZCZYT.

Ostry obelisk nagiej ciemnej skały,
Skrzesane złomy, skrami szronu lśniące!
A w okrąg — bezmiar śnieżny, oniemiały
I blaski zimne, a oślepiające:

To szczyt! — Tam w dole przepaści, ziejące
Lawin śnieżycą, straszne lodozwały —
Otchłań, gdzie wiatr rozwiewa skrzydła rwące
I toń przewala mgły skłębionej, białej!

To szczyt! — A nad nim jeno błękit czysty,
Jak kryształ jasny, zimny przeźroczysty —
I słońce, białe, roziskrzone słońce!

I Bóg — jako te głazy niewzruszony,
Zimny, spokojny, w dali niezmierzonej,
Oślepiający jak to skrawe słońce!

KRZYŻ.

Poranne, złote rozjaśniło słońce
Starego muru ścianę poczerniałą —
I kurcz bolesny, zda się, wstrząsnął ciało,
Na krzyżu w męce krwawej zwisające.

Dołem lud mrowi się. Idą tysiące
Paść oczy śmierci tej okropną chwałą —
I jako kłosy pod wichru nawałą
W proch biją czołem tłumy truchlejące...

O słońce! Wiecznież przed ludu oczami
Krwią broczyć będzie postać umęczona
Z skronią świetlaną, co w bólu się zniża?

Bóg, co krwawymi przesłania cieniami
Słońce, i kona — wiecznie, wiecznie kona!
Synu Człowieka! zstąp z krzyża, zstąp z krzyża!

MACIEJ SZUKIEWICZ (FELIKS CYPRYAN)

ur. 1870 w Stokholmie. Obecnie mieszka w Krakowie. »Poezye« 1901. Liczne utwory dramatyczne.

Z CYKLU: »W MROKACH«.

Szumi sitowie — Mgliste opary
Posępnym świtem bledną na wschodzie,
Stalowe błyski idą po wodzie,
Z głębi ciemności dzień wstaje szary.

* * *

Zmokły kruk w górze nademną kracze
Myśląc o nowej, a sutej stypie —
Wiatr mi na głowę zwiędły liść sypie —
Siedzę bez czucia na dżdżu i płaczę...

Bronce Rychter Janowskiej
wdzięczny model.

Równe, bezkreśne pole... Znam je. O wieczorze
Myśli moje tam chodzą pod gasnącą zorzę.

Idą pomiędzy brzozy ciszą nocy zdjęte
Szukać chłodnego leku na skrzydła zwichnięte.

Idą na śpiące wody, by jako gwiazd roje
Płomienie swe zatapiać w kryształowe zdroje.

Idą na rośny opal, skróś miesięcznej łuny
Trącać w rozpięte na mgłach srebrnolite struny.

Idą skarżyć się światu na dolę, niedolę,
Przez puste, senne, równe, przez bezkreśne pole...

Z CYKLU: »SEZAMI«.

Dzisiaj jesteśmy trzeźwi. Bez barw i kolorów
Snuje się przędza życia. Zgasły cudne baśnie, —
Nawet śród Ariostowskich, gdy kto zbłądzi borów,
Las mu w odzew rycerstwa rogiem nie odwrzaśnie.

Jesteśmy bardzo trzeźwi. Jednak czasem... we śnie...
Marzy się nam kraj dziwny o różanej wiośnie
I chcemy gwałtem wierzyć, że rzuciwszy pleśnie
W bujnym jak dawniej świecie stary bór odrośnie.

Tak choć nam wszystko wzięto, wypleniono do cna,
Chociaż nam pogaszono tyle gwiazd na niebie.
Choć sobie tyle źródeł zatruliśmy sami.

Jeszcze czasem przebudza się w nas baśń wszech-
[mocna
I każe śnić i marzyć i patrząc na ciebie
Drżącemi szeptać usty: otwórz się sezami!

WŚRÓD RUIN.

Niegdyś tu chram stał... Dziś dawno w gruz padła
Wysmukła nawa i sklepień wiązadła.
Wyrwane z zawias walają się wrota.
Odarto z ozdób witraże i przęsła,
Najskrytsze skarbce chciwa dłoń przetrzęsła.

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Zmierzch tu posępny i cisza złowroga.
W ołtarzach śladu nie zostało Boga.
Pająk w cyboryum szare siatki mota.
Chrystus rzucony pośród stosów śmieci
Wpiętemi w ciernie koralami świeci —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Z wież, gdzie grom dzwonił ostatnie podzwonne,
Nie rozszlochają się w modły stutonne,
Gaszące ogień w spiżu lane *vota*
I nie polecą w jasne jak skowronki
Nad kochankami świegotać wśród łąki —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Czasami tylko, gdy wiatr się tu wedrze,
Zepsuty organ budzi się w katedrze,

Wzdycha i rzęzi i dziko łomota.
A wtedy wszystek mrok ku niebu wyje
Okropne jakieś: »Elejson Kyrie!« —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Czasami księżyc przez murów szczeliny
Wśliźnie się martwy, lodowaty, siny;
Czasami puhacz skrzydłem załopota;
Czasem odkruszą się rzeźby obramień,
Posadzki jękną i zadudni kamień —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota,

A jednak, jednak! tam, kędyś pod ziemią,
Gdzie dziwnie drogie prochy cicho drzemią,
Ostatkiem oliw i ogarkiem knota
Wieczna ampułka pod zwaloną nawą
Wbita u sklepień dogorywa mgławo —

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Dniem jasnym płonie, ciemną płonie nocą,
Sama nie wiedząc: dla kogo i poco?
A taka świętość w jej ogniu migota,
Jakby kto w cieniu tych piwnic i pował
Młodość i miłość i szczęście pochował...

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

MARYAN TATARKIEWICZ

ogłosił »Poezye« jeden tom. Reszta rozprószona po czasopismach warszawskich.

KUMA TROSKA.

Ognisko gaśnie — w izbie szare mroki
Snują się zwolna, jak mary cmentarne
I na mem czole ręce kładą czarne:
— »Poszły marzenia twe, chłopcze, na marne,
W świat ten szeroki!«

»Chłód je tam zmroził — deszcze zmyły barwy,
Gromy i burze szarpały,
I po kałużach wichry rozwiały,
I dziś dla ciebie, chłopcze, zostały
Ich larwy.. «

— Kto tam kołatką do drzwi mych kołacze?
Gość! rzecz niezwykła w biednej chacie mojej!
Bo oto teraz u drzwi moich stoi
I płacze...

Ach! to ty! trosko! — Cóż za próg mej chaty
Przygnało ciebie o tak późnej porze?
Wicher i słota na dworze,
A ty wędrujesz nieboże
Przez światy?

Siadaj na zydlu i odpocznij nieco.
Pogwarzym z sobą — wszak my stare druhy.
A oto do nas, jak duchy,
Wplątane w wichrów podmuchy,
Wspomnienia lecą.

Słyszysz, jak biją skrzydłami czarnemi
W okna! — jak ze mnie szydérczo się śmieją,
A głos ich leci z zawieją:
»Nie pieść swej duszy nadzieją
Na ziemi!«

— Ot! głupstwo wszystko — po co myśleć o tem,
Co już umarło i więcej nie wskrześnie?
Po co znów duszę rozkrwawiać boleśnie?
— A jednak... jednak umarło zbyt wcześnie
Za pierwszym wzlotem...

...Tak!... mniejsza o to!... — Która to godzina?
...Północ? — jak czas ten wlecze się powoli!...
Prawda, to głupie, gdy wbrew naszej woli
Dusza się w piersiach targnie i zaboli
I... łkać zaczyna!

...I... łka!... Przemglone, ledwo majaczące
Idą sny moje, okryte w łachmany
Strzępów królewskich. — Ukazują rany,
Które im życia żłobiły kajdany,
Rany krwawiące.

Widzę ich oczy, szklane oczy trupie,
Z niemym wyrzutem zapatrzone we mnie...
Jaka w nich skarga!... Daremnie!... Daremnie!...
Ja nic nie mogę... — Powracajcie w ciemnie!
...Jakie to...

Stoję! W zroszone wzrok utkwiwszy szyby,
Śród chłosty deszczu, śród wichrów smagania...
Słyszysz, jak piersi wstrząsają im łkania? —
Tak stoją... stoją nieraz do świtania...
Gdyby... och! gdyby...

»Nie! ja ich widzieć nie mogę... nie mogę,
Ni uciec od nich — wszak te trupy żyją!
Gonią gdzie pójdą i krew moją piją,
I mózg mi szarpią, i w serce mi biją,
Jak dzwon na trwogę.

Zimno tu u mnie!... Ostatnie polano
Dorzuć do ognia — prędzej! — Mniejsza o nie!
Tyle spłonęło, niech i ono spłonie.
Patrz! — już się pali i kładzie na skronie
Obręcz świetlaną.

To moja glorya! — Patrz! patrz, jak się pali,
Jakie syczenie wydaje złowieszcze,
Jakie płomienne wstrząsają niem dreszcze!
Dmuchaj!... tak!... dobrze!... Jeszcze!... jeszcze!...
Dalej!... no!... dalej!... [jeszcze!...

Do biesiadnego siądziem później stołu,
Ucztować będziem! Co dusza zamarzy,
Wszystko się znajdzie. Sprosim tych nędz
Będzie... wesoło!... Tli się... ledwo żarzy...
Już... garść popiołu,

...Wszak tego chciałaś! Dzieło dokonane –
Możesz już odejść, pielgrzymkę zaczętą
Kończyć i w ludziach ich zabijać święto. .
...Idź!...
— »Tyś mnie ogrzał, przytulił zziębi
Z tobą zostanę!«

KAZIM. PRZERWA-TETMAJER



ur. 1865 r. w Ludźmierzu w Tatrach. Wydał: »Illa« poemat 1886, »Allegorya« poemat 1887, »Poezye« I 1891 (1901), II 1894, III 1898, IV 1900, V 1905, »Hasła« 1901, »Erotyki« 1905, »Poezye współczesne« 1906. Znane powszechnie powieści: »Anioł śmierci«, »Panna Mery«, »Otchłań«, »Melancholia«, »Zatracenie«. Nowele: »Na skalnem Podhalu«, 3 tomy i inne.

HYMN DO MIŁOŚCI.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie
miłości.
Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
prócz samej żądzy życia; duszą duszy
i sercem serca życia tyś jest
miłości.
Jeśli najwyższem szczęściem zapomnienie,
bezwiedza i niepamięć własnego istnienia:
toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
i myśli kładziesz kres upajający
miłości.
Jeśli złudzenia są jedynem dobrem:
toś ty największem dobrem, najsilniejsze
ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
pierwotna, dzika, nieznająca kiełzań,
święta potęgo
miłości.
Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni
od upadnięcia w przepaść rozpaczy i wstrętu;
jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmęt
nudy;
jeśli jedynym są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,

pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości.

Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dziś czczone, jutro deptane
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,
jak one tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczem i nigdy, tak, jak one,
pierwotna, dzika potęgo
miłości.

Wdzięku, piękności natury,
kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
jesteś, jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni
skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękicie
wobec ócz ukochanej?
Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków

w wiosenne rano,
wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci,
pod gęstemi zaplotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blado
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
kędy obłoki lotne i powiewne,
wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny,
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających
cudowną linią
w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
z za gór dalekich;
uroku jezior, co się nagle jawią
pośród skał, senne,
i tej zieleni złocistej, ze szczytów
widzianej w dali,
wobec czaru ukochanej?

Kędyś jest melancholio wieczorów jesiennych
wobec jej smutku?
Kędyś wesele letniego południa
przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
zwycięstwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
o nieznoszeniu niesprawiedliwości,
wobec snów o ukochanej?
Kędyś pragnienie posiadania złota
przy posiadania jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
co jest poznanem, albo niem być może,
wobec pragnienia poznania wskróś duszy
ukochanej kobiety?
Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia
miłości.
Najsłodszą rozkosz i najsroższą boleść
ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć królową
wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo
miłości.

ZE ZBIORU »EROTYKI«.

Mów do mnie jeszcze... Z oddali, z oddali
głos twój mi płynie na powietrznej fali,
jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę...
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Te płynące ku mnie
słowa są jakby modlitwą przy trumnie
i w sercu śmierci wywołują dreszcze —
mów do mnie jeszcze...

Z CYKLU: »DLA RYMU«.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winogrady,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami
Pomiędzy drzewa cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy piąć się srebrną grzędą
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzwi miłość nam otworzy.

Z CYKLU: »QUI AMANT«.

Z łez, które dla mnie mgliły Twoje oczy,
różaniec w mojej uwiłem pamięci.
Kiedy mię cisza wieczorna otoczy
i spokój lasów tatrzańskich okoli:
idąc, jak ludzie od świata odcięci
ofiarą duszy i Bóstwa miłością:
pod lasu cieniem i nieba cichością
różaniec z łez Twych przesuwam powoli.

Szczęśliwi, którzy wierzą, że po skonie
duchami pójdą w Elizejskie błonie
i tam spotkają tych, których kochali,
gdybym tak wierzył, chciałbym choć z oddali

patrzeć na Ciebie i pod Twoje stopy
za pieśnią rzucać pieśń, jak kwiatów snopy,
i takim hymnem owieńczyć Cię, droga,
ażby z błękitu wyjrzała twarz Boga!
Gdybym tak wierzył... Serce mi się zrywa...
Odwróć odemnie twarz i bądź szczęśliwa!

ZE ZBIORU: »HASŁA«

CIENIE.

We śnie widziałem je: z twarzą wybladłą,
Strawione głodu palącą pożogą,
Szły tłumy cieniów w dal bieżącą drogą —
Ponure sennej myśli mej widziadło.

Po zgiętych z pracy barkach, dłoni czarnej,
Poznałem je: to smutne cienie ludzi,
Których do trudu świt półmroczny budzi,
A trudu kres dzwon wieści im cmentarny.

To cienie ludzi, którzy patrząc w słońce,
Modlą się, aby zagasło coprędzej,
Bo tylko senni nie czują kłów nędzy —
I słońcu klną, gdy wita ich wschodzące.

Spytałem cieniów tych: »Dokąd wam droga,
Losów przemocy nieszczęsne ofiary

I bezpraw ludzkich?...« Odrzekły mi mary:
»Sprawiedliwości idziem szukać Boga,

Idziem go szukać w sercu pokolenia,
Co dzisiaj szyszak na skroń młodą wkłada...«
I przewinęła się cieniów gromada,
Jako kłąb dymu, co sferę zacienia...

Młodzi! wszak prawda, że nie nadaremno
Do waszych uszu jęk słabszych dolata?
Ten, kto rannego nie zasłoni brata
Swą piersią własną — ma duszę nikczemną!

Los, przeciwnicy mogą zmóc was tłumni,
Ale wiekowi niechaj wiek powtarza,
Żeście bronili idei ołtarza
Sił wszystkich dla niej poświęceniem dumni!.

HASŁO.

Co potem będzie, co nas to obchodzi,
Byle to zniszczyć, co jest teraz złem;
Jutro — pragnienia nowe światu zrodzi,
Dzisiejszym żyjmy dniem!

Dzieło tworzenia po zniszczenia dziele
Przyjdzie — niech o niem utopiści śnią —

My, śnić nie mamy czasu, burzyciele,
Dzisiejsze walim zło.

Jutro?... Ach, choćby z przyszłości odmętu
Żaden świat lepszy nie wyłonił się:
My, pełni wzgardy, ohydy i wstrętu,
Dzisiejsze niszczmy złe!..

PIEŚŃ O BOHATERZE.

Czy wiecie, kogo w swoją śmiertelną godzinę
odpychał precz rękami, w których już stygnącą
czuł krew? Myślicie może: strachu widmo sine?
Rozpacz, skrzydłami kruka w oczy mu bijącą?
Jawiącą się przed duszą wiarę, czy niewiarę?
Nie — on odpychał inną, bladą, cichą marę...

Odpychał precz to widmo, co na duszę wkłada
trupie ręce, a na kim stygmat swój wypali,
już ten jest, jako żóraw, co z pod nieba spada,
tak zmęczony, że zginie, a nie leci dalej;
odpychał precz rękami owo widmo szare,
ciche, nieme — odpychał rezygnacyi marę.

W ostatniej chwili cóż mu ta, czy owa w głowie
myśl? I bohaterskiego już dokonał czynu —
ale dotąd był jako zemsty aniołowie,
czynem zabłysł jak słońce, krwią jak Bóg dla gminu,

i z tej walki w ostatniej, śmiertelnej godzinie
nic nikomu nie przyjdzie — za minutę zginie.

Przecz więc walczy? I czemu poddać się tej myśli
nie chce, co mu się gwałtem we rdzeń duszy
[wdziera?
Już żołnierze lufami karabinów błyśli —
czy to nie wszystko jedno: jak człowiek umiera?
Któż weźmie z tego korzyść, że wzniesione oczy,
a nie do ziemi wbite, śmierć czarna zamroczy?

»Rezygnacya jest życia mądrością jedyną!« —
woła mu rozum ludzki z wagą rzeczy w dłoni;
»Zrezygnuj i umieraj, jak tysiące giną!«
Głos mu tej powszechności ponad czołem dzwoni,
co jak sęp za zgnilizną, poluje za żerem
w duszy ludzkiej — lecz on był z rodu bohaterem,

nie z przypadku. Teraz wy, co mu usypiecie
kopiec w sercach za jego ofiarę i ową
przed lufami postawę posągu, nie wiecie,
kiedy on rzeczywiście bił o chmury głową — —
tamto to był lot orła, co nad góry płynie,
to: to jest ten lot orła, kiedy z oczu ginie.

Z VI SERYI POEZYI.

FRAGMENTA.

Taka mi się śni burza, co góry wywraca,
taka mi się śni burza, co ocean dźwiga,
taka mi się śni burza, której grom, jak raca
ze słońca tchnięta: ziemi dookoła śmiga
i pali i zabija!... Przed memi oczyma
taka mi się śni burza — ale jej tu niema...

Jak z rozhukanej żądzy byka: z niej wylata
moc płodna aż do kości, aż do szpiku świata!
ale jak czoło byka w co uderzy: skruszy!
Taka mi się śni burza, lecz ją aniołowie
burz tylko w mojej ludzkiej zapalili głowie!...

Gdybym bogiem był: góry zmieniłbym w otchłanie
i otchłanie jak góry ku niebiosom dźwignął — —
a ot mi pozostało tylko słów wiązanie
i blask, co w dzień urodzin mych nademną
[mignął
i serce, co jest sprawom ludzkim tak dalekiem
w swem wnętrzu — — i uczucie, żem tylko czło-
[wiekiem..

I widzę, że jedynem oparciem dla ducha
jest bunt! bunt co jak mina pod twierdzą
[wybucha,

bunt przeciw rzeczom, ludziom i własnej istocie
przeciw życiu i śmierci!... Jeśli tam na złocie
gwiazd jest Bóg rozpostarty: to On jeden w niebie
bez buntu może istnieć i rozumieć Siebie.

Z VI SERYI »POEZYI«.

Gdy mówimy z sobą wraz
tak, że nas nikt nie słyszy,
te twarde góry i ten las
bezmiernej pełny ciszy:
ten wyraz, co nam w ustach wre,
jest twardy tak i głuchy,
jak kiedy o granitu głaz
stalowe tną obuchy.

I gorzki, zimny pełen wzgard
przepastnych i zawziętych
uśmiech, może przekleństwa wart,
z ust nam wybiega ściętych,
szyderstwo świeci z naszych ócz —
aż wstaje mgła z za grani,
na kształt straconych polnych wart
giniemy w mgłach, w otchłani...

Precz czucie, myśli! wilcze kły,
szpony, co świat szarpiecie — —

moje tatrzańskie idą mgły,
mój rodny wiatr je miecie!
Precz!... Oto na pierś matce syn
położył głowę senną,
a z lodów kryształowe łzy,
płyną na pierś kamienną...

I jedna tylko górska mgła
i ta pierś granitowa
wiedzą, co w mojem sercu drga,
czem płonie moja głowa —
i wie to tylko lity głaz,
granitu te kamienie,
na czem, jak trumny płyta ta
spoczywa me milczenie.

Z VI SERYI »POEZYI«.

Ciche, mistyczne Tatry, owe wieczne głusze
zimowych śnieżnych pustyń, owe zapadliska
niedostępne wśród złomów, gdzie jeden się
[wciska
mrok i gdzie wicher końcem swych skrzydeł
[uderza
z głuchym jękiem, jak końskie na polu kopyta,
uderzające w zbroję martwego rycerza:
ty, pustko, w siebie wołasz błędną ludzką
[duszę...

Ty, pustko nieskalana, kędy myśl człowieka
w dumną, zimną samotność wolno się odwleka,
jak lew ranny w pieczarę zapadłą i skrytą;
ty, pustko nieskalana, gdzie się dusza rzuca
zmęczona i ponura, by z krwi chłodzić płuca,
oczy myć z kurzu, ręce ogartywać z błota...

O Tatry! jakże drogą jest wasza martwota!
Ten chram, kędy ofiarę niezmiernemu Bogu
odprawia wiatr u skały lodowej ołtarza
a tej mszy słucha kornie zwieszonych milczący
tłum i białego lasu przepastna ciemnota
i kędyś uczepiony na szczytowym rogu
blask wschodzącego słońca, co lody rozżarza,
na kształt lampy ofiarnej, u stropu wiszącej..

A kiedy się gwiazdami zaświecą przestrzenie
wiekuistego nieba i nieprzeniknione
zejdzie na ziemię nocy zimowej milczenie:
wówczas mi się wydaje, że już lat tysiące
ubiegły, że już życie dawno pogrzebione,
i że jest to dusz ludzkich dawno niepamiętnych
dusz, do szału zuchwałych, do szaleństwa
[smętnych,
uroczysko grobowe, senne i milczące.

MARSZ ZBÓJECKI.

Hej! idem w las — piórko sie mi migoce!
Hej! idem w las — dudni ziemia gdy krocę!
Ka wywinem ciupazecką — krew cérwoną wytocę!
Ka obyrtnem siekiérecką — krew mi z pod nóg
[bulkoce!

Ciemniuśka noc — ogień lasem przeświéca!
Ciemniuśka noc — złe się złemu zaléca!
Na polanie popod jedle — watra w lesie się pali;
cy się grzejom dziwozony — cy jom carci skrzesali?

»Ty mlady brat — ty sa s nami stowarzis!
Jak padnie ci — budzies cirnom ziemie gryz,
a jak padnie — talarkami, dukotami budzies siał,
na kazdy dzień freirećku — kohanećku budzies miał!«

Hej bratowie! — ja sa ku wam zwerbuje!
Nie płaccie mi — kochanecki leluje!
Nie płaccie mi, siostry moje — jabłonecki bielućkie!
Nie pładze mi, matko, ojce — gołąbecki siwiućkie!

Nie płaccie mi — jo se ide zbijać, kraść!
Za dak mi las — za posłanie mokwa, chraść!
Jak mi padnie tolorami — dukotami bedem siał!
A jak padnie siubienicom — budzie sie mnom wiater
[chwiał!

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI



ur. 1853 w Henrykówce w gub. Podolskiej. Wydał osobno »Sen«, poemat 1873. »Poezye« 1882, »Poezye« 1884, »Poezye«, 1894, »Rapsody« 1901 (1907).

MYŚLI SAMOTNIKA.

III.

Szalałem! to nie słowo, to był czyn ogromny,
W którego glinę, rzeźbiarz życia, tchnąłem ducha,
I posąg trwał, młodości mojej wciąż przytomny,
I wiecznie lawą uczuć we spomnieniu bucha,
A mierząc w walce z losem czas na serca bicia
Zgubiłem?!... nie! znalazłem treść najlepszą życia.

I dziś, choć mojej skroni poślubiona chmura,
Lecz gdyby wróconemu z dawnych dni połowu
Oddano młodość górną, dawne marzeń pióra,
Potężne wziąłbym loty... i szalałbym znowu!

XV.

Uwiłem sobie gniazdo, lecz na szczycie góry,
Skąd przestrzeń od zachodu aż na wschód obejmę,
I patrząc, jak powstają nowych zórz purpury,
Znużone z nieba oczy w śmierci chyba zdejmę...
Huragan mię wysmagał, przyszedł grom z daleka
I tłukł w mą skałę, dniowa mię paliła spieka.

Mych wyżyn życie marnym nie dolata szumem,
Ptak z dołu nie dostanie mię wątłemi pióry:

Ziemskiego szczęścia próżen, nad zgiełkliwym
[tłumem
Umieram dumną śmiercią, lecz na szczycie góry.

PTAK.

Olbrzymi ptak słoneczny wybił się nad niwę,
Skrzydłami blasków okrył mgłę, co z nizin bucha,
I ogniem nagłym zjęte kłosy drżą, jak żywe,
Westchnęły szumem, idzie szum, a niwa słucha.

Słoneczny ptak na chwilę odpoczywa w chmurze,
I zwinął pióra blasków; rzeka już nie głucha,
Mrokami zjęte niosąc mgłę, drżą fale duże,
Zagrały szumem, idzie szum, a rzeka słucha.

Las ocknął się i gwarem ptaka słońce woła,
Ptak z chmury runął wichrem, co w dąbrowę
[dmucha,
Kołyszą się promienne żagwie — dębów czoła,
Zagrały szumem, idą szumy, a las słucha.

Zbudzone serce wchłania w siebie blaski wrzące,
Jak gdyby ptak słoneczny zapadł w głębie ducha
I z oczu się wybija wielki, jako słońce,
Westchnęła pierś, faluje krew, a serce słucha.

KU ŚWIATŁU.

Ku światłu: nad szarego pył koliska,
Nad powszedności czarną wzbici glebą,
Tam, gdzie dróg nowych szlak promienn
Uderzmy w lot i skrzydłem bijmy w n

Dokoła ciemno. Ptak, co w mroku gośc
Ku niebu rwie obracając oczy,
Złe wróżby, zwiastun zguby, nam proro
Wąż sycząc z pyłu, uczy nas mądrości,
Ćmy tłumią każdy światła płomyk blad
Pies na brzask szczeka, wietrząc mrok

Ku światłu! stańmy siłami nocy sporem
Wspólnemi siły i wspólnemi wzloty;
Ku światłu, starym Prometeja torem
Na nowo niebu wykraść płomień złoty!

Letargiem płazów świat w nizinach drze
Wzrok zacieśniają szare widnokręgi,
Przytłacza piersi prawd zdawkowych br
Ubyło skrzydeł wiary i potęgi;
Ogołocone z zasad i promieni
Powszednie głupstwo się światłością mie

I lata karmić żrące duszy głody
W idei kraje, boskiej serc kochanki.

Dzisiejszy świat gnuśnieje oniemiały;
W grobowcach ciasnych mroku i przesądu
Śpią mumie pojęć i wiar, co przebrzmiały,
O świetle marzą, oczekując sądu...
Hej, bądźmy nad ich znikomością szarą:
Pojęciem, nowem, sądem, światłem, wiarą!

I śród wzlotnego serc i duchów związku
Ku nowym prawdom i przez nową miłość,
Nowego wznieśmy gwiazdę obowiązku,
Zakreślmy światu nowych praw zawiłość.

Precz z zwątpieniami, co się wgryzły w serce,
Łamiąc bijących w niebo skrzydeł śmiałość;
Niech zginą kłamcy, podli i szyderce,
Co na anielską plwają duchów białość.
Hej, wznieśmy skrzydła śmiałe i szumiące,
Przed nami ziemia, morze, błękit, słońce...

Ku światłu! każdy wzlot jest prawem Bożem,
I Bożą takich jest latawców droga.
Ku światłu! wiarą w światło noc przemożem
I w przyszłość spojrzym z słonecznego proga.

Z CYKLU: »KSIĘGA PRZYRODY I SERCA«.

A w tej krainie, gdzie nam szczęście było,
Uczynił się pamiątek cichy smętarz
I każdy kwiat wspomnienia jest mogiłą
I listkiem drżącym pyta: »czy pamiętasz«?

I każde po nas rozpłakane drzewo
Jest jak szemrząca tęsknic harfa smutku
I listków w zorzy krwawi się ulewą
I szepce wichrom skargę pocichutku.

I ta, co kładła Tobie tęcz wśród zdroju,
Pod stopy fala, choć się lilią bieli,
Zapyta w blasku rannym: »Kędyś moja?«
I smutek wyjdzie białą mgłą z topieli.

I mrące po nas gwiazdy światłem drżącem
Na kwiaty jedne srebrną spadną rosą,
A inne gasnąc z zorzą i miesiącem
Do Boga w błękit żałość swą poniosą.

I wszystkie ptaki, patrząc w zorzę ranną,
Rozmawiać będą cichym płaczem z sobą
I wiać się w niebo pieśni swych Hosanną,
Tęsknotą wielką zdjęte i żałobą.

A słowik w złote wtórej wiosny rano,
Wśród błękitnego cichych niebios dworca
Pieśń, liśćmi innych kwiatów kołysaną
Zanuci po nas, — pieśni cudotwórca.

PRZY PROMYKU GWIAZD.

Wyszła troska z cichych chat
I jaskółką na obłoku,
Nad polami leci w świat.

Mroczy się promienna dal,
Fale skarżą się w potoku,
Z fal szmerami płynie żal.

Gwiazd mgławica w niebie skrzy,
Fale skarżą się pocichu.
Z oczu gwiezdnych płyną łzy.

Mgła już nie wie, kędy iść,
Rosa w kwiatów lśni kielichu
I osrebrza każdy liść.

A żal rośnie w górę w zwyż,
Wschodzi z grobów niezabudką
I obwija bluszczem krzyż.

Zorza mieni się jak krew,
W trzcinach szepce wiatr cichutko
I kołysze wierzby drzew.

Noc rozsiewa w koło czar:
Wąwozową skalisk szyją
Wieją białe tłumy mar.

Poza cichy grobu kres
Wyszły z mgłą i w mgłach się wiją,
Pełne skarg i pełne łez

W gwiazdach świta cicha skroń,
Oczy blask jutrzenki piją,
W niebo się podrywa dłoń.

JÓZEF WIŚNIOWSKI



ur. w 1878 r. w Krakowie. Obecnie naucz. gimn. w Krakowie. »Poezye« I, 1901, »Poezye« II. 1903. Dwa dramaty wierszem: »Śpiąca królewna« 1907, »Krzak gorejący« 1907.

STORNELLE.

Pst, słońce wschodzi!
Rzuca na ziemię złotych strzał tysiące
I wszystko topi w jasnych barw powodzi;
Pst, wschodzi słońce,
I zmienia ziemski padół, jak czarodziej,
W ustronie wonne, kwietne i śmiejące.

Na żytnie łany
I na wstąg rzecznych w słońca skrach błękitnie
Lśniącą powierzchnię, spływa nimb różany;
Na łany żytnie
Pył złoty leci, leci czar wiośniany:
I wszystko pała, śmieje się i kwitnie.

Śpiewacy leśni
Budzą się pierwsi do swej dziennej pracy
I zaczynają rozwodzić swe pieśni;
Leśni śpiewacy
Ze wszystkich istot i stworzeń najwcześniej
Żyć zaczynają i śpiew nakształt racy

Strzela w błękitu
Modrą oponę i pełen wesela
Wita jutrzenkę perłowego świtu!
W błękitu strzela
Toń lazurową, jakby z malachitu
Ulaną, pszczelna i osia kapela.

I wszędy wstaje
Ruch, gwar i życie. Pól jedwabnych grzędy
Tchną upojeniem, cicho szumią gaje,
I wstaje wszędy
Taka bezmierna rozkosz, iż się zdaje,
Jakby szedł biały Anioł szczęścia tędy.

Na roli świętej
Zjawił się siwy Piast-kmieć i powoli
Podszedł, by spojrzeć na łan żyta zżęty,
Na świętej roli
Stanął i zdał się znagła wniebowzięty,
Tak twarz mu lśniła w słońca aureoli.

W górze skowronki
Dzwoniły nad nim w sfer błękitnej chmurze,
Jak czarodziejskie, metaliczne dzwonki, —
Skowronki w górze
Grały, a kędyś w dali wonne łąki
Tonęły w jutrzni królewskiej purpurze.

W polną ulicę
Weszli żniwiarze. Słychać wkrąg swawolną
Piosnkę i widać dziewcząt pstre spódnice;
W ulicę polną,
Kędy zagonów barwne szachownice
Łączą się, weszli ochotnie choć wolno.

Zboże ujrzeli
I pochwaliwszy chórem Imię Boże,
Z radością żywą do pracy się wzięli;
Ujrzeli zboże
I tejże chwili, jak jeden mąż wszczęli
Pieśń Pańską: »Kiedy ranne wstają zorze...«

A słońce z góry
Lało wciąż na nich blaski swe gorące,
Kaskady złota, ponsu i purpury;
A z góry słońce
Błogosławiło tej ich pracy, z której
Żyć ma tysięcznych tysięcy tysiące.

HYMN.

Wykołysałem się na sercu Twojem,
Orla, wichrowa, niebosiężna Pieśni!
Stałaś się natchnień mych krynicznych zdrojem,
Snem, co się nigdy Duszy mej nie prześni.

Spiżowy głos Twój i dziewicza czystość
Nie dały paść mi, gdym bólami smagan
Patrzał w ponurą, nagą rzeczywistość,
Gdy żal bił we mnie, jak w drzewo huragan.

Pośród zastygłych uczuć mych popielisk
Stałaś z wyrazem nieugiętej Mocy,
Gdyby w marmurze kowany obelisk,
O który musi rozbić się cień Nocy.

Gdy Dusza moja, w codzienności łapach
Brudzona, gasła, Ty stanęłaś przed nią
Ze swoją wielką zwycieństw przepowiednią
I rozszedł się w niej Twój cudowny zapach.

Olśnił ją barw Twych czarodziejski przepych,
Iż dziś, niepomny ostrych Losu zniewag,
Ni prac daremnych, ni udręczeń ślepych,
Kult męstwa głoszę, Twych melodyi śpiewak.

Jest odtąd w piersi mojej żywy strumień,
Przedwieczne Słowo, nieskalana Świętość,
Co wnika w głębie zwiędłych serc i sumień,
A Słowem onem: – Moc i Nieugiętość.

Przez nie jam dzisiaj z aniołami zbratan,
Przez nie jam zbył się dzisiaj ziemskich oków,
W które zakuwa wolne zwątpień szatan,
Wsłuchany w wieszczą, gromką pieśń proroków.

W Ciebie, przeczysta ich natchnień Westalko,
Pomny Twych słodkich, nieśmiertelnych pieszczot,
Śpiew rzucam twardy, jak rycerski brzeszczot
By raz zakończyć z mąk zabójczą walką.

Otrząsłem gniewnie wszelkie łzy z pod powiek,
Patrząc w Twe lica liliowo-srebrne:
— Ach, inny, stokroć inny jam już człowiek,
Nad otchłań wkraczam, lecz wiem, że ją przebrnę!

Żaden żal w Duszy mojej więcej nie łka
I jej oczyma widzę w jasnowidzie
Wstające w okrąg tysięczne światełka
I wiem, że dzień ten, który wieścisz, idzie!

I w proch przed Tobą padam, żem wysłuchan,
Żeś położyła kres mej strasznej męce:
— I wziąwszy w dłonie kryształny roztruchan,
Moc, zlaną na mnie przez Ciebie, nim święcę!

PIEŚŃ PORANNA.

Jeszcze mrok nocny kryje uśpiony
Świat, jeszcze cisza leży na polach,
Wiatr jeno wonny pieści zagony
Zbóż i kołysze liście,
Drżąc w smętnych brzozach, w smukłych topolach,
Jak dusza drżąca wieczyście
W otchłannych rwących, bezbrzeżnych bolach,
Jak biedne serce
W rozdzierających cierpień rozterce.
— O przebolesna, okrutna chwila!
Cisza złowieszcza leży po polach;

Jeszcze mrok nocny kryje uśpiony
Świat, milczą ptasie gniazda:
Duch pod brzemieniem trwogi się chyla
I czeka z bólem, z zapartym tchem,
Rychło-li zgaśnie ostatnia gwiazda,
I wskróś przeźroczej niebios opony
Błyśnie Nadzieja wraz z dniem.
W powietrzu wisi upajająca
Woń, niecąc w Duszy,
W tej skarbów pełnej, przepastnej głuszy,
Wśród najsprzeczniejszych uczuć tysiąca
Świadomość pełni, sił i młodości.
Wilgotny oddech półsennej ziemi
Kładzie się na nią z drżeniem miłości,
Wnika w jej rany:
A wiatr pachnący tchnieniami swemi
Grąży ją zwolna w mgłę zapomnienia
I od ziemskiego wolną cierpienia,
Kładnie przed Panem na pany. —
Nagle wśród cichych, błękitnych sfer
Zadrżał radosny, daleki szmer:
Hymn powitalny, hejnał prześwięty,
Wielbiący dary wszechmocnych łask,
I przez powietrza drżące odmęty
Padł na faliste, zroszone łany,
Na rosłych dębów stuletnie głowy
Oczekiwany
Pył liliowy:
– To Brzask, to Brzask, to Brzask!

Jak za dotknięciem rąk czarodzieja
Pierzchły obawy i niepokoje,
Niby ruchliwe skrzydlate roje
A z ich głębiny Hart płynął męski,
Moc i Nadzieja.
Wszędy się rozniósł przedświt zwycięski,
Nagła niepamięć na dawne klęski
I szczęście, szczęście olbrzymie, mocne,
Zdusiwszy w duszy wizye nocne,
Wzięło ją w moc swą przebojem,
Owładło całem jestestwem mojem
I czcią przejęty
Śpiewałem z całem istnieniem
Ów hymn dziękczynny, ów hymn prześwięty
Świątynnem Duszy Milczeniem.
— A brzask rósł w zorzę. Zrazu niebieski,
Ponsowiał zwolna: — promienne strzały,
Zarania gońce,
Kreśliły w gęstwinie drzew arabeski
Złote po ziołach i wreszcie cały
Wszechświat powodzią barw swych zalały:
— To Słońce, Słońce, Słońce!
— O trzykroć święte zachwytu dreszcze! —
Szczęścia nie mąci żaden głos jeszcze,
Jeno wiatr rączy
Dotyka barwnych, kwiatowych pnączy
I śpiewa swoją niedocieczoną,
Swą niepojętą pieśń.

Wolniej i pełniej oddycha łono,
Coś się w niem budzi na widok Słońca,
Podłego smutku trawiąca pleśń
Pod jego wpływem znika i pierzchnie.
Z głębi wypływa
Kędyś z pod serca, na fale wierzchnie
Mej duszy odrodzonej,
Orla szczęśliwa,
Huraganowa,
W nieznane dotąd bijąca tony,
W nieznane dotąd ubrana słowa
A ukochaniem i wiarą tchnąca
Pieśń.
Od niemowlęctwa żyła w mem łonie,
Szła za mną wszędzie, gończa, skrzydlata,
Mężna jak serce w spiżowym dzwonie,
Skąpana w morzu łez,
W ogromie bólów i mąk wszechświata,
Z szarpiącem, ostrem, krwawem pytaniem
— »Gdzie kres, gdzie kres, gdzie kres?!«
Pod jej wyniosłem, wichrowem graniem,
W Duszy mej podły jęk trwogi zczezł,
Na jego trupie wstał Olbrzym — Hart,
Żelazne, twarde, wytrwałe Męstwo,
Ufne w świetlane Prawdy Zwycięstwo:
I przyszłość świata budując na niem,
Pieśń trubadura rzuciłem precz
I słów stalowych ująwszy miecz,
Śpiewam, jak Mocy prawdziwy bard.

MÓJ ŚWIAT.

Zbudowałem sobie świat,
Taki piękny, taki mój:
— Cudnych marzeń wonny kwiat,
Zwierciadlany szczęcia zdrój
Lśni w tym świecie fantastycznym,
Kędy niema wstępu ból. —
Aromatem balsamicznym
Tchną kobierce jego pól.

Zbudowałem sobie świat,
Świat wyśniony w rajskich snach:
— Wszelki żal w mej duszy zbladł,
Skonał wszelki lęk i strach.
Po zielonych łąk atłasie
Wonny wichr zatacza pląs,
Dzwonią miękkie pieśni ptasie,
Mknąc pod zorzy wiecznej pons.

Błogosławiony on dzień święty, w którym
Stanęłaś w gloryi blasków swych przede mną
I drogę moją rozwidniłaś ciemną,
Gdy Duch mój w smutku grzebał się ponurym!
Kazałaś iść mi za sobą, więc idę

Od dnia onego szlakiem Twojej drogi,
Moc Twa stanowi odtąd mą egidę
I wiara w dobre, nieśmiertelne bogi,
Idę za Tobą przez traw bujne zielska,
Przez łąk pachnących wzorzysty gobelin,
Wskróś urwisk, kędy Śmierć tchnie z wszystkich [szczelin,
Pani Anielska!
Idę za Tobą w światła blask niezmierny,
Przez rozśpiewane fale modrych sfer,
Do jakiejś świętej, rzeźwiącej cysterny
I w ręce Twoje zdając dni swych ster,
Na ucztę idę z Tobą, na godową,
Wskróś mgieł skłębionych, nieprzejrzanych smug,
W on Kraj, gdzie żywie nieśmiertelne Słowo,
Idę za Tobą przez pas mlecznych dróg.
Kręta to, długa i zawrotna ścieżka,
A jednak wszedłem na nią z szczęściem w duszy,
Którego żaden ziemski ból nie zgłuszy,
Bo na jej końcu Bóg Wesela mieszka.
Czuję nad sobą Twe ręce matczyne
Po dawnem, dreszczem przejmującem zimnie
I w lot podniebny, podsłoneczny płynę,
Wielbiąc Cię w wielkim ukochania hymnie.
W Kraj, gdzie się wszystko jawnem staje Duszy,
Wylatam myślą skrzydlatą i szparką:
— A Moc Twa pęta jej doczesne kruszy,
Natchnienia Arko!
Pogrążon w cichą, świętą szczęścia topiel,
Błagam: — »Uczucia moje spal i spopiel,

Zdruzgocz mą lutnię siłą swego wzroku,
Gdybym Twym lotom nie dotrzymał kroku,
Lecz nie daj, abym po Twych pień orkiestrach
Śpiewał złowrogi Smutek albo przestrach!«
— Każesz: — mknę z Tobą, każesz: — znów na
[ziemię
Wracam, lecz Duchem jestem tam, wśród chmur,
Kędy huragan przyczajony drzemie
I pieśniom Twoim męski rzuca wtór.
Wracam, lecz odtąd nie będę już tłumu
Kołysał nigdy do snu pieśnią łzawą,
Jeno ufnością z królewskiego tumu
Twego dobytą i za Twoją sprawą
Zszedłszy na cichą, biedną, smętną ziemię,
By wwieść weń ludzkie, pełne bólu plemię,
Zbudowałem sobie świat,
Piękny, bo w nim czar lśni Twój:
— Cudnych marzeń wonny kwiat,
Zwierciadlany szczęścia zdrój
Lśni w tym świecie, w tym mistycznym,
Kędy nie ma wstępu ból, —
Aromatem balsamicznym
Tchną kobierce jego pól.

Zbudowałem sobie świat,
Świat wyśniony w rajskich snach, —
Wszelki żal w mej Duszy zbladł,
Skonał wszelki lęk i strach.

Zapatrzony w blask Twych prawd,
W Twoich słów i uczuć haft,
Tracę z oczu bytu ciemnie:
. . . .
— A ten świat, ten świat jest we mnie.

MAMERT WIKSZEMSKI

Poezye w »Chimerze«.

Tyle chwil zgasło, wszystkie z niebios rodem –
W których Bóg sercu spełnić dał marzenia...
Czemuż ta jedna wciąż się wypłomienia
Z mózgu, wciąż błyska okiem wiecznie młodem?

Chwila, gdy mi się wydarłaś z ramienia,
Dziewczyno, mlekiem płynąca i miodem!
Chwila – jak wulkan wrzący duszy spodem –
Wściekła od wstydu, zemsty, rozżalenia!

Czy mogłem wiedzieć, że ten żal utraty
Wyskrzydli z serca taki blask bogaty?
Tylem zapomniał ust sycących miody –

A niezdobyta zmysłów twych ponęta
W ranie pamięci wzrasta wciąż! Zaklęta
Perła przedziwnej, wyszukanej wody – – –

NA WĘDRÓWCE.

Przed daleką i nieznaną drogą,
(Któż wie – dokąd płynie cicha łódź?)
Czemuż usta mówić ci nie mogą
Słów, przedziwną rozśpiewanych trwogą,
Których serce nie przestaje snuć?

Czemuż usta mówić ci nie mogą,
Może twoich własnych niemych czuć,
Niepoznanych nigdy przez nikogo?
Przed daleką i nieznaną drogą?
(Któż wie – dokąd płynie cicha łódź).

WACŁAW WOLSKI

ur. 1867 w Płockiem. Mieszka we Lwowie i Zakopanem. Pisma: »Nieznanym« 1902, »Ballady Tatrzańskie« 1908, »Powieść tajemna« 1908.

WIZYA.

(z »Nastrojów«).

Widziałem siebie w czarnej granitowej trumnie,
Którą jasność piorunu tragicznie oświeca...
W sinem świetle błyskawic skąpane me lica,
Uśmiechają się zimno, szydersko i dumnie...

W głowach trumny dopala się czarna gromnica
I szatana twarz smutna pochyla się ku mnie,
Bezdennemi oczami widząca rozumnie
Moją trupią zieloność wyznawcy księżyca...

Szatan przykrył mnie czarnem granitowem wiekiem,
Dźwignął trumnę na ciemne atletyczne bary
I z trudnością, przy gromów huczeniu dalekiem

Poniósł ciężar z ołowiu w zamglony świt szary,
Zapłakawszy łzą krwawą nad strasznym człowie-
[kiem,
Ze sfinksowym uśmiechem idącym na mary...

BALET LUNATYCZNY.

...Pokój łuną błękitną miesięczną zalany...
W sennym, srebrnym opyle gwiazd lśniące
[klejnoty...
Księżycowych rusałek powiewny rój złoty
Igra, tańcząc po tafli posadzki lustrzanej...

Zalśnił sezam tajemny błękitnej snów groty...
Lśni tęczowe marzenie szronowej Goplany...
Lśniące złote widziadła w pajęcze mkną tany...
Płoną baśni miesięcznej błękitne namioty...

W kolorowych brylantów, gwiazd lśniącym orszaku,
Pląsa sennie po taflach zwierciadeł-płyt laku
Cicha, lekka, puchowa Goplana błyszcząca...

Elfy złotoprzeźrocze, jak w sennym majaku...
W szkle posadzki złocista kolumna miesiąca...
Wizya groty błękitnej, jak cudny sen, lśniąca...

Z TATR.

(Dolina Kościeliska).

...Po głazów mchu
Pluszowym, rdzawym
Dunajec spieniony
Malsztromem ciemnym, srebrnawym,

W którego szumie słychać złote dzwony,
W cieniu lesistych, prostopadłych skał,
Jak wściekły smok się przewala,
Jak grzywa Gorgony,
Jakby rozszarpać Tatr granity chciał...
Skalistej, ciemnej, spienionej krwi fala!...

Srebrzystym kłem
Smok gryzie głazy,
Od wieków omszałe...
Jak sen, za przesłoną gazy
Błękitnej, Tatry głoszą słońca chwałę,
Co nad ciemnymi ich garbami lśni,
Jak złota Boga pochodnia.
Jak sny stężałe
Pną się po skałach ciemnych borów mchy,
Baśniowe czary odprawiając co dnia!...

Najświętsza z naw
Boskiej katedry
Tatrzańskiej przyrody!...
Jak szumne, wyniosłe cedry
Na stok Libanu, wchodzi szczęsny, młody
Na szare ściany smreków ciemny bór,
Na chwałę Bogu szumiący...
Jak Tatr rapsody,
Fale Dunajca sennie szumią wtór,
W pysznej zachodu fanfarze gasnącej!...

—

Pod ziemią tu
  Śpiący rycerze,
    Huf złoty, kamienny,
Smętni, tragiczni Walgierze,
  Śród krwawej męki duchowej Gehenny,
    Pod Tatr grobowcem, jak lwy śpiące, śnią,
      Do skał zaklęciem przykute...
I w gwarze sennej.
  Szumy Dunajca płaczą krwawą łzą,
    Rwąc się do boju na śmierć, na redutę!...

ANIOŁ PAŃSKI.

...Popłynął dzwon
  Z kamiennej wieży
Tatr czarnych, ton,
    Szloch, pełen tęsknoty...
  Przez wyłom reglowych wieży,
    W zorzy zachodu popłynął pył złoty
      Hen! na rozłogi naszych zbożnych pól,
        Gdzie ciche grusze drzemią...

  Na łono Macierzy
    Wyszlochać wielki, przedwiekowy ból...
        Popłynął nad tą mogił, krzyżów ziemią.

Metalu łzy
  Roni w Tatr ciszę...

Pył złoty mży
Ponad regle czarne...
Pierś ziemi ulga kołysze...
Hen! pod gwiazdami śnią Tatry mocarne...
Szeherezada — w mgły spowita noc
Baśnie im opowiada.

Nawiewa haszysze,
Usypia czarem ich olbrzymią moc...
Wschodnia, baśniowa noc... Szeherezada.

Śpi w łonie Tatr
Siła Samsona,
Jak halny wiatr,
Co, jak tur, się zrywa,
By regli rozwichrzyć łona,
Aż mu liściasta rozwiewa się grzywa,
I pędzi z rykiem stu powietrznych trąb,
Smrekowe łamiąc bory,

Dopóki nie skona,
Znowu zapadłszy w Tatr sezamu głąb,
Jak zapadają pod ziemię upiory...

O, zbudź się, zbudź,
Czarnych Tatr mocy!...
Nam Przyszłość kuć,
Niby w ogniu złoto,

Jaką wieszczyli prorocy,
 Jaką przeczuli dusz wielkich tęsknotą,
  Natchnionym wzrokiem patrząc w czasów
   Rzesz ludzkich ćmę nieznaną [dal,

W doli sierocej
  Daj siłę ducha, daj nam czynów stal,
   Byśmy ujrzeli słonecznych dni rano.

BALLADA O MADEJU MROZIE.

...Hej, Madej Mróz
Rozżarł się srodze!
Narządził wóz
Z żelaza-lodu.
Wsiadł nań i mroźnym wichrom puścił wodze!..
Runął na ziemię, na biedę narodu,
Okrutny, luty, bezlitosny zbój,
W żelazne uchwycił kleszcze,
Co mu na drodze
Stało, i ziemię pchnął na ruję ruj,
W lodowej śmierci uściski złowieszcze!...

Upiory drzew
Zlodniałe ściska,
Aż biała krew
Szadzi z nich sypie!...
Tatry, jak siwe, olbrzymie wiedźmiska,

Co się upiły na Giewontu stypie
I skamieniały, wiodąc dziki tan,
Pod grubą lodu skorupą,
Pod Madeiska
Lodową pięścią siną, wpadły w stan
Głuchy letargu i zastygły kupą!...

Hej! skostniał bór,
Biały, widmowy!...
Jak piekieł mur
Posępny, sterczy...
Lodowe szkarpy twierdzy Madejowej
Owiewa śmierci dech z lodowatych gróz,
Lodowy podmuch Wieczności,
Oddech Jehowy,
Co w bladem słońcu zimowem się niósł
Białą mgłą mrozu, co przenika kości!...
Jak ktoś, co śni,
Mróz-Madej luty
Swą paszczę z krwi
Skrzepłej ociera,
Oślizgłe, lodne, ołowiane knuty,
I pyskiem sinym śmieje się, cholera,
Ten mściwy, dziki, bezlitosny zbój,
Co biedny naród wytraca,
Lodem okuty,
Wstrząsany śmiechem tłucze kadłub swój
Pięściami z lodu, Mrozu siny Baca!...

I biały dym,
Jak mleczna para,
Z kotłów Wiedźm-Zim,
Z jarów gardzieli,
Kipiących mrozem, śród smreków się para
Widm białych, nizko nad ziemią ścieli,
Co pęka z mrozu i zmarzła, jak kość,
Na głaz stwardniała, się kurczy,
Śmiertelnie szara,
O ile całun nie okrył jej dość,
Śmiertelny, biały!.,. Drzew grzechot jaszczurczy

Przez mroźny wiew
Wichru trącanych,
Jak granie trzew
Wilczego głodu,
Jak chrzęst piszczeli szkieletów pijanych,
Tańczących taniec rozpaczy i lodu,
Przeszywa ducha jak lodowa stal,
Jak potępieńczy żar mrozu,
Jak łez przelanych,
Zlodowaciałych skrzepły, szklący żal,
Obłąkujących swoją bladą grozą!...

KAZIMIERZ WOYCZYŃSKI.

MAM WIARĘ.

Mam wiarę, mam, że zduszę Ból, co jęczy
Wśród czarnej nocy serca człowieczego,
Rozpalę w niem promiennej blaski tęczy
I wzniosę cisz pogodną pieśń do niego.

Mam wiarę, mam, że smutne ludzkie twarze
Rozjaśnię rannem tchnieniem duszy mojej,
Wwiodę mój lud przed jasne gdzieś ołtarze,
Gdzie łzy obeschną, ból serc się ukoi.

Mam wiarę, mam, że złamię ludzką nędzę,
Bo o tem mi marzenia w snach mówiły,
Że ujrzę lud mój w szczęściu i potędze —
Marzenia me, o siły wam, o siły!

DO MEGO SKOWRONKA.

Okryj się pieśni skowronka pióry,
Skrzydełka rozwiń, wzbij się w lazury
I płyń i nuć!
O wiośnie, kwiatach, tęczach i świcie,
O Bogu jasnym, dobrym, w błękicie,
Ucz ludzi kochać, ucz ludzi czuć!

Niechaj żądz nizkich zrzucą łańcuchy,
A staną silne i wolne duchy
I ruszą w bój,
Z sercem niewinnem, dłońmi czystemi,
Aby jutrzenne szczęście znieść ziemi —
Śpiewaj im o tem, o ptaszku mój.

O! śpiewaj, śpiewaj słodko i czule,
Że miłość koi smutki i bóle!
A zbawia Czyn —
Niech umiłują trudy i znoje,
Wtedy ich przyjmie na swe pokoje
Cichy, pokorny Człowieczy Syn.

Otoć wysyłam i błogosławię,
Ptaszyno serca, służ Bożej sprawie,
Nuć ludziom, nuć!
A gdy ukocha Ciebie serc wiele
I gdy w nie wejdzie niebios wesele,
O! wtedy wróć się do mnie, ach wróć!

Pójdziemy razem, ptaszyno jedyna,
W kwiecisty ogród Bożego Syna,
By przywieść Mu
W cichej i szczerej serca ofierze
Owe słoneczne, chrobre rycerze,
Które wydarliśmy ziemi złu.

Więc leć, mój ptaszku, po burzy krwawej
Z różą Pokoju, Dobra i Sławy
W tęcz barwny szlak –
Skowronku, wdzięczny wiosny zwiastunie,
Nieś zmartwychwstanie każdej serc trunie,
Leć! dan już z niebios płomienny znak.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

poezye w »Chimerze« i innych pismach.

WOLA.

Ja — skalny dziki ptak — mych szponów grotem
Rozdzieram burzom pierś — jak błyskawicą —
Na strzępy chmury drę spojrzeniem krwawozło-
[tem —
Na wielki wzywam bój grozę sinolicą.

Bo wzgardę szczytów znam, co drzemią w srebrze,
Bom zwalczył widma snów w zamczysku starem,
Ja — słucham, jak z za krat o wolność nieba
[żebrze
Tęsknoty-branki płacz zamkniętej w duszy harem.

Lodowców jasny grom — lawiny szały
Na klęski wiodę w dół sztandarem lotów,
Lub w granitową turń zasiądę skamieniały,
Bym był na pierwszy krzyk do walki z wichrem
[gotów.

Jam — silny — czułem wciąż dwóch jezior żądze -
Przed wieki rozbił je mój głaz przełęczą,
Czekały na mnie tak, czy ku nim nie zabłądzę
W ulewie, bym je mógł uścisnąć jedną tęczą. —

Aż cyklon rzucił mną w pomroczny parów,
Gdym wiedział, że już kres! W bazaltów złomie

Twarz Losu nad mgłą pian, nad głębią wiecznych
[warów –
Tam sny mych przeczuć drżą w podziemnych wód
[malstromie.

W ostatnim wzbił się lot – zwyż - na otchłanie –
Już tylko w dole gdzieś lśni wirów szmaragd...
I gdym w zenicie stał w mych skrzydeł huraganie
Ja – skalny, dziki ptak runąłem w toń katarakt.

ZWĄTPIENIE.

Żem wiele wycierpiał, choć krótkie me życie,
Żem z duszą swą w boje szedł wciąż płomieniste,
Żem jest nad przepaścią w bolesnym zachwycie –
Zmiłuj się, Chryste!

Że stoję w zadumie nad dziełem stuleci,
Że zrywam się atom w przestwory gwiaździste,
Że w duszy ciemnościach sto komet mi świeci –
Zlituj się, Chryste!

Żem padał znużony pod prawdy ciężarem,
Żem patrzał nie widząc w kryształy słów czyste,
Żem Ciebie nie odczuł w cierpieniu prastarem –
Zlituj się, Chryste!

Zlej w duszę łask światło na męczeństw Taborze,
Bym w ziemię te blaski słał niebios świetliste,
Daj życie, lub weź je, — lecz całe, o Boże! —
Usłysz mnie, Chryste.

STORNELLE.

Miłości cicha!
Jakże ten szczęśliw, w czyjem sercu gości
Twój boski powiew, — kto tobą oddycha,
Cicha miłości!
Z opalowego dajesz pić kielicha
Ekstazy pełne zaziemskiej jasności.

Chuci namiętna!
Gdy orkan gorgon na serce się rzuci,
Krwawe, drgające wypala w niem piętna —
Namiętna chuci!
Tobą pulsują szaleństw dzikich tętna,
Tobie klną ludzie z spokoju wyzuci.

STROFA SAFONY.

Powiedz — czemu płatki róż tracą wonie,
Czemu jesień liśćmi nuży ziemię czarną,
Czemu chmurnie tuli mgła dumne skronie
W tęsknię cmentarną!

Czemu dzwoni smutnie tak rozdźwięk duszy
W opalowy, jasny dzień mdłej jesieni?
Iskry, plamy, gamy farb wicher prószy,
Miecie wśród cieni?

Na podłożu błysków, barw — czemuż dusza
Tak uczuwa śmierci sen strojny w złoto,
Klingę noża skrytą w mgle pióropusza,
Rozkosz z' tęsknotą?

I dlaczego jaźni dreszcz tak ją trwoży
Zgonem w ciemni, w wichru szum, gdy mży rosa
Ciężkich, brudnych kropel dżdżu śród przestwo-
— Mów — czarnowłosa! [rzy?..

Z CYKLU: »CIRCENSES«.

AMOROSO.

Wszak ze mną szłaś! miłością byłaś cała,
Przy boku mym wtopiona w mroczną noc — —
Czemuś mych łez, ty moja, nie widziała!
Nie czułaś-że jak gnie mnie ducha moc?

Jam w bólu śnił jesienny zmierzch szarawy,
Te skiby pól, jak toną w brudnej mgle,
Te błota dróg, pożółkłe ściernisk trawy,
Ten wiatru jęk, gdy dal go dalom śle.

Na rowów brzeg rząd wierzb wychynął długi
I czernią pni o szare chmury bił,
Na skraju — hen — konały blasków smugi,
Szła długa noc — deszcz będzie mżył — mżył —
[mżył —

A w taką noc, gdyby miast iść przy tobie,
O! gdyby módz przy wierzby upaść pniu,
I w błoto ról zatopić ręce obie,
I płakać tam o słońcu i o dniu — —...
— — — — — — — — — — — — — —
I krzyczeć, wyć, ażby mi pękła pierś!

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

ur. 1873. Utwory w »Życiu« i »Chimerze«.

RÓŻE MISTYCZNE.

Mistyczne róże spadają w mrok,
W bezgwiezdne, ciemne przestworze;
Ich blask posępny wodzi mój wzrok
W dali, po pustym ugorze.

I widzę ciebie, za tobą żwir
Pod światło srebrzy się mgliściej;
Widzę, jak lecisz porwana w wir
I w tuman ćmiących się liści.

Twych piersi uwiądł dziewiczy pąk,
Zastygło ciało twe śliczne;
Bezwładnie lecą z twych martwych rąk
Na ciemność róże mistyczne.

Na wiatr się włosy rozwiały twe,
Zawieje mroźne je pieszczą,
A ty mych oczu, jak gdyby w śnie,
Źrenicą szukasz złowieszczą.

Wirujesz, lecisz, gniesz się jak wąż
W uwiędłych liści wichurze,
A twoje oczy szukają wciąż,
A z rąk twych sypią się róże.

W BŁĘKITNYCH ZMIERZCHACH.

W błękitnych zmierzchach zginę widmem zwie-
[wnem
Z gasnącym blaskiem miesięcznej pozłoty —
Ust się stęsknionych stanę słowem rzewnem
I pocałunkiem ostatniej pieszczoty —

I szumem borów gorejących łkaniem,
I krzykiem ptaka, co się ranny waży,
I zórz złowróżbnem przed bitwą świtaniem.

Będę tęsknotą bezbrzeżnej równiny
I opuszczonych urokiem cmentarzy,
I upojeniem przepastnej głębiny.

Przebrzmiałej pieśni będę echem śpiewnem,
Rosą, co wilży grobnych bluszczów sploty —
W błękitnych zmierzchach zginę widmem zwie-
[wnem
Z gasnącym blaskiem miesięcznej pozłoty.

ROZKOSZ.

Promienne w swej piękności, nagie, drżące ciała,
Oplecione namiętnym, lubieżnym uściskiem,
Tarzają się wśród ciszy, co dźwięczy i pała
W upojeniu bezkresnem, znicestwienia blizkiem.

Duszę jasność zatapia jakaś krwawo-biała,
W nieskończoność rozlana świetlanem koliskiem,
Którą zmąca szał nagle, jak piorunna strzała,
W cienie nocy lecąca złotawym pociskiem.

Upaja krągłość piersi, biódr różowa białość,
Włosów woń, przegięć urok, kształtów doskonałość,
Rozkosz, co usta pali i oczy przymyka --

I omdlałość opada na piersi i łona —
Rozkosz zwolna przygasa, rozwiewa się, kona,
Jak milknąca w oddali lubieżna muzyka.

SKRZYDLATE OGNIE.

Tak martwo szklą się czarne wody rzeki
W mętnej, przyćmionej, miesięcznej przezroczy —
Jakby przed chwilą zagasły na wieki
Twe oczy, wczoraj całowane oczy.

Tak głucho huczy w mrokach dzwon daleki,
Dal taka zimna, ołowiana, pusta —
Jakby przed chwilą zastygły na wieki
Twe usta, wczoraj całowane usta.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI



ur. 1869 r. w Krakowie, zmarł 28 listopada 1907 r. Malarz, poeta, dramaturg. Dzieła: »Legenda« 1897, »Meleager« 1898, »Warszawianka« 1898, »Protesilaos Laodamia« 1899, »Lelewel« 1899, »Klątwa« 1899, »Legion« 1900, »Bolesław Śmiały« dramat 1900, »Kazimierz Wielki« 1900, »Wesele« 1901, »Wyzwolenie«, »Noc listopadowa«, »Skałka«, »Sędziowie«, »Powrót Odysa«, »Król Zygmunt August«. Przekłady: Corneille'a, »Cyd«, »Achiles«, »Akropolis«

* * *

Pociecho moja ty, książeczko,
pociecho smutna;
nad małą siedzę schylon rzeczką,
z wód igrające falą dziecko,
żal mroku skrada się zdradziecko
nad łąkę, rzeczkę, nad mój strumień
zapada noc okrutna.

Pociecho moja, straszna nocy,
pociecho smutna;
nad wielką siedzę schylon rzeką
wód pędem chyżym fale cieką,
wiary potęga rośnie w mocy,
nad rzeką, łąką, nad polami,
nad borów rzeszą, nad mrokami
noc gaśnie w zorzach,
w świtach, błyskach,
i słońce wstaje na przestworzach,
słoneczna moc okrutna.

Pociecho moja, dniu słoneczny,
pociecho smutna!
nad morza siedzę fal roztoczą,
wiara nademną w niebios kręgu,
widzę, te fale wód, jak biegą
w sprzęgu wałów, w brył rozprzęgu
w górę się piętrzą, w doły legą,

jak nowe fale z nagła kroczą,
a jedna dola im okrutna.

Pociecho moja, księgi moje,
schylony w karty księgi patrzę,
od kart tych patrzę w wód rozwoje,
z ksiąg karty rzucam w fale twoje,
o morze, morze, wód olbrzymie,
a tylko fal powrotne rzuty,
w czas wód rozgwaru, w wód skłębieniu
na brzeg rzucają, kędy siedzę,
z ksiąg, co przepadły w zapomnieniu
wydarte z kart tych moje imię.
Znikąd okrętu, znikąd łodzi,
a rośnie fala powodzi,
ha! tam! — jest łódź! — tam — ktoś — przewodzi,
tam, na dalekim kresie,
o, bliżej, bliżej, już — fala go niesie,
to nie powódź — to przypływ — wał bije,
jęk złowrogi — ha! mordują — orkan wyje — — —
Gdzie łódź?! czy fala schłonie ją okrutna — ?
o księgo — — oczy patrzą — w wód roztoczy —
o księgo — serce — oczy,
pociecho smutna.

DO MEGO PRZYJACIELA LEONA ST

Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić,
na jakąż nutę będę nucić
melodyę zgonu mą wyprawną?
Rzuciłem przecież go już dawno.

Już dawno się przestałem smucić
o rzeczy miłe, mnie stracone.
Miałyżby smutki jeszcze wrócić,
kraść, co już dawno ukradzione?

Przecież już dawno się wyzbyłem
marzeń o utraconym raju.
Żyję, by zwało się, że żyłem...
nad jakąś rzeką, w jakimś kraju...

Nad jakąś rzeką, w jakiemś mieście,
gdzie ślubowałem ślub niewieście,
gdzie dom stworzyłem jej i sobie
z myślą o jednym wspólnym grobie.

A na tym grobie, wspólnym domie,
niechże mi wichr gałązki łomie,
gałązki zeschłe, zwiędłe, kruche,
w jesienną, deszczną zawieruchę.

Tak samo będę słuchał w grobie,
jak deszcz po świecie pluszcze sobie, —

jak słucham deszczu za tą ścianą, —
i wiem, że znów się zbudzę rano.

Niechże mi rano słońce świeci,
niech świeci jasno, mocno grzeje.
Nad grób niech moje przyjdą dzieci
i niech się jedno z nich zaśmieje.

Z »BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO«.

1. Błąkasz się, królu krwawy,
I ku mnie wiedziesz konia, --
cóż ku mnie wodzisz konia,
gdy jamu pachną błonia
a ty się rwiesz o Sławy?

2. We Słońcu stoisz złoty
i ku mnie kłonisz twarzy, —
cóż w niej się ogień żarzy,
ze smutku-że, tęsknoty —
we słońcu zgasasz złoty...
3. Za tobą twoje grody
łyskają wież dzióbami, —
cóż się u piasków wody
wodzisz nad pustkowami...
4. Żleć w domu, małeć serce!
czy chcesz na Czerwone-miasta,

jak cię pana witają i własta
i ścielą mostem kobierce...

5. Żleć w domu, małać dusza;
czy chcesz na Pomorzany, —
oto, gdy śnieg zaprósza,
lodem się zetną piany,
poimasz Pomorzany.

6. Czy chcesz za czeskie góry,
czy na węgierskie szlaki,
żeś zładził mnogie znaki
i rycerzy skrzydlatych las konny.

7. Cóż, gdyś już zgotowiony
w zamkowe patrzysz mury
i zapuszczone brony
i kłonisz twarz ponury...

8. Cóż w niej się ogień żarzy, —
ze smutku-że, tęsknoty
we słońcu zgasasz złoty,
czy stos się tobie marzy
pozgonny...

9. Królu, wypogodź czoło

. . . .

Z »KAZIMIERZA WIELKIEGO«.

I.

Wielkości, komu nazwę twą przydano,
Ten tęgich sił odżywia w sobie moce
I duszą trwa, wielekroć powołaną,
Świecącą w długie, narodowe noce;
Więc choć jej świeży grób opłakiwano,
Przemoże śmierć i trumien głaz zdruzgoce;
Powstanie z martwych, na narodu czele,
W nieśmiertelności królować kościele.

II.

W szkarłatach mię spowito w złotej trumnie
I pochowano na wawelskiej górze,
A tam sarkofag stawiono w marmurze,
Gdzie z berłem i w koronie spałem dumnie;
Zaś wszystkie stany w żałobnej posturze,
Niejako płaczki, zwracały się ku mnie,
Nade mną, nad ostatnim z rodu, wznosząc lament;
Wielkość — ludowi przekazywał mój testament.

III.

I śniłem życie mojego narodu
Królewskie, błękitne, pogodne;

Jak rosły, potężniały wieże grodu,
Miast olbrzymy z mych czasów wywodne.
W sławie, w szeregach prześlicznych pochodu
Wieków... i ludów wielkość; wszystkie zgodne;
Tak myśl je moja łączy i zasila.
Zdało się, że się nieba skłon odchyla.

IV.

O snu! długiego snu! O sławo! sławo!
O dolo ty! płynąca wielką rzeką!
O losie ty! wulkanu rwiący lawą,
O wieki! — jak się bezpowrotne wleką...
Potęgo! surm wojennych grzmiąca wrzawą.
O łzy! te, co radością trysłe cieką.
O serce! — jak miłoście światy kruszą!
O snu, błogiego snu! O sławo — duszo!

V.

Zaszedłem w jakieś równiny przedwieczne
Bez kresu, łąki stepowe, kwieciste;
Niebo nademną rozwiło swe mleczne
drogi, i gwiazdy paliło złociste!
Gwiazdy po za mną szły na drogi wsteczne,
Olbrzymie koła zakreśląc koliste;
A ja łąk stepem bezkreśnym w milczenie
Idę, i ducha wiodę w zapomnienie.

VI.

Już poraz gwiazdy przedemną zgasały,
Nad łąką mglista zawisła opona
Chmur płowych, które nieruchome stały.
Obręczne światła, zanim które skona,
Tęczowo jeszcze na gęstwie mgieł drżały,
Gasnąc; — już dal je chłonie nieskończona.
Już kresy wieczne, dla dusz pastewniki,
Pojące wonią ziół — już strumyki.

VII.

Których srebrzysta woda stalo-mleczna,
Wiją się, splotne tysiącznemi skręty,
W stronę, gdzie dążę, kędy rzeka wieczna,
Zapomnień, — kędy duch mój zgaśnie zjęty;
Aż go wyrocznia odrodzi słoneczna,
Gdy będzie z trudów żywych wypoczęty. —

LXXXI.

W kościele, w katedrze przed trumną Świętego
grobowa moja korona,
świat złoty i berła kawałek kruchego,
na ołtarz położona.
Lud idzie i szepce: u Dyadema Jego,
spuścizna, wywyższona«.
Szkarłatem święty stół pokryty,
stróżami srebrne monolity,
a trumna im więzgnie w ramiona,

1. Więc patrzą zdziwione,
trumniskiem zgarbione
Anioły te boże jaśniące,

2. Skąd przyszła korona,
czy z grobów zwleczona
na ołtarz, gromnice i Słońce.

3. A ludy, pielgrzymi
w śpiew jeden olbrzymi
modły uderzą skarżące.

4. Więc słyszą Anioły,
jak zgodne we społy
w nich serca zabiły gorące.

5. Więc patrzą, słuchają
i silniej trzymają
trumnisko srebrne, ciążące.

6. A w trumnie coś jękło
i wieko rozpękło
i blachy zachwiały się drżące.

7. Anioły przelękłe
zadrgały przyklękłe,
spojrzały po sobie znaczące.

8. Więc silniej dzierżeją,
więc lękną, truchleją,
bo rosną szelesty straszące.

9. Więc silniej trzymają,
więc palce wpijają
we srebro, z ujęcia rwące.

10. Więc siły wciąż mnożą,
a z ócz, co się trwożą,
łzy wielkie im spadły błysnące.

LXXXII.

Nareszcie przyszedł, południem upalny,
słonecznych skwarów ów dzień. — Ludem rojno.
Sejm, jak żórawni, odprawiali walny;
gromadni — jak przed jaką wielką wojną:
na ten mój pogrzeb zszedłszy, tłum proszalny,
co mię zbiegł darzyć łez objatą hojną.
Nad miastem padło posępne milczenie.
Snuły się ludy żałobne, jak cienie

LXXXIII.

ciche, — jak owe cienie elizejskie,
już modlitwami nawet nie szemrzące;
jeno pół-usty szeptając swe wiejskie
chorały; — duchem wzniesione, marzące.

Już moje władztwo widzę czarodziejskie:
Czujni, — już teraz tylko berłem trącę...
a ockną się na duchu przetworzeni.
. . . .
Oto już łuna stok zamku rumieni.

Idą posępni,
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne.

Idą posępni,
a niosą korony
ozdobne,
misterne, a dla nich
ciążące jak ołów,
korony zczerniałe,
pogrobne.

A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów
chorągwie, proporce
pogrzebne.

A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów

ogromne, tętniące,
podniebne.

A śpiewy nad nimi
jak skrzydła Aniołów
kołyszą się górne,
wróżebne.

A idą posępni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,
co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.

I chłopy sukmanne
i pany strojone
w ponsowe żupany, delije.

I dziewki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze niż białe lelije.

A idą żałobni,
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne:
a idą żałobni,
a idą posępni,
choć niebo błękitem pogodne.

Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;

A cienie się]wiją,
to jaśnią, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.

A oni posępni,
a grają im dzwony,
ze wszystkich kościołów zawodne.
. . . .

Czyli łąki nietknięte tak gwarzą...
Czyli kwiaty wycięte się skarżą, —
Czyli łąki i łany się kłonią...
Czyli wiatru przygięte pogonią?

Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią?

Za orszakiem — czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łany już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją,
za orszakiem, czy to lasy już idą...
czyli pszczelne roje tak brzęczą,
za orszakiem, — czyli ziemie tak jęczą?

A idą żałobne,
posępne, pogrzebne
i łąki pachnące
i losy podniebne,
wnuczęta moje pogrobne.

A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
ogromne, tętniące,
wróżebne.

KRÓL ZYGMUNT AUGUST.

(Fragment ze sceny w wielkiej izbie poselskiej w Piotrkowie)

LUPA PODLODOWSKI, POSEŁ SEJMOWY

(podaje zwój papierów).

Oto tu ksiądz Orzechowski,
w wymownym przedstawił zarysie
nasze obawy i troski,
które podajem w odpisie.
Jeźli jeszcze nie są znane,
aby były przeczytane.
Lepiej jawnie, niźli tajno,
by nie było powiedziane,
żeśmy działali przedajno.
Jeśli to tylko obmowa,
niech ją skarci dłoń surowa;

jeźli paszkwil i zuchwałość
niechaj będzie ukaraną. — ?

AUGUSTUS
(bierze rękopis do ręki).

O mowo polska, ty ziele rodzime,
niechże cię przyjmę w otwarte ramiona.
Ty będziesz kwieciem tych pól ubarwiona
ty osłodą żywiczną lasów,
ty zbożnym kłosem na roli,
ty utęsknieniem wszystkich czasów,
pojmująca, czująca, co boli?
Ty tej się mojej ulitujesz męki,
przeniknięta dwojga dusz harmonią?
Wdzięczny biorę cię do ręki:
(czyta tytuł).

»De obscuro Regis matrimonio«.

O mowo polska, ty czujny odzewie
serdecznych żalów, utrwalony w śpiewie.
Czyliż ciebie ścigać w gniewie?
Li tylko cnotę miłujesz.
Męstwo, a duszy wspaniałość
cnotami sobie mianujesz.
W tobie litość dla niedoli,
w tobie żałość i skarga,

pojmującej, czującej, co boli,
serce dwojga dzwoniące harmonią?

(czyta tytuł).

»De obscuro Regis matrimonio«.

O polskie dźwięki tak spojnie związane,
będziecie w lata czytane.
Będą się uczyć z was słów mowy zboru,
w was mając skarby wyboru,
w was same najsłodsze miody,
kwiat najwonniejszy urody,
co najwybrańszą spuściznę:
jak ratować ojcowiznę,
jakiej prawdy chodzić drogą?
Jak serdeczną krew ubogą
szanować, jak jej szafować,
by rządzić spólnych dusz harmonią?

(czyta tytuł).

»De obscuro Regis matrimonio«.

Uderzaj serce kochające.
Drgaj, jak cię miłość tuli.
Trwaj święcie, niezłomnie,
przy wierze, przysiędze
trwaj do ostatniej koszuli.
Niewiasto ufaj w mężu.
Zadzwoni na wtór chwalebny

z polskiej łąki chór podniebny,
zweselony dusz harmonią,
utrwalone w pisanej księdze:
(*czyta tytuł*).

»De obscuro Regis matrimonio«.

Do narodowej skrzyń skarbnicy
niech zamkną płód tej krynicy,
jak pisma godnego wzory,
jakie to polskie wymówstwo
na stroje, szaty, ubiory,
rzewne Anakreontyki,
przenikające wskróś dusze
serdeczną drżące harmonią.
Gdy króla przysięga wiąże
w serdeczną miłość ubogą,
słowu męzką wagę dając;
lepszy będzie obcy książę,
słowem jak piłką igrając.
Zaszczyci Polskę splendorem
mnogiem bogactwem zbogaci,
pieniądzem cnotę opłaci.
Cnota, skarb duszy najrzadszy,
za pieniądzem ino patrzy,
sytną dostatków harmonią.
Tobie królu żubry gonić,
w Białowieży, Poniewieży;

nie umiesz nowych pacierzy.
W pożegnanie będą dzwonić:

(*patrzy w karty*).

»De obscuro Regis matrimonio«.

(*opuszcza książkę*).

Treść pisma znamy; nie jest dla nas nowa
Wszystkie w niem fałsze, kłamstwo, zła obmowa.

PIOTR KMITA WOJEWODA KRAKOWSKI.

Więc i to wiedzcie, skąd to źródło płynie?
Matka to wasza tak mówi o synie.

AUGUSTUS.

Wszystkie te sieci idą z Gomolina.
Znamy tę kokosz. To królowa Bona
w gronie dostojnych ulubionych dziewic.
Próżno się łasi. Daremno przeklina.
Złość całą -- prawda — a stałość pokona.
Już nie jesteśmy babiński królewic.

(*zabierając się ku wyjściu*).

Tak jakom wyrzekł. Dopomóż mi Boże
co się raz stało, — odstać się nie może.

(*wychodzi*).

KRYSTYNA SARYUSZ ZALESKA (LASKAZA).

ur. 1874 r. w Kijowie. Ogłosiła zbiór wierszy: »Spotkanym w drodze« 1902 roku. »Pejsaże«. »Z wygnania«.

Z CYKLU: »SPOTKANYM W DRODZE«.

DO...

Czy znasz ten kraj, ten jasny kraj,
Gdzie żyją nasze sny,
Gdzie sobą my?

Jak pszczelny złoty rój,
W głodnej zbudzony ziemi,
Ujrzawszy ruń majową,
Wznosi wesoły szum:
Tak skrzydły złocistemi
Zrywa się przeczuć tłum,
Na wiosnę lecąc nową!

Czy znasz ten kraj
I mój i twój?
Czy znasz
Kraj nasz?

Wiesz, jaka światłość stamtąd niestworzona
Przeczuciom naszym idzie na spotkanie,
Jak patrzy miłośnie na nie
Ta ukochana: Ona?

BYŁO...

Wokoło srebrna powódź — księżyca myślenie
Leży srebrzyste we mgłach na cichej dolinie,
Nad nami, na dnie nieba, w północnej godzinie
Księżyc bez gwiazd, sam jeden w ciemnej stoi głębi.
Jakby gromadka śpiących, skupionych, gołębi
U stóp naszych, w księżyca magnetycznej bieli
Ucichłe chaty ludzkie — na srebrnej topieli
Czarnemi leżą smugi od nich długie cienie.

Jesteśmy razem znowu, jak przed wielu dniami,
Tylko, żeś dzisiaj cichy, i ciche masz słowa
W ustach, zwróconych ku mnie.

A tam!... tam... widzisz? wpółwidne za mgłami
Leży kochanie nasze, jak biała królowa
W srebrzystych blasków trumnie!
Jak nas ogarnia jedno wspólne rozmarzenie,
Jak drzew srebrne wierzchołki w blasku srebrnym
[toną,
Jak w sercach, dawno drżących ścichło nagle
[drżenie,
Jak księżyc na nas patrzy twarzą zamyśloną!

Twoja dusza znów dzisiaj pochyla się ku mnie,
Ale się nie przybliżaj! Niech nasze kochanie,
W księżycu skamieniałe, na wieki zostanie
W swej kryształowej trumnie.

KAZIMIERA ZAWISTOWSKA



ur. 1870 r. zmarła 1902 r. w Krakowie. Poezye zebrane z »Życia«, »Chimery«, »Krytyki« wyszły roku 1904.

Z CYKLU: »EPITAPHIUM«.

Długie, czarne warkocze więzione w twej dłoni
W złocie jaskrów zerwanych u leśnej Krynicy —
Roje białych motyli, sznur kwietnych jabłoni,
Pierwszy mrok upojony dziewiczej świetlicy.

Do twych kolan się dusza rozmodlona kłoni,
Śpiewając ci pokorny hymn oblubienicy,
Ów z łez-pereł spleciony i kwiatowych woni
Nieśmiertelny różaniec miłosnej tęsknicy.

Długie, czarne warkocze, a na nich twe dłonie....
Czasem czuję je jeszcze i brzemię lat znika,
I przeszłość się jak muszla perłowa odmyka,

By wspomnień nagie ciernie białym stroić kwiatem
I oddycham znów róży purpurą i latem,
I widzę złote jaskry i białe jabłonie.

* * *

Ze spichrza twojej duszy wziąłeś dziwne ziarna,
Aby posiać w swej duszy ugory jałowe,
I popatrz, jak się pleni ta siejba ofiarna,
Jak bujnie młode pędy krzewią się cierniowe.

Białe kwiaty tęsknoty jako mgła oparna,
W kielich smutku wsączają sznury łez perłowe,
I chyżo wzrasta, chyżo roślinność cmentarna,
By drzewo twojej męki owinąć krzyżowe.

Jeśli zechcesz, ja przyjdę.... i na krzyż twej męki
Moja dusza opadnie, jak poświetl księżyca,
I wszystkie łzy twe weźmie na swe białe lica,

I jak z harfy zaklętej dobędzie z nich dźwięki,
I przejdę przepaść męki dzielącą nas czarną,
Boś mi duszę zapłodnił twą siejbą ofiarną.

ZMIERZCH.

W mgieł opalach rozwleczon, osnuwa powoli
Poczerniałe ścierniska pełne zimnej rosy,
I wierzb sennych rozwiane żałośliwie włosy,
I kurhany zdrzemane w rozoranej roli.

Jak ptak zmęczon opada w mgławej aureoli
Świateł kędyś gasnących - w rdzawe sianokosy
Lecą dzwonów cmentarnych zabłąkane głosy
I wiodą, jak piastunka tęskna baśń złej doli.

Pójdę znaną ścieżyną, dziś szarą od mroków,
Pod ciężką, od mgieł wilgną oponą obłoków,
Pójdę szukać rozwianych wróżb białej stokroci —

Czterolistnik koniczy — pocałunków żarów —
Pójdę szukać wśród chłodem wiejących oparów,
Czy się kędyś zbłąkana skra słońca nie złoci.

Z CYKLU: »WAM«.

Kochałam ciebie i czasem bojowe
Zbroje ci kładłam — czasem harfę w dłonie —
Czasem twe czoło tuliłam w koronie —
Czasem trefiłam pazia włosy płowe!.

Gdzież ty poszedłeś, o mój książę senny?
Na sarkofagu twojego marmurze
Skamieniał anioł cichy i promienny
I w twarz ci rzuca blade grobów róże,
Bo w tym kamiennym aniele żałości
Dawno umarła moja dusza gości.

I.

Próżno wołasz... za nami upiorna gromada
Widm i cieni się wlecze i dusze nam targa
Ta zastygła w powietrzu żałośliwa skarga,
Co gdzieś trumien otwartych krawędzie obsiada.

Próżno wołasz... zajęła już Ananke blada
Nasze miejsca przy uciech biesiadniczych stole —
Więc wszystkie moje kwiaty zemrą na twem czole,
Jak mrze mrokiem zgaszona światłości kaskada...

I na wieki rozdziela nas Ananke blada...
Czyś słyszał strun podwodnych ścichłe nagle głosy?
Czyś widział w proch strącone tęczowe motyle?

Ach — ja ciebie pragnęłam, jako pragną rosy
Mrące kwiaty, zdeptane w gościńcowym pyle!..
A jednak rozdzieliła nas Ananke blada...

II.

Daj mi sny Twoje, daj ten sen skrzydlaty
O mnie prześniony — ja chcę duszę własną
W jego zwierciadle ujrzeć cichą, jasną,
Rozkołysaną, jak mgły srebrnej kwiaty.

Wprowadź mnie jeszcze w kryształne zaświaty,
A tam, Twą dłonią poruszone smutnie,
Niech się rozdźwięczą wszystkie ścichłe lutnie
W ów akord nagle zerwany przed laty...

Wówczas mnie ujrzysz raz jeszcze wyśnioną,
Raz jeszcze wszystkie, pogasłe w ukryciu
Perły mej duszy tęczowo zapłoną.

I jedną cudną dam ci chwilę w życiu,
Chwilę jedyną, — bo potem w noc ciemną
Pójdę, byś nigdy nie spotkał się ze mną.

III.

Kocham Ciebie, bo wracasz Ty mi wiosnę złotą
Mej młodości i jasne powracasz miraże.

Twój cień trwa przy mnie, jakby wierne straże,
Twój cień mej duszy przywołam tęsknotą.

Niech więc ramiona mię Twoje oplotą —
Zasłoń oczy — dziś w przyszłość nie chcę pa-
[trzeć ciemną,
Chcę zapomnieć, że życie za mną i przedemną —
Chcę zapomnieć o wszystkiem, co nie jest
[pieszczotą.

Tak dziś ciemno i zimno... Daj mi Twoje oczy!
Twoje oczy rozświetlą marzenia ogrody...
Tam dźwięk — złoto — purpura — alabastrów
[schody —

I korowód weselny barwi się tęczowo.
Tak dziś ciemno i zimno.... a nad moją głową
Sny majaczą złowrogie... Daj mi Twoje oczy!...

MAGDALENA.

O! nie patrz na mnie! Jam pełna lęku...
Z amforą wonnych olei w ręku,
Idę pomazać Twe stopy znojne:
Niosę im nardu wonie upojne,
Żar pocałunków i łez mych strugi,
I klęcząc, warkocz rozplatam długi,
I z stóp Twych kornie biorę na włosy,
Łez moich zdroje i oliw rosy.

O! nie patrz na mnie! Długom czekała,
Długo płomienna byłam i biała...
Lecz teraz odwróć te słodkie oczy,
Bo trąd występku ciało mi toczy...
W proch mi skroń zetrzyj stopy białemi,
Bom najgrzeszniejsza między grzesznemi...
Bom jako owa oblubienica,
Co w snach już widząc miłego lica,
W przededniu jasnym dnia godowego,
Zbiegłszy z wyżyny pałacu swego,
Na żer służalczym pachołom dała
Królewską krasę swojego ciała...

Lecz nie odtrącaj! Jam Twoje ręce
W snach widywała i w przeczuć męce,
I drżąc w brutalnych ramion oplocie,
Duszę miewałam w łzach i tęsknocie,
I w skrach ogniowych, w szału purpurze,
Jak gołąb byłam o białem piórze!

Wiem, — przyjdą inne... Już się wybiela
Straż najprzedniejsza cór Izraela,
I niosą kwiatów barwiste snopy,
Pod Twe tułacze, wędrowne stopy.
Idą ku Tobie w zwartym szeregu,
Idą ku Tobie w róż białych śniegu...
Nie mnie iść z niemi!... Po wieczne czasy
Popiołem zsypię raj mojej krasy,
I w ślad stóp Twoich pójdę pokutna

Jako służebna, cicha i smutna!...
Nie mnie iść z niemi... Twoje źrenice
Godowych dziewic zrumienią lice,
I Twoje dłonie spoczną litośnie
Na ich liliowej, rozkwitłej wiośnie...

O! Rabbi, Rabbi! ja w prochu leżę,
I z tobą pójdę i w Ciebie wierzę,
I kładę usta i włosy moje
Pod opylonych stóp Twoich znoje!
O! Rabbi, Rabbi!...

»Wstań od stóp moich! Zmazan grzech ciała,
Boś nieskończenie umiłowała,
I odtąd będziesz z śniegu i woni,
Ów kwiat, na dziewic wybranych skroni!
Idź!... i oleje pochowaj wonne,
Na namaszczenie dla mnie pozgonne«. —

HENRYK ZBIERZCHOWSKI



ur. 1881 we Lwowie. Jest redaktorem »Naszego Kraju« tamże. Wydał »Impressye« 1901, »Baśnie« 1906 r. A nadto poezye w »Życiu«, »Chimerze«, »Tygodniku illustr.«, »Krytyce«, »Wędrowcu«, »Prawdzie« i »Naszym kraju«. Autor powieści »Przed wschodem słońca«, »Na złotej przełęczy«, »Malarze«. Liczne nowele.

MOCZARY.

Wśród splotu wiklin, trzciny i wysokiej trawy,
Tajemny moczar leśny wody swe rozlewa.
— Nad brzegiem chylą czoła zadumane drzewa —
I toń mroczy się szara wśród liści oprawy.

Zachód — przez drzew warkocze blasków snop
[różowy
Wśród mgły na wodach mętnych zwolna się roz-
[lewa.
— Nad brzegiem chylą czoła przebudzone drzewa, —
Skąpana w jasnych blasków koronie tęczowej,

Na liściu lilii płynie przez wodne obszary
Rusałka — wiatr jej włosy złociste rozwiewa.
— Nad brzegiem chylą czoła zadziwione drzewa —
I zwolna całą ziemię mrok ogarnia szary.

A w martwej wodzie bagna obudza się życie,
Jakiś szmer tajemniczy wkoło się rozlewa,
— Nad brzegiem chylą czoła niespokojne drzewa —
A wiatr w trzcinach i trawach przemyka się
[skrycie.

Rusałka na dnie samem skulona w kielichu
Z źrenicą w dal wpatrzoną słucha, jak wiatr śpiewa.
— Nad brzegiem chylą czoła zalęknione drzewa —
Coś się rusza i pluska na fali po cichu

A z głębin wynurzają się straszne poczwary,
Z oślizłych ciał szelestem woda w toń się zlewa.
— Nad brzegiem chylą czoła przerażone drzewa —
Znów cicho... tylko w głębiach burzą się moczary.

A rusałka pobladła w liliowym kielichu
Zapada w tonie mętne...
Wiatr mgły nocne zwiewa —
— Nad brzegiem chylą opuszczone drzewa —
I trzciny nad moczarem coś szemrzą po cichu...

MODLITWA DO DUSZY.

Pani gwiazd złotych i smutku królowo,
W ciemnościach życia do ciebie się modlę,
Żem cię, syn własny, oszukiwał podle,
Udając wielkość myśli piorunową.

Żem był jak pielgrzym, co przez ugor idzie,
Pytając drogi pobladłemi usty,
Żem skrzydła szargał po domach rozpusty,
Chociaż coś we mnie łkało w niemym wstydzie —

Pozwól się tylko odrodzić od nowa,
Bo drzemie we mnie moc huraganowa
I zachowałem niby skarb w tej męce,

Kiedy mię porwie grzechu toń zdradziecka,
Ból — co nad wszystkiem załamuje ręce
I niezmącone, jasne oczy dziecka.

UROCZYSKO.

Na dnie odmętu,
Wśród wiklin i trzcin roztoczy,
Wplątane w mchy podwodne,
Spadłe z firmamentu
Lśnią się gwiazd oczy
Pogodne..

Zielona poświata miesiąca
O wód tafle trąca
I welon biały,
Srebrzysty na liściach zwiesza.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Hen z sinej dali
Idzie już — idzie wieczna tułacznica,
Ugorów rozpaczna cisza...
Ślizga się po srebrnej fali,
Oblanej strugą księżyca,
Pień dębu objęła zmurszały...
Po trawach depce,
A teraz w liściach wierzb coś szumi i szepce.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Od mgieł, co jak białe płótno zwiesza,
Tajemne się tworzą jeziora i stawy
Na łąkach... Na wierzchołkach borów...
Opustoszałych ugorów
Rozpaczna cisza
Kołysze drzewa i trawy,
Wśród trzcin pełza po cichu,
Aż w końcu w lilii kielichu
Cała się kładnie —
Pod ciężarem
Przegina się w wodę kielich biały
I lilia, zwiesiwszy pierś, kona,
Otruta moczarem,
Patrząca w gwiazdy na dnie...
— Cicho zaraz liście będą spadały.

KAMIENNY BÓG.

W kamiennej, ciemnej grocie, z boleści skamie-
[niały,
Przeżywam – bóg nieszczęsny — ostatnie dni
[żywota.
Poczęła mię myśl grecka i ludzkich dusz tęsknota,
Wyszedłem z dłoni mistrza świecący, nagi, biały.

A dziś mię więzi mokra, porosła mchami grota,
Żem jest od wody ślizki, spękany i zmurszały.

Przez pierś żelaznym drutem przybito mię do
[skały,
U stóp mych gniją liście, w basenie pełnym błota.

Pamiętam raz — wiatr jęczał - wpatrzyłem się
[wybladły
W miesiąca krąg zielony, jak oko w mgłacb roz-
[warte,
Gdy z hukiem -- (o nieszczęście!) ramiona mi
[odpadły.

I odtąd konam wiecznie w powolnej, długiej męce,
O ciało me, wilgocią i pleśnią groty zżarte!
O ręce moje, biedne i zdruzgotane ręce!

W NOCY.

Noc taka jasna... srebrzysta... bez chmur.
Słyszę twój oddech miarowy i cichy.
Za oknem biało... w liliowe kielichy
Sączy się miesiąc i świerszczy gra chór.

Dogasa lampa... Słychać nudny brzęk
Much, pełzających sennie po suficie,
Ta, która wkrótce stworzy nowe życie,
Już śpi... nad łożem jej Miłość i Lęk.

Stracony ciała dziewiczego cud
I młodych kształtów królewskość i przepych,

Cięży nad tobą dłoń przeznaczeń ślepych,
Czeka cię męka i serdeczny trud.

Śpisz, tak, jak dziecko.. bladość twoich lic
Rozjaśnił uśmiech słodki i przelotny.
Cicho... czas mija nigdy niepowrotny...
Pragnę zapomnieć i nie myśleć nic.

Cóż to? – znam szmer ten... już od tylu lat
W tej starej skrzyni robak drzewo wierci,
Śpiewa pieśń próchna, zniszczenia i śmierci.
Cóż to? liść zwiędły z szczytów drzewa spadł.

Prawda... już jesień... znów coś szepcze mi
Tę myśl... nie mogę odegnać natręta...
A jeśli... przebóg! precz myśli przeklęta.
Cicho, me serce! nie bij... ona śpi..

Nieznany Boże! co w przepaściach trwasz,
A słyszysz ciche serc strwożonych bicie,
Zachowaj dla mnie to mizerne życie,
Aniołów swoich postaw nad niem straż!

Śpij, śpij! nim zaznasz, co męka i trud,
Na skrzydłach marzeń popłyń błękitami...
Błogosławionaś między niewiastami
I błogosławion łona twego cud!

MARYAN ZBROWSKI

ur. około r. 1872. Poezye w »Życiu«, »Chimerze«, »Prawdzie«.

SERCE.

I.

Żyjesz więc, serce?... Czemże były twe przysięgi,
Że nie przeżyjesz? — Nie drżyj, — Imion nie
[wymienię...
Wszystko umarło... A ty?.. Świątyni sklepienie...
Pająk zasnuł... Jak głucho!... A ty?... Szczyt po-
[tęgi?!...

Jakże ty żyjesz?... Milczysz?... Więc cię zaczer-
[wienię
Tem »jak«, i rzucę nagie w torturowe kręgi,
I wydrę tajemnicę twoją... Mów!... Wspomnienie
Z trumny ruszę... Pamiątek wydobędę księgi!...

Drżysz... Przymuszę!... I skomlisz, ja pies... jak
[pies... Chryste!
Więc nie zostało w tobie nawet cienia dumy,
Nawet chęci udania? Nie?.. Ty, płomieniste,

Ty, niegdyś żądne walki, szydzące z rozbicia?
Niegdyś... Wszystko ulata, jak sen, wiatru szumy...
I tylko trwa bezwstydnie przyziemny pień życia...

II.

I znów przed tobą serce moje kładę,
Jak muszlę, pełną radosnego głosu,
Spojrzyj! Złowieszczy ptak mojego losu
Gniazdo w niej utkał ust weselnych zdradę.

Jeśli nań ręce położysz, jak blade
Na rzecz pamiętną dwie gałązki wrzosu,
Jeśli posłuchasz, to może z chaosu
Szmerów — szmer jeden urośnie w kaskadę

Smutku i żalu. Może ci się wciśnie
W duszę i zmarszczkę wyrzeźbi na czole
Znak zamyślenia. Może na ust wiśnie

Popiół posypie. Może plamę cienia
Położy nad twych dróg obłędnem kole:
— Będzie to w muszli dźwięk twego imienia!

JERZY ŻUŁAWSKI



ur. w r. 1874 w Limanowskiem. Mieszka w Krakowie. Wydał: »Na strunach duszy« 1895, »Intermezzo« 1897, »Stance o pieśni« 1897, »Poezye« I. 1901 (2 wyd.), »Poezye« II 1900. »Z domu niewoli« poezye 1902 r., »Pokłosie« poezye 1904 r. »Księgi wybrane« (przekłady biblijne) 1905. Utwory dramatyczne: »Eros i Psyche« (2 wyd.), »Wianek mirtowy«, »Gra«, »Dyktator«, »Ijola«. Prozą »Na srebrnym globie«. »Opowiadania prozą«, »Prolegomena«, »Benedykt Spinoza, Człowiek i Dzieła« i i.

Z POEMATU: »STANCE O PIEŚNI«.

IV.

Wiem, że pieśń musi być jak dzwon potężny,
Który umarłych budzi, żywych woła, —
i pieśń, jak orzeł lotem niebosiężny,
z okiem na słońce i z wichrem u czoła, —
i pieśń, jak odgłos strasznych trąb mosiężny
nad Chalcedama rolą, gdzie Anioła
piersi uderzą takich wichrów szałem,
że prochy duchem staną się i ciałem!

V.

I pieśń być musi, jak ludów królowa,
jak sztandar zdarty w kul ognistym deszczu
i jak w płonącym krzu straszny Jehowa,
i jak pioruny, gdy przy ziemi dreszczu
Bóg na Synaju grzmiał praw swoich słowa — -
Taka pieśń musi być – a taka w wieszczu
święta potęga, jak w Mojżesza dłoni,
za którą poszedł lud wskróś morskich toni!

XXXIX.

Do skrzydeł, orły! – jest błękit niezmierny
i wichry, które łamać piersią lubo.
Do szponów, orły! – oto kruk niewierny

gołębim gniazdom w dole grozi zgubą!
Do słońca, orły! — ziemski lud bezsterny,
ciemnością zewsząd otoczony grubą,
błaga was, byście mu wskazali okiem
drogę w obłoki i ponad obłokiem!

Z CYKLU: »Z TALMUDU«.

OGNISTA RZEKA.

W bezdeń czarną rzucając fal płomienną burzę,
na krańcach nieba lawy strugą rozhukaną
ognista rzeka płynie. Fale jej co rano
okwitają jak ogród w mgły złocistej róże.

Z mgieł anioły się rodzą. Chmurą nieprzejrzaną
w bieli szat, w złocie włosów wznoszą się ku
[górze,
i zwisnąwszy nad rzeką w krwawych łun pur-
[purze
chwałę Stwórcy olbrzymią sławią — jak kazano.

Bóg słucha. A gdy minie dzień, podnosi w górę
dłoń i topi w deszcz śpiewną serafinów chmurę.
»Życia! Życia!« wołają fale dżdżąc ogniowe, —

Życia! śpiewać Ci będziem! jeszcze dzień! godzinę!«
Darmo. Muszą mrzeć! »Życia!« Padają w głębinę...
— Rano z nurtów powstaną znów zastępy nowe...

Z CYKLU: »PAMIĘTASZ?«

III.

Pamiętasz luba? — Wspomnień rozplotę ci tęczę,
każdy promień jak strunę na lutnię nawiążę,
u nóg twoich usiędę, tęcz i lutni książę
jak niewolnik snom twoim w takt pieśnią za-
[dźwięczę.

Naprzód struny najcieńsze, jak nici pajęcze,
ocknę dłonią, do śmielszych, następnie podążę,
setką dźwięków i blasków czoło twe okrążę,
tobie wszystkie w pieśń jedną, weselną zaręczę!

Gwiazd ci tysiąc z mej lutni wykrzeszę — i dłonią
pod twe stopy rozrzucę i gwiazd tych potopem
dotąd nęcić cię będę, aż się lica spłonią,

z pod spuszczonych rzęs oczy iskier strzelą
[snopem
i z uśmiechem mi ręce na szyję zarzucisz,
pocałunkiem do pieśni mej koniec donucisz!

TĘSKNOTA.

Mojemu bratu Witoldowi.

I.

»ZA CHLEBEM«.

Droga ziemio ojczysta! ukochany kraju!
góry moje rodzinne! — ja wśród was zrodzony,
czemuż muszę porzucać złotych marzeń strony,
czemuż ptakiem przelotnym ciągnąć do wyraju?

W cudze kraje mi lecieć między obce ludy,
drogich sercu opuścić na długo, na długo,
płynąć trzeba pod wodę bystrą losów strugą,
walczyć z życiem i gonić marne szczęścia złudy!

Serce pragnie tu zostać pośród własnej braci, —
gnane w światy przemocą oprzeć się nie zdoła,
rozłączenie jednakże krwawą łzą opłaci...

Ty się pytasz, dlaczego w świat mi lecieć trzeba,
rzucać ojców cmentarze, góry, lasy, sioła?
Krótko powiem: dla chleba, bracie mój, dla chleba!

MICHELANGELO.

I.

Dłóto drży w moim ręku i skronie mi płoną,
gdy przed oczyma, które — w głąb zwrócone —
[mrużę,
anioł kształtu się jawi w nietkniętym marmurze,
a Bóg Stworzyciel ogniem rozsadza mi łono.

I grzmię w głaz młotem, aby pod jego oponą
śpiącego ducha zbudzić i przez ciosów burzę
wyrwać martwej kamienia zimnego naturze
to, co w niej jest boskiego: formę objawioną.

Lecz zaledwie z okruchów oczyszczona, biała
twarz anioła mi z głazu błyśnie, już się nowe
jawią postacie oczom moim posągowe,

już inne duchy proszą kamiennego ciała...
I zawsze serce żądzą tworzenia trawione
kocha z dzieci najwięcej to — nienarodzone.

II.

Wiek pracy minął cały... Wulkan w piersi miałem,
na oczach — wielkoludów ciągnących łańcuchem

z orkanem wieków, w sercu na głos świata głuchem
jedno wielkie pragnienie, to, co było — szałem.

Wiek pracy minął... Darmo pod myśli nawałem
gnąc się, tytany-m kował, darmo pod obuchem
moim głazy bezkształtne stawały się duchem,
barwy w ręku mych gromem, słowa w uśmiech —
[ciałem :

sen snem pozostał! Zimne te marmurów bryły,
te ogromne, do głazów wpół przykute duchy:
to apokaliptycznych widzeń mych okruchy,

szczątki dzieła, co przeszło me człowiecze siły...
Nie zakląć bóstwa! Dłótem już nie władną dłonie,
a wulkan w piersi mojej tak jak płonął — płonie.

Z POEMATU: »LOTOS«.

III.

Lotos na wodzie drży i sieje wonie;
liście igrają z falami lubieżne,
a kwiat, jak oko, patrzy w niebios tonie

złotych gwiazd pełne, tajne i bezbrzeżne.
Cisza — i tylko fala z kwiatów gada,
na którym taniec ćmy zawodzą śnieżne.

W ciszy tej słychać, jak liść suchy spada
z wysmukłej palmy lub zielonej figi,
słychać, jak wąż się cicho w trawie skrada

ku gniazdu pawia. Powojów łodygi
drgnęły i drzewa z nocnych wiatrów wiewem
w świetle gwiazd mówią coś z sobą na migi.

O czem rozmawia leśne drzewo z drzewem?
Czy o księżycu, który właśnie wschodzi
srebrny nad wody srebrzystej rozlewem

i jakieś widma, jakieś mary rodzi,
ławy perłowe przez głębie im ciska
z powodzi fal ku lotosów powodzi?

Po mgławej tęczy, co jak opal błyska,
księżyc ku kwiatom przyszedł i oblicze
nasyca wonią, co z ich łona tryska.

Księżyc miłośnie pieści te dziewicze
kwiaty i pewnie w noc im cichą wyzna
rzeczy nadziemskie, dziwne, tajemnicze,

którym jest w niebie miejsce i ojczyzna..

STARY BÓG.

Jak lew na starym świecie się położył,
okrył go piersią, w błękit dumną głowę
podniósł i czekał...
Ponad nim się srożył
komet wir w węże spętany ogniowe,
a wyżej straszna ręka przeznaczenia
wisiała.
Niegdyś na rozkaz tej Pani
on świat swój stworzył i skróś nocy cienia
rozpalił gwiazdy, pochodnie otchłani
złote. I rządził już milion milionów
wieków tym światem, bezlitośnie, srogo,
gasząc niesforne słońca śród zagonów
nieba i zniszczeń codziennych pożogą
twarz swą malując krwawo. Drżały światy,
gdy znak swój straszny na niebie zapalił
i szedł — bóg młody — w piorunów szkarłaty
odziany, sądził i jak orkan walił
krnąbrne w toń śmierci.
I minęły wieki, —
świat się zestarzał i on wraz ze światem
starym się poczuł. Lat spienione rzeki
— krew w żyłach jego — wraz z źródłem bogatem
niegdyś, wysychać jęły i swe fale
coraz to wolniej toczyły kaskadą
ołowiu w otchłań lecąc ociężale.

A on, samotny bóg nad gwiazd plejadą,
wrogi współbogom, co na złote trony
wstąpili wczoraj, — władzą stuwiekową
dumny, w gasnących blaskach swej korony,
z senną, na piersi pochyloną głową
patrzył na gwiazdy, leniwym obrotem
wystygłe ciała kręcące w przestrzeni
i słońc ostatnich malowane złotem
ziemie, odarte z kwiatów i zieleni —
i dumał.
Wieki płynęły. I zda się —
każdy wiek węzłem był, co niebios pana
łączył ze światem... Gwiazdy zgasłe w czasie
w pamięci jego wschodziły; co rana
słońca trup czarny świecił w jego duchu
dawnym płomieniem i gwiaździste kręgi
grały pieśń życia, harmonii i ruchu,
pieśń jego chwały, szczęścia i potęgi,
przebrzmiałą dawno. — Świat, co niegdyś z trwogi
przed nim drżał, teraz w godzinie dosytu
stał mu się blizki i jak dziecię drogi.
Wieki mijały.
Nagle skróś błękitu
zagrzmiał piorunny głos wszechwładnej Pani:
»Stary włodarzu! zdaj liczbę z powodzi
wieków i zamknij już księgę! W otchłani
nowe są światy i bogowie młodzi
na twoje miejsce! — Zniszcz twój światek mały
i ustąp z drogi!«

Drgnął bóg stary: Ona!
to jej grzmot mówi! — Słońca się zachwiały
i drży w posadach przestrzeń niezmierzona;
nadeszła chwila! — Czekał jej tak długo,
że już zapomniał, iż przyjść musi — groźna,
nieubłagana. Uczuł, że jest sługą,
nie panem. Odtąd będzie pustka mroźna
tu, gdzie on władał, który jutro — blady
cień boga — moc swą raz ostatni jeszcze
dziś wysiliwszy w tem dziele zagłady,
pójdzie w wieczności noc błądzić, gdzie deszcze
zgasłych gwiazd płaczą..
Ale któż się zdoła
oprzeć Jej woli? — Z drogi, stary boże! —
Wyciągnął rękę posłuszny i z czoła
zdjął grom ostatni...
Nie! on go nie może
rzucić na świat ten trupi, na swe dziecię,
jemu staremu tak dziś drogie sercu! —
Nie! On tych zwiędłych kwiatów gwiazd nie [zgniecie,
na tym wybladłych błękitów kobiercu
szytym słońc złotem — nie wyryje gromem
słowa nicości!
A jeśli do szczętu
zgasła moc jego, który słońc ogromem
władał i z dzikich żywiołów zamętu
pieśń sobie stroił — jeśli mimo dzielność
boską od zguby świata nie obroni, —

jeśli skazany jest na nieśmiertelność
bez słońc i złotej korony u skroni
królewskich: raczej niech jej straszne ramię
świat druzgocące pośród gwiazd ogrojca
i jego, starca, razem z światem złamie
i unicestwi — jak Króla i Ojca
świata!
Jak lew się na świecie położył,
okrył go piersią, w błękit siwą głowę
podniósł i czekał...
Ponad nim się srożył
komet wir w węże splątany ogniowe,
a wyżej straszna ręka Przeznaczenia,
pełna piorunu, który niecierpliwy,
chwiał się, wisiała...

ŚW. SZYMON SŁUPNIK.

(Fragment).

Spiekota żre mię, sroższa i gorętsza
niźli zazwyczaj, — pyłem strop się chmurzy
i słońce krwawej jest podobne róży...
Ha: ziemia drgnęła! jak fala się spiętsza,
głuchy grzmot kryje kędyś skał posady:
trzęsienie — W pył się walą miast kolumny...
Czemuś wysłuchał mnie, Panie! Stój! — Tłumny
lud biegnie ku mnie, z przerażenia blady:
Pójdźcie! ja winien! grzeszny, jak wy sami,

stokroć grzeszniejszy! Ściągnąłem zatratę
na was! — rozdzieram swą ostatnią szatę, —
pójdźcie z ostremi w dłoniach kamieniami!
rzucajcie! czekam! — To jest moja wina,
że się tu ziemia pod wami ugina! —
Skrwawcie głazami moje czoło blade:
ja się modliłem dla was o zagładę!...

Co to? tłum przypadł do stóp słupa zgięty;
podnoszą ręce, skarżą się i płaczą
i głosem wzdętym strachem i rozpaczą
modlą się do mnie: Ratuj nas! ty! — Święty!...
Ha, ha! ja święty!... Miasto w proch się wali
i jeno słup mój trwa, jak gwóźdź ze stali.

NIE WARTO.

Nie warto marzyć! Snów już i marzeń bezczynnych
w twardego życia walce zamarła epoka:
ludzkość, syta już bajań i kwileń dziecinnych
innego żąda śpiewu, innego proroka!

Nie warto marzyć! Dzisiaj liryczną już pieśnią
nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniecisz pło-
[mienia:
umilkli trubadurzy — starą rdzawe pleśnią
strzaskawszy lutnie, martwe urwali pół-pienia.

Nie warto... Jeśli czasem nieśmiała piosenka
przypomni nutę starą, zdziwieni słuchacze
nie pojmą dźwięku, szydząc nad piewcą koleją...

Nie warto... Wiem to dobrze — a jednak gdy ręka
uderzy w struny, lutnia mi kwili i płacze,
miłości piosnki stare dla ciebie się sieją!...

CURICULUM VITAE.

Cichą aleją, w wieńce wonnych lip ubraną,
szliśmy razem w świt złoty i w zorzę różową
cichą starą aleją sam — z schyloną głową —
wracałem: to był wieczór, tamto było rano...

Dziwna! jak wiele życia w jednym dniu się zmieści!
Świt nadziei, brzask szczęścia, błysk rozkoszy krótki,
burza zwątpień, zawodu grom i wichry — smutki,
żalu zmierzch i noc wzgardy, rozpaczy boleści...

Jeden letni dzień tylko!... od zorzy do zmroku!...
Znowu słońce zachodnie, jak niegdyś poranne,
Złotem drzewom haftuje zieloną sutannę,

tylko blask się coś krwawszy zdaje memu oku
i w nieskończoność droga znajoma się dłuży...
Młody wyszedłem i starcem powracam z podróży!

Przypisek.

Niniejsza książka stanowi niejako wystawę i przeznaczona jest dla szerokiego ogółu, któremu staraliśmy się przedstawić, jacy poeci obecnie żyją, co i jak piszą. Poezye bowiem wydawane przez poszczególnych autorów obecnie prawie żadnego nie mają pokupu i są znane jedynie szczupłemu gronu miłośników.

Wybraliśmy przedewszystkiem takie prace autorów, które ten najszerszy ogół mogą zainteresować, bądź to jako najwybitniejsze, bądź mało lub wcale nieznane.

Okoliczność, że z jednego autora wybraliśmy więcej, z drugiego mniej, nie stanowi, jakobyśmy przez to oceniali wielkość tego lub owego talentu. Myśmy bowiem w zasadzie nie odgrywali roli sędziów ani ocenicieli talentów, ich kierunków indywidualności itd. Rzeczy te znajdzie każdy w podręcznikach i studyach z zakresu literatury. Być może, że krytyka zarzuci nam, iż ten i ów nie zasługiwał na miejsce w niniejszej »Antologii«. Ta

sama krytyka jednak, nie może przewidzieć, czy ten lub ów autor, dziś lekceważony, nie zdobędzie się jutro na epokowe dzieło, które odrazu zrobi go wielkim. Być może również, że spotkamy się z zarzutem, iż niejeden talent pominęliśmy. Na to odpowiadamy z góry: Piszących obecnie i drukujących wiersze jest przeszło 300 osób. Myśmy jednak mogli pomieścić 107 i to z wielkim trudem, bo książka niniejsza osiągnęła liczbę 40 arkuszy, a więc stanowczo przeszła poza tom.

Co do dat statystycznych zauważamy, że nie mając w naszej literaturze odpowiedniego schematyzmu, zwracaliśmy się o nie drogą listową i za pośrednictwem wszystkich prawie pism polskich. Niestety, nadesłało ledwie kilku.

Tak samo nie mogliśmy się na czas wystarać o fotografie wszystkich autorów. Pomieściliśmy więc tylko te, o które nie było trudno.

W końcu uważamy za miły obowiązek złożenia podzięki za cenne rady i wskazówki przy układzie książki pp. Maryi Wolskiej, dr. H. Biegeleisenowi, Kornelowi Makuszyńskiemu, Józefowi Wiśniowskiemu i H. Zbierzchowskiemu.

Redakcya.

SPIS RZECZY.

Str.

Str.

Str.

FRANCISZEK NOWICKI

WŁADYSŁAW ORKAN (FR. SMRECZYŃSKI)

OR-OT (ARTUR OPPMAN)

BRONISŁAWA OSTROWSKA (EDMA MIERZ)

Str.

PORTRETY.

